







LUDWIK XIV
według sztychu Lefèvre'a.

LUDWIK BERTRAND

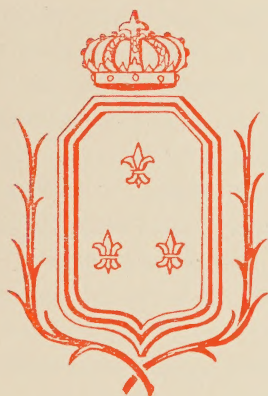
CZŁONEK AKADEMJI FRANCUSKIEJ

LUDWIK XIV

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY

I PRZEDMOWA

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO



POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

*

OKŁADKĘ RYSOWAŁ E. CZERPER

*

16 MIEDZIODRUKÓW WYKONAŁA DRUKARNIA ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

*

DRUK: CONCORDIA S. A., POZNAŃ

*

PRINTED IN POLAND

OD TŁUMACZA

Autor tej książki, Louis Bertrand, nie jest fachowym historykiem. Palmy akademickie otrzymał niedawno za działalność pisarską, bujną i ożywioną, za liczne książki podróżnicze, a szczególnie monografję o św. Augustynie. Portretu Ludwika XIV i świetnego ujęcia całej działalności słonecznego króla podjął się w przekonaniu, że znakomitemu monarsze dzieje się oddawna ciężka krzywda. Nie znajduje bowiem szczęścia ani w sferach uczonych, ani też nie cieszy się zgoła sympatją w szerokich kołach swego narodu. Uczeni — tak wywodzi Bertrand — zaufali bezwzględnie współczesnej plotce i wrogim królowi pamflecistom, naród wogóle nie chce wiedzieć o istnieniu osoby wielkiego Zjednoczyciela i Budowniczego Francji. Dość rozejrzeć się dziś — mówi dalej Bertrand — po salonach mieszczańskich, w których niepodzielnie włada nieszczęsna Marja Antonina. Cieszy się w masach narodu tą chyba popularnością co u nas Naczelnik w sukmanie. W obszernej przedmowie do czytelników francuskich rozprawia się autor zarówno z zawodowymi historykami, jak też z opinją publiczną, krzywdzącą i usuwającą w cień postać monarchy, który był przecie wcieleniem idei zarówno państwowej, jak i narodowej, który w każdej dziedzinie pracy zdołał utożsamić się znakomicie z potrzebami Francji, był jej pierwszym i najoddańszym sługą, stróżem, urzędnikiem. Mało dbając o pozory, zapatrzony w swoje cele król nie pomyślał nad tem, aby się przeciwstawić pozorom i niesprawiedliwej legendzie, jaka otoczyła wkrótce jego osobę, charakter i nawyki. Z tą legendą polemizuje Bertrand w sposób niezwykle żywy i barwny. Słoneczny król nie był bynajmniej tępym rozpustnikiem, za jakiego do dziś uważają go powszechnie. Uczuciowy nad zwyczajną miarę szukał przez

całe życie z rozmaitym, najczęściej ujemnym skutkiem, serca. Znamy dobrze z powieści i filmu postacie przebiegłej Marji Mancini, panny de La Vallière, niezwykle zmyślnej trucicielki spokoju królewskiego, nareszcie demonicznie opętanej swem posłannictwem pani de Montespan. Tu występują one w nowem oświetleniu. Bystry psycholog podaje rękę obrońcy i uzasadnia wszystkie momenty walki, jaką toczyć musiał znakomity strategik, wikłany kolejno w sidła tych pań i panienek. I jak z tych zapasów wychodziła zwycięzcą na ostatku — Francja.

Wychwała pana de Bertrand idzie chwilami zadaleko. Fachowa krytyka francuska wytknęła mu niejedno przemilczenie i ominięcie tych szczegółów z działalności zarówno politycznej jak i administracyjnej Ludwika XIV, które nie dadzą się wybielić. A zasługują na osąd surowy. Ogarnięty szlachetną tendencją apologji zapoznawanego monarchy posuwa się autor czasami tak daleko w superlatywach, jak współcześni królowi pamfleciści nie znali granic w oszczerstwie. Ale to drobiazg wobec wartości całego obrazu Francji siedmnastowiecznej i tych wszystkich przemian czy przewrotów, jakie przechodziła, pnąc się coraz wyżej w hierarchji mocarstwowej i biorąc po Hiszpanji miejsce jednej z najpierwszych potęg na świecie. Rozczytujemy się z żywą ciekawością w opisach ówczesnego stanu obyczajów i pojęć, jakże odrębnych od wczorajszego renesansu i jutrzejszego oświecenia! Poznajemy świat, w którym wzrósł Molier i Racine, atmosferę, w której urodziły się ogrody Wersalu i Słownik Francuski, wreszcie stajemy u kolebki nowoczesnego życia towarzyskiego, które rozpoczęło się z wynalezieniem świecy woskowej.

Ogromnie to jest również interesujące ze względu na związki łączące Polskę siedmnastowieczną z Ludwikową Francją. Związki były liczne, zarówno związki krwi, jak dyplomacji za czasów Sobieskiego i Królowej Marysienki, Morsztynów. Chyląca się do upadku cywilizacyjnego Rzeczpospolita, w której wygasły dawne żary humanizmu, zaczęła teraz na nowo chodzić do szkoły francuskiego poloru i cywilizacji. Udział w tej szkole był na razie za skromny, ograniczał się do dworu królewskiego i kilkunastu rodzin

magnackich. Wiek cały trzeba było czekać, aby ta tresura zachodnio-europejska dosięgła w epoce oświecenia do szerokich mas szlacheckiego narodu.

I z tych również powodów wydał się przekład pięknej pracy Bertranda rzeczą wskazaną.

Stanisław Wasylewski.

CZĘŚĆ PIERWSZA

NARODZINY LUDWIKA-BOŻYDARA

Jeżeli przypuszczałeś, że być królem
to rzecz bardzo łatwa i bardzo miła —
pomyliłeś się ogromnie.

Ludwik XIV do Filipa V.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

OSOBA I POSTAĆ

Wydaje się poprostu, że znaliśmy go osobiście, jakgdyby żył jeszcze pomiędzy nami. Raz przejeżdżał konno, to znów w karocy, eskortowany przez pluton gwardji lub muszkieterów, a zawsze w pełnej paradzie.

Znamy i pamiętamy oblicze króla czy jego ubiory o wiele lepiej, niż jakiejkolwiek innej wybitnej osobistości współczesnej. Bo czemże są dla nas prezydenci dzisiejszych republik lub nawet królowie, w niewyraźnych i przemijających sylwetach, mniej czy więcej zniekształceni przez migawkowe zdjęcie fotograficzne. Naogół artyści mało mają sposobności do podpatrywania i utrwalenia ich rysów. Spowici kurzem automobilowym, ścigani jak zwierzyna przez zawodowe i amatorskie kodaki, wydają się głowy państw dzisiejszych niby blade i płynne widmo, któremu nie pozwolono się utrwalić. Natomiast Ludwik XIV ujawnia trwałość i jakgdyby majestat posągu. W przeciągu niemal stulecia odtwarzały go i podpatrywały z lubością całe generacje malarzy, rzeźbiarzy, rytowników i tapicerów, że już nie wspomnimy o narodzie, który od zarania rządów królewskich kochał się w nim prawie jednomyślnie. W owych czasach zawód „malarza Króla Jegomości“ nie był zaiste frazesem bez treści.

I oto dlaczego jest rzeczą prawie niemożliwą ułożyć katalog jego portretów, tak wiele ich posiadamy. A ileż nadto zupełnie dziś nieznanych! Andrzej Pératé ograniczył się do zestawienia tych tylko portretów Ludwika XIV, które się znajdują w Wersalu, pominął zaś kompozycje zespołowe. A jakże bardzo urosłaby ta liczba, gdyby dodać portrety,

znajdujące się nietylko w muzeach Paryża i na prowincji, lecz również w zbiorach i muzeach całego świata, w budynkach publicznych i ratuszach, w salach sądowych, kościołach i klasztorach, a wreszcie w pałacach, czy kolekcjach prywatnych?... Rzecz jasna, konieczne jest przebrakowanie tej ogromnej masy, nie wszystko bowiem przedstawia jednakową wartość jako dzieło sztuki, czy nawet dokument. Z pośród portretów ściśle oficjalnych należy wyłączyć zarówno kopje z oryginałów jak i kopje, sporządzane z trzeciej ręki, a zostawić tylko portrety malowane z natury lub też przedstawiające jakiś szczególny interes historyczny, czy archeologiczny. Innemi słowy: obrazy, które mogą nam ujawnić osobę królewską. Podobnie pojęta ikonografja wielkiego króla jest rzeczą przyszłości. Śmiem twierdzić, że można w tej dziedzinie dokonać rozmaitych odkryć po strychach i zakamarkach naszych muzeów, gdzie w kurzu i zapomnieniu walą się bez liku dzieł rzekomo pozbawionych wartości artystycznej, lub też bezimiennego jakoby, czy nieznanego pendzla. A przecież te liche malatury łatwo dostarczyć mogą czy to nowego rysu do oblicza królewskiego, czy odkryć jakiś szczegół nieznany ubioru, czy wreszcie choćby okruszynę z kolorytu epoki. Jakaż to szkoda, że obok właściwych muzeów sztuki nie pomyślano u nas o stworzeniu czegoś w rodzaju zbiorów uzupełniających, gdzieby gromadzić trzeba wszystko, co ma związek z przeszłością, każdy strzęp starzyzny, pozbawiony wartości w oczach panów dyrektorów i konserwatorów. Pamiętajmy bowiem, że właśnie takie pogardzane coś znaleźć może pewnego dnia w czyichś oczach wartość dla kogoś i przydać się poecie, czy historykowi.

Ikonografja Ludwika XIV, jakkolwiek dziś jeszcze bardzo niezupełna, obejmuje wszelako tyle i tak dobrych portretów królewskich, że chyba nie dowiemy się już niczego nowego o jego postaci w różnych okresach życia. Co do mnie, uwzględniałem z tej obfitej masy tylko portrety wybitnie charakterystyczne. Po obejrzeniu wielkiej ich ilości wprawne oko odróżni z łatwością kopję mechaniczną, szablonowy rysunek, lub błahą ramotę od obrazu czy rysunku oryginalnego, w którym odnajdziemy jakiś

szczegół pociągający przez swą prawdę. Jedne po drugich utrwalają się wówczas wrażenia, jakie odnosimy z oglądania wciąż tego samego oblicza, jednoczą się wespół jakby na pasku żelatyny filmowej, i wreszcie, z ogromu wizerunków, wychodzi postać, która żyje, rusza się i przemienia, w coraz to innym kształcie, jawiąc się nam przed oczyma.

Tak było i ze mną w odniesieniu do Ludwika XIV. Twarz królewska ujawniała się mi kolejno, w zasadniczych, coraz innych metamorfozach; podczas długich i rozległych poszukiwań, gdy wertowałem arkusze *in folio* w gabinecie rycin w owej wspaniałej galerji, którą wznieść rozkazał i uświetnić chrzestny ojciec monarchy Jego Eminencja Kardynał Giulio Mazarini...

* * *

Widzę najpierw jako pucołowatego berbecia; buzia trochę zaspana, włosy ciemno-blond, o złotym połysku, oczy koloru laskowego orzecha, powieki opuszczone, wśród jędrnych policzków przycupnął mały nosek, który potem zadziwiać będzie ludzi swą wielkością, wydatne kości policzkowe, wargi mięsiste, podwarże nieco wystające. Chciałoby się zrazu powiedzieć, że ten chłopak podobny jest do wszystkich innych dzieci na świecie w tym wieku, gdy w tem dostrzegamy w małej twarzyczce wyraźne znamiona dziedziczne: dziecko przypomina ponad wszelką wątpliwość ojca swego w tym samym wieku. Te same grube wargi, te same oczy, a może nawet oczy, wargi i włosy matki. Po niej w spadku wziął nadto twarz szeroką i wydatne kości policzkowe. Widzimy tedy, ile rasy posiada już na pierwszy rzut oka ten nibyto zwyczajny bęben.

Portretowano dziecko już w powijakach, a nawet dokładniej mówiąc, w pieluchach, więc tem łatwiej pojąć, jak dalece zmieniały się jego rysy w ciągu lat dziesięciu pod pendzlem malarzy. W muzeum w Wersalu znajduje się bezimienne malowidło, przedstawiające go przy piersi: tłumoczek bezkształtny, z którego wygląda ku nam pyzate chłopię z powijaków, ale już ozdobione wielką wstęgą Świętego Ducha. Leży na podołku mamki, która mu podaje pierś. Nieco

późniejszy biust, również anonimowy, umieszczony na kominku w „Sali Gwardji Królowej Jejmości“ przedstawia chłopaka cztero- lub pięcioletniego w pancerzu *à l'antique*, wyraz twarzy mile naiwny, wielkie oczy, główka w kędziorach. Wdzięk tego uroczego dzieła sztuki tkwi w kontraście pomiędzy męską zbroją, a dziecięcą miną małego króla. Mimowoli sięgamy myślą ku owym małym zawodnikom i amorkom, znanym z rzeźby helleńskiej. Popiersie to jest symboliczne, i poniekąd prorocze na przyszłość. W owej dziecinie, opatulonej jeszcze pulchną tłustością niemowlęctwa wyczuwa się profil przyszłego bohatera i przyszłą bojową postać człowieka, który pragnął zostać cesarzem Franków, *Francorum Imperator*, jak to zapowiadały napisy w samem zaraniu jego rządów.

Inny portret, w Muzeum Prado w Madrycie, uchodzący za dzieło jednego z Beaubrun'ów, przedstawia Ludwika w jeszcze młodszym wieku, bo jako dwu- lub trzyletnie dziecko. Dorodny chłopak w zwyczajnym czepku, śliniaczek pod brodą, w długiej po kostki sukience, na której fartuszek przestronny i prawie tak długi, jak sukienka. Mina i wygląd dziecka mieszczańskiego z Marais, czy z placu Maubert. To nie przeszkadza jednak wcale, że mu na szyi zwisa na łańcuchu order Świętego Ducha, a rączkę oparł na koronie królewskiej, która spoczywa na poduszce aksamitnej na konsoli. Całość za wyjątkiem tej dekoracji utrzymana jest w tonie zupełnej prostoty — portret to rodzinny, przeznaczony dla krewnych w Madrycie. Anna Austrjaczka pragnęła zapewne pochwalić się wobec swego brata, króla Filipa IV, ojca licznego potomstwa, że francuski dom panujący również pozyskał dziedzica korony... W muzeum w Blois znajduje się utwór w podobnym stylu; podrósł już trochę dziedzic korony, również ubrany wspanialej, a cała postawa ma w sobie coś bardziej wojowniczego. Z pod halsztuka na szyi spływa żabot koronkowy z czerwonemi kokardami na haftowany kaftanik i powłóczystą sukienkę. Obok widać pancerz i miecz, a Ludwik opiera się trochę nieporadnie o minjaturową lancę z pozłocistym końcem. Naogół jest to malec hoży i piękny, o kasztanowatym włosie, usta wydatne, oczy, wycięte jak migdały, mają odcień

szaro-niebieski. (Zapamiętajmy sobie, że ten odcień wciąż ulega zmianom, i to w sposób trudny do określenia.) Mimo cały rynsztunek bojowy Ludwik wygląda wciąż bardzo słodko i bardzo pokojowo o wyrazie twarzy zaspanego smarkacza. Lecz portret ten chce już okazać światu przyszłego władcę monarchji wojskowej.

Zkolei należało uprzytomnić Francuzom, a szczególnie pobożnisiom, że widzą następcę św. Ludwika i filar Kościoła. Dlatego na wszystkich wizerunkach popularnych, rozpowszechnianych w całym kraju, upamiętniono scenę, gdy matka „dobra królowa Anna" ofiaruje go Matce Boskiej, obok stoi braciszek, książę d'Anjou, a Matka Boska, czyli Madonna z Notre-Dame, siedzi na chmurze i trzyma na ręku małego Jezuska. Ze złożonemi rękoma i oczami spuszczonemi klęczy przed nią młody książę w przestronnym, jak koszula nocna, płaszczu królewskim. Bierze on z rąk Jezusa koronę Francji, a tak jest skromny, tak skupiony, jak grzeczny i pobożny chłopak, który po raz pierwszy przystępuje do Stołu Pańskiego.

Pobożna ta kompozycja czyni niezawodnie wrażenie bardzo budujące, ale prawdziwszym wizerunkiem Ludwika z tego czasu wydaje się raczej portret z Muzeum Prado, upominek dla wuja, króla Filipa: Patrzy tu na nas spory chłopczyna w czepku na głowie, z fartuszkiem na szyi, zakłopotany trochę z powodu pozy, jaką mu przybrać kazano wobec poduszki z koroną. To pewne, że nie robi on tu wrażenia dziecka bardzo rozgarniętego. Raczej powiedziałoby się, że głuptas zupełny, i tylko bystre oko zdoła odkryć coś więcej pod przyciężką powłoką. Narazie jest to cicha woda, dusza, która śpi, gromadząc siły na przyszłość, lecz która już obecnie zdradza usposobienie mocne i bogato uposażone.

* * *

Doszedł mniej więcej do lat czternastu. Rzekłbyś, że nigdy nie zaznał wieku cielęcego. Chłopak w każdym razie bardzo piękny, tak jak go widzimy na innem malowidle w Prado, sygnowanem przez Nocret'a. Czoło jasne, zakryte do połowy kędziorkami peruki, której pierścienie opuszczają

się na przepyszny kołnierz z koronek. Kaftan do zbytku zahaftowany i naszamerowany złotem, z rękawów wyciętych widać białe, bufiaste rękawki od koszuli, ozdobione na łokciu fontaziem ognistego koloru. W ręce urękawicznionej *à crispin* trzyma młody król buławę marszałkowską. Na opończę ze skóry bawolej, sięgającej po uda, nałożył król pancerz. Wszelako ta wojownicza skorupa ginie prawie zupełnie wśród bezliku wstęg i kokard, zwisających z ramion i pod biało-jedwabną szarfą, która przebiega przez pierś.

I znów ze zdumieniem oglądamy na tym korpusie marsowym głowę prawie kobiecą, o wyrazie twarzy niewinnym i przeskromnym. Delikatny wykwint rasy zaznacza się tu o wiele widoczniej, niż na portretach z okresu dzieciństwa. Oto wytworne nawskroś oblicze młodzieńca z arystokracji. Okrągłe buziaki i szerokie kości policzkowe zawsze jeszcze przypominają matkę, ale już w owalu twarzy uwydatnił się wąski podbródek i długi nos — nos mężczyzny. Wargi nieco grube a krwiste i zmysłowe, podobnie jak u Ludwika XIII i Anny Austrjaczki. Znaczą się one wyraźnie wśród przezroczystej skóry o „cerze z róż i liliji", opiewanej przez poetów współczesnych. Lecz portret ten pochlebiony widocznie, gdyż daremnie szukamy śladów po przebytej ospie, wiadomo zaś, że w dziesiątym roku życia przebył Ludwik XIV tę straszliwą, wówczas bardzo rozpowszechnioną chorobę, której tylko niewielu ludzi ujść zdołało. Zapewne stracił wówczas „kwiat swojej cery", jak się wyraża pani de Motteville — ową skórkę świeżutką, równą w uroku najdelikatniejszej karnacji niewieściej — ale pozatem ospa pozostawiła niewiele tylko widocznych śladów po sobie. Trzeba się było wpatrywać bardzo długo, aby je odszukać, a malarz nie uwzględnił ich zupełnie. Lecz nadewszystko uderza nas owa szczególna łagodność spojrzenia: z pod powiek, nawpół opuszczonych, wyzierają oczy jakgdyby z aksamitu, i błyszczą omdlewająco bezsilne, uniesione nieco zukosa ku skroniom. Siła woli z inteligencją drzemie w tym młodzieńcu, stworzonym jakgdyby do miłości i rozkoszy. Łagodne to spojrzenie miałoby w sobie coś zgoła naiwnego, gdyby nie wytworny, szlachetnie sklepiony nos, nozdrza sowite i wietrzące, które, opadając aż do

warg i na zaciśnięte usta, zdradzają chytrego lisa i milczka, jakim stanie się z biegiem czasu.

Taki to konterfekt urodziwego kuzynka posłano nie bez kozery do Madrytu, wiemy wszakże, że Anna Austrjaczka już bardzo wcześnie, bo w r. 1646 — gdy delfin Francji miał zaledwie osiem lat — umyśliła wraz z Mazarinim, aby go skojarzyć z infantką Marją Teresą. Infantka myślała również o delfinie, od chwili, gdy zaczęła wogóle marzyć o miłości. Mówią nawet, że uważała się już wówczas za narzeczoną swego kuzynka z Paryża. I kto wie, czy ten właśnie portret Nocret'a nie wywarł wpływu na uczucie brzydkiej i gadatliwej infantki, która po długich korowodach, po rozmaitych wykrętach i odwłokach została wkońcu królową Francji i Nawarry. W każdym razie przyjąć można, że księżniczka, przebiegając salony Alkazaru, czy Buen Retiro, zatrzymywała się w sekrecie przed portretem tego nieznanego jeszcze kuzyna, który w wojennym pancerzu i świetnym pióropuszu wydawał się jej istnym cherubinem...

* * *

W kilka lat później miękkie dotychczas oblicze delfina nabiera widocznie męskości. Coprawda, młodzieniec daje jeszcze bardzo niejasne wyobrażenie typu, jakim w przyszłości będzie Ludwik XIV. Wystarczy jednak rzut oka, aby rozpoznać w nim władcę i rozkazodawcę, który, łagodny i dobrotliwy z usposobienia, okaże się twardym i prawie brutalnym człowiekiem zasad i obowiązku.

W muzeum w Aix-en-Provence znaleźć można popiersie wysokiej wartości, przypisywane naturalnie Puget'owi; ma ono przedstawiać Ludwika XIV, gdy był osiemnasto- lub dwudziestoletnim młodzieńcem. Oba przypuszczenia są błędne. Bo najpierw, zdaniem wybitnych uczonych, popiersie to nie wyszło z pod dłuta Puget'a, a powtóre nie jest to napewno Ludwik XIV. Opisane przed chwilą rysy młodego króla nie mają nic wspólnego z młodym Rzymianinem w peruce, czy krótkiej czuprynie z muzeum w Aix. A czy istotnie rzeźbiarz nieznany miał zamiar przedstawić Rzymianina? Wygląda on raczej na Galla, i to Galla z południowej Prowansji lub z Pirenejów. Te wąskie wargi

i czworoboczny, trochę kusy nos stanowią raczej przeciwieństwo Ludwika XIV. A już całość oblicza nie przypomina żadną miarą twarzy królewskiej. Wykonano to popiersie prawdopodobnie w celu ozdobienia jakiejś wnęki w budynku publicznym, zapewne w ratuszu. Jeśli zaś tak było i artysta miał zamiar wyobrazić Ludwika XIV, czynił to chyba w sensie ściśle symbolicznym. Bo ów imperator w kirysie i płaszczu wojskowym, ów młody, silny, muskularny wódz, któremu genjusz opromienia czoło, to raczej Francja sama, taka, jak ją sobie wyobrażali Francuzi: naród zwycięski, któremu się nic oprzeć nie zdoła, gdyż łączy siłę z inteligencją.

W rzeczywistości jest inaczej. Dwudziestoletni Ludwik XIV był w gruncie żołnierzem, ale żołnierzem, który nie zaznał jeszcze sławy i chyba z lękiem zaczynał się skłaniać do twardych nawyków bytu wojskowego. Raczej inny wielki portret *en pied* może być bliższy rzeczywistości w tej epoce życia królewskiego. Należał on do kuzynki monarchy, panny de Montpensier, a obecnie znajduje się w posiadaniu księcia de Vendôme. To może jeden z najbardziej realistycznych portretów, jakie znamy, a w każdym razie wysoce oryginalny i charakterystyczny. Pendzel? Jak zawsze, mówi się i tu o wielkim malarzu Mignard. Ale to lepiej, iż autorstwo zostaje pod znakiem pytania, a krytyka ogranicza się do stwierdzenia, że to dzieło pierwszego rzędu, a jako dokument historyczny przedstawia wartość jeszcze większą.

Widzimy króla w rynsztunku wojennym. Wysokie lejowate buty, utytłane na szaro kurzawą prochu i błotem podkopów, kurtka skórzana, jak u „poilów" r. 1914, spodnie czerwone z galonem złotym, buława w ręku. Kaftan spodni pod kurtką z żółtego aksamitu, zupełnie skromny. I tylko jeden szczegół ożywia ten ubiór nad miarę surowy, niebieska wstęga orderowa na krzyż, oraz na przegubie ręki zawiązana wstążka różowa, przypominająca dzisiejsze zegarki, opasujące przegub ręki. Ale przedewszystkiem uderza szczegół może najbardziej ze wszystkich oryginalny: oto zupełnie jawnie podkreślone blizny po przebytej ospie, drobne, matowo błyszczące plamki na różowej cerze. Widzimy, że skóra jest chropowata, pokryta, jakby drobną kaszką, to ślady, jakie

pozostawiła ta straszna choroba. Oczy brunatne (a może tylko robią takie wrażenie), policzki wydatne zaokrąglają jeszcze twarz, o wyrazie zdecydowanym, skóra taka, jak gdyby ją zrumienił i wychłostał wiatr, ledwie dostrzegalny wąs ocienia duże usta. Całość robi wrażenie bardzo marsowe, rzekłbyś nawet, brutalne. Jakaś żołnierska srogość dominuje nad wejrzeniem tego wodza i władcy. Oczy patrzą badawczo w dal, jakby przymglone niepokojem, spojrzenie skierowane gdzieś w jeden punkt niewidoczny, a myśl, która się w niem zwierciedli, zajęta jest jakąś dręczącą kalkulacją. Dla tego młodzieńca, z czołem pochmurnem, w butach zabłoconych, wojna nie jest zaiste rozrywką ani też turniejem w koronkach.

Uchwycone w tym konterfekcie szczegóły wyglądu króla zgadzają się dokładnie z opisem jego postaci pozostawionym przez człowieka współczesnego, który zapewne widział go na własne oczy. Zawarty jest ten opis w apokryficznej pracy Bussy-Rabutin'a i brzmi tak: „Król jest wysoki, ramiona ma nieco szerokie, nogi piękne, tańczy dobrze, a też jest biegły bardzo we wszystkich ćwiczeniach cielesnych. Ma w sobie dość dużo miny i postawy monarszej (owo „dość“ należy podkreślić, świadczy bowiem, że Ludwik XIV zwolna nabierał majestatu królewskiego). Włosy prawie czarne, znać blizny po ospie, oczy błyszczące i łagodne, wargi czerwone; z tem wszystkiem trudno przyznać, że jest piękny.“

Juści, że portret następny, przechowany w Neuilly, nie przedstawia nam Adonisa. Czy jest prawdziwszy od innych? Mam poważne wątpliwości co do tego, ilekroć przyglądam się słynnemu popiersiu dłuta Bernin'a, w muzeum wersalskiem w sali Diany. Powstało ono niechybnie później, aniżeli portret wyżej opisany, ale daje niejakie pojęcie o wyglądzie młodzieńczego króla. Dzieło artysty włoskiego, który nie dbał ani o dokładność podobieństwa, ani o ścisłość chronologiczną, dał natomiast utwór pełen rozmachu, w zupełności udany. Oddzieliwszy wszystko, co jest tutaj dziełem natchnienia zapalonego rzeźbiarza, odnajduję przecież zarówno owe znane nam a odziedziczone rysy twarzy, jak ślady namiętności i różnych cech tej duszy władczej, o których nam historja opowiada lub pozwala się domyślać.

Więc najpierw twarz kwadratowa i — powiedzmy otwarcie — dosyć pospolita, o czem już zresztą wiemy. Okrągłe policzki, mały wąsik, wargi grube. Ale ponadto jeszcze coś innego. To popiersie zaliczyć wypada do najciekawszych, jeśli nie najpiękniejszych portretów Ludwika XIV, albowiem odtwarza ono z cudowną siłą duszę i usposobienie króla, gdy liczył lat dwadzieścia. Najpierw daje, że tak powiem, wyraz jego chuci: bulgoce sokami tężyzny, pleni się życiem i jurnością. Powieki jakby w gorączce, na skroniach mała zmarszczka, nozdrza drżą nerwowo, pod oczami cień głęboki. Muskuły twarzy obwisłe, a całość napiętnowana zmęczeniem, wysilona jakby miłością, z pragnienia wciąż nienasyta: takim był młody kochanek pani de la Vallière, pustoszony rozpustą, zawsze chciwy rozkoszy... Ale spójrzcie teraz na jego profil, jakaż nagła odmiana: widzi nam się, że to Bonaparte, ten Korsykańczyk o szalonych ambicjach, młody generał z pod Arcole i Lodi. Dziwna rzecz wogóle, jak Włoch Bernini odrazu wyczuł i uchwycił w Ludwiku XIV to, co w nim było cezarowego? Dwudziestoletni władca przywodzi nam odrazu na myśl imperatorski profil innego Cezara: dołki wydrążone pod policzkami, wydatnie naprzód podany podbródek, nos niczem dziób orła, figlarnie ściągnięte brwi, oczy przenikliwe, otwarte szeroko, patrzące daleko — oczy ptaka, który węszy za łupem i chwyta wiatr. Oblicze namiętności zmieniło się w oblicze sławy...

Raz jeszcze podkreślam, że to popiersie królewskie jest może przeidealizowane, ale nie jest bynajmniej sfałszowane.*) Mamy tu bowiem ujęte wszystkie zasadnicze rysy króla, jakkolwiek z niejaką romantyczną przesadą. W istocie bowiem Ludwik XIV zbyt był skupiony w sobie i nie ujawniał swego wnętrza z tak zapalczywą, iście południową emfazą. W małym pastelu, dziś w muzeum Luwru, udało się natomiast Lebrun'owi pochwycić znakomicie prawdę oblicza monarchy z tych lat. Młody władca, który czeka swej

*) W muzeum w Tuluzie znajduje się przepiękny biust Ludwika XIV dzieło miejscowego artysty Marc Arcis'a. Przypomina on Berniniego, a ma jeszcze więcej realizmu. Dzieło znakomite wymaga osobnego omówienia na innem miejscu.

godziny i chwili, gdy mu wystąpić przyjdzie na arenie dziejów, a tymczasem właściwe uczucia i myśli kryje trwożnie w głębi duszy.

Profil przedziwny, prawie grecki, gdzie nos i czoło tworzą jedną, prostą nieomal linję, profil przypominający żywo brata króla Jegomości (zwano go wedle etykiety „Monsieur"), którego prześliczny portret znajduje się w zbiorach księcia Vendôme. Pod bardzo długim i cienkim a wytwornym nosem sklepiają się wargi mięsiste i czerwone, a ledwie dostrzegalny puch wąsa ocienia je uroczo. Szczególnie błyszczą oczy, tęczówka koloru szarej malwy, źrenica prawie czarna. Skóra delikatna, ani śladu blizn po ospie. Cera klasyczna *fait de lys et de roses*, jak mówi poeta. Nozdrza, usta i oczy dają wespół świadectwo zmysłowości i chuci okrutnej niemal, ale odrazu łagodzi tę cechę arystokratyczna finezja linji nosa i ostry władczy wzrok, a wreszcie dobrotliwa szlachetność pełnych, masywnie zaokrąglonych policzków.

Zaczem oblicze tego młodzieńca to całość wcale zawiła, zapisane jest bowiem instynktami złemi obok najlepszych i szlachetnych. Wyczuwa się w niem pierwiastki jeszcze nieuchwytne, tajemniczość, rezerwę, coś niebezpiecznego i równocześnie wyrachowanego. Jakie rozkazy wyjdą kiedyś z tych ust lubieżnych, jakie myśli gnieździć się mogą pod tem czołem, przez pół zakrytem peruką? Narazie jest to woda cicha, stojąca, ale pełna gróźb i uroków, tajemnicza jak morze, czy jak jezioro, w którego toni odbija się czarodziejska baśń iluminacji lub deszcz rakiet, strzelających w powietrzu.

* *
*

Człowiek skończony, do którego przywiązujemy już wielkie nadzieje, nabiera zawsze rysów poważniejszych, zdecydowanych.

Możnaby zauważyć, że im więcej doskonali się Ludwik w swoim zawodzie królewskim, tem więcej nabiera poczucia obowiązku i odpowiedzialności. Artyści ówcześni, wyraziciele narodowej tęsknoty ku sławie, malują go w postaci Boga-słońca, czy Apolina, który popędza rumaki, lub gra na cytrze. Wszelako współpracownik Colbert'a i Le Tellier'a, i biurokrata, pracujący po ośm godzin dziennie, musiał wy-

glądać inaczej. Dolna część twarzy stężała widocznie, nabierając pełni, okrągłości, ale i stała się przyciężką, na sposób rzymski. Powieki dawniej przymrużone, teraz rozwarły się szeroko, oczy wychodzą nawierzch, prawie jak u olimpijczyka Goethego. Pełne usta zaklęsły nieco, bo zębów już brak. Długi, lisi nos robi wrażenie, jakby się wydłużył jeszcze więcej. Potężnie rozbudowana głowa wyraża zawsze potęgę i chytrość, w spojrzeniu natomiast, szczególnie na słynnym portrecie w Nanteuil, znać nieustającą, bolesną chwilami i smutną zadumę. Albo też, jak pod pendzlem Vanillant'a, który malował *ad vivum*, jawi nam się wisus jowjalny, roześmiany, do wybitki do wypitki. Popiersie, stworzone przez Warin'a — obecnie w muzeum w Wersalu — wyobraża mocnego bęcwała, trochę rycerz, trochę czeladnik rzeźnicki, któremu tylko uroczysta peruka i pancerz heroiczny wzbraniają postępków pospolitych: jest to kochanek pani de Montespan, pogrążony w rozpuście, rozmiłowany w koniach, oszołomiony zgiełkiem obozu i parad wojskowych.

Do tej epoki należy również dokument portretowy o charakterze zarówno dramatycznym jak rewelacyjnym. Jest to płótno niewiadomego twórcy, wydobyte z kurzu dwa lub trzy lata temu na wystawę retrospektywną w Wersalu: Ludwik XIV na koniu w stroju polowym, z kapeluszem na głowie. Za nim ks. Kondeusz z gołą głową, również na koniu. Kontrast obu postaci ma w sobie coś przejmującego. Król odznacza się trzeźwym spokojem, ruchy odmierzone i opanowane, twarz omal trupiej bladości, mina ostra i twarda czyni wrażenie, jakgdyby z największym wysiłkiem hamował wzburzenie wewnętrzne. A w tyle poza tym strasznym i groźnym spokojem widać służalczą postać Kondeusza, który rozmawia z prostym żołnierzem, zapewne wywiadowcą. Zupełnie: lew poskromiony przez lisa...

* *
*

Zbliża się król tymczasem do wieku dojrzałego. Stoi w kwiecie lat czterdziestu, w przededniu bolesnych operacyj, od których zacznie się ruina jego potężnej konstytucji cielesnej, oraz męskiej piękności. Gnębią go w tym czasie „wapory", bolą go wściekle zęby, trapi bezsenność i przywidzenia.

Tak dalece obsiadła go troska o sprawy publiczne, że przez sen marzy o nich na cały głos i gestykuluje. A mimo to, wedle przeważnego zdania współczesnych ludzi, oblicze króla nie ujawniało nigdy tyle spokoju i majestatu, i nigdy nie był bardziej zrównoważony.

Najprawdziwszym atoli wizerunkiem z tej epoki, pełnym owej prawdy idealizowanej, w jakiej przedstawiali sobie Ludwika ci najbystrzejsi z Francuzów i cudzoziemców, którzy byli w stanie pojąć wielkość jego zamierzeń, walor szczególny polityki i wszechstronne bogactwo talentu — otóż najprawdziwszym wizerunkiem jest przecudne popiersie Coysevox, umieszczone obecnie na kominku w sali *Oeil-de-Boeuf* w Wersalu wśród dwóch kandelabrów w kształcie kwiatu liljowego. Niesposób się dość wydziwić i zdumieć, że to znakomite dzieło sztuki pozostaje i dziś prawie nieznane, a w każdym razie nie doceniamy go tak, jakby zasługiwało. Pochodzi ono z roku 1681, z najświetniejszego okresu panowania, a przedstawia króla, który miał wówczas lat 43, w całym olimpijskim majestacie w pełni męskiej urody, z twarzą coprawda nieco przytyłą, ale rozjaśnioną mocą ducha i czołem szeroko promienistem. Nie umiem wskazać lepszego i plastyczniejszego i bardziej skończonego wyobrażenia królewskiej godności, którą tu ujęto jako nieustanny rozbłysk potęgi, rozumu, piękna i dobroci. Wprost nie pojmuję skandalicznej niewdzięczności, która spotyka dziś jeszcze zarówno to dzieło znakomite, jak i wogóle samą osobę Ludwika XIV. Wstyd spojrzeć w salony naszej burżuazji, a nawet arystokracji, przepchane samemi posągami z XVIII stulecia, wiecznie tem samem popiersiem Marji Antoniny, czy pani Pompadour, czy pani du Barry, pomija się natomiast ten posąg, który przecie jest obrazem Francji w najbardziej świetlistym okresie jej dziejów. Popiersie Coysevox winno być powielone i rozpowszechnione w tysiącach egzemplarzy.

* * *

Wkońcu nadchodzi starość, chwila upadku fizycznego i duchowego, chwila oswojenia się z dopustami losu i klęskami, które sprowadzą koniec. Ludwik XIV jednakże umie im dać radę, zgnębić nie pozwoli się nigdy. Każe się zawsze

malować jako żołnierz, lub lepiej, jako wódz naczelny w pancerzu i kaftanie, z buławą w ręku. Lecz cóż, bezzębne usta już przywiędły, policzki wiszą jak obwisłe worki po obu stronach wygolonego podbródka, twarz króla przypomina bardzo w tym czasie Ludwika Filipa. Wydaje się nawet że nabrał tuszy, on, zazwyczaj tak śmigły i elastyczny w każdym ruchu.

Jeden ze szkiców, pomieszczonych na wspomnianej już wystawie retrospektywnej, wyobraża króla takim, jakim bywał u schyłku życia; rysunek szczery, prawie bez upiększeń, nakazanych przez urzędową idealizację. Kompozycja przedstawia chwilę zaślubin księcia burgundzkiego. Dostojny dziadek młodego oblubieńca stoi na pierwszym planie. Twarz rozjaśniona niby u młodego szlagona lub wieśniaka z Normandji, obfity brzuszek błyszczy i polśniewa złotościami i szamerunkiem pięknego ubioru. Uważamy, że król jegomość przytył i stał się ociężały z nadmiaru jedzenia, a częste kongestje krwi do głowy rozczerwieniły mu twarz. Nieustające prawie polowania, codzienne przechadzki lub przejażdżki na świeżem powietrzu sprowadziły bladość i drętwiznę żywej dotąd cery. Z boku przystanęła „Madame", w uroczystej szacie dworskiej, niezawodnie najbardziej królewska postać z całego orszaku. Wyniośle napuszona, bo jest księżniczką niemiecką, pychą swą wypełniła całą postać aż po dziurki w nosie i z wyżyn swej tualety patrzy na całe otoczenie z pogardą i wstrętem.

Tamten rubaszny prawie Ludwik odcina się ostro, już na pierwszy rzut oka, od majestatycznej postaci monarchy w ornacie koronacyjnym, jak ją ujął Rigaud w tym samym mniej więcej czasie! A wszakże to jeden i ten sam człowiek: policzki obwisłe, otyła kibić, której się raczej domyślamy, niż widzimy wpośród ciężkich draperyj płaszcza haftowanego liljami, ta sama wreszcie hoża cera myśliwego, złagodzona atoli pendzlem przychlebnego artysty. A jeszcze jest w tym wielkiej miary portrecie coś, czego brakło w innych, opisywanych dotychczas. Król radby w nim okazać się przyjemnym, stara się o uśmiech, jakkolwiek zmarszczki wokół ust i nosa, oraz bolesne prawie spojrzenie zdradzają gorycz i rozczarowanie, owoc długich lat życia i rządów. Tu gorycz doprowadzona jest do szczytu. Mimo to król Francji

wytrwa do ostatka. Naprzekór wszystkim cierpieniom, naprzekór klęskom poniesionym pragnie zachować dobrą formę do końca. Starzec prostuje się i trzyma wytwornie, niczem młody człowiek. Jakże szlachetnie i bez śladu wymuszenia wychodzi naprzeciw nas, z ręką na biodrach, wysunąwszy trochę naprzód swą elegancką nogę tancerza, jakgdyby miał rozpocząć kroki kuranta albo jakiegoś innego tańca. Królowi nie wolno być smutnym, nie ma prawa do tego. Winien być rozdawcą wesołości, przodownikiem i mistrzem uciechy, zabaw, dowcipów...

Milszy wydaje się nam wreszcie w innem, bardziej intymnem a równocześnie wzruszającem ujęciu, na które chciałbym szczególnie zwrócić uwagę czytelnika. Jest to odcisk woskowy oblicza starego króla z czasów, kiedy stawił czoło koalicji państw całej Europy, sędziwy już małżonek pani de Maintenon, twarz jego bezkrwista prawie, kostropata, broda źle ogolona. To Antoni Benoist sportretował monarchę tak bezlitośnie; jakgdyby mgła przesłoniła mu oczy, wargi zbielałe, dosłownie krwi pozbawione, jako że skrupulatni felczerzy zdołali mu ciągłemi zabiegami upuścić jej do sytości. Ale zawsze jeszcze głowa trzyma się mocno na karku i dumnie spoziera naokół. Podagra gnębi bez pamięci tego człowieka, który poruszać się może chyba o lasce lub na kulach, nogi obolałe i zniekształcone odziewa w wielkie filcowe pantofle, musi zrezygnować z jazdy konnej, wożą go na wózeczku, jakby kalekę. Takim widzimy króla na nieznanym dotąd portrecie, przechowywanym w Fontainebleau u wejścia do komnat Napoleona. Ileż godności tkwi jeszcze w tej żywej ruinie, i jaka żądza potęgi! W głębi czerwono wybitej karocy, ciągnionej przez cztery konie, siedzi sędziwy monarcha w kapeluszu z piórami na głowie, z orderem Ducha Świętego na niebieskiej wstędze na piersiach. W białych rękawiczkach trzyma czerwone cugle, ponieważ sam powozi. Z przodu na małym, czerwono wybitym koźle lekkiego wehikułu usiadł młody stangret, który pochwyci lejce, gdy króla nękać zacznie podagra. Na czele na jednym z pierwszych koni siedzi piętnastoletni pajuk, — i jadą w gęstwę lasów Fontainebleau, czy Marly, gdzie w samotności i w półcieniu leśnym, wpośród ożywczych

zapachów puszczy będzie można choć trochę zapomnieć o wojnach i oblężeniach, o całem utrapieniu dnia dzisiejszego.

Jakżeśmy daleko odbiegli od słonecznego boga, który istniał ongi, i od pięknego Apolla, który ognistemi rumakami niebios wjeżdżał w szalonym galopie przez otwarte naścieżaj wrota Jutrzenki. A mimo wszystko: ileż „dżentilezzy" jest u tego starego pana w białych rękawiczkach, który w głębi małego powoziku zachowuje tak dumną postawę! I tu jest obraz symboliczny ze schyłku jego rządów. Francja może tam sobie chorować, król panuje zawsze.

ROZDZIAŁ DRUGI

„CUI NON RISERE PARENTES"

Zdaniem wielu ludzi ówczesnych był syn Ludwika XIII i Anny Austrjaczki księciem poważnym, statecznym, a nawet „surowym". Opinja podobna zdumiewa tem więcej, że przyzwyczailiśmy się do oszczerstwa pamflecistów i do tyrady historyków ubiegłego wieku, którzy przedstawiali życie Ludwika XIV jako jeden nieprzerwany łańcuch rozpustnych wykroczeń. Legenda zwykła go najchętniej widywać w ramionach pań, jakiejś La Vallière, czy Montespan. W istocie był to jeden z najbardziej poważnych i ustatkowanych ludzi. Pozatem miał w sobie wiele powabu i ujmującej dobroci, nawet dobrotliwości, grzeczny był niezwykle, w znalezieniu się i formach bardzo wytworny. Brakło królowi może jednej zalety: nie umiał się uśmiechać. Winę tego ponosiły zapewne pierwsze lata dzieciństwa, kiedy to ani jedna uśmiechnięta twarz i żadne przyjazne spojrzenie nie pochyliło się nad jego kołyską. W smutku i opuszczeniu mijały lata dziecka, podobnie nieszczęśliwego, jak owa dziecina u Wergilego, do której nigdy nie uśmiechnęli się rodzice.

Ojciec i matka nie cierpieli się wzajemnie, a w każdym razie, nie mogąc się pogodzić, żyli w odosobnieniu. Straszną było to rzeczą dla dziecka, które od urodzenia czuło odrazu nienawiść, rozrastającą się w domu rodzicielskim o wiele silniej, niż jego malutkie i wątłe życie. Od kolebki znalazł się w atmosferze zwady i gniewu, jak mały ptak, pochwycony i miotany przez burzę. Gdy po dwudziestoletniem bezpłodnem małżeństwie w dniu 5 września 1638 matka powiła tego pierworodnego syna, naród uważał to za cud.

A trzeba było prawdziwego sprzysiężenia z udziałem zakonnic, mnichów, spowiednika i przyjaciółki królewskiej, aby doprowadzić między małżonkami do zbliżenia, które mogłoby usprawiedliwić te narodziny. Nareszcie, przyszedł na świat! Był owocem cudu, prawdziwym darem Bożym dla dynastji francuskiej. Dlatego nazwano go Ludwik-Bożydar *(Louis-Dieudonné)*. Anna Austrjaczka kazała z wdzięczności wystawić kościół Val-de-Grâce, zdobny w haftowane girlandy i kwiaty lilji, z błyszczącemi naczyniami i posągami w powietrzu, z jasno-malwową kopułą, w której lśniło złote zachodzące słońce, a napis na frontonie portalu obwieszczał: *JESU NASCENTI VIRGINIQUE MATRI*. Ludziom współczesnym, coprawda, mógł się ten napis wydać obrzydliwą ironją.

Chory i bliski śmierci ojciec prawie nie zwracał uwagi na noworodka. Podobno pochlebiał mu fakt, że doczekał się wreszcie potomka, cieszył się z tego widocznie, lecz z drugiej strony haniebne dla Anny Austrjaczki podejrzenia zatruwały mu radość ojcowską. Gdy na krótko przed śmiercią przyniesiono mu syna do łóżka, zapytał go, jak się nazywa: „Ludwik XIV“, odpowiedział smyk bez namysłu, pouczony niewątpliwie przez otoczenie. „No jeszcze nim nie jesteś“, westchnął król i odwrócił się z goryczą. A czy był on istotnie ojcem tego dziecka? Próbowano temu zaprzeczyć, czyniąc z urodzin delfina zagadkę historyczną. Już za życia Anny Austrjaczki wymieniano rozmaite nazwiska i puszczano w obieg pamflety. Trwało to przez cały czas rządów Ludwika XIV. Antyfrancuska oficyna Piotra Marteau w Kolonji ogłosiła broszurę: *Les Amours d'Anne d'Autriche avec Monsieur le C. D. R. (le comte de la Rivière), le véritable père de Louis XIV aujourd'hui roi de France; ou l'on voit comment on s'y prit pour donner un héritier à la couronne*... itd. Jest to płaskie piśmidło, pełne ordynarnych wyzwisk, w którem co słowo to fałsz. Mazarini, którego często podejrzewano o ojcostwo, nie wchodzi wogóle w rachubę, gdyż w chwili przyjścia na świat Ludwika-Bożydara bawił powtórnie od dwóch lat w Rzymie. Wystarczy zresztą porównać uważnie portrety ojca i syna, a dojdziemy do przekonania, że Ludwik XIV podobny był zarówno do

ojca swego jak do matki. W całym szeregu drobiazgów rzuca się w oczy dziedziczność rysów.

Wykazywano nieraz, jak wielkiem było szczęście matki, gdy się wreszcie doczekała potomka. To jasne, gdyż od tego czasu nie mógł król, jak się nieraz odgrażał, odepchnąć jej z racji bezpłodności. I też po śmierci małżonka nie dałoby się jej odesłać w ubliżający sposób do Hiszpanji. A ileż łez i umartwień kosztowało to dziecko, „wyproszone modlitwami“, ile próśb błagalnych i wotów i pielgrzymek pobożnych! Ileż kolan wyklęczała bezpłodna królowa przed ołtarzami Matki Boskiej, żebrząc o łaskę poczęcia i u Notre-Dame w Paryżu i u Notre-Dame w Liesse i u Notre-Dame w Chartres. A kiedy nareszcie zaszła w ciążę, zawsze jeszcze stała pod obuchem straszliwej sceny, która miała miejsce poprzedniego lata w dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej w klasztorze w Val-de-Grâce. Oskarżoną przez Richelieu'go o zdradę Francji na rzecz swego brata, króla hiszpańskiego, potraktowano królową jako obwinioną i przesłuchiwano wraz z zakonnicami, podejrzanemi o współudział. Kanclerz Séguier ośmielił się nawet poddać królową rewizji osobistej, jako szpiega. Później, w dwa dni po rozwiązaniu, nadeszla wieść o klęsce wojsk francuskich. Ks. Kondeusz, pobity pod Fontarabią, zmuszony był odstąpić od oblężenia, zaś dwa lata przedtem zdobycie Korbji przez wojska hiszpańskie i marsz infanta na Paryż wznieciły popłoch w stolicy. Proszę zważyć, czy wobec tego królowa hiszpańskiego pochodzenia, pomawiana nadto nie bez słuszności o kontakt z nieprzyjacielem, mogła być w podobnych okolicznościach dobrej myśli?

A wkońcu, po upływie lat czterech, przeniósł się do wieczności Ludwik XIII, w ślad za swym ministrem de Richelieu. Anna, uwolniona wreszcie od obu wrogów i stróżów straszliwych, staje się regentką i absolutną władczynią królestwa i może teraz wziąć odpłatę za długie lata niewoli, w jakiej żyła. „Posiadała w wysokim stopniu kokieterję swego szczepu“ powiada kardynał de Retz. A przedewszystkiem pożądała miłości. Z uciśnionej królowej, zmuszonej dotychczas do życia w odosobnieniu klasztornem, zmienia się w egzaltowaną miłośnicę. Zakochała się ponad wszelką wątpli-

wość namiętnie w Mazarinim, owym urodziwym Włochu, który z kapitana piechoty został dyplomatą i księciem Kościoła, a którego mąż królowej zamianował w swym testamencie jej pierwszym ministrem. Była to szalona miłość kobiety czterdziestoletniej, miłość tem gwałtowniejsza, że się z nią kryć wypadało. Bo jedno przyznać trzeba obojgu kochankom: uważali na pozory i zachowywali ścisłą tajemnicę swego związku. Gdyby nie złe języki i fala oszczerstw, nie dowiedzielibyśmy się niczego. Królowa miała w Mazarinim nietylko wiernego i na wszystko gotowego kochanka, był on również opiekunem jej dziecka, bronił tronu a może i życia obojga. Jeśli się zważy niebezpieczeństwa, grożące wdowie z dwojgiem dzieci, czyż wówczas też weźmiemy jej za złe, że z takiem zaufaniem przylgnęła do oddanego jej serca, chroniąc się w najcięższych terminach pod tą opiekę? Raz jeszcze trzeba powiedzieć, że miłowała pięknego cudzoziemca z całej duszy, świadczą o tem chociażby liczne jej listy. A czy kochała go ponad swego syna? Zdaje się, że tak. Pragnąc mieć zawsze Mazariniego wpobliżu, urządziła mu mieszkanie niedaleko, w Palais Royal. Ilekroć wyjechał, zasypywała go listami, latała po kościołach i klasztorach, przebywając na dewocji w ukochanym konwencie Val-de-Grâce, gdyż nie trudno jej było, jako prawdziwej Hiszpance, połączyć galanterję z pobożnością. Stroiła się, pielęgnując swoje wspaniałe ręce, przedmiot dumy największej, i zdobiąc je dla uwydatnienia w kosztowne rękawiczki, woniejące ambrą i piżmem, które kardynał dla niej specjalnie sprowadzał z Hiszpanji wraz z portugalskiemi pomarańczami. Ilekroć nadeszły lepsze czasy i stół królewski mógł być lepiej zastawiony, zasiadała do smakowitych uczt w gronie swych towarzyszek, gdyż jadać lubiła dobrze. Pociąg do łakotek i wrodzone lenistwo sprawiły, że roztyła się bardzo szybko. Zuchwały de Retz opowiada, że w czasie Frondy wyglądała, jak „spaśna Szwajcarzyca". Rysów nabrała nalanych, a cera jej dotąd *in floribus*, przepadła zupełnie. Lecz zachowała przynajmniej owe małe rączki, rączki, zdaniem pani de Motteville, „jakby stworzone na to, by dawać uciechę oczom, trzymać berło i odbierać hołdy" — rączki, w obliczu których należało zawsze wpadać w

ekstazę, udaną choćby, jeśli się chciało zyskać względy królowej.

* * *

Zdala od matki, zalotnej miłośnicy, dorastał w opuszczeniu Ludwik-Bożydar wraz młodszym odeń o dwa lata bratem Filipem, delikatniejszym, ale też bardziej wątłym od Ludwika, który odznaczał się nieporównanie silniejszą konstytucją. Bezimienny komentator książki wydanej w Amsterdamie u Bernarda w r. 1720 pt. *Mémoires de Brienne* zapisuje taki szczegół charakterystyczny: „Ludwik urodził się z zębami, podobnie jak Herkules. Wiele rozprawiano na ten temat, a słynny później Grotius, który bawił wówczas we Francji, napisał z tego powodu list do swych władców...“ Zdaje się jednak, że gadka ta powstała później, aby wytłumaczyć dobry apetyt żarłoka, a przedewszystkiem uzasadnić chciwość zdobywcy. Współcześni pamfleciści malują go w barwach dzieciożercy, zjadającego swych sąsiadów. W każdym razie wiadomo, że te zęby przedwczesne były zepsute, natyle jednak mocne, aby kąsać pierś mamki. Ludwik XIV, podobnie jak Gargantua, gryzł swoje karmicielki, a miał ich blisko dziesięć. Rzecz naturalna, że ten dobry apetyt pozostawał w związku z temperamentem. Wspomniany komentator książki Brienne'a dodaje jeszcze: „Już zda się bardzo wcześnie zaczął Ludwik XIV interesować się płcią piękną. Mówią, że, gdy liczył cztery czy też pięć lat życia, Anna Austrjaczka kazała mu postawić horoskop; astrolog zapragnął obejrzeć dziecko w zupełnej nagości, poczem oświadczył odrazu, że ten książę będzie miał wielki pociąg do miłości. Wówczas zastosowano doń ten wiersz klasyczny: *Mars ad opus Veneris, Martis ad arma Venus.* Oto jest Mars dla Wenery i oto Wenus na użytek broni Marsa“.

Długi czas przyszły heros, okazujący wszystkie znamiona bohaterstwa, przetrwał w drętwocie ducha i inteligencji. Brakło mu zgoła tej porywczości usposobienia i tych wesołych kawałów, któremi brat jego Filip rozśmieszał matkę i damy dworu. *Le petit Monsieur*, jak go nazywano, był bożyszczem dworu, gdy natomiast senne usposobienie delfina odstraszało ludzi, nie obiecując nic dobrego na przy-

szłość. Primi Visconti mówi o tem bez obsłonek: „Gdy król był dzieckiem, Francuzi uważali go za idjotę, a ceniąc tylko żywe usposobienie u dzieci, sądzili, że *Monsieur* doprowadzi dalej od niego“. I oto wiekuisty błąd rodziców i nauczycieli, którzy mylą się, mieszając inteligencję z mimetyzmem, z umiejętnością przymilenia się, ze sprytem i zręcznością. Znakomici ich wychowankowie okazują się jakże często skorupą bez treści. Biegacze, którzy najwcześniej rano wstali, mają już dość po pierwszem okrążeniu, inni natomiast, prawdziwe majstry i syny królewskie, potrzebują więcej czasu, aby się w pełni rozwinąć. Jak u wielkich zwierząt, tak i u nich brzemienność trwa dłużej, a ludzie przeciętni mylą się stale w tym względzie, nie domyślając się zgoła, co dzieje się pod sklepieniem czoła, przeznaczonego do noszenia korony. Flaubert powiada gdzieś, że wielkie dzieła sztuki mają na pierwsze wejrzenie minę głupią, jak wielkie widoki i wielkie dzieła natury. I niewiele chyba przesadził.

W ósmym czy dziewiątym roku życia począł Ludwik-Bożydar otrząsać się zwolna ze stanu drętwoty. Książę de Vendôme posiada wpośród swych pamiątek rodzinnych portret małego delfina z tego właśnie czasu: urocze, niezwykle rasowe dziecko nie ujawnia wszelako cech „idjoty“. Duże, łagodne, pieściwe oczy, uśmiech naiwny, słowem dobry chłopiec, równie mądry i grzeczny, jak arystokratyczny. Jakaś serdeczna czułość bije przedewszystkiem z tego wizerunku. „Gdy ojciec delfina leżał na śmiertelnem łożu — słowa kamerdynera Dubois — odźwierny straży pałacowej zapytał delfina: — Jeżeli Pan Bóg powoła króla do siebie, czy chciałbyś, Monseigneur, zająć jego miejsce i sprawować rządy? — Dziecko rozbeczało się i odrzekło: — Nie, nie chcę tego, ja nie chcę, by tatuś umarł. Jeśli tak się stanie, rzucę się do grobu“. Typowa odpowiedź chłopca dobrze ułożonego, którym się szczycili wychowawcy, w każdym jednak razie delikatność młodego delfina zyskała wiele pochwał w oczach ludzi współczesnych. Gdy się przygotowywał do pierwszej komunji, spowiednik jego, ojciec Paulin, pisał do superjora jezuitów w Rzymie: „Nie znam owieczki bardziej uległej i bardziej powolnej od naszego

króla“. Również pani de Motteville, która go zresztą nigdy nie lubiła, podziwia łagodność, cierpliwość i uprzejmość chłopaka, gdy mając lat dziewięć, zachorował na ospę. „Rozmawiał ogromnie przyjaźnie z tymi, co go pielęgnowali, i wywdzięczał się, spełniając ulegle wszystko, czego żądali lekarze.“ Ani krzty dumy, ani trochę buty, czy zarozumiałości. Jak wszystkie dzieci pozbawione miłości rodzicielskiej, przeniósł swe uczucie na służących. Całował swego kamerdynera La Porte'a, który pisze: „Idąc spać, prosił zawsze, abym położył głowę przy nim na poduszce. A gdy się potem przebudził w nocy, przybiegał i kładł się przy mnie, tak, że uśpionego zpowrotem, musiałem często odnosić do łóżka.“

Ten zupełny brak wyniosłości niepokoił szczególnie ludzi źle usposobionych dla kardynała. Utrzymywano, że kardynał rozmyślnie tak rozdomowił chłopca. Mówiono powszechnie, że król jest zbyt pokorny i uległy, nad miarę dobroduszny i nie ma pojęcia o postawie, jaka mu przystoi. Jak sam opowiadał później pani de Maintenon, jedynem towarzystwem w latach dzieciństwa były dlań służące i dwórki królowej, chociaż „odmawiały mu uszanowania“. Jest to niewątpliwie wspomnienie upokorzenia, jakiego doznawał przyszły autokrata, gdy przechodząc, musiał zdejmować kapelusz przed lada dziewczyną pokojową. Pani de Maintenon dodaje ponadto: „Stałą towarzyszką jego zabaw była wnuczka pokojówki damy dworu królowej. Nazywał ją „królową Marją“, gdyż w czasie zabaw musiała stale grać królową, on zaś pełnił zawsze obowiązki jej pazia lub lokaja, dźwigał za nią ogon sukni, woził na krześle po pokoju, lub nosił lichtarz przed królową...“ La Porte, który nie cierpiał kardynała, sądzi, że wyzyskując uległość małego króla, wychowywano go w nastroju pokory, zgoła nielicującej z jego stanowiskiem. Gdy więc zauważył, że król w czasie zabaw garnie się zwykle do roli służącego, postanowił dać mu nauczkę; chcąc zawstydzić młodego władcę, usiadł raz na jego fotelu i włożył kapelusz na głowę. Chłopak pobiegł natychmiast ze skargą do królowej. Wówczas odparł La Porte: „Ponieważ król spełnia obowiązki kamerdynera, wypada, abym ja go zastąpił“. Oto scena dziwna zaiste!

Człowiek, przed którym drżeć wkrótce będzie cała Europa, który wyrośnie na władcę, jakiego świat nie widział, daje się teraz poniżać z ochotą. Monarcha, słynny z wyniosłości, bierze teraz od swego kamerdynera lekcje postawy i zachowania królewskiego!

A nie jest to tylko zwyczajny kaprys chłopięcy, albo też żart młodego panicza, którego bawi chwilowe zapanbrat z hołotą. Bo w gruncie Ludwik-Dieudonné był usposobienia nawskroś spokojnego i łagodnego — lękał się zrobić komuś przykrość, czy krzywdę lub przyczynić się do ludzkiej szkody. Wierny jego służący La Porte opowiada znamienną na ten temat anegdotę: Gdy pewnego dnia w Compiègne wszedł książę Kondeusz do gabinetu króla, aby stamtąd udać się do Jego Eminencji, król powstał na powitanie, obaj rozmawiali czas jakiś przy kominku, przyczem król stał z głową odkrytą... Zwróciłem się do pierwwszego ochmistrza dworu, nadmieniając, że należałoby głowę nakryć, lecz ten nie odrzekł nic. Zwróciłem się zkolei do drugiego ochmistrza, ale i ten również nie miał śmiałości. Wobec tego przystępuję sam do króla i mówię bardzo cicho, aby nakrył głowę. Usłyszał to książę Kondeusz i powiedział: „La Porte ma rację, Najjaśniejszy Panie. Istotnie należy włożyć kapelusz, już dość zaszczytu dla nas, że Najjaśniejszy Pan raczył nas pozdrowić." A ten sam chłopak, w cztery dni po śmierci swego ojca, w czasie wielkiej rozprawy sądowej w parlamencie ujrzy u swych stóp głównego prokuratora Omera Talon, który w czerwonej todze uklęknie u jego stóp i przemówi w te słowa: „Tron Twój, Najjaśniejszy Panie, jest dla nas jakby tronem Boga żyjącego. Stany królestwa składają Ci hołd i cześć powinną bóstwu widomemu." Młody król nietylko nie przejął się zbytnio temi określeniami, lecz jako chłopak dobrze ułożony, czy jak pierwszy z brzegu członek jego dworu, nie ważył się nakryć głowy w obliczu tylu wybitnych osobistości.

La Porte z nienawiści do kardynała zapewne przesadził trochę w opisie tej uległości. W każdym bądź razie, uległość prawdziwa, czy zmyślona budziła odrazę w lokaju. Starał się tedy uprzedzić chłopaka do jego opiekuna, i on też niewątpliwie podszepnął mu powiedzenie następujące: „Gdy

pewnego dnia w Compiègne kardynał wszedł z licznym orszakiem na taras, król odezwał się: „Patrzcie, idzie sułtan turecki!“ A gdy królowa chciała się dowiedzieć koniecznie, kto go tego nauczył, chłopak nie chciał się przyznać, raz mówił, że ten człowiek był rudy, innym razem, że blondyn... Skłamał tedy, aby nie zdradzić przyjaciela. A przytem brakło mu ludzi życzliwych, którymby mógł zaufać. Był tylko zabawką w ich ręku. Istniała cała partja u dworu, dążąca jedynie do tego, aby księcia nastroić przeciw Mazariniemu, natchnąć go odrazą do prezesa ministrów wogóle, a szczególnie do ministrów pochodzących ze stanu kapłańskiego. Już dawno umarł Richelieu, a wciąż jeszcze przeklinano jego pamięć jako obrońcy, a nawet poniekąd odkrywcy Mazariniego. Ochmistrzyni młodego króla, pani de Sénecey, zauważyszy pewnego dnia w Chaillot portret Richelieu'go, zawołała: „To jest ten pies!“ A król szybko dodał: „Dajcie mi łuk, a strzelę do niego“. Awersja Ludwika XIV do ministrów-kardynałów pochodziła jeszcze z lat dziecinnych i miała trwać przez całe życie. Często później ilekroć ważna sprawa przychodziła pod obrady, król zwykł żartować: „Oto Colbert, który nam powie z pewnością: „Wielki kardynał Richelieu, Najjaśniejszy Panie...“ Mazarini wiedział o wszystkiem od swoich szpiegów, jakoże otoczył swego pupila strażą nieustanną. Lecz gdyby go znał lepiej, zrozumiałby, że z tej strony nie groziło mu nic złego. Gdyż na to dziecko, przeznaczone już zgóry do królowania, nikt nie miał wpływu. Delikatnym instynktem przyszłego władcy wyczuł odrazu, jaka zgraja wrogów i uległych kreatur otacza go. Czekał tedy, aż dorośnie i okaże swą siłę. Narazie zaczaił się i milczał. Albowiem posiadał już ową, dziedziczną sztukę udawania, zbawienną i płodną, sztukę, która należy do największych cnót królewskich.

* * *

I oto dlaczego Ludwik-Bożydar w oczach zarówno matki i jej kochanka, jako i całego dworu uchodził za beznadziejnego wałkonia, niepozbawionego zresztą cech, zwyczajnych dzieciom w tym wieku. Pasjami lubił np. bawić się w wojsko. Możnaby rzec, że w tem dziecku Francji tkwiły już z przy-

rodzenia instynkty żołnierskie, rozwijane i pielęgnowane od kołyski. Nosił jeszcze podbródek pod szyją, a już dodano mu do boku kompanję honorową, złożoną z towarzyszy zabaw dziecinnych. Należeli do niej obaj synkowie hrabiego de Brienne, oraz młody Vivonne, syn księcia de Mortemart. Kompanja, zorganizowana wojskowo, stała pod rozkazami jednej z dam dworu królowej Anny, pani de Lasalle, która nosiła w tym celu specjalny mundur generalski z ryngrafem, kapelusz z czarnemi piórami i miecz u boku. W takim kostjumie mustrowała pani de Lasalle gromadkę dzieci, uzbrojonych w piki, i kazała im defilować, *tambour battant.* W kilka lat później ku wielkiej radości delfina i jego brata zbudowano minjaturowy fort w ogrodzie Palais-Royal, a przyszły zdobywca miast tak się nieraz gorączkował przy zdobywaniu tej dziecinnej cytadeli, że kilkakrotnie zaniemógł poważnie. Ponadto chętnie strzelał z muszkietu, jeździł konno i powoził, siedząc na koźle karocy. Z równym zapałem harcował na polu, gdzie było dość miejsca, aby się wyszumieć, najmilej tedy działo się w Saint-Germain, w Compiègne i Fontainebleau. I oto rys usposobienia Ludwika XIV, który przez całe życie kochał przyrodę i na jej łonie czuł się prawdziwie dobrze, tak dalece, że później lalusie dworscy szeptać będą nieraz za jego plecami: „Król jest przedewszystkiem hreczkosiejem ze wsi.“

Na lato dwór wyjeżdżał zazwyczaj do Fontainebleau. Godzinami można tam było obcować z lasem, kąpać się w Sekwanie. Pani de Motteville przekazała krótką wiadomość o tych kąpielach w gronie rodziny: „Król, dziecko jeszcze, kąpał się również, podobnie jak jego ochmistrz, marszałek Villeroy, który go nigdy nie opuszczał. Królowa i ci wszyscy, co mieli zaszczyt jej towarzyszyć, wkładali zazwyczaj szare koszule płócienne, sięgające aż do kostek. Villeroy nosił również taką, a przeto nic nie narażało przyzwoitości na szwank.“ Czy widzicie tę scenę? Pan marszałek w szarej koszuli płóciennej po kostki i jego pupil, podobnie dziwacznie przyodziany, pluskają się arcy-cnotliwie w falach Sekwany w towarzystwie królowej i dam dworu, spowitych również na szaro aż po szyję! Prawdziwy obraz starej Francji...

Już z owego upodobania w ćwiczeniach cielesnych widać, jak dzielny człowiek dorastał w małym delfinie. Lecz żar porywczego temperamentu łączył się tu z przywarami, z wielkiemi nawet przywarami. Miały one zniknąć zczasem, a to dzięki wytrwałej pracy nad sobą i surowej dyscyplinie wewnętrznej. Dziecko spokojne i łagodne z natury nie miało bynajmniej skłonności do gniewu. Gdy go jednak ktoś rozdrażnił do ostateczności, wpadał w szał, dostawał ataków wściekłości tak bardzo wyczerpujących, że zziajany drżał potem długo na całem ciele. La Porte opisuje zabawną przygodę. Nie mogąc sobie odmówić przyjemności jej powtórzenia, przepraszam najserdeczniej skromnego czytelnika dzisiejszego. Działo się to za czasów Frondy, w r. 1652, gdy król nie miał jeszcze lat czternastu. „Z Montereau udaliśmy się — słowa kamerdynera — do Corbeil. Król zażądał stanowczo, aby Monsieur spał w jego sypialni, która jednak była tak mała, że ledwo jedna osoba mogła się pomieścić. Rankiem, gdy się obaj przebudzili, król, niechcący, splunął na łóżko Monsieur. Ten odwzajemniając się, natychmiast opluł łóżko króla, który znowuż zirytowany napluł bratu w twarz. Monsieur wskoczył zkolei na łóżko króla i ze złości nasiusiał mu w nie. Ludwik bezzwłocznie uczynił to samo w łóżku brata. A gdy już nie stało śliny ani moczu, pościągali prześcieradla i zaczęli się prać wzajemnie. Robiłem wszystko możliwe, aby króla uspokoić, a gdy mi się nie udało, pobiegłem po pana de Villeroy, który wreszcie położył koniec bijatyce. Monsieur rozjątrzył się wprawdzie szybciej od króla, natomiast o wiele trudniej udało nam się uspokoić króla niż brata.“ Cechy te, a więc upór, wytrwałość, powolne zapalanie się — znajdziemy i w usposobieniu dojrzałego już króla. Wszystko brał na serjo, nawet głupstwa. Całem sercem oddawał się im, niech kosztuje co chce, jak to mówią, *jusqu'à la corde.* I niktby go wówczas nie powstrzymał. Razu pewnego wyprawiał takie dzikie kozły w łóżku, że wypadł, uderzył głową o jakiś kant i omal się nie zabił. Indziej, w ogrodzie Palais-Royal tak się rozochocił w czasie ataku na twierdzę, że stanął cały w potach. Wtem dają znać, że królowa udaje się do kąpieli. „Pobiegł natychmiast do matki i chciał się kąpać

również — opowiada nieoceniony La Porte — lecz gdy mi rozkazał, abym go rozebrał, odmówiłem. Więc malec w prośby do królowej, która mu oprzeć się nie mogła.“ Mimo to kamerdyner obstawał przy swojem, widząc w jakim stanie królewicz się znajduje. I trzeba było dopiero użyć interwencji lekarza, aby spocone jak mysz dziecko, odwieść od zamiaru kąpieli.

Kaprysy owe były już wówczas objawem woli nieugiętej. Chłopak tak rozsądny, ulegał czasami istnym atakom krnąbrności, a wówczas bez rózgi niesposób było doprowadzić go do upamiętania. Bijany bywał, coprawda, rzadko, jako posłuszny z natury i łagodny, raz jednak w Amiens, gdzie udał się wraz z matką, rózga była w robocie. Chodziło o włożenie wstążki, u której zwisał mały krzyżyk z relikwiami. Gdy odmówił, królowa, cała czerwona z irytacji, powiedziała: „A więc ja ci pokażę, że nie masz tu żadnej władzy, tylko ja. Już dawno nie brałeś batów. Zobaczysz, że w Amiens równie łatwo dostać w skórę, jak w Paryżu.“ Lecz nie trzeba było uciekać się aż do tak gwałtownych i upokarzających środków. Ludwik był na to zbyt rozsądny i zbyt ambitny, aby go tak upokarzać. „Zawsze zwyciężał w nim rozsądek“ — opowiada La Porte, obserwujący króla przez cały czas dzieciństwa. Zwycięstwo rozsądku — jakaż to piękna zaleta u przyszłego króla Francji! Zobaczymy jak będzie rosła i rozwijała się wspaniale w ciągu lat.

Wszelako to dziecko poważne i rozsądne nie czyni bynajmniej wrażenia smutnego czy ponurego. Chociaż nie tak żywy, jak brat jego Filip, miał przecie Ludwik wyraz bardzo miły i dużo wdzięku w całej swej postawie. Lud Paryża zachwycał się nim i z dumą spoglądał, gdy król przejeżdżał konno ulicami stolicy. W tym czasie włosy miał bardzo jasne, złote, prawie austro-blond włosy, które pozwalały przeczuwać przyszłego „Króla Słońce“. Nosił przytem suknię złoto- i srebrno-haftowaną, kapelusz z białemi piórami i jeździł na małym, białym koniu, który miał w grzywie wstęgi płomieniste... W czasie wielkiego tygodnia w r. 1647 towarzyszył Mazariniemu w drodze do klasztoru karmelitanek na Faubourg Saint-Jacques, gdzie kardynał uczestniczył w obrzędzie Ciemnej Jutrzni. Przez

kraty klasztoru oglądał go lud biegającego wśród chóru, dmuchającego na świece i — dodaje opowiadająca o tem pani de Motteville — „zachowującego się, jak zawsze w takich wypadkach dziecko, które lubi się bawić“. I znowu mamy uroczy obrazek: młodziutki motylek królewski w pięknej, złotem haftowanej sukni polata tam i sam wpośród płomyków gorejących świec. Jak to dobrze, zanim przyjdzie godzina apoteozy, rzucić jeszcze okiem na prześliczną sylwetkę młodzieńca i, zanim poznamy Ludwika Wielkiego, przyjrzeć się temu najpierw, którego lud paryski nazywał swoim małym Ludwikiem.

* * *

Rozbawione dziecko myślało już jednak o wielu rzeczach, a ci co go dobrze znali, uważali to za dobrą wróżbę na przyszłość. Przepych u dworu, raz mniej raz bardziej wystawny, nie olśniewał go bynajmniej. Dostrzegał snać lub domyślał się, co kryło się w jego wnętrzu. Czyż nie miały go martwić i przerażać kłopoty i ta błyszcząca nędza, którą znosić wypadło jego matce zarówno z powodu ciężkich czasów jak też chciwości kardynała? W Luwrze czy w Palais-Royal nie zawsze można było najeść się dosyta. Smaczny, dobrze okraszony omlet wydawał się niespodzianym darem niebios. W czasie postu poprzestawano na mlecznej zacierce, a damy dworu musiały zadowalać się resztkami, które pozostawiała królowa, o ile coś wogóle pozostawiła na talerzu. Król z bratem sypiali na podartych prześcieradłach, u jedwabnych obić ich karet zwisały strzępy. Wszystko to czyniło żałosne wrażenie na dziecku, które miało wrodzony zmysł przepychu i wielkości. Najgorzej atoli ze wszystkiego odczuwać musiał, że serce jego matki należało do kogo innego. Zapewne nie domyślał się wtedy, jakiego rodzaju stosunki łączą ją z kardynałem. Czyż jednak trudno dowiedzieć się o wszystkiem na dworze, gdzie tylu ludzi czyha tylko na to, aby poróżnić matkę z synem, a króla podjudzić przeciw znienawidzonemu faworytowi!... Jeżeli nawet nie zamącono jego niewinności, to przecie myśleć musiał z zazdrością i ze smutkiem, że jego matka kocha kogo innego. I schował głęboko w sercu tę gorycz rozczarowania, najgorszego ze wszystkich rozczarowań

dziecka. Nie mówił nic, chowając się w skorupie milczenia, którą płoche dworaki uważały za tępotę lub ociężałość umysłową.

Kto jednak przyjrzał się mu bliżej, dostrzegał łatwo, ile dziwnych zagadek kryło się w zachowaniu chłopca. Mruk, nic zeń nie wydobędziesz, lecz umysł pracuje bez przerwy pyta tych do których ma zaufanie, bo wszystko go interesuje i o wszystkiem rad wiedzieć, nagle wpada w wesołość, radosny, bo dostrzega wlot rzeczy komiczne, a umie i lubi szydzić. Wydawało się to dość niesamowitem, a wierny La Porte zapisywał wszystko dokładnie. Głęboko na dnie duszy dziecięcej tkwi przecież niedocieczona tajemnica, nosić ją będzie i kryć w sobie przez cały wiek chłopięcy a też i za pierwszych lat młodzieńczych. I niesposób pomiędzy te ciemności wpuścić promień światła, zawsze będzie to mniej lub więcej prawdopodobne przypuszczenie. Wie o wszystkiem lub raczej domyśla się wszystkiego, a mimo to kocha dalej matkę. Dziwna to miłość, w której podziw miesza się wespół z uszanowaniem. Śmierć tej otyłej, gnuśnej i zmysłowej kobiety przyprawi go kiedyś o największą chyba boleść w życiu. Ale nigdy nie da poznać jej ani swej żarliwości ukrytej, ani urażonej miłości. Milczy, nie chce widzieć niczego, jakby go nie było. Można co najwyżej w tem dziwnem zachowaniu zauważyć dąsy samolubnego dzieciaka, który cierpi, widząc, że go zostawiono na boku i że nie wszystko od niego zależy.

Królowa zbyt była zajęta swoim ukochanym, aby miała zwracać jeszcze uwagę na tego rodzaju odcienie psychologji dziecka. Pozatem nie grzeszyła subtelnością. Nie przeszkadzało jej to, rzecz jasna, troszczyć się o syna, jakkolwiek czysto zewnętrznie i bardzo powierzchownie; dbała też o wychowanie i zdrowie dziecka, bez którego przecież byłaby niczem. Kardynał również, zajęty sprawami zarówno swojemi jak i państwowemi, nie zajmował się wiele młodym następcą tronu, który ujawnia tak mało inteligencji na zewnątrz, ponadto słaby jest i łatwy do powodowania. Miał zresztą na tyle przenikliwości, aby odczuć, że chłopak nie lubi go w głębi duszy, a on nad nim właśnie żadnej władzy nie ma. I tak jak wszystkich wprowadzała Mazariniego w błąd udana apatja młodego księcia, uspokajał się wówczas: „A zresztą, wszystko jedno, skoro jest taki głupi!...“



KRÓL JAKO DZIECKO NA KONIU

ROZDZIAŁ TRZECI

W KARBACH DYSCYPLINY

Nikomu na tem nie zależało, ani kardynałowi, ani królowej-matce, aby Ludwik pozostał głuptasem. Powtarzano zbyt często, w ślad za pamiętnikami Saint-Simon'a, że ten brak opieki nad jego rozwojem umysłowym był rozmyślny. Dopiero Lacour-Gayet w doskonałej pracy pt. *L'éducation politique de Louis XIV* położył koniec błędnym mniemaniom. Mazarini w rzeczywistości dążył tylko do tego, aby pod pozorem kształcenia nie rozbudzano w chłopcu idei buntu przeciw ministrowi. Dlatego nakazał czuwać gorliwie nad otoczeniem i wychowawcami swego przyszłego władcy, otoczywszy go strażą swoich kreatur i krewnych. Okoliczność ta nie pozwoliła zarówno jemu jak i królowej dostrzec, że trzebaby pomyśleć o rozbudzeniu chłopaka, który jest drętwy i śpiący. Czuli to nawet wybrani przez Mazariniego wychowawcy, czuli może nawet więcej, niż sam kardynał. I więcej, niźli życzył sobie, wpływali na uświadomienie dostojeństwa, obowiązków i odpowiedzialności królewicza. Pozatem istniał wszakże jeszcze naród — dumny z jego pierwszych zwycięstw nad Hiszpanją i Cesarstwem. Francja wlepiła oczy w delfina, przeczuwając w nim władcę, który okaże się godnym korony i wielkich nadziei narodu.

Dlatego, gdy mały Ludwik doszedł do lat, w których wychowaniem jego mieli się zająć nauczyciele — było to z początkiem roku 1646 — królowa-regentka uznała za stosowne zawiadomić Francuzów uroczyście w liście otwartym do księcia de Montbazon, że wychowanie ich króla zostało rozpoczęte. W tym celu stworzyła królowa urząd osobny „superintendanta kierującego wychowaniem i ułożeniem króla",

powierzywszy go „swemu kuzynowi kardynałowi Mazarini“. Równocześnie zorganizowano osobne ciało nauczycielskie, zajęte wyłącznie nauką młodego księcia.

Wielkim ochmistrzem został marszałek de Villeroy, w. ochmistrzynią markiza de Sénecey. Na czele stanął tytularny wychowawca ks. Hardouin de Beaumont de Péréfixe, który został później biskupem Rodezu, a wkońcu arcybiskupem Paryża. Pod jego rozkazy poddano superjora zakonu jezuitów w Paryżu, ojca Paulin'a, który łączył obowiązki spowiednika królewskiego z godnością asystenta przy tytularnym wychowawcy. Otrzymał król ponadto nauczycieli kaligrafji, rachunków, rysunków, języków obcych, lektora, lutnistę, nauczyciela gry na gitarze, wreszcie fechtmistrza, tancmistrza i nauczyciela jazdy konnej.

W któremż tedy kolegjum paryskiem znalazłby obfitszy plan nauk i lepszych nauczycieli? Widzimy wpośród nich superjora „wielkich jezuitów“ jak ich wówczas nazywano, o. Paulin'a z ulicy Saint-Antoine; był to w owym czasie nieprześcigniony pedagog w łonie tego zakonu. Pierwszego wychowawcę ks. Hardouin de Péréfixe nie nazwiemy wprawdzie Bossuet'em, ale zawsze głowę miał na karku i liczył się do cenionych pisarzy. Aby złagodzić nieco pobożny wpływ tych duchownych preceptorów przydano na jakiś czas Ludwikowi XIV sceptyka nazwiskiem La Mothe-Le-Vayer'a, który był epikurejczykiem i literatem rozmiłowanym szczególnie w literaturze XVI wieku. Mazarini, czuwając nad edukacją króla, uczynił to niezawodnie z rozmysłu. Przyglądając się bliżej planowi wychowania, zauważymy, że nie pominięto niczego z przedmiotów, które i dziś jeszcze tworzą całość edukacji, z wyjątkiem chyba jednej historji. Ale w tej epoce nie uczono jej w żadnem kolegjum. Mimo to Ludwik XIV, chociaż uskarżał się później, że nie nauczono go historji jego poprzedników, posiadał pobieżną jej znajomość już od lat najmłodszych. Hardouin de Péréfixe opracował dlań *Histoire du Roy Henry le Grand* i nieraz długo gawędził z młodzieńcem, nietylko o tym monarsze, lecz o całej historji Francji. Sporządził on, jak sam przyznaje, „specjalny wyciąg dla użytku Jego Królewskiej Mości, w którym król rozczytywał się z takiem zajęciem, iż trudno było uznać to

za rzecz bezużyteczną". Przedtem jeszcze kamerdyner La Porte za wiedzą Anny Austrjaczki czytywał codzień do poduszki małemu królowi ustęp z Mézeray'a *Histoire de France*, której autor był najwybitniejszym dziejopisem tych czasów. La Porte nadawał swym czytaniom „ton opowieści", aby nie odstręczać młodego słuchacza. „Zwracałem jego uwagę na królów występnych, chcąc natchnąć chłopca odrazą do występku, i na cnotliwych, aby go zachęcić do naśladowania. Królowa uznała ten sposób za bardzo właściwy, a młody król znajdował w tem przyjemność, obiecując, że stanie się podobny do najdzielniejszych ze swych poprzedników na tronie, a stale unosił się gniewem, gdy mu wspomniałem, że pragnie raczej zostać drugim Ludwikiem Gnuśnym." — Przywodzi nadto La Porte jeden szczegół dość ważny wobec przeciwnych twierdzeń Saint-Simon'a i jego zwolenników: „Pan de Beaumont, nauczyciel domowy J. Król. Mości, zadawał sobie wiele trudu, a mogę stwierdzić z całą pewnością, że w czasie wszystkich lekcyj, przy których byłem obecny, żadnego ze swych zadań nie zaniedbał." Temu świadkowi naocznemu należy się chyba więcej wiary, niż interesownym potwarcom.

* * *

Nieporozumienie, zachodzące w sprawie wychowania królewskiego, należałoby usunąć nasamprzód. Dzisiejsi wychowawcy nie mają prawie wyobrażenia, czem jest właściwie wychowanie monarchy. Oceniają oni Ludwika XIV miarą naszego gimnazjasty, a to jest przecie gruba omyłka. Podobnie jakbyśmy chcieli sposób jego życia mierzyć skalą życia prywatnego człowieka. Królowie mają swoją edukację i swoją moralność. Pedagogowie uwzględniają przedewszystkiem i wyłącznie ilość materjału, jaki uczeń musi pochłonąć. A Ludwikowi XIV zarzucają cóż? że nie był mądralą na pokaz, ani uczonym, ani artystą. Miał dosyć innych rzeczy do czynienia! Ujął to wybornie Hardouin de Péréfixe w „Przemowie do króla" umieszczonej na czele swej „Historji Henryka Wielkiego" w słowach następujących: „Godność królewska zasadza się prawie wyłącznie na uczynkach." Najważniejszą rzeczą u króla to umieć działać rozsądnie.

A zanim się tego nauczy, powinien wpierw dowiedzieć się, kim sam jest.

Nie wie o tem, rzecz jasna. A w jaki sposób się dowie? Król Francji był w rozumieniu naszych ojców istotą szczególną, bardzo skomplikowaną i wyjątkową, która stała ponad całą ludzkością wogóle! Był on nietylko wytworem wieków, ale wytworem specjalnej tresury, o której mamy tylko bardzo niejasne wyobrażenie. Jeśli twór ten uda się w zupełności lub tylko w przybliżeniu, wówczas powstaje arcydzieło rasy, wychowania, oraz woli i inteligencji osobistej. Przeznaczony do zadań tak rozległych musiał już bardzo wcześnie rozpocząć trening. Małemu Ludwikowi XIV ani przez myśl za lat dziecięcych nie przeszła jego przyszła rola i przeznaczenie, skoro widzieliśmy, jak martwiono się w jego otoczeniu, że najchętniej bawi się w służącego. Musiano więc systematycznie kłaść mu w głowę pojęcia o jego stanowisku i prerogatywach. Nauczyciel kaligrafji kazał mu raz po raz przepisywać zdanie: „Królom należy się czołobitność. Mogą czynić co im się podoba.“ Wszelkiemi środkami starano się weń wpoić poczucie władztwa, a szczególnie wysilali się intryganci, których marzeniem było urobionego przez się monarchę poszczuć przeciwko przemożnemu kardynałowi. Wszelako Ludwik-Bożydar udawał, że nic nie rozumie.

Oprócz uświadomienia wszechmocy osobistej usiłował Hardouin de Péréfixe rozwinąć w swym wychowanku pewne, jak je nazywał, „cnoty królewskie“. Rozumiał pod tem określeniem zbiór zasad moralnych, albowiem opiekę nad rozwojem skłonności politycznych pozostawił kardynałowi. Obejmując swój urząd, Hardouin napisał traktat pod tytułem: *Institutio principis ad Ludovicum XIV Franciae et Navarrae regem Christianissimum*, gdzie wyłożył zasady nauki moralności dla użytku delfina Francji. Był tam wybór sentencyj łacińskich, jakby stworzonych na użytek ucznia królewskiego. Codziennie kazał mu Hardouin tłumaczyć zdania w rodzaju następujących: „Wszyscy moi poddani są dziećmi, które mi Bóg oddał pod opiekę. Obowiązkiem ojca jest pomnażać dobro dzieci, strzec ich majętności i pragnąć ich zbawienia.“ A nie należy sądzić, że młody adept słuchał tych szlachetnych wskazówek obojętnie lub

że traktował je jak pospolite komunały. Wprost przeciwnie: wywierały nań tak wielkie wrażenie, że odnajdziemy je później w dosłownem brzmieniu w jego *Mémoires*. Kiedy bowiem pisał swoje *Réflexions sur le métier du Roi* i nazwał swój zawód „rozkosznym", powtórzył jeno innemi słowy to samo, co mu przed dwudziestu laty wszczepił dobrotliwy Hardouin de Péréfixe. Naprzykład: „Król musi rozkoszować się swemi obowiązkami, winien on rządzić i wiedzieć winien, że rządzić znaczy samemu trzymać ster państwa w ręku." Dodajmy, że owo osobliwe powiedzenie Ludwika XIV, które brzmi: „Zawód królewski jest wielki, szlachetny i rozkoszny" pojąć można właściwie tylko wówczas, gdy się je zestawi z tekstem biskupa z Rodezu.

Aby zaś ta abstrakcyjna nauka żywiej się wydała, stawiał nauczyciel uczniowi przed oczy idealny typ monarchy, jednoczącego, ile możności, wszystkie cnoty królewskie. Monarchą takim był Henryk IV — konwencjonalny, przykrojony i poprawiony wedle potrzeby, Henryk IV, zeszpecony wedle pojęć i uprzedzeń narodu. Znamiennem jest, że wszystkie wady Ludwika XIV znaleźć już można u jego dziadka, któremu można zarzucić to wszystko, o co się obwinia jego wnuka. Ale Francuzi nie chcą o tem nic wiedzieć. Ludwik XIV był człowiekiem, który zniósł edykt nantejski, edykt, który uległby zapewne zawieszeniu przez Henryka IV, gdyby ten król żył tak długo. Krótko mówiąc: co u dziadka jest drobnym grzechem albo genjalną ideją, to u jego następcy uważamy za megalomanję lub ohydny występek. Podstępny Bearneńczyk, równie absolutny i zaborczy jak Ludwik XIV, stał się po śmierci przyjacielem całego świata, a nic więcej nie przyczyniło mu sławy i legendy jak śmierć przedwczesna.

W imię tego ideału monarchy przekonywał Hardouin de Péréfixe swego ucznia o konieczności rządów indywidualnych, napawał go wstrętem do faworytów — a nawet faworytek, co było wogóle za ostro powiedziane — nakłaniał go do „dobrego rozrządu skarbem, ścisłej sprawiedliwości oraz umiarkowanego, a rozsądnego męstwa". Niektóre z tych przestróg nie podobały się bynajmniej kardynałowi, ba, nawet wprost przeciw niemu były skierowane. Mazarini

tolerował je jednak z dwóch powodów, raz, że odpowiadały ogólnemu życzeniu narodu, a powtóre, ponieważ uważał je za plewę słów, która nie mogła wywrzeć żadnego wpływu na jego wychowanka. Tymczasem, wrogowie kardynała, nie dając za wygraną, zdwoili wysiłki, aby drogą intryg złowić w potrzask duszę młodego suwerena.

Gdy kardynał w r. 1651 bawił w Brühl na wygnaniu, pośpieszono skorzystać z tej pomyślnej sposobności. Pani de Lansac, pierwsza ochmistrzyni króla, a nienawistna kardynałowi, ofiarowała młodemu królowi trzy listy Katarzyny Medycyjskiej do jej syna Henryka III. Zawarty w nich był nietylko program polityczny, lecz również szczegółowy podział czasu, ustalający aż do drobiazgów rozkład dnia królewskiego. I Katarzyna de Medici zalecała synowi również rządy absolutne i osobiste. Podobno król odbywał właśnie lekcję w chwili, gdy pani Lansac przyniosła mu te listy. „Kazał nauczycielowi — tak mówią — odczytać je natychmiast, pomimo że były bardzo długie, i słuchał z największą uwagą.“ I długo potem toczyła się jeszcze dyskusja pomiędzy królem, biskupem Rodezu a panią de Lansac dokoła wskazówek, w listach tych zawartych.

I oto fakt bardzo znamienny! Świadczy on, że w duszy Ludwika XIV zaczyna się budzić władca. Z przyjemnością przyjmuje rady, nauki od osób sobie równych, od swych poprzedników, ludzi jego sfery i rodu, wogóle od ludzi fachowych. Nastawia uszu w chwili, gdy poczyna mówić Katarzyna de Medici lub Henryk IV, czując, że to mu przyniesie korzyść bezpośrednią. Natomiast wobec nauczycieli, wobec ćwiczeń czysto szkolarskich zachowuje się obojętnie i z nonszalancją. Pewnego razu, tak opowiada La Porte, uskarżał się pan de Beaumont przed Jego Eminencją, że król nie chce się uczyć wogóle. Na to kardynał: „Niech pan się tem nie martwi. Będzie on miał jeszcze dosyć sposobności do nauki, gdy bowiem znajdzie się na Radzie ministrów, postawi mi ze sto pytań w związku z omawianemi tam sprawami.“ Primi Visconti donosi, że właśnie w tym czasie poseł hiszpański hr. de Fuensaldagne odkrył „w usposobieniu młodego króla pierwszy rys męskości“ i pierwszy rozpowiedział o tem wszędzie.

W taki to sposób mężowie stanu robią dobry interes na masie szpargałów pedagogicznych. A Ludwik XIV nie był bynajmniej nygusem, raczej okazał się uczniem wcale dobrym. Dochowały się do naszych czasów zupełnie przyzwoite zadania, co więcej możnaby pod jego nazwiskiem ogłosić francuski przekład pierwszej księgi „Komentarzy“ Cezara. Umiał po włosku, uczył się hiszpańskiego, studjował matematykę, muzykę, rysunki, tak iż sam był w stanie nakreślić plan ogrodu albo domu, mógł też rozprawiać z fachowcami o tych sztukach i umiejętnościach. Gdyby tylko zechciał, mógł zostać znakomitym uczniem, podobnie jak pierwszym tancerzem w całem swojem królestwie. Wszelako odczuwał instynktownie, że to nie jego zakres. Nie chciał być ani jednym, ani drugim. Wiedza, czy literatura, to nie są zajęcia odpowiednie dla króla. Pilniejszem i bardziej naglącem zadaniem wydało mu się dokładne aż do drobnych szczegółów poznanie olbrzymiej maszyny, którą miał w przyszłości kierować.

Zarówno w tej dziedzinie jak i w nauce innych przedmiotów jął się kształcić, metodą bezpośrednią a więc najlepszą ze wszystkich: zapomocą doświadczenia i rozmów. Uczyli go ludzie genjalni, przed żądnym wiedzy umysłem otwierało się pole szerokie bardzo i rozmaite, pełne ciekawych odkryć dla młodzieńca, który miał żyć dla sławy. A czy nie jest rzeczą wprost śmieszną, że ci sami ludzie, którzy, wychwalając pod niebiosy praktyczną metodę nauki szkolnej, zarzucają Ludwikowi XIV nieuctwo, temu samemu Ludwikowi, który pod pewnym względem może być wzorem i arcydziełem tego typu wychowania.

* * *

Z praktycznem wychowaniem łączyły się nadto przeróżne wpływy środowiska i echa opinji publicznej, rozmaitemi drogami docierającej do młodego władcy.

Jak zawsze tak i teraz narodziny delfina dały impuls do powstania całej literatury pedagogicznej. Syn króla francuskiego był wszak dzieckiem całego narodu, i każdy obywatel rad był go wychować na swoją miarę i wedle swego serca. Każde stronnictwo chciało tu wetknąć swoje

trzy grosze: jezuici, janseniści, parlament, dwór. Góruje przeważnie w tych pismach nacjonalizm, wojujący i zdobywczy. Niedawne zwycięstwa Kondeusza nad Hiszpanami, aneksja Alzacji, pokój w Münster, wszystko to podniecało ambicję Francuzów. Wogóle stwierdzić można we Francji, w ciągu całego XVII stulecia, od rządów Henryka IV aż po mniej więcej pokój w Nimwedze, nieprzerwany prawie pochód myśli imperjalistycznej. W roku 1641, gdy delfin chodził jeszcze w sukience ofiarowano mu wspaniałe ilustrowane i oprawione dzieło p. t.: *Généalogie de la Maison de France.* Pierwsza rycina miała tam tytuł: *L'Europe française.* Był to obraz wszystkich krajów, rządzonych przez członków dynastji francuskiej: „Francja, Neapol i Sycylja, Portugalja, Nawarra, Polska, Jerozolima, cesarstwo niemieckie i Konstantynopol...“ A więc prawie cała Europa z dodatkiem kawałka Azji. Miało to być zachętą niejako dla syna Ludwika XIII, aby utracone prowincje odzyskał dla Francji zpowrotem. Chcąc podtrzymać zapał patrjotyczny, niezbędny dla dopięcia tak rozległych celów, żądał bezimienny autor innego pisma, przeznaczonego również do edukacji delfina — *Les Codicilles de Louis XIII*, — aby każdej niedzieli obchodzono pamiątkę innego zwycięstwa narodowego, więc triumf Klodwika nad Niemcami, oswobodzenie Orleanu przez Joannę d'Arc, zdobycie Alzacji i wzięcie Thionville. Klodwik wraz z Joanną i św. Ludwikiem staje się czemś w rodzaju patrona narodowego. Jako wzór cnót królewskich czyni on niejaką konkurencję Henrykowi IV. Rzeczy idą nawet tak daleko, iż autor *Codicilles* proponuje, aby w pierwszą niedzielę po Wielkanocy ustanowić święto narodowe na pamiątkę nawrócenia Klodwika i jego zwycięstwa nad Niemcami. Ludwik XIV przyjął pierwszą komunję w wigilję Bożego Narodzenia, a nie wedle zwyczaju w dzień Wielkanocy, dlatego, że chrzest Klodwika odbył się w Boże Narodzenie. Wszelako Klodwik pobił Niemców jeszcze przed swojem nawróceniem, jak o tem wyraźnie mówi Hardouin de Péréfixe w swojej *Institutio principis* w zdaniu następującem: *Clodovaeus, nondum christianus vicit Alemaniam.* Dzięki poematowi Chapelain'a weszła wówczas w modę Dziewica Orleańska.

Wysławiano ją w rymach, przedstawiając jako bohaterkę rzymską, coś w rodzaju francuskiej Klelji. Do dnia dzisiejszego dochowało się w budynku sądowym w Rouen stare malowidło, przedstawiające Joannę w takiem przebraniu. Od owego czasu zaczęła kandydować na świętą patronkę narodową!... Któż wobec tego ośmieli się twierdzić, że Francja czasów Ludwika XIV nie odznaczała się patrjotyzmem a nawet szowinizmem pewnego rodzaju?...

Ze strony klerykalnej mnożą się poematy o Klodwiku i św. Ludwiku — *saint Louis, ou le héros chrétien.* — I nietylko sławi się przed królem cnoty chrześcijańskie, lecz nawet zachęca, aby przedsięwziął nową wyprawę krzyżową, i przepędził Turków z Europy i Palestyny. Wobec wyczerpania Niemiec i Hiszpanji jedna Francja może podjąć bój wiekuisty przeciw niewiernym... Oto hasło, jakie zaszczepiano w dwunastoletnim umyśle, oto rady, jakich mu nie szczędziła opinja publiczna. Historycy nasi są dlatego niesprawiedliwi wobec Ludwika XIV, ponieważ nie uwzględniają ambicyj francuskich, rozgorzałych po zawarciu pokoju westfalskiego. Bo jeśli porównać marzenia imperjalistyczne narodu francuskiego z programem, jaki sobie nakreślił ten rzekomy „podpalacz" Europy, dojdziemy do przekonania, że Ludwik XIV odznaczał się rozumnem umiarkowaniem, Francja natomiast porastała pychą i żądzą zaborów.

Prawdopodobnie tedy młody król słuchał podówczas chętnie wskazówek swego otoczenia i godził się z jednomyślną prawie opinją narodu, ale, jak zazwyczaj, nie dawał tego poznać po sobie. Z drugiej strony zewnętrzna i ostentacyjna pobożność jego matki nie była w stanie złagodzić tych wybujałych skłonności. Wspaniałe uroczystości kościelne wespół z wystawnemi przyjęciami u dworu miały natchnąć młodego księcia poczuciem wielkości, upoić go przeświadczeniem o swej własnej mocy, jego, który słyszał, jak dokoła mówiono, że jest „bóstwem wcielonem". Obnosiła się królowa z tem bóstwem po kościołach i klasztorach Paryża, każdej niedzieli słuchała mszy świętej w kościele Notre-Dame, nie opuszczając przytem ani jednego kazania czy nabożeństwa u augustynów, w klasztorze Val-

de-Grâce, lub u jezuitów z Rue Saint-Antoine. Na jej życzenie przyjął król pierwszą komunję z wielką pompą w kościele św. Eustachego, a więc w swojej parafji, gdyż mieszkał wówczas w Palais-Royal. W dzień Bożego Ciała roku 1651, król przyjął uroczyście procesje wszystkich parafij paryskich w ogrodach Palais-Royal i z odkrytą głową towarzyszył Najświętszemu Sakramentowi aż do ostatniego ołtarza. Widok tej apoteozy uczynił wielkie wrażenie na młodzieńcu, którego naród ubóstwiał już wtedy bałwochwalczo. Tej procesji w Palais-Royal nie zapomniał nigdy. Powziął z niej lekcję pokory, koniecznej dla człowieka jego stanu, który w chwili, gdy go wysławiano pod niebiosy, czuł się malutkim w obliczu jedynej prawdziwej Wielkości.

Lecz dni przyszłej chwały i triumfu są jeszcze daleko. Narazie wypada jeszcze, strona za stroną, pisać zadania pod nadzorem księdza i kamerdynera. Królom należy się czołobitność. Królowie czynią, co im się podoba. Młody król przepisuje skwapliwie i myśli przytem o cienkich obiadkach w Luwrze, o podartych prześcieradłach, o poszarpanych obiciach karocy i o pustej sakiewce. Potem zaczyna kartkować w słowniku łacińskim w poszukiwaniu wyrażeń nieznanych — a u drzwi jego komnaty huczą odgłosy buntu. Potem marznie na zamku Saint-Germain w nieopalonym pokoju, który nie posiada szyb w oknach. Ale na dnie oczu nieprzeniknionych dotąd drzemie drogie Francuzom marzenie o imperjalizmie. Król nie przestaje milczeć. Uważają ludzie zawsze, że ten chłopak ma za mało energji i za mało rozumu. Szydzi z nich w cichości serca. Wprawdzie nie wie jeszcze dobrze, co z niego wyrośnie, ale to wie napewno, że będzie wielki! Słucha pilnie panów profesorów. Nie jest wprawdzie uczniem celującym, ale odznacza go karność i rozmysł. Ani z niego buntownik, ani bohater romantyczny w guście Napoleona. Powtarza lekcje pana de Beaumont lub czcigodnego ojca Paulin'a i nie odzywa się do nich w ten sposób: „Zostawcie mnie w spokoju! Sam wiem najlepiej, czego mi potrzeba!" Jest na to zbyt posłuszny. Natomiast korzysta zawsze, pełną garścią korzysta. Nie śpieszno mu, bo wie, że ma

czas. Lecz czasami dziwny blask roznieci się w tych oczach koloru malwy, — marzenie o cesarstwie! Lecz zgaśnie odrazu, gdy młodzian uczuje, że go podpatrują. Ten chłopak z zaciśniętemi ustami i z lisim nosem jest pewny siebie. Pewny, że nie zdradzi go serce, które otrzymał w spadku po swej matce.

CZĘŚĆ DRUGA

BUDZI SIĘ DO MIŁOŚCI I DO SŁAWY

Znajdziecie w nim dość materjału na czterech królów i jednego porządnego człowieka.

Z pamiętników
Marszałka de Gramont.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

CZŁOWIEK, KTÓRY NIE ZASTAŁ STOŁU ZASTAWIONEGO

Nie można powiedzieć o Ludwiku XIV, że wystarczyło mu tylko przyjść na świat, bo korona i władza już nań czekały. Nie był bowiem dzieckiem bogatego domu, które, przychodząc na świat, zastaje stół zastawiony. Raczej przeciwnie. Sierocy spadkobierca wielkiej dynastji utonąłby niewątpliwie w czasie katastrofy monarchji narodowej. Od samego bowiem początku los był mu srodze przeciwny i należało długo walczyć z trudnościami, aby wreszcie odnieść zwycięstwo.

Pamiętamy wszak, że już jego przyjście na świat odbyło się w sposób cudowny niemal, było bowiem aktem przemocy, narzuconej niebu i naturze. Wszelakiego rodzaju zmartwień i utrudnień pełne było jego dzieciństwo i młodość. Urodził się w atmosferze wojny z Hiszpanją i Cesarstwem, wojny zakończonej wielkim sukcesem wojskowym, ale nie ostatecznem zwycięstwem. Wkrótce potem wybuchła wojna domowa, rodzaj rewolty w obliczu nieprzyjaciela, która dodała Hiszpanom odwagi, pozwalając im rozpocząć od nowa intrygi, dążące do rozbicia narodu francuskiego. Monarchja stanęła na skraju przepaści. Młody, wygnany ze stolicy delfin musiał zpowrotem zdobywać swe królestwo, prowincję po prowincji. Gdyby nie przytomność i zręczność Turenne'a, do którego w bitwie pod Bléneau znów uśmiechnęło się szczęście, stałby się Ludwik drugim królem z Bourges. Była to może najbardziej krytyczna chwila dla Francji, zaledwie zaczynającej drogę ku zjednoczeniu. I może się nigdy nie zjednoczy w zupełności? A mimo wszystko od dwóch wieków była ta jedność przedmiotem podziwu zagranicy. W owej centralizacji monar-

chicznej upatrywał wszak Machiavelli istotny fundament potęgi Francji. W czasach Frondy stała ona, coprawda, pod wielkim znakiem pytania. Nie tak dawno temu zbuntowani w Burgundji chłopi (w czasie buntu Lanturelusa) spalili portret królewski wśród okrzyków: Niech żyje cesarz! Podburzeni bowiem przez ajentów niemieckich uważali, że lepiej będzie oddać się pod opiekę Cesarstwa niemieckiego. Hiszpanja znów ze swojej strony nęciła ich oskomliwie planem utworzenia republiki akwitańskiej w Bordeaux a prowansalskiej w Marsylji. Równocześnie Anglja usiłowała poprzeć myśl stworzenia republiki normandzkiej w Hawrze lub w Rouen albo założyć państwo hugenockie ze stolicą i portem w La Rochelle.

Fakty powyższe przywodzą na myśl prawdę dziejową, o której się nie powinno zapominać. A mianowicie: Francja stała się tem czem jest jeśli nie wbrew woli Francuzów, to jednak często bez nich i mimo nich. W epoce, w której się obracamy, a więc za czasów dzieciństwa Ludwika XIV dwoje cudzoziemców uratowało ojczyznę Francuzów: Hiszpanka i Włoch. Anna Austrjaczka i Mazarini, który stał się depozytarjuszem myśli politycznej Richelieu'go.

Nie łatwo przychodziła tedy królewiczowi francuskiemu ta nauka o istocie królewskości; od pierwszych początków potykał się o kłody niezmożone, które wycisnąć miały na zawsze znamię w jego charakterze. Jak jednakowoż reagował i w jaki sposób? Podpatrzeć jak się kształtowała dusza władcy — to rzecz ciekawsza ponad wszystko.

* * *

Odrazu musiał chyba zrozumieć, że grozi mu ustawiczne niebezpieczeństwo. Zwyczajna dola królewiczów czasu owego! Dziś, gdy potomkowie starych ras królewskich zespolili się bardziej z narodami swemi, nie mamy wprost wyobrażenia, w jakiem położeniu żyć musiał młodzian taki jak Ludwik XIV, prawdziwy królewicz i syn królewski. Opływają go furje żądz, bez porównania dzikszych i zacieklejszych, niż dzisiaj. Sam jeden tylko mocen jest zadowolnić je lub zdławić. Otacza go nienawiść godząca albo w osobę samą, lub w poczet oddanej mu służby. Ani kroku uczynić nie może, żeby sobie nie powiedział: uważaj, bo stąpasz po gruncie podmi-



LUDWIK XIII
według sztychu J. Falcka.

nowanym. W takich warunkach być młodym, mieć zawsze ochotę do śmiechu, bawić się i rozmawiać swobodnie, wywnętrzać się wobec przyjaciela, zmuszać się do nieufności wobec wszystkich, zważać na każdy ruch i słowo, kryć się z radością i bólem, udawać bezustanku i wciąż się mieć na baczności: ciężka to musiała być sprawa dla dziesięcioletniego chłopaka.

A jeśli przypuścimy, że miał właściwą swemu wiekowi beztroskę, to wszakże długo trwać nie mogła. Gdyż postarało się zawsze otoczenie, aby świadom był wszystkich intryg, jakie osnuwały się dokoła niego. Jeden wysadzał się nad drugiego, aby, zdobywszy zaufanie młodego króla, tem łatwiej znosić mu potem wieści o wrogach i przyjaciołach.

Unikając ciżby tych łotrów, intrygantów i wrogów mniej czy więcej ukrytych, chronił się Ludwik-Bożydar pod opiekę matki albo kardynała. Tych był pewny przynajmniej. Niewątpliwie domyślał się już, jaki stosunek łączy ich oboje. A jako dziecko zazdrosne i bardzo indywidualne, cierpiał tem więcej. Wszelako wiedział: ci oboje mają w tem wspólny interes, aby dlań tron zachować i jego życia bronić. Przeto wdzięczny był ogromnie, matce szczególnie, którą chyba najwięcej kochał w swojem życiu. Saint-Simon opowiada, że po śmierci króla otworzono jego ciało i wyjęto serce, aby je umieścić w klasztorze jezuitów przy ulicy Saint-Antoine. „To serce, które nigdy nie kochało i tak mało było kochane.“ — Jak wszędzie tak i tutaj Saint-Simon mija się z prawdą. Wszakże Ludwik XIV w każdym razie kochał chociażby matkę swoją i to jak najgoręcej, z całego serca, do głębi duszy i myśli swojej, tak dalece że omdlał z bólu przy jej łożu śmiertelnem. „Musieliśmy go podtrzymywać, — powiada pani de Motteville — by się nie przewrócił“ i dodaje: „Łączyły króla z matką węzły bardzo silne, a przedewszystkiem wieloletnie zaufanie, które rzadko tylko bywa udziałem wysoko postawionych osobistości. Dlatego tem więcej odczuwają stratę ludzie, którzy mieli sposobność zakosztować podobnie rzadkiego szczęścia.“ W „Pamiętnikach“ swoich wyraża się Ludwik XIV o śmierci matki w sposób tyle żałobny, szlachetny i z takiem wzruszeniem, iż poznajemy odrazu nietylko monarchę, lecz i kochającego syna. „Natura sama nawiązała pierwsze węzły pomiędzy mną i matką moją, wszelako związki

serca zadzierzgnięte dzięki podobieństwu cech duchowych zerwać o wiele trudniej, niż węzły pochodzące jedynie z powinowactwa krwi.“ A nieco dalej, jakby na usprawiedliwienie swego bólu, mówi o uczuciu wdzięczności oraz, jak się wyraził o „hartowności duszy“. Zresztą już wkrótce po śmierci Anny Austrjaczki odpowiedział któremuś z niewczesnych pocieszycieli w sposób, ujawniający więcej uczucia, niż pychy. „Nie zdoła pan sobie tego wyobrazić, panie markizie de La Vallière, jak bardzo cierpiałem z powodu śmierci matki. Krótko mówiąc, tylko ta ręka, która mi zadała cios tak srogi, władna jest mnie ukoić.“

Prócz matki zalotnej a tak bardzo umiłowanej, że rad ją był posiadać wyłącznie dla siebie, obok przebiegłego Włocha, o którym wiedział, że jest zarówno jemu jak matce oddany, — nie miał ani jednej godnej zaufania istoty. Cała rodzina mniej lub więcej otwarcie zwracała się przeciw niemu. Wuj Gaston, którego przyjście na świat delfina pozbawiło widoków tronu, myślał tylko jakby go zdradzić. Rody Condé i Vendôme, zwaśnione pomiędzy sobą i wrogie również Gastonowi, nie przedstawiały pewniejszego punktu oparcia. To samo dotyczyło innych wielkich panów w królestwie Bouillon'ów, Montmorency i La Rochefoucauld. O jednem tylko myśleli wszyscy: o wzbogaceniu się kosztem króla. Żądali wciąż od regentki to pensyj, to władzy nad prowincjami, tłustych urzędów lub prawa utrzymywania własnych wojsk. Nadomiar niedoli za przykładem możnych panów, stan trzeci odnosił się również nieprzychylnie do korony. Stan, który dotychczas był jej wierną i najpewniejszą podporą. W Paryżu gorzał istny ruch rewolucyjny, który na szczęście nie przerzucił się na resztę państwa, wyjąwszy kilka prowincyj południowych.

* *
*

I, jak to się zwykle dzieje w wirze wielkich przemian dziejowych, wszystko poddawano wątpieniu. Wołano o rewizję praw, tytułów i papierów wartościowych, wymyślano głośno, że rządy spoczywają w ręku pary cudzoziemców. Premjerowi zarzucano włoskie, regentce hiszpańskie pochodzenie. Obwiniano Mazariniego, że wydaje Francję na łup pachciarzy,

ceł, a olbrzymie daniny wyniszczają kraj. Istotnie też, rząd potrzebował pieniędzy gwałtownie na zakończenie wojny przeciw Cesarzowi i Hiszpanom. Nawet najbardziej zacietrzewieni przeciwnicy Włocha musieli to przyznać, gdyż rzucało się w oczy odrazu. Więc jęli rozpuszczać pogłoski, że przeciąga on wojnę w nieskończoność, aby zarobić na dostawach dla wojska: nieodłączna kalumnja powtarzająca się zawsze w podobnych okolicznościach. Kardynał odznaczał się niewątpliwie wielką łapczywością na grosz, pałał też oskomą powiększenia bogactw własnych i rodziny swojej, lecz z drugiej strony musiał się troszczyć o budżet wojny i radził sobie, jak tylko się dało, nie przebierając w środkach: dobro państwa przedewszystkiem!... Zaczem spaśni i sadłem obrośnięci dygnitarze, którzy sami sobie niczego odmówić nie byli w stanie, wrzeszczeli wniebogłosy, że ta cudzoziemska Eminencja „wysysa biednym Francuzom ostatni szpik z kości", i dojdą oni wkrótce do takiej nędzy, że chyba im przyjdzie trawę źreć, jak zwierzętom. Dziwna to sprzeczność zapatrywań, z których się Francuz nie wyleczy nigdy, w żadnej epoce. Chciano być pierwszym narodem świata, ale żeby za to nie zapłacić ani jednym żołnierzem i ani talara nie wydać. Aby się od tego uwolnić, krzyczano z wielkim hałasem o powszechnej nędzy w państwie, której winę ponosił również w całości włoska Eminencja.

Wielcy panowie, znakomici urzędnicy i rzecz prosta kler, wszyscy nienawidzili go za to, że za przykładem Richelieu'go kładł przesadny nacisk na zrównanie stanów francuskich. To pewna, że dla wygody rządów, coraz bardziej ulegających centralizacji, Mazarini usiłował zrównać wszystkie warstwy społeczeństwa, kler z szlachtą i posłami do parlamentu. Z nienawiścią klas wyższych łączyła się nienawiść mieszczaństwa i motłochu. Ten sam paryżanin, który ani słyszeć nie chciał o wojnie z Niemcami lub Hiszpanami, nabierał nagle zapału wojowniczego, chwytał sztuciec, uderzał w bębny i ciągnął na „tyrana". Zarówno mieszczaństwo jak tłum wrzały przeciw Mazariniemu. W czasach Frondy właśnie wybuchnął tam nagle płomieniem odwieczny instynkt rewolucyjny, odbywając jak gdyby próbę generalną wydarzeń, które miały nastąpić w latach 1789 i 1793. W niektórych

momentach, rzekłbyś, to samo widowisko, kulisy te same i statyści. Dowodem chociażby taki współczesny, na gorąco zapisany szkic wydarzeń rewolucyjnych:

Buduje barykady lud
Ze wszystkich stron i czyni wrzask,
Ci biegną wtył, ci zasię wprzód.
Mularze, woźnice i czeladź łaziebna,
Drukarze, kopiści i książek oprawcy,
Pocztyljony i furmany,
Kolporterzy i laicy,
Krawcy, z aptek czeladnicy,
Konokupy, łupiskórcy,
Kołodzieje i płatnerze,
Kuglarze, wiertacze, złotnicy,
Szkolne żaki, szynkarczyki,
Musztardnicy, tandeciarze...
— — — — — — — — — — — —
Lektykarze, przewoźnicy,
Kupcy fajek i tabaki,
Obór, studzien czyściciele,
Zabłoceni powózkarze,
Kowale, stelmachy, siodlarze,
W tysiącach wylegli na miasto —
W halach zbroją się flaczarze.
Każdy towarzysza woła,
Muszkiety czyści, brzeszczoty
I krzycząc ciągle: psiakrew!
Podnoszą halabardy, oszczepy,
Wszędzie napięte łańcuchy,
Z piwnic wytaczają beczki,
Znoszą piasek i kamienie,
Zwożą wózki i karjolki,
Sztućce swoje opatrują...

A ponad tłumem spienionym przepływa czasami, niby daleki, groźnie huczący zwiastun Marsyljanki lub Carmagnoli, pieśń:

Nuże, zabierzcie armaty,
Razem z kulami i prochem,
Obywatele, słuchajcie!
Nuże, zabierzcie armaty,
I zewsząd zgarniajcie zapały,
By wsławić po wieki swe imię,
Nuże, zabierzcie armaty
— — — — — — — — — — — — — — —
Do broni bracia, do broni
Uderzcie w bębny i rogi,
Przywdziejcie pancerze i hełmy,
Do broni, bracia, do broni!

Rozuzdała się ta wściekłość zajadła głównie przeciw ministrowi włoskiemu, lecz również czasami godziła w króla, a przedewszystkiem w królową. „Królowa przypuszcza, że najpewniejszym schronem jest Saint-Germain — pisano w

pamflecie współczesnym — ale Paryż wie doskonale, jak bardzo jest tam bezsilna. Nic łatwiejszego, jak zabrać króla z Saint-Germain, przewieźć go do Paryża (na co mamy dość przykładów) i postąpić z nim ostatecznie, jeśli tylko rząd się zgodzi.“ A więc mamy ich i tutaj: Piekarz, piekarzowa z małym piekarczykiem wywleczeni przez motłoch z Wersalu. A co oznacza „ostateczne postąpienie“? znaczy to samo, co w Anglji: postawić króla, królową i ministra przed sądem, poczem uciąć im głowy.

Nauczyliśmy się od historyków uważać bunty Frondy jako małoznaczące, czysto powierzchowne zamieszki, pozbawione większego znaczenia. W rzeczywistości jednak głębsze było to wszystko, niż się zwykle przypuszcza. Gotowało się i wrzało w umysłach wszystkich. Nawet ludzie, których cała istota zwrócona była ku niebu, jak pustelnicy z Port-Royal, zajmowali się skwapliwie robotą rewolucyjną. Przeważna część kleru francuskiego opowiedziała się przy Frondzie lub jansenistach. I stąd słuszny „resentyment“ Ludwika XIV przeciwko tej sekcie. Byli to buntownicy nie gorsi od innych. Prawie wszędzie poddawano rewizji uprawnienia monarchji, atakując ostro władzę absolutną, zupełnie jak w roku 1789. Podkreślano, że władza królewska była zrazu elekcyjną i stanowiła delegację władzy ludu. Należy przeto ograniczyć tę preponderancję, stwarzając ciała ustawodawcze, nakładanie podatków musi zależeć od woli narodu. ... Czegóż tedy brakło w tych żądaniach, aby doprowadzić do zburzenia istniejącego porządku? Trochę więcej karności, porozumienia wśród stronnictw, a przedewszystkiem przygotowania i organizacji rewolucyjnej. Nie ulega wątpliwości, że już w r. 1648 znajdowała się Francja w pełni rewolucyjnego nastroju.

Młody król przejmował się bardzo wrzeniem, które obserwować musiał jako widz bezsilny. Teoretyczne rozprawy o prawach i granicach władzy królewskiej nie mogły się, rzecz prosta, pomieścić w główinie dziecka, wszelako Fronda poddawała go upokorzeniom, które były okrutną, nigdy niezapomnianą lekcją: zapamiętał ucieczkę do Saint-Germain, bezczelną protekcję Kondeusza, grubjańskie obelgi przeciw matce i kardynałowi, potem zuchwalstwa motłochu.

Zaledwie rodzina królewska zdołała po pierwszej ucieczce powrócić do Paryża, kapitan gwardji szwajcarskiej księcia Gastona Orleańskiego, wraz z tłumem, zmuszają królową, aby im pokazała króla śpiącego w łóżku, obawiali się bowiem, że ucieknie. Można sobie wyobrazić przerażenie i wstręt chłopaka, na widok uzbrojonego żołdactwa i opitych winem zawadjaków. Zupełnie podobnie w sto lat później drżał będzie z bojaźni mały delfin, słysząc w Temple nocne ronty sankiulotów. W styczniu, roku 1651, gdy pierwszy prezydent Mateusz Molé „raczej rozkazując, niż prosząc“, zażądał od królowej wypuszczenia książąt na wolność, Ludwik z wysiłkiem tylko zdołał się pohamować wobec tej bezczelności. I, jak wspomina pani de Motteville, wyraził się do matki, że „najchętniej byłby kazał milczeć prezydentowi i wyrzucił go za drzwi, gdyby nie obawa, że się mu narazi“.

Lecz młody król dorasta coraz więcej. W roku następnym będzie już miał lat czternaście i uznają go pełnoletnim. Już sam potrafi patrzeć, i samoistnie myśleć. Zmuszony do ucieczki ze swej stolicy, błądząc od miasta do miasta, może się na własne oczy przekonać, ile złego wyrządzają państwu frondyści. Pojmuje, że za ich przyczyną Francja toczy się po równi pochyłej. W czasie oblężenia Bordeaux, w miejscowości Bourg nad rzeką Dordogne wylewa łzy wściekłości przed towarzyszem swych zabaw, Loménie de Brienne, na myśl, że oto król Francji zmuszony jest zdobywać swe dziedzictwo zpowrotem. A młody Brienne, widząc go zalanego łzami, mówi: „Cóż ci to, drogi mój władco? Płaczesz? — Król odpowiada: Ja przecież zawsze dzieckiem nie będę. Lecz milcz! Niech nikt nie widzi moich łez. Te łajdaki z Bordelais już wkrótce przestaną mi rozkazywać.“

Tak tedy dopiero gwałtowne przeciwności rozbudzały w nim pełną świadomość władzy, odpowiedzialności i obowiązków. Teraz zrozumiał, co znaczy być królem. Świadomość ta zaskoczyła go właśnie w pełnej fazie rozwoju, którą posuwał się zwolna naprzód, ogarniając silną i odporną naturę. Naogół wiódł życie wygodne i leniwe, które płynęło mu wśród ćwiczeń w ujeżdżalni, przejażdżek po

lasach, kąpieli w Sekwanie, wśród baletów, wreszcie i komedyj. A pośrodku tego nagle jakiś jeden wypadek wstrząsał nim i nakazywał poczuć się królem. A nie wymagało to bynajmniej wyrzeczeń, jak u człowieka, który nadewszystko lubi życie spokojne w odosobnieniu i czuje odrazę do wystąpień publicznych. Ludwik XIV był królem z instynktu i z urodzenia. Lecz potrzebował czasu, by tę królewskość w sobie umocnić i rozbudować. Znalazłszy się niespodzianie w sytuacji bardzo niebezpiecznej, zrozumiał, że zawód królewski nie jest wcale rzeczą łatwą. Snać zakpili sobie zeń nauczyciele kaligrafji, każąc mu nieustannie przepisywać zdanie: K r ó l o m n a l e ż y s i ę c z o ł o b i t n o ś ć. K r ó l o w i e c z y n i ą c o i m s i ę p o d o b a. Bo wszakże odmawiają mu czołobitności i posłuszeństwa jego poddani, a nawet krewni, którzy przecie najwięcej dbać powinni o podtrzymanie jego stanowiska. I również ani mowy o tem, by mógł czynić co się mu podoba. Zgubiony byłby bez Mazariniego i Turenne'a. A zresztą cóż mogło poradzić dziecko dziesięcioletnie, lub nawet czternastoletni młodzieniec?...

To jednak pojął wówczas, że obaj ci mentorzy nie poradzą nic bez niego, bez tej instynktownej miłości, jaką mu w dani niosły jego ludy. Jedynie myśl o przyszłym królu pozwalała ludowi tolerować łapczywego ministra i szorstkiego wojaka. Dopiero niebezpieczeństwo otwiera mu oczy w chwili, gdy krok jeden dzieli go od wygnania, a może nawet śmierci. Zrozumiał, na jak grząskim gruncie opiera się budowla państwa i jak niewiele jeszcze potrzeba, aby zburzyć dzieło stuleci. Od tej chwili nabiera głębokiego wstrętu do wszystkich burzycieli i partyjnictwa; przeciwstawia się stanowczo mocom rozkładu, których niezgrabna, lub z niskich pobudek poczęta robota kompromituje i niszczy wieloletnie plony monarchji. Dzięki temu ostatecznie nabiera świetnej znajomości ludzi, oszczędzając sobie zarówno złudzeń, jak gorzkiego rozczarowania. Jasnem stało mu się wcześnie, do jakich podłości, a nawet zbrodni potwornych zdolna doprowadzić człowieka żądza zysku. Ale pogląd króla na świat nie staje się przez to posępniejszym. Nie miał wszak w sobie nic z Hamleta, ani innego roman-

tycznego herosa. W obliczu wstrętnej ohydy i najcyniczniejszej choćby zdrady umiał zachować równowagę moralną i nawet dobry humor, był bowiem graczem zawołanym. I doskonale obeznanym z zasadami gry. I był człowiekiem spragnionym kiełznać życie, jakiekolwiekby ono niosło z sobą przeszkody i przykrości. Zawód swój królewski wykonywał z radością, bez uczucia wzgardy dla ludzi. Nie czuł odrazy na widok Francuzów i paryżan, oklaskujących go teraz przeraźliwie, gdy przedtem opluwali jego i matkę stekiem ohydnych kalumnij. I napróżno włoski minister ostrzegał: nie ufaj żadnemu Francuzowi. Z tej posępnej przestrogi zachował Ludwik XIV w pamięci to tylko, co się zgadzało ze smutną rzeczywistością. Niewątpliwie ekscelencja neapolitańska we własnym interesie wysławiała nad miarę doniosłą wartość ministrów cudzoziemskich na niekorzyść Francuzów. Lecz również miano dowody, że najgorszymi wrogami Francji byli jej właśni wielmoże, książęta i księżniczki, którzy pertraktowali zupełnie otwarcie z Hiszpanją i pokazywali się publicznie w Lasku Bulońskim w towarzystwie oficerów hiszpańskich. Zaczem raz jeszcze trzeba podkreślić: przez długi przeciąg czasu monarchja musiała bronić Francji przed Francją i ratować ją przed — Francuzami. Młody król wiedział o tem dobrze, ale równocześnie znał swój naród lepiej od włoskiego sprytciarza. Miał wszakże zwyczaj mawiać: „Jestem zarówno Francuzem, jak królem“. Wiedział, jak ciężkie zadanie go czeka i w jak trudnem środowisku praca. Ostatecznie zaś kochał swój naród i szanował, gdyż był przezeń kochany, gdyż znał dobrze ową prastarą, niezłomną miłość Francuzów dla swych królów, których uważali za Obrońców Ludu.

Być kochanym, stać się ojcem swemu ludowi — oto niezawodnie najgłębsze marzenie jego duszy. Wszelako lekcja straszliwa, jaką mu dała Fronda, dowiodła, że to marzenie trudne do spełnienia. Urząd królewski wówczas tylko może sprawiać „przyjemność“, jeżeli władca dzięki swym przymiotom osobistym doprowadzi do tego, że sam ciężar zadania daje mu satysfakcję. I takiego właśnie sprawowania urzędu, którego ciernie przeczuwał, chciał się nauczyć. Zdaje sobie sprawę ze swej niewiedzy i słabości i nazbyt

młodego wieku. Mimo to powtarza często słowa, wyrzeczone niegdyś do przyjaciela Brienne'a: „Cierpliwości! Zawsze przecie nie będę dzieckiem. Narazie milczmy jeszcze!“ Milczenie owo jest aktem nietylko wielkiej zręczności, lecz również najlepszą obroną w latach walki i nauki. Nałożył maskę i milczy, ale nadejdzie dzień, w którym przemówi jako władca i wystąpi w otoku chwały. Zanim zostanie Ludwikiem Wielkim, będzie przez długi czas i z własnej woli Ludwikiem Milczącym.

ROZDZIAŁ DRUGI

KARDYNAŁ, CZYLI SZKOŁA ELEGANCJI I POLITYKI

Oto w jaki krzywdzący sposób określił Ludwika XIV Saint-Simon: „Obdarzony od natury umysłem mniej niż przeciętnym, potrafił przecie kształcić się, urabiać i wysubtelniać, ponadto umiał brać wzory z otoczenia, ale tak, że to nie czyniło wrażenia naśladownictwa, i wreszcie skorzystał nieskończenie wiele z obcowania przez całe życie z ludźmi, którzy, chociaż najrozmaitszego kalibru, wieku, rodzaju i płci odznaczali się wielkiem wyrobieniem duchowem." To ujęcie przeczy samo sobie. Bo i cóż znaczy „umysł mniej niż przeciętny"? Znaczy to poprostu zero kompletne, idjota, który potrafił się „wysubtelnić i urobić", a przedewszystkiem umiał z innych korzystać, lecz to nie było naśladowaniem! Rzecz wyglądała zgoła inaczej. Człowiek przeciętny lub głupi, może wszak naśladować tylko niewolniczo, wkłada na twarz maskę wypożyczoną, kopjuje mniej lub więcej niezgrabnie bliźnich swoich, ale swej własnej kultury duchowej nie zdobędzie nigdy. Zobaczymy jeszcze, ile dorzucił Ludwik XIV z własnych zasobów do tego, co mu przynieśli służalcy i nauczyciele. Był to poprostu genjusz, o zakroju swoistym i oryginalnym, była wcielona idea majestatu królewskiego, czego nikt, ani on sam nawet, nie dostrzegał. I tu jest racja, że ciągnął zyski, gdzie się dało i, jak powiada Saint-Simon, przedewszystkiem zawsze korzystał obficie z obcowania z ludźmi wyższego pokroju. Cenił niezwykle inteligencję i polot we wszystkich przejawach, pogardzał natomiast oszczercami i potwarcami, krytyką zawistną i rozkładczym pesymizmem. Był to orga-

nizator i budowniczy w pełnem słowa znaczeniu. Widział już naprzód wspaniałą wielkość dzieła powstającego, a gdy w takiej chwili pojawił się ktoś, kto śmiał wątpić, czy to się uda, król gniewał się niesłychanie. I na wszystkie sposoby dokładał starań, aby projekt urzeczywistnić. Jak zawsze u natur wybitnie kierowniczych, brał z ludzi wszystko co dać mogli, a czasem więcej jeszcze ponadto.

Wśród tych, którzy się przyczynili do ukształtowania królewskości Ludwika XIV wybitne miejsce zajmuje jego opiekun, kardynał Mazarini. Nie był on wcale genjuszem, natomiast odegrał w życiu króla rolę wielkiego inicjatora-przewodnika, a w pewnej mierze i ojca duchowego. Spotkanie się wzajemne obu tych ludzi było istotnie jakgdyby zrządzeniem Opatrzności.

* * *

Trzeba zgóry zaznaczyć: Ten przyodziany w purpurę Włoch, o formach gładkich, skrytych i spokojnych, był człowiekiem niezwykle uroczym, czarującym poprostu. Anna Austrjaczka doświadczyła szybko na sobie skutków tego czaru. Gdy Mazarini pojawił się po raz pierwszy na Radzie ministrów, starzy ministrowie Ludwika XIII byli wprost olśnieni. „Wysoki, postawny, przystojny człowiek, włosy kasztanowate, oko żywe i pełne inteligencji, ogromna słodycz w obliczu“ — tak go maluje w swych pamiętnikach Olivier d'Ormesson, obecny na tem posiedzeniu. Ten prałat, który był kiedyś kapitanem piechoty w wojsku papieskiem, odznaczał się manierami z najlepszego towarzystwa. Wychowany w Rzymie, w kolegjum jezuitów, dokończył studjów w Hiszpanji na uniwersytecie w Alcali, gdzie towarzyszył synowi swego protektora, młodemu Girolamo Colonna. Bywał w Rzymie, tym wszechświatowym ośrodku sztuki i cywilizacji, — bawił w Hiszpanji, kraju najbogatszym wówczas, najwystawniejszym i pod wielu względami najbardziej wyrafinowanym. Umiał zespolić wrodzony zmysł giętkości i niezwykłej bystrości z kulturą estetyczną, zmysłem rozkoszy, nauczył się używać życia, umiał je sobie urządzić wytwornie i porządnie. A ponadto zyskał swobodę bycia, wolną od oćmy starych przesądów jako człowiek, który wiele świata widział

i oddychał powietrzem krajów najbardziej „postępowych“ i najpiękniejszych. Słowem, było w tym człowieku coś tak bardzo wytwornego i tak nowoczesnego, że budził zgorszenie zarówno w paryskich kołach parlamentarnych jak i wśród twardogłowych wojaków z kampanji niemieckiej, katalońskiej czy flandryjskiej.

Zrazu lękano się tylko tego cudzoziemca, wkrótce jednak strach przeszedł w szał nienawiści. Nie czekano wcale Frondy, aby przeszukać jego przeszłość, wyśledzić pochodzenie. Wiedziano doskonale, że Giulio Mazarini to człowiek bardzo niskiego pochodzenia. Wkrótce jednak udało się kołumnjatorom poniżyć go jeszcze więcej. „Wiemy dobrze — pisze jeden z pamflecistów Frondy — że dziadek jego był ubogim kapelusznikiem i pochodził z Sycylji, lecz z powodu bankructwa musiał opuścić swą ojczyznę. Ojciec kardynała był jeszcze wówczas bardzo młody i z nędzy najął się do posług w Rzymie, czyścił mianowicie konie w pewnej stajni; dorobiwszy się później, został dozorcą i zarządcą domu u pewnej wybitnej osobistości (Philippo de Colonna, głowa znanego rodu), tam dawał sobie radę bardzo sprytnie i kręcił na różne sposoby. Wkrótce zbił tyle grosza, że mógł nabyć ajencję pocztową między Rzymem i Neapolem... Zmysł kupiecki kardynała i ziąb jego uczuć religijnych kazały przypuszczać, że był pochodzenia żydowskiego“. „Słyszałem o tem — zapewnia jeden mnich, pomocnik koadjutora kardynała de Retza — w naszych klasztorach włoskich, gdzie na wieść o niesłychanej karjerze Mazariniego, przypomnieli sobie tę rodzinkę bracia pochodzący z Italji. Podobno urodził się w Palermo, tak zapewniali, z ojca Pietra Mazariniego, który był handlarzem różańców i musiał uciekać z kraju z powodu bankructwa. Przodkowie tego Pietra pochodzili z miasta Mazarini (Mazzara?) na Sycylji, gdzie odprzysięgli się wiary żydowskiej.“

Nie wszystko prawda w tych relacjach. Najpierw rzuca się w oczy pomieszanie wyrazów handlarz różańców *(marchand de chapelets)* i kapelusznik *(chapelier)*. A potem znając choć trochę psychologję Mazariniego, zgodzimy się, że oskarżenie o judaizm jest bardzo znamienne i charakterystyczne. Bądź jak bądź, pochodził on z bardzo niskiego stanu. Syn zawiadowcy poczty, który został nietylko księ-

ciem kościoła (w tem nie byłoby jeszcze nic nadzwyczajnego), lecz prawdziwym władcą wielkiego państwa, kochankiem, a może i mężem królowej, który powydawał swoje siostrzenice za panujących i książąt krwi — ten parwenjusz jest wogóle doskonałym, obok wielu innych rzeczy, przykładem, pomieszania stanów i dowodem, jak w epoce *l'ancien régime* chamstwo rozpierało się i parło wzwyż bez granic. Jakkolwiek olśniewającą wyda się karjera wszechmożnego ministra, pochodzenie jego pozostanie zawsze tajemnicą. Już nawet po jego wejściu w wir życia politycznego brak odpowiedzi na różne wątpliwości. Czy był np. naturalizowanym Francuzem, jak się przypuszcza? Czy otrzymał święcenia kapłańskie? Czy wziął ślub kościelny z Anną Austrjaczką? Przeważnie trudno znaleźć na to odpowiedź. Historycy zapewniają, że w kwietniu roku 1639 otrzymał Mazarini dokument naturalizacji, wciągnięty w akta parlamentu w ciągu miesiąca czerwca tego roku. Natomiast po śmierci kardynała pisał Guy Patin do jednego z przyjaciół: „Odszukano tutaj, że kardynał Mazarini nie posiadał obywatelstwa francuskiego. Niektórzy sądzą, że miał zamiar zostać papieżem, w czemby mu przeszkodziła naturalizacja.“ Dzisiaj niesposób już rozstrzygnąć to wszystko. Podobnie ma się rzecz z święceniami kapłańskiemi. Ludzie dobrze poinformowani twierdzą, że je miał, przypominając tę szczególnie okoliczność, że Mazarini, zanim został kardynałem, otrzymał od papieża Urbana VIII kanonję u św. Jana Laterańskiego, w czem dowód, że musiał być księdzem, gdyż tylko ksiądz mógł zostać w Rzymie kanonikiem bazyliki. Dalej jeszcze Daniel de Cosnac zapewnia w swych pamiętnikach, że widział kardynała udzielającego ostatniego namaszczenia swej umierającej siostrzenicy, księżniczce Conti. W takim razie miał chyba sakrę kapłańską... A mimo to w czasach Frondy cały świat wierzył, że królowa połączyła się z kardynałem związkiem małżeńskim tzw. *mariage de conscience*, a ojciec Wincenty — późniejszy św. Wincenty à Paulo — zatwierdził go i ratyfikował. Jeśli tak było w istocie, tedy Mazarini nie mógł być księdzem, chyba żeby otrzymał dyspensę od papieża, co zdarza się niesłychanie rzadko i tylko w zupełnie rozpaczliwych wypadkach.

A pozatem nie istnieje, przynajmniej nie dochował się do dziś żaden dowód tego małżeństwa. Tyle wiemy, że królowa kochała się w kardynale bez pamięci. Byli-ż zaś oni kochankami w światowem znaczeniu tego wyrazu? Na podstawie korespondencji ocenić tego nie można, chociaż jest niezwykle czuła. Kochankowie, świadcząc sobie wzajemne uczucia, posługują się wyrażeniami konwencjonalnemi, których sens trudno ustalić dokładnie. Anna Austrjaczka była przecie dewotką, kardynał członkiem kościoła, więc wyrażenia miłosne, używane przez nich mogły mieć w tym wypadku podobne znaczenie, jak w książkach do nabożeństwa. W takim razie możnaby całą tę miłość uznać za czysto platoniczną, podobną do miłości brata królewskiego, Filipa, króla Hiszpanji, którego powiernicą duchową była siostra Marja d'Agreda, z celi klasztornej kierująca sumieniem tego monarchy. A mimo to listy Anny Austrjaczki i Mazariniego mają inną temperaturę i odrębny podźwięk od korespondencji Filipa IV z siostrą Marją. Jest w nich często mowa o „więzach, których nic rozerwać nie zdoła". Jeśli nawet przypuścimy, że więzy owe stanowiła czysta przyjaźń lub miłość platoniczna, to jednak pewnem jest, że królowa całem sercem oddała się temu uczuciu. Mazarini zachowywał się znacznie chłodniej. Tak się dziś wydaje. Przyjaciółkom, które wyrzucały królowej zajęcie się kardynałem, opowiadała Anna Austrjaczka na dowód niewinności swej, że ten piękny mężczyzna nie ma żadnej skłonności do kobiet, zarzut nieraz powtarzany przez pismaków i paszkwilistów Frondy. Jakże oddzielić w tem wszystkiem prawdę od oszczerstwa? Wydaje się rzeczą poniekąd oczywistą, że Mazarini z wdzięczności, chociażby za wielką miłość królowej, ślubował jej bezwzględne oddanie, na jakie tylko stać było wietrznika. Zapisuje on w swym dzienniku pod datą 20 i 21 maja 1643: „Chciałbym pełnić rolę Jej sługi domowego i trzeba koniecznie, aby jej Królewska Mość tak postanowiła... Zamierza Ona nadać mi stopień swego domownika, abym mógł mieć pokój w pobliżu Jej komnat i rozrządzał prywatną szkatułą Jej Król. Mości." — Zpoczątku tedy nie pragnął niczego więcej, jak tylko być służącym, zaprzysięgłym swej pani na wierność w każdej okoliczności. Przychodzi do niej z oddaniem, którego tak

skwapliwie pożądali w owych czasach suwerenowie, odosobnieni zupełnie mimo swej wszechpotęgi. I na tej właśnie niewolniczej prawie uległości, na absolutnem zaufaniu królowej buduje przenikliwy Neapolitańczyk swój przyszły los i potęgę.

A jak zachowywał się przyszły król wobec tego człowieka tyle giętkiego i tajemniczego? Musimy się ograniczyć do przypuszczeń, gdyż Ludwik XIV, niemniej skryty od swego ministra, nie raczył nigdy ujawnić swych uczuć osobistych. Możliwe, że zżymał się w głębi duszy na kardynała, który zrabował mu serce jego matki. Ale świadom był równocześnie, że może ufać bezwzględnie cudzoziemcowi, któremu zawdzięcza tron a może i życie. Szanował i cenił swego opiekuna bez granic, Mazarini zaś ze swej strony odnosił się do królewicza z ojcowską niemal pieczołowitością. On, królowa i król tworzą razem *trio* nierozłączne, związane rodzajem paktu rodzinnego. Cokolwiek myśli młody książę o kardynale, to jednak obowiązany mu jest za to, że dobro państwa stawia ponad wszystkiem innem. I spuszcza się na niego w zupełności. W korespondencji królowej i kardynała nosi Ludwik miano „zaufańca“. A ponadto podziwia roztropność i doświadczenie zręcznego polityka. Znowuż jako człowiek obdarzony zmysłem przepychu, dalej bardzo subtelnem odczuciem dzieł sztuki i rozkoszy doczesnych, czuje się doskonale w towarzystwie wspaniałego Włocha, wytwornego gładysza, który bywał w Rzymie i Madrycie i którego purpura kardynalska wnosi w brudną, mieszczańską przeciętność Paryża jasny odblask krainy splendorów i piękna.

Nie miał-że więc ten młodzian, lękliwy i wobec samego siebie nieufny, chłonąć chciwie nauk takiego mistrza?

* * *

Od pierwszych już lat swego ministrowania zamieszkał Mazarini w Palais-Royal w pobliżu królowej, później zajął apartament w Luwrze, ponad komnatami króla, tak że właściwie rzadko tylko przebywał we wspaniałym pałacu Tubeuf, wzniesionym i ozdobionym na jego rozkaz z niezwykłym przepychem, pałacu z którego powstał później Palais Mazarin. Przybytek ten stanowił dla kardynała rodzaj „Buen

Retiro" gdzie rad wypoczywał — jak mówi pani de Motteville — wpośród bezmiernych, tu nagromadzonych skarbów, a sam pałac przeznaczył na mieszkanie dla swych siostrzenic.

I tak żył sobie Ludwik XIV w ścisłej komitywie ze swym ministrem, który dla przyszłego władcy był jakby wzorem, stale obecnym przed oczyma. Można sobie wyobrazić, z jakim podziwem i ambarasem wchodził dość zarozumiały chłopak na pokoje wytwornego opiekuna i patrzył, jak Mazarini siedząc na fotelu, trzyma na kolanach dwie małpki, przebrane za damy dworu, i bawi się ich tańcami. W rogu pokoju dymią żarownice pełne kadzideł, a służba dorzuca do nich pastylki z ambrą i jaśminem. Latem stoją tu obyczajem włoskim na stołach chłodne napoje, sorbety, orszada z cytryn i pomarańcz, wszelakie rodzaje limonady. Tysiąc zapachów przerozmaitych wypełnia komnatę. Kardynał sam zlewa się bez miary perfumami, i, jak mówią, perfumuje nawet swoje małpeczki. Wieść głosi dalej, że to zakonnice włoskie przyrządzają dlań te wonne esencje, pomady i smary pachnące. Jego hiszpańskie rękawiczki napojone są piżmem, wąsy wywoskowane na końcach i zakręcone kunsztownie *de la bigotère*, wedle mody zaprowadzonej przez Filipa IV. Wstęgi i guzy, w jakie obfitował strój kardynała, dawały nieraz powód do obmowy. Ludzie surowych obyczajów oburzali się często, że Mazarini lubuje się w teatrze i operze, że lubi cudowną maszynerję i dziwy baletu. Otaczać się zwykł błaznami, śpiewakami, tancerzami i rozmaitem aktorstwem. Młody król szalał również z uciechy nad tem wszystkiem, wdzięczny niezawodnie swemu opiekunowi za tyle wytwornych upodobań. Natomiast mieszczuchy paryskie srożyły się bardzo na widok tej inwazji hiszpańskiego i włoskiego obyczaju, oskarżając kardynała o „życie w rozpuście". Trzeba czytać pełne furji listy takiego Guy'a Patin, z jakąż niesłychaną pogardą odnosi się on do delikatnego i perfumowanego księcia kościoła. Cały ten tryb życia wystawnego, ale niezbyt hałaśliwego na zewnątrz był dotychczas we Francji nieznany, łatwo więc pojąć, jak wiele oburzenia i zazdrości wywoływać musiał wśród olejkarzy z Marais-du-Temple, wśród urzędników z placu Maubert. Wszakże dla tych ludzi szczytem roz-



KARDYNAŁ MAZARINI

koszy było, gdy mogli latem przy pięknej pogodzie przejechać się w niedzielę na starej szkapie do swych ogrodów w Suresnes lub Bagnolet i tam dzień cały strawić na zbieraniu porzeczek lub obrywaniu czereśni z drzewa.

Życie kardynała nie ograniczało się jednak do samych uciech frywolnych. Był to człowiek bardzo kulturalny, znał się na książkach, rzeźbach, obrazach i wszelkich dziełach sztuki, i jak wszyscy jego rodacy miłował szczególnie budownictwo. Posiadał słynną bibljotekę i równie słynne stajnie. Przezywano go nawet w czasie Frondy „budowniczym stajen" i „człowiekiem z bibljoteki". Zakupiony przez się pałac Tubeuf przemienił w istne muzeum. Wytykano mu to w parlamencie w sposób bardzo niemiły. Purytańscy janseniści opowiadali o „bezwstydnej nagości" posągów, wyliczając dokładnie, że jedna z tych figur antycznych kosztowała ponad dziesięć tysięcy franków. Wytykano mu gabinety z drzewa hebanowego, stoliki marmurowe, „wycięte w kształcie ptaków", oraz inne, do których ozdoby użył „złota i drogich kamieni w cudownym zespole", inne znowu były wykładane mozajką, miał zwierciadła i porcelanę z Wenecji, łóżka z kości słoniowej itd.... Nakoniec mebel zupełnie już skandaliczny, prawie djabelski: „W ustronnej części domu było krzesło tak urządzone, że gdy kto na niem usiadł i pociągnął za sznurek, tajemna sprężyna poruszała krzesłem w górę lub na dół, wedle życzenia". Chodziło tu niewątpliwie o windę, jaką pono Mazarini kazał zbudować w swym pałacu. Rozpustny Włoch wynalazł ją tedy na dwieście lat przed naszymi inżynierami.

Nietylko w budowlach kochał się kardynał, lecz również w wielkich festynach. Urządzane przezeń w ostatnich latach życia wspaniałe asamble dają już przedsmak późniejszych przesławnych tego rodzaju widowisk w Wersalu. Jak był skromny i kutwa w życiu prywatnem, tak w występach publicznych lubił błyszczeć przepychem, gdy tak wypadło. Między innemi panna de Montpensier pozostawiła nam opis nadzwyczajnie wytwornej uroczystości, urządzonej przez kardynała w zimie roku 1658. Wydał on mianowicie uroczysty, połączony z loterją obiad, na cześć Ich Królewskich Mości Królowej i Księżny angielskiej. Główną galerję pa-

łacu wypełniła wystawa zbytku drogich kamieni, jakie sobie tylko wyobrazić można, biżuterje, meble, materje, szkatułki, chińskie wazy, kryształowe świeczniki, srebrne zastawy, perfumy, rękawiczki, wachlarze... Wszystko razem wartości co najmniej czterystu lub pięciuset tysięcy franków... Ta wystawność niesłychana wzbudziła wiele wrzawy tak we Francji, jak zagranicą, gdyż była istotnie czemś niebywałem.

Nie cofał się więc kardynał przed wydatkami, ilekroć chodziło mu o to, aby omamić i podbić opinję publiczną. Tę naukę wspominał nieraz Ludwik XIV, jak wspominał urządzoną przez swego opiekuna loterję, ową włoską nowość, którą on później zaprowadzi w Wersalu. Razem wziąwszy, zarówno w tych jak w wielu innych sprawach, od skłonności do perfum zaczynając, poprzez zmysł dla architektury, obrazów, posągów, mebli wspaniałych, aż do sztuki życia dostatniego, był ten wielki król uczniem Mazariniego. Genjalnym wprawdzie, ale jednak uczniem.

* * *

Na innym, bardziej osobistym odcinku, wpływ mistrza nie ulega również wątpliwości. Istniało niezawodnie wiele podobieństwa moralnego między nimi, jakkolwiek różnice charakterów występują bardzo ostro w całym szeregu wypadków. Tak naprzykład Ludwik XIV był, cokolwiekby się o tem sądziło, człowiekiem nawskroś religijnym. Natomiast religijność kardynała pozostaje pod wielkim znakiem pytania. Wrogowie jego powtarzali, że chrześcijaninem okazywał się tylko nazewnątrz, gdyż zarówno jego etyka jak polityka były zgruntu pogańskie. „Podejrzywano go, pisze pani de Motteville — o brak zasad religijnych. Na jego młodość padał gruby cień fatalnej osławy, jakiej zażywał we Włoszech, a także, jak już raz wspominałam, nie ujawniał wielkiej czci wobec największych tajemnic wiary.“ Znaczyłoby to, że był libertynem? Nie znamy wypadków z życia kardynała, któreby upoważniały do podobnego twierdzenia. Jedno jest pewne: nie odznaczał się żarliwą pobożnością, a śmierć jego nie była szczególnie budującą. Umierał w sposób zaledwie przyzwoity. Książę de Choisy posuwa się jeszcze dalej, mówiąc: „Umierał raczej

jako filozof, niż jako chrześcijanin, wśród zadziwiającej równowagi duchowej, która wynikła, jak sam mówił, stąd, że jego przeszłe życie było bez winy.“

Zupełnie inaczej schodził ze świata Ludwik XIV. Być może za przykładem kardynała, nabrał on wielkiej podejrzliwości w stosunku do pobożnisiów, od których trzymał się zdaleka. Mazarini już od początków swego ministerstwa miał koła klerykalne przeciw sobie. Zauważa też gdzieś w swym dzienniku: „Wszystkie klasztory są przeciwko mnie, szczególnie zaś klasztor Val-de-Grâce.“ A dalej: „Wogóle zasady klerykałów są niewiele warte, gdyż w gruncie rzeczy, pod pozorem służby Bożej zwracają się przeciw interesowi państwa. W czasie trwania Regencji, pod której adresem wysuwa lud, wielmoże i parlament tyle niezwykłych żądań, w chwili, kiedy Francja ma na karku największą z wojen, jakie kiedykolwiek prowadziła, — rząd absolutny jest koniecznością... Królowa nie może się zdecydować... Podporządkowuje ona sprawę publiczną sprawom swoim domowym i osobistym, a szczególnie uczuciom religijnym, gdy w rzeczywistości należałoby działać naopak... Rządy w państwie i wychowanie króla, oto powinności, którymby się oddać powinna. I o tem niech będzie przekonana: więcej spodoba się Panu Bogu chwila jedna, poświęcona tym obowiązkom, niż całe godziny modłów, biegania po kościołach, kazaniach i nieszporach.“

Brzmi to bardzo po kacersku, pod względem politycznym wszelako miał zupełną rację Mazarini, przeciwstawiając się klice bigotów. Chciano przecież doprowadzić do tego, by Francja pogodziła się znów z Hiszpanją i ogłosiła nową krucjatę przeciw Turkom i protestantom. Odnowić jedność chrześcijaństwa w obliczu heretyków i niewiernych, oto cel, do którego się otwarcie przyznawali. Ale następca Richelieu'go był zbyt trzeźwy, by się dać wplątać w podobne awantury. A Ludwik XIV był zupełnie tego samego zdania. Za przykładem kardynała miał się stale na baczności wobec wszystkich zamierzeń klerykalnych, broniąc skwapliwie idei państwa świeckiego od zakusów i podszeptów ultramontańskich. W odróżnieniu atoli od swego opiekuna odznaczał się wielką pobożnością. A nawet okazywał tyle

pociągu do matczynej dewocji, że to aż niepokoiło kardynała, który nie pragnął przecie, aby jego pupil dał się wkońcu omniszyć. W dniu św. Ludwika w r. 1648 w kościele jezuitów król był przytomny panegirykowi, wygłoszonemu ku czci tego świętego przez koadjutora Paryża. Za myśl przewodnią kazania wziął kaznodzieja słowa: *Audi, fili mi, disciplinam patris tui.* (Wysłuchaj, synu mój, nauki ojca Twojego). I w ciągu całego kazania zachęcał młodego księcia, aby stał się wyłącznem narzędziem na usługach religji i pozwolił mieszkać królowi Jezusowi-Chrystusowi zarówno w swem królestwie jak w swojem sercu... Nie wsmak poszło to kazanie Mazariniemu, znalazł w niem nawet pierwiastki buntownicze. Mówcą owym był przyszły kardynał de Retz, okoliczności zaś miały wkrótce nadać tej lekcji z ambony bardzo groźny charakter. Drobne to wydarzenie jest obok wielu innych przecenną wskazówką dla poznania psychologji kardynała.

Owe rozmaite dążności i zamiłowania duchowe musiały wycisnąć piętno niejakie na wychowaniu króla. Istnieją ponadto inne analogje pomiędzy nauczycielem i uczniem, świadczące mniej lub więcej o świadomym wpływie jednego na drugiego. Mało pobożny książę kościoła przywiązany był niezwykle do dóbr doczesnych i miłował pieniądz nadewszystko. Brienne opisuje w swych pamiętnikach scenę, jak to na krótko przed śmiercią chory Mazarini, wsparty na lasce, przeszedł w pantoflach po raz ostatni przez swą wspaniałą galerję obrazów, gdzie w obliczu tylu kosztownych dywanów, rzadkich dzieł sztuki, wydarło mu się bolesne westchnienie: — „I powiedzieć, że wkrótce będę musiał się z tem pożegnać!“ — Z pomiędzy wszystkich atoli skarbów przemijających najwyżej sobie cenił kardynał zdrowie. Troszczył się o siebie z niezwykłą starannością, wierząc ślepo i niewolniczo lekarzom, którzy go też, podobnie jak Ludwika XIV, przedwcześnie wtrącili do grobu. Osłabiali go, jak i tamtego, przez nieustanny upust krwi i środki przeczyszczające, tak iż blady człowiek nie miał wreszcie ani kropli krwi w żyłach, a bezkrwiste ciało rozpadało się samo. Uda okryły się sinemi plamami, nogi zaczęły puchnąć i daremnie okładano je, jak pisze Guy de Patin, kompresami

z końskiego łajna. W czasie ostatniej choroby lejbmedyk królewski, Vallot, kazał mu dawać sześćdziesiąt razy na przeczyszczenie, po dwie garście liści senesu i dwanaście uncyj manny każdym razem! Sześćdziesiąt razy na przeczyszczenie! Przecieramy oczy jak ze snu, czytając te potworne szczegóły i rozumiemy, czemu to Mazarini na łożu śmierci zarzucał Vallot'owi, że jest przyczyną jego śmierci.

A jeśli Ludwik XIV był również nad miarę posłuszny zaleceniom lekarzy i wierzył zbyt ślepo medycynie, to zapewne metoda jego ministra nie pozostała w tej mierze bez wpływu. A jeśli kochał pieniądz i łapczywie go gromadził i chłonął namiętnie uciechy świata, to rzec może i tu na swe usprawiedliwienie, że szedł śladami kardynała.

* *
*

Nietylko wpływ mniej, czy więcej bezpośredni, mniej czy więcej świadomy i upragniony, daje się zauważyć w stosunku wzajemnym Mazariniego i Ludwika XIV, lecz również systematyczna nauka. W całem słowa znaczeniu udzielał minister lekcyj polityki swemu władcy, który okazał się bardzo pojętnym uczniem takiego mistrza.

Ambasador wenecki pisał w r. 1660 temi słowy do swego rządu o królu francuskim: „Cała sympatja królewska zdaje się być po stronie kardynała. Za mało byłoby powiedzieć, że król uważa go za przydatnego i nieodzownego ministra swego, darzy go łaską z interesu, zostawia mu władzę z konieczności. Należy bowiem podkreślić, że pomiędzy obydwoma istnieje t a j e m n a s y m p a t j a, rodzaj podległości duchowej, za sprawą której genjalny ten osobnik oddziaływa na poczynania wielkiego władcy... Kilka razy w ciągu dnia widuje się król ze swym ministrem. We wszystkich sprawach, chociażby najdrobniejszych i najściślej osobistych, słucha jego wskazówek, a nawet, rzekłbyś, jego przepisów. Mówić z królem o sprawach państwowych, prosić go o łaskę, odsyła wszystkich do kardynała. Najwięcej co zrobić może, to jeśli się za kimś u niego wstawi... Gdy tylko król wstanie z łóżka, idzie szukać kardynała bez

względu na to, czy ten znajduje się w Luwrze, czy też cofnął się w zacisze swego pałacu. Odbywa się to bez żadnej etykiety, w sposób zupełnie familjarny. Kardynał ani nie wychodzi królowi naprzeciw, na powitanie, ani też nie odprowadza go na pożegnanie do drzwi. Jeśli jest zajęty, król czeka cierpliwie w przedpokoju. Jeśli się odbywa Rada ministrów, zabawi chwilę, powie „dzień dobry“ ministrowi i odchodzi. Zazwyczaj jednak rozmowa ich trwa dobrą godzinę, w tym czasie kardynał informuje króla o wszystkiem, wpaja mu swoje poglądy tak dokładnie, iż Jego Król. Mość po otrzymaniu tylu ścisłych wiadomości i zdecydowanych poglądów z ust tak wybitnego człowieka stanie się napewno bardzo wielkim monarchą — o ile się jeszcze raz nie dostanie pod rózgę jakiegoś innego ministra.“

Ustęp powyższy jest ogromnie ciekawy, przynosi bowiem szereg rewelacyjnych wiadomości o osobie Ludwika XIV. Przybysze weneccy patrzyli niechybnie i jaśniej i głębiej, aniżeli ówcześni Francuzi. Istniała bezwątpienia „tajemna sympatja“ pomiędzy królem i opiekunem, krewieństwo ducha i usposobienia. Tak syn Anny Austrjaczki jak wnuk Marji de Medici mieli w sobie trochę włoskiej i trochę hiszpańskiej krwi. Dzięki temu mógł się Neapolitańczyk Mazarini, poddany Króla Katolickiego, lepiej porozumieć z francuskim królewiczem. Istniała też pomiędzy oboma „podległość inteligencji“. Nic w tem dziwnego, jeśli się zważy, że młody monarcha był z jednej strony przeświadczony o swem dostojeństwie i osobistej wartości, z drugiej zaś skromny i wcale niedufny w siebie. I to też wcale naturalne, gdy dwudziestodwuletni książę, pragnąc się poduczyć swego fachu, idzie na naukę do jednego z najwalniejszych polityków swej epoki. Jest atoli Ludwik uczniem niecierpliwym. Nie może się doczekać, kiedy wreszcie sam rządzić zacznie. Cała Francja czeka, wpatrzona weń. Zgraja wrogów Mazariniego zaczyna szczuć króla przeciw niemu. A mimo to pozostawia go król u władzy, co więcej, słucha z uległością. Ambasador wenecki przypuszcza, że dzieje się to albo ze strachu, albo z konieczności: król lęka się, że jeśli zbraknie ministra, Fronda może na nowo podnieść głowę. Lecz również czyni to z innego powodu: z wdzięczności, z głębokiej czci i po-

dziwu dla wielkich talentów politycznych kardynała. Wkońcu podkreślić trzeba raz jeszcze dobroduszny sposób i serdeczny ton, z jakim przyszły autokrata zadaje się ze swym ministrem. Poprostu i serdecznie czeka cierpliwie w przedpokoju swego własnego pałacu. Wchodzi i wychodzi, niby pierwszy lepszy, jak gdyby zrzucił z serca wszystką pychę i miłość własną. Jakże bardzo różni się król w tem przedstawieniu od Ludwika XIV, jakiego nam zwykł malować konwenans dziejopisarski. A respekt i uległość okazywana i przyznawana we wszystkiem temu starcowi, któremu wszak tyle zawdzięczał, przynoszą wielki zaszczyt charakterowi Ludwika XIV.

Wypada jeszcze podkreślić, że szczegóły opowiedziane przez ambasadora weneckiego, dotyczą roku 1660, a więc działo się to na rok przed śmiercią kardynała. Dopiero *in extremis* zdecydował się Mazarini wyjawić królowi tajemnice stanu. Źródła współczesne twierdzą zgodnie, że stało się to zbyt późno. Czyż przypuszczać należy wobec tego, że Mazarini zaniedbał troski o wychowanie polityczne króla, tak jak nie troszczył się wogóle o jego edukację? Jak się rzeczy miały z tą edukacją, słyszeliśmy już wyżej. U natur tak skomplikowanych, jaką miał ten prałat rzymski, raczej strzec się należy rozstrzygnięć nadto stanowczych. Można odpowiedzieć „nie“ i można odpowiedzieć „tak“. A może go też wytłumaczyć chwiejna i niestała pozycja, którą zajmował u dworu francuskiego jako minister cudzoziemski. Wszak cała potęga Mazariniego wspierała się o miłość królowej i o wdzięczność królewicza, uczucia zmienne i ułomne niezwykle. Polityka zaś osobista kardynała polegała na tem, aby się okazać niezbędnym lub lepiej jeszcze groźnym wobec swych popleczników. Trzeba więc było starać się, aby król nieprędko mógł się obejść bez jego dorady. A na wypadek, gdyby miał złożyć swą władzę, myślał Mazarini o dodaniu królowi mentora, podzielającego w zupełności jego poglądy i zasady. Był nim siostrzeniec kardynała, młody Alfonso Mancini. Atoli śmierć porwała go przedwcześnie, niwecząc nadzieje kardynała. Skądinąd ten świetny znawca ludzi zbyt był przenikliwy, żeby nie domacać się u młodego króla gwałtownej żądzy władzy, schowanej pod maską milczenia

i uległości. Pewnego pięknego poranku mógł wszakże król podziękować mu za dotychczasowe usługi. Wiedział o tem dobrze. Czyż nie lepiej tedy, nie dać się uprzedzić i uczynić z monarchą to samo, coby ten, wcześniej czy później, z nim uczynił?

A zresztą krok za krokiem dochodził Mazarini tajemnicy tego nierychliwego usposobienia króla. Przeczuł, co się urodzić może z tej ciąży bardzo powolnej. Znane jest jego powiedzenie do marszałka Villeroy. Pewnego dnia, w czasie audjencji, udzielonej przez króla deputatom Stanów burgundzkich, rzecze Mazarini do guwernera księcia: „Czy pan zauważył, panie marszałku, że król zwykł słuchać tonem władcy, a przemawiać tonem ojca? On wejdzie na swą drogę późno, ale dojdzie dalej, niż ktokolwiek inny.“ — Tu możnaby też wspomnieć o innych słowach, wypowiedzianych przez kardynała do marszałka de Gramont, bo i tego również wprowadzić musiała w błąd pozorna drętwość umysłu królewskiego. „Ach! panie marszałku — wykrzyknął Mazarini — pan nie zna go zupełnie! Wszakże to materjał, z którego można zrobić czterech królów i jednego przyzwoitego człowieka.“ — Mimo to Ludwik XIV nie czekał chwili, w której kardynał zechce zawezwać go do zajęcia się sprawami państwa i zapoznania się z obowiązkami, które do króla należą. Z własnego popędu zaznajamiał się ze wszystkiem, rozpytywał u ludzi kompetentnych, starał się wydobywać tajemnice stanu od posłów zagranicznych, słowem wszędzie i ze wszystkiego starał się odnieść korzyści.

* *
*

Szczęście to było ogromne, że Ludwik XIV znalazł takiego preceptora. Nikt lepiej od Mazariniego nie znał ówczesnej polityki europejskiej, ani tak zwanych „tajemnic dworskich“, ani arkanów zawsze tajemniczej polityki papieża. Z urodzenia poddany hiszpański, który ukończył wszechnicę w Alcala, który władał językiem tego kraju, oswoił się wcześnie z systemem i podrywkami madryckiej dyplomacji, niezawodnie wówczas najbardziej szczwanej i najmniej sumiennej w całym świecie chrześcijańskim. Mazarini był wice-legatem papieża w Awinjonie, a potem

nuncjuszem w Paryżu. Wychowany, rzec można, na obroku kurji rzymskiej, przepatrzył wszystkie jej drogi i bezdroża. Zaczem wtajemniczył swego elewa w niektóre podstawowe zasady polityki pontyfikalnej, która odziedziczyła mądrość tysiącletnią, opierającą się wyłącznie na prestiżu ducha, prestiżu, którym zawsze Rzym szachował przemoc brutalną. Zobaczymy jeszcze, jak Ludwik XIV potrafi korzystać z tej nauki. Młodziutki monarcha dowiedział się od włoskiej Eminencji, ile można zyskać w życiu, jeśli człowiek jest roztropny, umie czekać cierpliwie, ma stałość przekonań i umie przewidywać, nie zdając się na los szczęścia. Miarkował też, jak często wielki i dokładnie przemyślany projekt może ulec zmianom albo wskutek zbiegu okoliczności, albo doświadczeń praktycznych i wtedy dopiero odnosi zwycięstwo. U Mazariniego rzymska iście lotność i wytrwałość połączyła się z wigorem włoskiego realizmu. Nieprzyjaciele wyrzucali mu machiawelizm, w istocie też był on uczniem Machiawella w najlepszem tego słowa znaczeniu. Ten zdrów i mocny realizm polityczny przeciwdziałał skutecznie niebezpiecznym wpływom błędnej polityki francuskiej, a szczególnie jej wypróchniałemu idealizmowi, zbytkowi logiki abstrakcyjnej i sentymentalizmu, który był nierównie gorszy od najsroższych okrucieństw.

W czasie nauki miał Ludwik XIV nie raz i nie dwa sposobność przekonać się, jak niezwykle zręcznym był kardynał mężem stanu. Mazarini nietylko znał świat dobrze, ale też w czasie swej prałatury rzymskiej mógł w owem centrum religijnem, gdzie zbiegały się wszystkie sprawy chrześcijaństwa, zdobyć sztukę patrzenia na życie z ogólnoświatowego punktu widzenia. A równocześnie potrafił znakomicie naginać swą politykę do wymagań francuskiej racji stanu. Mimo to nie cieszył się bynajmniej popularnością we Francji, gdzie oddawna istniało bardzo silne uprzedzenie przeciw księżom-ministrom. Wszakże już młody Richelieu, gdy był jeszcze zwyczajnym biskupem w Luçon, protestował energicznie przeciw temu uprzedzeniu w mowie na zamknięcie Stanów Generalnych z r. 1614. Powiedział wówczas między innemi, że duchowni nadają się najlepiej do rządów, a to dzięki swemu wychowaniu i pozycji. Odzna-

czają się wszakże inteligencją i wykształceniem starannem, świetnie znają się na ludziach, a jako ministrowie są bezinteresowni. Ale nic na świecie nie było w stanie osłabić nieufności Francuzów. I też Ludwik XIV, zgodnie z życzeniem narodu, nie mianował nigdy księży ministrami. Widząc Mazariniego przy robocie, obawiał się ten autokrata zetknięcia z indywidualnością, która może zniszczyć jego potęgę, a pozatem uważał, że osobnicy, utrzymujący stosunki z obecnemi mocarstwami nie dają gwarancji patrjotyzmu francuskiego. Ale więcej niźli to wszystko, przerażały króla więzy narzuconej mu przez Mazariniego podległości, więc strach go brał odtąd zawsze na widok fioletowych kapeluszy.

Na czem zaś polegały nauki, udzielane królowi przez kardynała? Wrogowie Mazariniego twierdzą, że ograniczały się do minimum. Ks. de Choisy opowiada w swych pamiętnikach: „Słyszałem od marszałka de Villeroy, który był przy tem, że cała nauka obracała się dokoła kilku zasad ogólnych, jak np.: możnowładców i książęta krwi mieć za nic, za psie pomiotło, — nie poufalić się z dworem — wobec suplikantów zachowywać się surowo — rozwijać sztukę obłudy, której natura tyle królowi użyczyła — zachowywać w bezwzględnej tajemnicy sprawy państwowe — dużo obiecywać, dotrzymywać mało — nie być okrutnym. Brać pieniądze — mawiał kardynał do króla, — natomiast oszczędzać krew.“ — Mamy tu wiele powiedzeń oklepanych, ale są też i rady bardzo pożyteczne. Najskwapliwiej usłuchał król rady, zalecającej mieć za nic wielmożów i arystokrację. Potomek Burbonów i Habsburgów był w gruncie takim samym zwolennikiem równości, jak kardynał, ten plebejusz, który wyszedł ze stajni pocztmistrza, a później przyjął do swego herbu rózgi liktorskie i siekierę rewolucyjną. Na długo przed rokiem 1793 zawisł ten symbol przewrotu ponad portalem Palais Mazarin i wisi jeszcze dziś nad *Collège des Quatre Nations*. Z tą tylko różnicą, że czerwoną czapkę jakobińską zastępuje tam kapelusz kardynalski.

Rozsądniej atoli przyjąć, że Mazarini nie poprzestał na tych ogólnikowych zaleceniach. Młody król tak był chciwy wiedzy, że zapewne domagał się więcej i pod przewodem

kardynała zyskał nietylko wgląd w bieżące sprawy państwa, lecz poznał również wielkie problemy, zaprzątające ówczesną politykę europejską. Opowiadają, że kazał zapisać wskazówki, udzielone mu przez Mazariniego na łożu śmierci, aby je rozważyć dokładnie. Nie przykładałby do nich tyle znaczenia, gdyby się ograniczały do komunałów. Razem wziąwszy, król cenił w najwyższym stopniu rozum polityczny swego obrońcy i do ostatnich chwil dawał mu dowody jak najdalej posuniętej uległości. A mimo to czuł w sobie dość zadatków na monarchę i władcę. Tem bardziej, gdy dowiedział się rzeczy, które mogły go oburzyć do żywego i zrazić zupełnie do kardynała. A więc: że ma na sumieniu rozmaite szelmostwa, że robi podejrzane interesy z dzierżawcami ceł, że spekuluje na dostawach dla wojska, że trudni się tajemną szacherką, handluje antykami, sprzedaje drogie kamienie i obrazy. Król wszelako traktował te rzeczy rozsądnie, uważając, że największą zaletą u ministra jest piecza nad sprawami państwa. A że sobie przytem sprytny Włoch trochę ponapycha kieszenie, cóż to szkodzi ostatecznie? Wszakże zbawił monarchję i tyle uczynił dla zwiększenia potęgi Francji!... Niemniej jednak młody monarcha zaczynał już mieć trochę za wiele tej ciągłej opieki. Świadkowie współcześni stwierdzają zgodnie, że czas był najwyższy, aby Mazarini zeszedł z tego świata.

Umierał, jak mówią, w przekonaniu że został papieżem. Tiara papieska bowiem była jedyną, jego zdaniem, zaszczytną furtką, przez którą mógł wyjść i pożegnać się z ministrowaniem. Jakiś czas przedtem pieściła go myśl, aby sejm frankfurcki obwołał Ludwika XIV cesarzem. Wówczas zdawało się przez chwilę młodemu suwerenowi, że wraz z swoim ministrem realizują marzenie wieków średnich: Papież i Cesarz, owe „dwie połowy Boga“, zjednoczyli się do wspólnych rządów nad światem chrześcijańskim! Ale to był tylko sen. Król francuski nie mógł zostać cesarzem niemieckim. Ludwik XIV wiedział o tem dobrze. A Mazarini, zasiadłszy na tronie Piotrowym, nie mógł stać się papieżem francuskim. Bądź jak bądź, te wspaniałe, szybko przemijające obrazy zostawiały po sobie ślad jakiś w mózgu królewskim. Uskrzydlały one choć trochę przyziemny nazbyt realizm

posunięć politycznych Mazariniego. Król arcychrześcijański umiał zawsze bronić swych praw i zachować hardą postawę wobec Pontifeksa w Rzymie. A chociaż pojął szybko, że marzenia imperatorskie kosztowałyby więcej, niż były warte, pozwalał mimo to chętnie mówić i wierzyć — zpoczątku przynajmniej — że godny jest cesarskiej korony.

ROZDZIAŁ TRZECI

MARJA MANCINI, CZYLI SZKOŁA MIŁOŚCI

Pod kierunkiem kardynała i dzięki swym własnym zaletom nabierał król coraz więcej rozgarnienia i mądrości. Wszystko składało się na to, aby zeń wyrósł człowiek na serjo, z charakterem. Najpierw dzieciństwo spędzone w atmosferze przykrej i niezabawnej, pod opieką matki gnuśnej i zalotnej a ministra zajętego wyłącznie sprawami państwowemi, dalej upokorzenia, jakich doświadczył w czasie Frondy, potem ucieczka do Saint-Germain i błąkanina po bliskiem zguby królestwie, nareszcie zdrada ohydna ze strony zarówno własnych krewnych jak i pierwszych dygnitarzy państwa. Coraz więcej i więcej odczuwał potrzebę przygotowania się do trudnych obowiązków swego stanu. Pod okiem marszałka Turenne zaprawiał się do zawodu żołnierza i naczelnego wodza. Doświadczył zbliska grozy wojny, a przekonawszy się, ile ofiar kosztuje wygrana bitwa lub zdobycie miasta, nauczył się ekonomiczniej szafować krwią, którą przelewać zań miały jego wojska. Mazarini ze swojej strony wtajemniczał go w tajemne arkana polityki. Zawarte ostatnio przez Francję traktaty pokojowe umocniły wprawdzie jej pozycję na świecie, mimo to jednak wrogowie nie złożyli broni. Najgroźniejsza z nich Hiszpanja zagrażała wciąż północnym granicom, położonym przecie tak niedaleko od stolicy kraju. Ks. Condé zdradził króla i ojczyznę, przeszedłszy do obozu hiszpańskiego. Wszystko to musiało napawać Ludwika XIV głęboką troską.

W tym czasie — a rok miał właśnie osiemnasty — bawił prawie bez przerwy wśród swoich wojsk w polu. Pojawiał się często pomiędzy żołnierzami, zachodził do okopów,

wystawiając się odważnie na niebezpieczeństwo. Chciał pokazać, że jest dobrym żołnierzem i nie boi się niczego. Życie obozowe, stale pod gołem niebem, wpłynęło bardzo widocznie na jego wygląd. Gdy panna de Montpensier przybyła w r. 1657 w czasie oblężenia Stenay i Montmédy do Sedanu z zamiarem pogodzenia się z rodziną królewską, Anna Austrjaczka uważała, że trzeba jej koniecznie zwrócić uwagę, że król nie jest już tak pięknym chłopcem, jakim bywał niegdyś. „Powiedziała mi królowa — słowa jej pamiętników — że znajdę w nim wielkie zmiany, że stał się taki gruby, taki wielki i zbrzydł okropnie!...“ — Wkrótce potem przyjeżdża Ludwik XIV do Sedanu. — „Królowa — pisze dalej p. Montpensier — oczekiwała go z obiadem. Przypędził galopem, przemoczony do nitki i uchlastany błotem, tak, że królowa zobaczywszy go z okna, powiedziała do mnie: Wolałabym, żeby go pani zobaczyła dopiero wtedy, gdy się przebierze. Odparłam, że to nie ma dla mnie znaczenia. Przyszedł więc do nas, a chociaż był bardzo zaniedbany, znalazłam przecie, że wygląda doskonale.“ Młody wojownik, chociaż tak chętnie pokazywał się w zabłoconych butach wojskowych, zziajany i cuchnący prochem, nie odczuwał zbytnio ponęt sławy żołnierskiej: trawiła go wówczas budząca się żądza zmysłów. Już miał kilka przelotnych miłostek poza sobą. Zarówno z młodzieńczej próżności jak dla konwenansu zapragnął przyswoić sobie ogładę towarzyską i nabrać dobrych manier. Żeby zostać kawalerem nienagannym i doskonałym, w każdym calu wytwornisiem. Dlatego bywa często w Luwrze u siostrzenic kardynała, które prowadziły salon na stopie książęcej i podejmowały u siebie tylko ludzi z najwyższego towarzystwa. Te upodobania młodzieńca były najzupełniej naturalne i rozumiały się same przez się. Nagle atoli gwałtowna namiętność wstrząsa spokojnem i naogół unormowanem życiem. Namiętność istotnie groźna: mogła ona była zburzyć i zniszczyć nietylko jedno serce, lecz wszystko wogóle, a Francję postawić w obliczu strasznej katastrofy. Zniszczeć były mogły docna owoce polityki Mazariniego, Fronda podniosłaby głowę na nowo, a król wraz z Francją całą stoczyłby się w przepaść ostateczną. Gdyż ten młodzieniec, poza-

tem tak rozgarniony, gotów był zapomnieć o wszystkiem w ramionach kobiety nietylko wybitnie narwanej, lecz również najniebezpieczniejszej i najbardziej złowrogiej wśród tych, jakie kiedykolwiek spotkał w życiu.

* * *

Historja to dosyć znana, więc nie będę jej tu opowiadał szczegółowo, ograniczę się jedynie do zbadania wewnętrznego związku i uczuć obojga kochanków, a potem wyjaśnię, jaki też wpływ wywrzeć miał ten namiętny epizod na dalsze życie miłosne króla.

Marję Mancini poznał Ludwik XIV, jak wiadomo, w czasie choroby swej matki, która wkrótce potem umarła. Idąc dnia pewnego w odwiedziny do łoża chorej, musiał przejść przez pokój, w którym Marja znalazła się niby przypadkiem. Zajął się on był niedawno i to dość znacznie siostrą starszą Marji, pyszną i dumną Olimpją, która w rok później miała poślubić hrabiego de Soissons. Ale Olimpja była równie głupia jak zła. Nazywano ją też głupią gęsią. Odstręczyła też króla od siebie swą wyniosłą zuchwałością. Król, mając ogromnie wiele delikatnego wyczucia wdzięku, zakochał się odrazu w Marji Mancini, jakoże była, jego zdaniem, bardzo inteligentna i też bardzo nieszczęśliwa. Panna Mancini skorzystała z tego wlot, pozwoliła się najpierw żałować, potem uwielbiać, aż się z tego wywiązało uczucie szalone aż do obłędu.

Kimże była ta kobieta, ta wyidealizowana nazbyt przez legendę, a wiecznie chciwa skandalu, kochanka królewska, której życie całe upłynęło wśród dzikich awantur? Przyszła na świat w Rzymie, — jak sama opowiada w swej „Apologji“, — była córką Małgorzaty Mazarini, siostry kardynała, i Lorenza Mancini. Ojciec jej, szlachcic rzymski, miał ośmioro dzieci, pięć córek i trzech synów. Marja była trzecią z rzędu i zdaje się najbrzydszą ze wszystkich. Matka już od kołyski nie mogła znosić córki, snać istniały jakieś nieznane nam i tajemnicze powody tej nienawiści. Brzydota Marji była tu chyba tylko pozorem. Ojciec, który był zapamiętałym astrologiem, postawił córce, jakgdyby dla uzasadnienia nienawiści matczynej, horoskop i przepowiedział,

„że stanie się powodem wielu nieszczęść?“ Już tedy od dziecka uchodziła Marja za stworzenie szkodliwe i niebezpieczne. Jakoś wcześnie dał się poznać ten zły charakter, gdyż rodzice starali się pozbyć jej z domu jak najprędzej. Oddano ją do klasztoru w Campo-Marzio, gdzie jedna z jej ciotek była przeoryszą, rodzina przypuszczała zrazu, że zostanie zakonnicą. Tedy wbrew jej własnej woli musiała żyć czas jakiś za kratą. Widocznie ciążyło nad nią jakieś przekleństwo. Świat nie chciał o niej nic wiedzieć, a ona właśnie tęskniła do świata. I przez większą część życia walczyć miała przeciwko ludziom, którzy ją chcieli zamknąć w celi klasztornej. Zaczęły się wędrówki bez końca. Coraz to uciekała i wracała za kratę, aby znów wynieść się, skoro się tylko dało. A bywały też chwile, i to jest rzecz ciekawa, w których szczerze pragnęła przywdziać welon zakonny, jakkolwiek nie czuła wcale powołania. Dla tego samego, że chciano ją zmusić, klasztor napawał ją przerażeniem. Z przekory zbuntowała się przeciwko temu, co zrazu było jej życzeniem. Ilekroć ktoś silniejszy od niej chciał użyć przemocy, popadała w stan szalonej, niczem nie pohamowanej wściekłości. Równie samolubna, jak pusta i zarozumiała. Nie pozwoliła niczego przeprowadzić wbrew swej woli. Wolała się dać zabić, niż ustąpić.

Jako dziewczę trzynastoletnie przybyła do Francji Marja Mancini z matką, młodszemi siostrami i z ciotką Martinozzi, której córka Laura została później księżną Modeny. Wujaszek kardynał otworzył furtkę swym wygłodzonym krewnym, którzy teraz przybyli, aby w zdobytym kraju zasiąść do zastawionego stołu. Wujaszek zażądał najpierw, aby małe szatynki, jeśli chcą zyskać wstęp na dwór, pozbyły się swej włoskiej parafjańszczyzny. Zatrzymały się tedy najpierw w Aix, u swej starszej siostry Vittorji, która wyszła zamąż za diuka de Mercoeur, gubernatora Prowancji. Później dopiero pozwolił im przyjechać do Paryża i oddał na wychowanie do klasztoru Nawiedzenia N. P. Marji na przedmieściu Saint-Jacques. Pod kierunkiem przeoryszy, matki de Lamoignon, jęła Marja czynić szybkie nad podziw postępy w konwersacji francuskiej i tak znakomicie opanowała ten język, że kardynał chciał ją wydać za diuka

de Meilleraye, gen. inspektora artylerji. Ten jednak, przerażony, zdaje się, brzydotą Marji, która wówczas była „chuda, koścista i czarna jak suszona śliwka“, oświadczył, że kocha się bez pamięci w jej młodszej siostrze, Hortensji. Fakt ten rozeźlił do reszty starszą panią Mancini, która doszła do przekonania, że biedna Marja poto tylko istnieje na świecie, aby swą rodzinę przyprawiać o kłopoty i zmartwienia. Więc raz jeszcze spróbowała pozbyć się nieszczęśnicy. Poparta przez Mazariniego, który bardzo rychło przekonał się, jak nieznośną ma siostrzenicę, zmusiła ją matka do wstąpienia do klasztoru, Marja odmówiła stanowczo. Doprowadzona do wściekłości, matka postanowiła obrzydzić jej życie z kretesem. Zamknięto ją w oddzielnym pokoju i oddano pod straż panny służącej, która nazywała się Rosa i znakomicie nadawała się do szpiegowania więźniów. Tymczasem siostry Marji bujały swobodnie po świecie, chodząc po balach i wizytach. Olimpja, która miała poślubić hrabiego de Soissons, ze szczególną uciechą opowiadała uwięzionej siostrze o przyjęciach i balach u dworu, w których Marja nie mogła brać udziału. Tak zgruntu złą jak Olimpja nie była jeszcze. I niewątpliwie złośliwość siostrzana zasiała w sercu Marji pierwsze ziarna uczuć, zczasem tak bujnie rozkrzewionych w całem jej usposobieniu.

Od tego czasu poczęła na dobre już nienawidzić matkę i siostry, które się jej odpłacały z nawiązką. Wuj nie miał do niej również zaufania i odczuwał wstręt na jej widok. Ładna rodzina! Marja wszelako przewyższyła wszystkich. Doprowadzona do wściekłości za to traktowanie ją jako kopciuszka, postanowiła się zemścić. Im więcej ją dręczono, tem gwałtowniej się opierała. Była jakby złym chwastem, korzeniem wciąż usuwanym, a mimo to odrastającym i uparciej grążącym się w ziemię; wyrywamy go, chcemy zniszczyć zupełnie, ale nie damy rady. Była tedy Marja Mancini więźniem Luwru, a jej siostry równocześnie bywały tam w wspaniałych dworskich tualetach. Owszem, podobało się jej to bardzo, chciała również wystąpić w Luwrze, ale w płaszczu królewskim na ramionach! Kiedyś zostanie królową, i klęczeć będą przed nią wszystkie te, co dzisiaj nią pogardzają. Wujaszka, który dziś jej dopieka, każe kiedyś

królowi usunąć. A ta siostra, co ją dziś tak dręczy? Zemści się na niej słodko, zabierając jej kochanka. Ale w jaki sposób brzydula okrutna zdoła doprowadzić do tak wspaniałych wyników? Z tego sobie jeszcze Marja Mancini nie zdawała sprawy. Spuściła się w zupełności na swój spryt niezawodny i na wolę mocną a nieugiętą. A pozatem uważała, że idzie za głosem swego przeznaczenia...

W tym samym czasie, gdy Marja Mancini rozmyślała nad zemstą, pojawia się na dworze paryskim, jak wicher lub niesamowity meteor, awanturnica, która miała z nią wiele wspólnego. Była to królowa szwedzka, Krystyna.

Wyrzekła się ona korony tylko dlatego, że nie chciała zależeć od męża. Do Paryża zaś przybyła jako do miasta, w którem kobiety zażywają najwięcej swobody. Wybrykami swojemi wywołała zgorszenie w całej Brukseli, a zamordowawszy swego kochanka Monaldeschi, przeraziła dwór francuski. Zwolennikom swoim chciała królowa szwedzka pokazać, w jaki sposób należy wogóle odnosić się do mężczyzn. Nie licząc się wcale z opinją publiczną, nie szanując żadnych praw i nie respektując ani etyki, ani obyczajów, żyła wedle swego widzimisię i dawała temu wyraz w sposób demonstracyjny. Marję Mancini oburzało, narówni z całem towarzystwem ówczesnem, to zachowanie się zwarjowanej buntownicy. Ale też nikt inny nie był bardziej od niej skłonny do przejęcia się zasadami królowej szwedzkiej. Wszak i ona postanowiła ongi, nie ruszyć się krokiem z Francji i to z tych samych co królowa Krystyna powodów: Francja była krajem wolności. Marja Mancini odczuwała, jak sama wyznaje, istną odrazę do obyczajów włoskich, a życie w Rzymie pełne obłudy i nienawiści gorszej, niż na innych dworach, wydawało się jej torturą nie do zniesienia. I ona również zapragnęła, na wzór tamtego potwora kobiecego w spódnicy, który sztyletem zabijał swych kochanków, „wyżyć się do ostateczności“. Bez żadnych względów i ograniczeń. Iść za głosem każdego kaprysu, wyzyskać do ostatnich granic każdą rozkosz i miłostkę. Oto co porywało tę szaloną osóbkę. Wuj, obserwujący to wszystko z lękiem, nazywał ją „warjatką i rozpustnicą“. Raz jeszcze podkreślić trzeba, że pociąg do wywrotu i upodobanie w życiu

rozwiązłem stanowiły główną treść duszy Marji Mancini. Jej miłość dla króla miała być tylko środkiem do celu.

Królową chciała zostać z pychy naturalnie, ale też i z innych powodów, których określić nie była w możności, bo kryły się jeszcze głęboko. Mniej lub więcej świadomie przygotowywała się do tej roli. Wiedząc, jak bardzo król ceni kulturę umysłową, postanawia zaćmić go w tym kierunku. Uczy się tedy, ile tylko zdoła. Pochłania modnych wówczas poetów i pisarzy, czyta powieści jak „Astrea“ d'Urfe'ego i „Diana enamorada“ Montemayor'a. Ta romansowa lektura przewraca jej w głowie do reszty. Nabiera nawet pedanterji w tym kierunku. Po przewertowaniu literatury pięknej, bierze się do filozofji. W czasie samotnego pobytu w Brouage uczy się astrologji u jakiegoś doktora z Arabji, recytuje z pamięci Owidjusza, szuka pociechy u Seneki i Filostrata. Wysiłki te nie będą płonne. Gdyż wkońcu powiedzie się brzydkiej, ale sprytnej dziewczynie zwrócić uwagę króla. Wkrótce zjawi się miłość. A wówczas jakże bliskim spełnienia wyda się ów sen rozkoszny: Zostanie królową Francji. I ani trochę jej to nie zdziwiło, tak dalece, tak bezbrzeżnie była pewna siebie. Uważała poprostu, że stworzona jest właśnie do takich rzeczy. A jej zamężne siostry podobnie. Wydane zamąż najwspanialej, uważają to wywyższenie za coś zupełnie zrozumiałego i naturalnego. Te „mazarinetki“ jak je nazywano, mieszkające w najpiękniejszych pałacach i zamkach Francji, jakże przypominają nam późniejsze siostry Napoleona: I dla tamtych Włoszek, urodzonych już z zacięciem imperatorskiem, nie było również dość wspaniałego księstwa, mitry, korony, czy tronu...

Gdy Marja osiągnęła wreszcie cel, a raczej, gdy myślała, że już jest u celu, dokonywa się w niej widoczna przemiana, w samym nawet wyglądzie zewnętrznym. Wygląda prawie na piękność, przynajmniej w oczach ukochanego. W rzeczywistości była bardzo brzydką, na co się zgadzają wszyscy współcześni. Jeden z autorów dzieła *La France galante* tak ją określił: „mała, gruba, brzydka i pękata, wygląda jak szynkarka“. I to się zgadza, gdy przyjrzymy się uważnie portretom Marji Mancini. Natomiast pani d'Aulnoy, która,

spotkawszy ją później w Madrycie, odniosła się do awanturnicy z wielką pobłażliwością, znajduje w niej niejakie zalety. Powiada, że była „bardzo przyjemna, jakkolwiek już nie pierwszej młodości. Miała żywe, bardzo inteligentne i ujmujące oczy, wspaniałe zęby, włosy czarne jak węgiel i bardzo bujne, kibić piękną i bardzo zgrabne nogi“. To wszystko nie stanowi jeszcze Wenery. Ot, zwyczajne komplementy na pociechę, które się prawi ludziom, wypadłym z łaski. Natomiast odznaczała się panna Mancini wielką bystrością ducha, jakkolwiek nie we francuskiem znaczeniu tego wyrazu. Była bardzo inteligentna, ale z pewnym rysem pedanterji. Z usposobienia bardzo żywa, ale też do jadowitości ostra, a przez to dość nieprzyjemna. Pani de La Fayette zapewnia, że „w jej zachowaniu brakło wdzięku zupełnie, nie miała go również w duszy, jakkolwiek rozumu posiadała dosyta. Była rezolutna i zuchwała, popędliwa i rozpustna, pozbawiona nakoniec wszelkiej ogłady i grzeczności“. Taki typek porywczy, bezczelny i pyskaty przypominał istotnie gorszego rzędu „szynkarkę“, jak ją nazywano. Faktem jest, że musiało się w tem usposobieniu nagromadzić zbyt wiele włoskiej, krzykliwie rozpasanej wybujałości. Natura surowa, zupełnie nieociosana i ordynarna, bez cienia jakiejkolwiek delikatności.

Obok tych odrazu widocznych braków posiadała jeszcze jedną, ukrytą właściwość, która wkrótce na jaw wyszła: egoistka skrajna, niezdolna do zajęcia się niczem innem, jak tylko swemi mrzonkami i kaprysami. Przekonana była święcie, że świat kręci się dokoła niej. Jeśli zdoła odnieść sukces, to dzięki Opatrzności Boskiej, która przeznaczyła ją do wielkich zadań. Jeśli dostanie po palcach, to za sprawą fatum, które ją ściga. Jest wszak dzieckiem, urodzonem pod złą gwiazdą. Ojciec przepowiedział jej to w horoskopie. I dlatego czuje ciągle potrzebę jakichś wielkich dramatów w swem życiu. Zczasem dojdzie ta histerja do rozmiarów wręcz nieprawdopodobnych, Marję Mancini ogarnie manja wielkości i manja prześladowcza. Doprowadzi do tego, że będzie musiała wywoływać skandale, jątrzyć opinję publiczną, zawracać głowę urzędom państwowym, przyprawiać o obłęd ministrów i królów, wodzić po bezdrożach ambasa-

dorów i legatów papieskich, i szczuć ludzi wzajem na siebie. I tak aż pod siwy włos. Przez pół wieku zgórą będzie świat widział Marję Mancini w ciągłym niepokoju i podnieceniu, intrygującą bez przerwy i odkrywającą spiski, które sama namotała. Sekutnica niepoprawna rzuci się z rozkoszą w każdą, aby ino powikłaną awanturę, a chełpić się umie ze swych psich figlów w sposób zgoła bezwstydny. A ponieważ jej niezwykła pobudliwość musiała cierpieć przy każdem zetknięciu się z ludźmi, nabrała tedy chorobliwej wprost pasji czynienia złego naokół i unieszczęśliwiania tych, co ją otaczali. Graniczyło to wprost z sadyzmem, ponieważ do gruntu złą nie była. Mściła się raczej za to, co wycierpiała, idąc za głosem, jakby jakiegoś demona wewnętrznego, nieświadomie, nie zdając sobie sprawy. Wkońcu głupota Marji Mancini przeszła wszelkie możliwe granice. Wujaszek Mazarini, który znał ją ledwo w początkach jej działalności, osądził ją zupełnie trafnie i zdołał ostrzec króla. Ale nie był w stanie przewidzieć, jak daleko posunie się ta szalona ambicja i wściekła żądza władzy, ile bezmyślnych awantur potrafi namotać niesyta nigdy awanturnica.

Wyżyć się do ostatka, to był cel przyświecający „wiecznej tułaczce". Co roku musi wyjechać na karnawał wenecki. Nakłada maskę, siada do gondoli i węszy i szuka przygód miłosnych, o które w Paryżu nie łatwo. W Madrycie, przebrana za *tapada*, czyli handlarkę cygar, wybiega nocą na Prado, i w białej, zapuszczonej na twarz mantyli, zaczepia przechodzących mężczyzn. We dnie przejeżdża ulicami w powozie, przez całe miasto, naprzykrza się ludziom z odwiedzinami, wymusza sobie wstęp do różnych, nawet bardzo przyzwoitych domów, a jawić się zwykła w sukni balowej, ukrytej pod habitem mniszki. Po Szwajcarji, Niemczech i Belgji włóczy się w nieustannych rozjazdach. Czasami konno, to znów dyliżansem pocztowym. Raz staje w oberży, indziej w pałacu, w Brukseli nocuje w kościele, lub znowu każe się zawieźć do klasztoru. Nareszcie, wychodzi zamąż. Ale nienawidzi męża, jakkolwiek sama przyznaje, że nic mu zarzucić nie można. Tym mężem, którego jej wybrano po ukończonej awanturze z królem, jest konetabl Collona, człowiek podobno zupełnie dorzeczny i bardzo swą

żoną zajęty. Sama o tem opowiada: „Mąż mój był bardzo uczynny i wytworny, i zawsze pamiętał o rzeczach, które mi sprawiały przyjemność“. A mimo to Marja unieszczęśliwiła go bez namysłu. Poczciwy szlachcic neapolitański, zajęty wyłącznie swą ziemią i stadniną, wydawał się jej brutalem, niezdolnym do wyższych uczuć czułej galanterji. Mąż wzorowy, miał jednak dostęp do żony tylko wówczas, gdy jej obiecywał potomstwo. Urodziła mu czworo dzieci. Po jednem poronieniu oświadczyła, że taki nigdy nienasyty mąż ją zanadto wyczerpuje, może wreszcie umrzeć i od tego czasu zabroniła mu zbliżać się do siebie. Rzekomo dla ochrony przed jego atakami uciekła do Rzymu ze swą siostrą Hortensją, księżną de Mazarin, która również twierdziła, że czuje się bardzo nieszczęśliwą w małżeństwie. Obie uciekinierki wynajęły sobie wreszcie łódź rybacką i po różnych niebezpiecznych przejściach wylądowały we Francji.

Istotnie też Marja Mancini nie zdołała się nigdy ukoić, aż do końca życia. A wszystko z żalu, że z własnej winy utraciła miłość Ludwika XIV i nie została królową Francji. I nigdy nie wiedziała zresztą napewno: Czy może takie było jej przeznaczenie? Wszakże przepowiedziano jej ongi, że „stanie się przyczyną wielkich nieszczęść“... Postanowiła tedy wygrać swą dolę i rolę do końca. I tak ta pełna fatalizmu kobieta urasta do rzędu jakiejś romantycznej heroiny.

* * *

Jak mógł Ludwik XIV, człowiek tyle rozsądny, spokojny, zrównoważony, rozmiłować się w kobiecie pełnej ekstrawagancji, zawsze rozrzuconej i miotającej się od jednego kaprysu do drugiego? Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Zdaje się, że zmysły grały tu większą rolę, niż się nam zdaje. Czarne oczy Marji Mancini błyszczały takim ogniem, że ulec im musiał człowiek najbardziej nawet nieczuły. A zważmy i to, że Ludwik XIV, wówczas osiemnastoletni, miał w sobie jeszcze dość snobizmu. Brakło mu późniejszej głębi przeświadczenia o swej wyższości. W sposób zgoła naiwny podziwiał u drugich te wszystkie zalety i cechy wytworne, których mu jakoby brakowało. W podziwie

i z pewnym rodzajem zażenowania wielki dzieciuch, zajęty do tej pory końmi i psiarnią, przestępował progi świata, stworzonego przez panie w Hôtel de Rambouillet. W salonach tych przykładano najwięcej wagi do zgrabnej konwersacji, uprawiano retorykę i poezję i pracowano nad doskonaleniem delikatnych uczuć. Marja i jej siostry czuły się prawie królowemi tego świata już z tytułu niejako swego urodzenia. Młody człowiek znajdował wiele przyjemności w układnej rozmowie z siostrzenicą Jego Eminencji. Wywiązała się stąd wkrótce przyjazna i pełna uroku zażyłość. Wspólne czytanie książek, czułe bileciki, drobne usługi. Studjowano też wspólnie modną wówczas mapę „Krainy Czułości“ (*Pays de Tendre*). Król, usłyszawszy na pewnym wieczorze u swej matki Marję, deklamującą z ogniem w czarnych oczach którąś z tyrad Corneille'a, czytającą później patetyczną scenę z „Cyrusa“ lub „Clélie“, zachwycił się ogromnie. I zakochał. Upojony szczęściem, poddał się urokowi fascynującej cudzoziemki, owej płomiennej Włoszki, która go zaprowadziła w czarodziejską dziedzinę ułudy. Ręka w rękę zapragnęli przeżywać odczytywane wspólnie romanse. I naśladować chcieli napotkane tam postacie, czy opisane wydarzenia. Długiemi haustami pili wspólnie słodką truciznę literatury. Życie stało się jakby powtórką scen wyczytanych w książkach. I nawzajem książki winny były naśladować życie u dworu, jego balety, turnieje, gonitwy o pierścień, gonitwy o laskę, przyjęcia i festyny. Aby olśniony czytelnik mógł poznać słodycz życia, jaka im codzień przypadała w udziale.

Zrazu uczucie króla dla nowej przyjaciółki było czysto platoniczne. Była to miłość rozpowszechniona wśród pań wykwintnych XVII wieku, miłość sama w sobie, wyłączna, wobec której wszystko inne zasługiwało na wzgardę. Dla kochanków tego typu małżeństwo było czemś niesłychanie błahem, śmiesznym nieomal przypadkiem, którego ile możności unikać wypadało. Małżeństwo, to śmierć miłości — mawiały fircyki owoczesne, ściąga ono miłość na śmietnik. Człowiek żonaty nie może już wiedzieć, co znaczy miłość. W istocie są to wszystko tylko piękne słowa, gdyż miłość tak pojęta, staje się jednym ciągiem egzaltowanych wzlotów

serca i umysłu, a jako czynnik wybitnie dekoratywny krasi szarą codzienność, władnie każdą myślą naszą zosobna, stanowiąc ośrodek całego myślenia. I też w rzeczywistości stała się ona jedynem, najważniejszem zajęciem na dworze, który pędził życie ptasio-lekkomyślne.

* * *

Z ogniem w oczach i drżeniem w głosie wiodła króla ta entuzjastycznie namiętna kusicielka w kraj mistyki miłosnej, a zmysłowy młodzian oddawał się z zapałem mirażom romansowych czarów. By paść w zupełności ich ofiarą, wypadało mu tylko przypomnieć sobie wrażenie przeczytanych w dziecińskie książek. Jedną z pierwszych, jaką mu dano wówczas był odpowiedni dla młodzieży romans rycersko-sentymentalny pt.: *Discours des divertissements, inclinations et perfections royales*, napisany przez imć pana Potier de Morais. Jest to historja o księciu Alcimedzie, który polując w lesie, w Mirtres, spotkał „w tem miejscu, tak bardzo stosownem do miłości", piękną Amelitę, która również polowała. I wtedy myśliwy padł łupem myśliwej. Już na samym początku tego romansu widniały słowa, jakże bardzo pouczające dla młodego króla: „Skończony i doskonały książę musi kochać i być kochanym. Miłość cnotliwa rozbudza w człowieku wiele dobrych i rzadkich przymiotów. Jest ona bowiem rodzajem jakoby światełka duchowego, które rozjaśnia kochanków." Proszę ocenić, czy przyszły kochanek pani de La Vallière przysposobiony był dostatecznie, by zrozumieć taką zachętę do miłości... Na dalszy ciąg wcale urozmaiconego romansu pana de Morais składały się przygody rozmaite, a jedna cudowniejsza i heroiczniejsza od drugiej: były pojedynki, uprowadzenia, napady piratów. — Ale i romanse, które Ludwik XIV z Marją Mancini razem czytywali, utrzymane były również w tym samym stylu. I tam również roiło się od turniejów, polowań, walk ze smokami i olbrzymami, była miłość uciśniona i wierność dozgonna kochanków, imiona wycięte na korze drzewa, i echo dalekich pól, powtarzające imię ukochanej. Pojętny i uroczy elew Marji Mancini miał się czemu nasłuchać i nad czem wydziwić. Dzięki niej wszystko to stać się miało rzeczywistością...



MARJA MANCINI
według sztychu R. Reyhera.

Pierwszy okres tej miłości jest tedy w całej pełni romansowy. Największą troską króla jest chęć takiego odznaczenia się w oczach ukochanej, jak to bywało u bohaterów w romansach. W ciągu lata roku 1657 w czasie oblężenia twierdzy Montmêdy, starał się odznaczyć w akcji, aby tylko zaimponować Marji. Ona zaś odchodziła od zmysłów z dumy i uciechy: „Król — tak pisała — okazał przepyszną brawurę w czasie inspekcji wojsk w polu. Nie dbając wcale na niebezpieczeństwo, zapuścił się dalej, niż było potrzeba. Dowiódł przez to swej pogardy śmierci i dał przykład żołnierzom, którzy na to patrzyli. Kiedy o tem opowiadano w mojej przytomności, nie potrafiłam ukryć radości, jakkolwiek pomieszanej z niepokojem. Król raczył mi później powiedzieć łaskawie, że naraziłby się na większe niebezpieczeństwo, żeby raz jeszcze zobaczył taki blask moich oczu.“ To bardzo miły rys!

Inna anegdota, późniejsza, dowodzi subtelności uczuć Ludwika XIV. „Było to — opowiada Marja — w Bois-le-Vicomte, o ile sobie przypominam. Szliśmy oboje aleją. Biegłam bardzo szybko, Jego Królewska Mość chciał mi podać rękę. Uderzyłam się wówczas, bardzo nieznacznie zresztą, o głownię jego miecza. Zaniepokojony bardzo, czy mi się co nie stało, wyjął miecz z pochwy i rzucił daleko od siebie, z gestem, który się nie da wyrazić.“ Oba te zdarzenia świadczą, jak wyglądała w pierwszym okresie miłość Ludwika XIV do Marji Mancini: wybujała galanterja z pewną dozą pustej chełpliwości.

Po wojnie w ciągu zimy odbyło się wiele zabaw na dworze i w Paryżu. Na balach i w czasie baletów król prezentował się wspaniale jako znakomity tancerz i wytworny kawaler. I to sprawiło, że Marja ulega zmianie. Ambitne plany, które sobie założyła na początku tej awanturki, ustąpiły miejsca miłości. Ale ambicja przecież trwała dalej. Chce zostać królową stanowczo, aby utrzeć nosa kardynałowi za to, że traktował ją ostro, i upokorzyć chciała obie siostry, Olimpję i Hortensję, które zbyt dumnie zadzierały głowę, każda z racji swego już zawartego, lub zawrzeć się mającego małżeństwa. Otóż kopciuszek zapragnął zemścić się na swych siostrzycach.

Tymczasem w ciągu lata 1658 zaszedł wypadek, który pogłębił niezwykle uczucie obojga kochanków. Po bitwie morskiej pod Dunes król rozchorował się w Calais, a jeśli uszedł wówczas śmierci to bynajmniej nie dzięki swoim lekarzom. Już dwór cały zaczął zwracać oczy na jedynego brata królewskiego, ks. d'Anjou, jako domniemanego następcę tronu. Można sobie wyobrazić przerażenie Marji Mancini! Jeśli król umrze, wezmą w łeb wszystkie jej marzenia. Myśli o tem ze zgrozą. Jak długo jej dostojny przyjaciel walczył ze śmiercią, „płakała gorzkiemi łzami", wedle relacji La Grande Mademoiselle (p. de Montpensier). Ludwik po powrocie do zdrowia dowiedział się, rzecz jasna, o rozpaczy jego najdroższej. Uznał że jest to dowodem oddania i miłości, silniejszej ponad śmierć. Oto znalazł w drugiej istocie głębokie zaufanie, którego pragnął tak gorąco i którego miał przez całe życie szukać w objęciach tylu innych kobiet. I dlatego rozkochał się w tej brzydkiej i sprytnej dziewczynie. Wierzył, że może jej ślepo zaufać. I tak w obopólnym porywie zakochało się w sobie tych dwoje, przekonani święcie o swej głębokiej wzajemności. I to była najpiękniejsza może chwila ich związku. W końcu lata i przez całą jesień widywali się stale w Fontainebleau. Łańcuch zabaw ciągnął się bez przerwy: wycieczki do lasu, balety i leśne podwieczorki, spacery przy świetle pochodni, wieczory na wodach kanału przy dźwiękach skrzypiec. Ileż to razy śladem bohaterów ich romansów gubili się wówczas w zaroślach, i wycinali swe imiona na korze buku.

Gdy nagle, ni stąd ni zowąd, katastrofa, której skutków na szczęście udało się uniknąć. Podróż króla do Lionu. Celem jej było, jak mówiono, małżeństwo króla z księżniczką Małgorzatą Sabaudzką. W istocie był to manewr kardynała, który chciał tym sposobem rozbudzić zazdrość w Hiszpanach i zniewolić do ofiarowania Ludwikowi XIV ręki infantki. Wydaje się rzeczą wcale możliwą, że król w głębi sumienia pogodził tę miłość z koniecznością politycznego małżeństwa. Były to w oczach jego dwie zupełnie różne rzeczy. Podobnie działo się wszak w romansach. Marja natomiast była zgoła innego zdania. Trwała ona w zamiarze poślubienia króla Jegomości, gdy zatem pojawiła się sprawa sabaudzkiego

związku, nie ukrywała swej niechęci: „A więc to tak! — mówiła — czyż król nie wstydzi się brać za żonę tak brzydką kobietę?“ I wbrew swej woli przysłużyła się infantce. Tymczasem jednak plany małżeństwa z księżniczką sabaudzką rozwiały się.

Rozgorzało od nowa uczucie obojga kochanków. W czasie pobytu w Lionie nie rozłączali się prawie. Co wieczór odprowadzał król dziewczynę do jej mieszkania. Marzyli przy księżycu na placu Bellecour, przejeżdżali w karecie nad brzegami Saony, a król posuwał się tak daleko w elegancji, że nawet sam powoził. Przysięgali sobie wówczas miłość na wieki. Marja była w ósmem niebie, pewna już teraz, że zostanie królową Francji. Wszak kochanek dał jej na to królewskie słowo honoru. A był w tym wypadku szczery, jak zresztą zawsze do końca. Gdyby mu pozwolono działać wedle woli, poślubiłby niechybnie Marję Mancini. Nie posiadał wszak żadnych kastowych przesądów, będąc raczej wyznawcą hasła równości ludzi. Jego samego wyjąwszy, resztka ludzkości stanowiła w oczach króla jedną szarą i przeciętną masę. A pozatem trwał przecie jeszcze w pierwszym zapale młodości: nie wiedział, co znaczy hamować namiętność, i co znaczy odmówić sobie jakiejś uciechy. Królowa szwedzka, bawiąc w Luwrze, i zauważywszy, że jest zakochany w tej Włoszce, udzieliła mu cichcem rady zgoła niedobrej: „Ożeń się z kobietą, którą kochasz!“ Zadurzony w Marji bez pamięci, uznał wówczas, że to zupełnie dobra rada.

Należało spróbować. Tuż po odjeździe księżniczki sabaudzkiej podjęto rokowania co do małżeństwa z infantką. Kardynał i królowa-matka, jako wielcy zwolennicy tego związku, odnosili się, rzecz jasna, w sposób bardzo wrogi do sprawy obojga kochanków. Mazarini, znając nienawiść swej siostrzenicy do siebie, nie chciał jej mieć królową, Anna Austrjaczka zaś, Hiszpanka w głębi duszy, widziała w małżeństwie z infantką jedyny sposób zakończenia wojny francusko-hiszpańskiej. Wytłumaczyli tedy oboje królowi, co znaczy wziąć za żonę kobietę z prostego stanu i cudzoziemkę jak właśnie Marja Mancini. Najpierw wywoła to ryk śmiechu na wszystkich dworach Europy, następnie będzie obrazą Francji, i rozgłosi się po świecie. Może stać się po-

wodem wzburzenia całego narodu, jak za czasów Frondy. A książęta francuscy znajdą w tem nowy powód do rozpoczęcia zamieszek. I nareszcie: Hiszpanja odczuje to jako obelgę śmiertelną, a wojna, która tak bardzo obu narodom doskwiera, ciągnąć się będzie bez końca...

Tak tedy nieszczęsny miłośnik miał aż dwa narody zwrócone przeciw jego jednej miłości. Był zaś zbyt dobrym politykiem, aby nie pojąć znaczenia obu przedłożonych argumentów. I to zrozumiał, w jak powikłaną intrygę miłosną popadł bez ratunku. Mimo wszelkie pozory przeciwne, przyznawał słuszność kardynałowi i matce. I wówczas w głębi duszy powziął postanowienie, że Marji nigdy nie poślubi. Rozum polityczny zgadzał się, natomiast nierozum miłosny zgody udzielić nie chciał. W poczuciu honoru obstawał silnie przy swojem wobec matki i kardynała. Przemocą wydobyto zeń obietnicę, że poślubi infantkę. W duszy pocieszał się atoli, że do małżeństwa nie dojdzie. Wiedział, że pedanterja Hiszpanów i duma ich niesłychana nastręczy jeszcze tysiąc trudności. To rozdwojenie sumienia jest szczególnie znamiennym przejawem u Ludwika. Nie można go oskarżyć ani o kłamstwo ani o oszustwo. Wszakże ustępuje wobec konieczności i zgadza się na ten marjaż hiszpański, choć równocześnie jest przekonany, że związek nie dojdzie do skutku i on dotrzyma słowa danego Marji Mancini.

A wkońcu przymuszą go do poślubienia infantki. Ze złamanem sercem pożegna wówczas najgłębszą, najprawdziwszą i jedyną może miłość życia całego. Ale nie odwróci nigdy serca od swej najdroższej. Zawsze zabiegać będzie, by ten związek podtrzymać i odnowić aż do chwili, w której przejrzy jasno grę Marji i przekona się, że to jest tylko bezbrzeżna ambicja i żądza zdobycia korony. Ale i wówczas ujawni iście królewską szlachetność, która mu zaszczyt przynosi. Do samego końca, może nawet do ostatniego tchu zachowa głęboki szacunek wobec swej pierwszej, swej jedynej i samotnej miłości. Mimo całą jej nieznośność odnosi się z jak największym respektem król do Marji Mancini, która tymczasem została żoną konetabla de Collonna. Udziela jej *droit de tabouret*, czyli pozwala, jak zagranicznym

księżniczkom, siedzieć w obliczu Majestatu, nazywa ją „kuzynką“. Gdy odjeżdża do Italji, odprowadza ją do powozu. Gdy Marja ze swym orszakiem siedziała już w karecie, gotowa do podróży, król — wedle słów świadka naocznego — powrócił jeszcze, głębokie westchnienie wydobyło się z jego piersi, lecz nie wyrzekł ani słowa. Potem pochylił się do okna karety, jakgdyby chcąc pożegnać Marję, całą we łzach. A potem kareta ruszyła z miejsca.

* * *

Tak zakończył się ten pierwszy romans królewski, romans niewinny chyba i czysty, jak wszystkie pierwsze rojenia młodzieńcze. Gdy Marja znalazła się później w ramionach swego męża, szorstki ten człowiek spostrzegł nie bez zdziwienia, że choć tak mało naiwna a tak bardzo podstępna Marja przyszła doń przecie w stanie dziewiczym. „Konetabl — są słowa siostry Marji, Hortensji Mancini — nie chciał wierzyć poprostu, że miłość króla do Marji wytrwała w niewinności. I tak go to ucieszyło, iż nie żałował już nawet, że nie danem mu było zostać również pierwszą miłością serca Marji.“ Jeśli tak jest w istocie, w takim razie owe nocne schadzki w komnatach Luwru, i samotne spacery po drogach liońskich, czy w lasach Fontainebleau — wszystko to miało charakter czysto platoniczny: Odwieczny i nieskończony nigdy duet dwojga młodych kochanków, którzy znajdują rozkosz niewysłowioną w ciągłem powtarzaniu sobie, jak bardzo się miłują.

Na tem, rzecby można, kończy się właściwe życie miłosne króla. Rozum i wierność oddania, oto zalety, za które kochał Marję. Cóż, kiedy zimna okrutnica rozczarowała go raz na zawsze! Od tego czasu nie uwierzy już nigdy ani w poświęcenie ani w szczerość uczucia swych kochanek. A przecież chciałby tak bardzo! I oto powód, dla którego wiąże się tak blisko z panią de La Vallière. Wszelako raczej pozwala jej być przez siebie kochanym, aniżeli sam ją kocha. I cokolwiek się zdarzy później, pragnie zawsze włożyć choć trochę serca w każdą nawet najbardziej przelotną awanturkę. Tak dalece jest tkliwy i szlachetny z natury. Odczuwa zawsze potrzebę uczucia i łez, oraz scen czułych,

albo dramatycznych. Tak się był nauczył za czasów swej miłości z Marją. Ale nauczył się również czegoś innego jeszcze: oto, że wbrew zapewnieniom pedagogów, królom nie wolno czynić tego, co im się podoba. Królowie bowiem należą do państwa. Winni mu ofiarować nietylko życie całe, lecz również i całe serce.

W kilku lat później wypadek bardzo dramatyczny miał Ludwikowi XIV przypomnieć tę ciężką ofiarę. Jak ongi Mazarini i królowa-matka, idąc za rozkazem racji stanu, zdeptali jego miłość, tak on był zmuszony z tych samych względów złamać serce swej kuzynki, panny de Montpensier, zabraniając jej małżeństwa z Lauzun'em. Jemu powiedziano ongi, że „opinja publiczna“ sprzeciwia się związkowi, a dziś on powtórzył to samo. Przebiegał wielkiemi krokami swój gabinet i krzyczał głośno: „Królowie muszą przedewszystkiem liczyć się z opinją narodu.“ Nieszczęsnej księżniczce nie pozostało nic innego, jak wydrzeć miłość z serca. Ludwik wiedział, niestety, z własnego doświadczenia, jak to boli. Biedna Mademoiselle płacząc, rzuciła się mu do stóp ze słowami: „Raczej kazałbyś mnie zabić, Sire, niż zadać taki cios!“ Ludwik XIV, zdjęty litością, ukląkł z nią razem na ziemi i uściskał ją. „I długo tak trwaliśmy w uścisku — opowiada Mademoiselle — twarz przy twarzy, przyczem król zalewał się łzami wraz ze mną.“

Jakaż to piękna i jak wzruszająca scena! *Le Roi-Soleil* na kolanach, płacze, twarz przy twarzy, i wysila się, by pocieszyć nieszczęśliwą, zrozpaczoną miłość. A tej czułości nauczył się od Marji Mancini, owej „szynkarki“, która, nie wiedząc o niczem, otworzyła jej źródło w sercu ukochanego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KRÓLEWSKA TAJEMNICA

Ma tedy lat dwadzieścia dwa. Jest pełnoletni, namaszczony na króla i koronowany. Pierwszy minister przeniósł się właśnie do wieczności. A przykład tej włoskiej Eminencji nauczył króla więcej jeszcze niż ustne wskazówki, jak rządzić ludźmi i w jaki sposób realizować plany w polityce. Tragicznie zerwane uczucie dla Marji Mancini stało się próbą serca.

Wydaje się więc, że Ludwik XIV dojrzał już do czynu. Co zrobi, czem się zajmie?

Oddawna już stawiał sobie to pytanie. W „Pamiętnikach“ swych zapyta później sam siebie, czy nie popełnił błędu, nie wziąwszy odrazu steru państwa w ręce. „Jeśli to nawet było błędem — powie raz do swego syna — starałem się go jednak naprawić, a mogę Cię zapewnić, że nie stało się ani ze słabości, ani z mego lenistwa. Już od lat dziecinnych bolało mnie, gdy ktoś wspomniał o królach gnuśnych, czy malowanych“. I dodał jeszcze: „największem pragnieniem mego serca było zdobyć uznanie potomności, chociażby za cenę życia... Równocześnie uświadomiłem sobie jednak, że pierwsze moje posunięcia nie położą jeszcze fundamentów pod to uznanie, ani mnie nie doprowadzą do beznadziejnej zguby, więc parłem za głosem wewnętrznym do zdobycia sławy... Tylko, że się to trochę późno zaczęło. Nie ustawałem w tym czasie wystawiać się na próbę, pocichu i bez świadków. Sam przywykłem rozmyślać i przerabiać z samym sobą wszystkie wypadki bieżące, zawsze radosny i pełen nadziei, ilekroć udało mi się stwierdzić, że ludzie zręczni i doświadczeni byli tego samego zdania, co ja. Wów-

czas nabrałem przeświadczenia, że znalazłszy się raz i utwierdziwszy na tronie, mam jednak możność i środki do takiego działania, o jakiem zawsze marzyłem... Przeminęło tak kilka lat. Pokój powszechny, moje małżeństwo, śmierć kardynała Mazariniego, wszystko to mnie zmusiło, by nie zwlekać z czynami, których pragnąłem i których lękałem się od dłuższego czasu."

Wypada ponownie podkreślić, ile skromności kryje się w tych słowach. Król nie sądzi ani na chwilę, że należy mu objąć rządy przedtem, zanim się jeszcze nauczy tej sztuki i w to również nie wierzy, że sztuka rządzenia jest rzeczą łatwą dla takich jak on ludzi. Z lękiem i niewiarą w siebie samego rozpoczyna. Zwlekać nie wolno jednak. Pamięta, że naród zaklinał go, aby rządził sam, osobiście. Więc już nie będzie urzędu pierwszego ministra. Obwieszcza to król stanowczo swemu otoczeniu. Zpoczątku dwór nie chce wierzyć. Nawet królowa-matka zapewnia, że ten zapał to ogień słomiany tylko. (Dowód, jak mało znała swego syna.) Wszechwiedne dworactwo, które słyszy jak trawa rośnie, już rozszerza pogłoskę, że kardynał de Retz wraca z wygnania, by objąć spadek po Mazarinim. Narazie, tak zapewniają, zamierza król mianować go swym posłem w Watykanie. Aby położyć koniec tym pogłoskom, Ludwik XIV zmusza kardynała de Retz, by podał się do dymisji jako arcybiskup Paryża, i natychmiast naznacza jego następcę. W każdym razie trzyma go zdaleka od stolicy. Od tej chwili jasnem stało się dla wszystkich, że epoka premjerów i księżych ministrów minęła bezpowrotnie.

Dziś jeszcze podziwiać można, że człowiek dwudziestodwuletni zdobył się na odwagę tak brawurowego czynu. Za czasów dawnej monarchji zadaniem pierwszych ministrów było brać na swe barki wszystkie przewiny rządu i całą jego niepopularność. Byli oni niejako parawanem monarchji. Ludwik XIII z obłudnem udaniem zrzucał często na Richelieu'go odpowiedzialność za zarządzenia nienawistne ludowi lub wielmożom, jakkolwiek sam aprobował je w sekrecie. Syn jego natomiast miał odwagę wystawić się samemu na wściekłość, na oburzenie motłochu i wziął na się całe ryzyko swego stanowiska.



KRÓLOWA ANNA AUSTRYJACZKA
według sztychu Leonarda Gaultiera.

Z własnej tedy woli podejmuje trud. „Zacząłem — jak sam opowiada — od objęcia okiem wszystkich części państwa, nie okiem człowieka obojętnego, lecz okiem monarchy. I z największem zdziwieniem spostrzegłem, że niema ani jednej takiej sprawy, któraby nie wymagała natychmiastowego zajęcia się nią.“ Przedewszystkiem jednak zrobił rachunek własnego sumienia. Poddał się sam egzaminowi. On, człowiek, na którym wszystko spoczywa... kimże jest?

Jest królem — to znaczy istotą wyjątkową, pośrednikiem pomiędzy ludźmi i Bogiem, depozytarjuszem Bożej mocy. Członkowie parlamentu i protestanci (ci ostatni z opozycji przeciw Stolicy Piotrowej) przypominają królowi nieustannie, że skoro otrzymał władzę wprost z ręki Boga, tedy żadna inna potęga oprócz wszechmocy boskiej nie jest w stanie zwolnić jego poddanych od powinnej wierności. Nazywali go wprost „żyjącym Chrystusem“ lub „najczcigodniejszym panem“. Zapomina się o tem wszystkiem, ilekroć jest mowa o zarozumiałości Ludwika XIV. Zapomina się też, że naród żądał poprostu, aby król uważał się za istotę nadprzyrodzoną, którą możnaby wygrać przeciw papieżowi, roszczącemu sobie podobne prerogatywy. Król francuski, podobnie jak papież, jest uświęconym kapłanem. Wszakże po namaszczeniu na króla włożył tunikę, dalmatykę i płaszcz koronacyjny, które przedstawiają w symbolu „szatę diakonów i sub-diakonów i ornat kapłana przy mszy.“ Podobnie jak Chrystus, czyni on cuda, dotyka nawiedzonych, leczy chorych. Jest człowiekiem, obarczonym najtrudniejszą odpowiedzialnością. Dwadzieścia pięć miljonów poddanych oczekują odeń dbałości nietylko o ich utrzymanie, lecz również o ich szczęście i radosne użycie. Jest raczej ojcem ich, niżeli panem. Obrzęd koronacyjny obudził mu w pamięci wszystkie owe tytuły i obowiązki. Szczególnie żywo wspominał jeden szczegół, najbardziej przejmujący w tej ceremonji. Chwilę, gdy arcybiskup z z Laonu nałożył mu pierścień na palec, na znak „zaślubienia Francji“. „Ten symboliczny fakt małżeństwa ma oznaczać — wedle określenia współczesnego — łączność, która wiąże najściślej naszych królów z państwem, gdyż, jak małżonek

nie powinien znać innej poza domem miłości, tak ślubują nasi monarchowie miłość dla swych poddanych i staranną nad nimi opiekę.“

I chyba żaden z królów francuskich nie brał tych symbolów tak poważnie, jak Ludwik XIV. I on również, za wzorem swych poprzedników zaślubił Francję przed ołtarzem katedry w Reims. Wśród wydatków poczynionych w związku z uroczystością wymieniono wyraźnie: „diament na zaślubiny z Francją“. A ponieważ w owej chwili skarb państwa był niemal całkowicie pusty, musiano pożyczyć pierścień od Anny Austrjaczki i — oddać go zpowrotem po ukończonej ceremonji. Do końca życia nie zapomniał tego mistycznego małżeństwa kochanek pani de La Vallière i mąż infantki, „córki największego wśród królów świata“. Grzmiały wówczas triumfalne fanfary, pod wysokim stropem wspaniałej bazyliki polatywał rój wypuszczonych i bijących skrzydłami gołębi, iż zdało się, że to żelazne anioły kościoła szybują w powietrzu. I oto za sprawą tego kosztownego, cudnie błyszczącego klejnotu został poślubiony Francji. Wobec tego związku czemże były jego żywe kochanki, jego cielesna żona? Wszakże serce swe ofiarował najchwalebniejszej z kobiet... I teraz patrzmy, co uczyni ten młody, w pierwszym rozpale męskości stojący oblubieniec dla oblubienicy tyle mu drogiej — tyle wymagającej i niebezpiecznej?...

Oczyma władcy i kochanka pospołu ogarnia najpierw sytuację Francji na świecie. Wydaje się ona równie niepewna, jak stan całej Europy wogóle. Pomimo długiego szeregu zwycięstw i pomimo świeżo zawartego pokoju pirenejskiego, który był bardzo korzystny dla Francji. Wszyscy czują, że ten pokój jest tylko rozejmem i „pieredyszką“, i runie przy lada okazji. Albowiem wielki problem, zaprzątający od dwóch wieków politykę zagraniczną Francji, nie został bynajmniej rozwiązany. Granice od północy i wschodu otwarte, stolica stale zagrożona. Na południu zdobyliśmy wprawdzie Roussilon, Conflent i Cerdagne, ale „mikeleci“ Jego Królewskiej Katolickiej Mości utrzymują w ciągłym niepokoju kraj, w którym szlachta i chłopi spiskują przeciw Francji. Prowincja Franche-Comté, należąca jeszcze do Hiszpanji, jest takiem samem jak Flandrja gnia-

zdem intryg i ośrodkiem wrogiej propagandy. Alzacja należy do nas tylko nominalnie. Strasburg jest w każdym razie nasz. Lotaryngja dochowuje wierności swemu księciu, którym jest chwiejny, ale ruchliwy Karól IV. Nie posiada on wprawdzie wielkiej potęgi, mimo to niedawno — król pamięta dobrze — podsunął swe wojska aż pod mury Paryża. Nawet w rozwalonem Nancy nie waha się Karol IV paktować z Niemcami, aby mógł wejść w zupełne posiadanie swych państw.

Na północy nie posiada Francja nawet Artois w całości. Ani Dunkierki, ani Lille, ani głównych miast flandryjskich. Stanowiska zajęte w tamtych okolicach to zaledwie forpoczty, przeznaczone na wzmocnienie marszu wojsk francuskich naprzód. Zapomina się o tych okolicznościach zasadniczych, ilekroć oskarżamy Ludwika XIV o wygórowane ambicje. Zmuszony był wszakże do obrony i umocnienia tych bardzo niepewnych zdobyczy, których mu stale zaprzeczano. Musiał je rozszerzyć za każdą cenę, jeśli chciał zapewnić zbawienny spokój swemu narodowi. Więc kiedy ujmował władzę w ręce, daleko jeszcze było do utrwalenia stosunków. Najtrudniejszą rzecz zrobić należało: rozszerzyć zdobyte obszary, jeśli je Francja miała zatrzymać na zawsze. Król mówi o tem wyraźnie w swych „Pamiętnikach"; od objęcia rządów starał się uporczywie, „utrzymać swych poddanych w dufności w swą potęgę i swą dobroć, a zarazem usunąć zarzut, od tak dawna czyniony Francuzom, że umieją zdobyć, ale nie umieją utrzymać zdobyczy."

W tej chwili zdaje się, że spokój panuje wszędzie: i też król sam to przyznaje. Cesarz zajęty wojną z Turkami, Anglja objęta rewolucją, jest chwilowo sprzymierzeńcem Francji, sprzedajnym zresztą i bardzo niepewnym. Natomiast Hiszpanja, od stu lat zgórą najgroźniejszy wróg Francuzów, nie rozbroiła się wcale. Nie przyłączyła się do pokoju pirenejskiego, który nie był wprawdzie niekorzystny, ale też i nie wyjątkowo świetny dla Francji. Hiszpanie wywołują nieustannie zajścia na granicach, aresztują kurjerów, prześladują kupców i armatorów morskich. Na wszystkich dworach pracują posłowie przeciw Francji.

Hiszpanja, która pozostaje zawsze najbogatszym narodem na świecie i — jeżeli tylko zechce — może trzymać na żołdzie wojska przeciw Francji. Zarówno Hiszpanie jak i Francuzi mają doskonałą świadomość wzajemnego antagonizmu. Była to walka na śmierć i życie. Jeden z przeciwników musiał ustąpić z pola. Zanim podjęto w dalszym ciągu wojnę na armaty, walczono na epigramy, ulotki złośliwe i karykatury. Sytuacja bardzo podobna do stosunku między Francją a Niemcami przed rokiem 1914.

Z gorzką wściekłością wspominają nieraz Francuzi uwięzienie Franciszka I w Madrycie. Zawsze jeszcze chcą zmazać tę hańbę, uważając, pomimo traktatu w Münster i pokoju pirenejskiego, że wojna odwetowa z Hiszpanją jeszcze nie dobiegła końca.

Więcej, niż ktokolwiek inny odczuwał Ludwik XIV niecierpliwość, z jaką naród wypatrywał końca wojny z aroganckim sąsiadem. Odczuwał tem więcej, że nawet w czasie zaślubin napełnili go Hiszpanie „niesmakiem“ i pogardą. Już dzieckiem miał powyżej uszu, gdy matka wciąż wychwalała pod niebiosy swój kraj i ród. Ze wstrętem wreszcie odnosił się do swego wuja, króla katolickiego i wszystkich poddanych tej Zarozumiałej Mości!... Kuzynka króla, panna de Montpensier opowiada z tej racji zabawną anegdotę: Działo się w czasie podróży do Lionu w czasach, kiedy jeszcze nie było mowy o małżeństwie z infantką. „Zanim król jeszcze wsiadł do powozu, zaczął spierać się z królową-matką o splendor domów panujących we Francji i w Austrji i tak rzekł potem do mnie: Przed kilku dniami omal nie pobiliśmy się z królową i to o wielkość naszych dynastyj. Na to królowa: Istotnie tak było. Lecz w jaki sposób znieść można twoją zarozumiałość niesłychaną? Król odparł: Mam dobrego sprzymierzeńca, gdyż moja kuzynka jest równie zarozumiała jak ja. Królowa: Obojeście jednakie pyszałki pod tym względem. Zaczęłam się śmiać po tych słowach, na to król do mnie: Nieprawdaż, droga kuzynko, że oni byli ledwie hrabiami na Habsburgu, gdy my byliśmy już królami Francji? Odparłam, że nie wypada mi odpowiedzieć na to pytanie i że wogóle taka odpowiedź byłaby trudna, dynastja austrjacka bowiem

była wielka i świetna, ale musiała ustąpić wobec nas. — Na to król: Gdybyśmy się zaczęli kłócić, ja z królem hiszpańskim, zmusiłbym go też do ustąpienia. Jakże bardzo cieszyłbym się, gdyby on chciał walczyć ze mną na ubitej ziemi i wojnę zakończyć. Ale jemu to ani w głowie. Ludzie z tej rasy nie biją się nigdy. Karol V nie chciał się nigdy bić z Franciszkiem I, chociaż ten go wzywał do walki gwałtownie. Bez końca takich historyjek opowiadał Ludwik i to w niezwykle przyjemny sposób. Królowa wszelako powiedziała: Chociaż mówimy tylko żartem i ty chyba nie myślisz na serjo bić się z moim bratem, mimo to nie lubię takich rozmów. Lepiej zmieńmy temat."

I niechże teraz kto powie, że Ludwik XIV nie znał historji! Wiedział co najmniej tyle, że musi pomścić afront, uczyniony jednemu z najświetniejszych jego poprzedników, podobnie jak Niemcy w roku 1870 chcieli pomścić swoje własne klęski. W każdym razie zastanowić się wypada nad takiemi ustępami, jak powyższy, a wówczas dojdziemy do przekonania, jak wybitnie narodowym królem był Ludwik XIV; w swej własnej chwale kochał on chwałę narodu.

Chwała! Któryż z poetów opiewał ją z większem od niego wzruszeniem, z większym od króla ferworem? Znamy wszak te słynne słowa z „Pamiętników": „Miłość sławy odznacza się taką samą delikatnością, rzekłbym nawet, nieśmiałością, jak najczulsze z uczuć... z jednej strony gorąco pragnąłem odznaczyć się i wybić, z drugiej zaś ogarniał mnie lęk, że zbłądzę. A ponieważ za największe nieszczęście uważałem hańbę błędu popełnionego, przeto starałem się zawsze postępować z jak największą ostrożnością." Oto i cała linja zasadnicza króla w tym czasie: jak największa ostrożność! Chciałby bardzo działać gorliwie i wypełnić życzenia narodu, nasycić żądzę sławy, osiągnąć wszystkie marzenia osobiste, ale równocześnie boi się, by nie wtrącił Francji w jakąś niepotrzebną awanturę. Jakkolwiek wielkiem byłoby pragnienie usunięcia grozy hiszpańskiej, zważyć musi, że kraj, wyczerpany półwiekową prawie wojną, tęskni do spokoju. I oto dlatego Ludwik XIV długi czas zachowuje się spokojnie. Ulżyć najpierw swoim ludom, oto co uważa za najważniejsze. „Ze wszystkiego, co spostrzegłem w czasie

mej kontrolnej podróży (wewnątrz i zewnątrz państwa), jedno przedewszystkiem przemówiło mi bardzo mocno do umysłu i serca: poznałem stan wyczerpania, w jakiem, po tylu ciężarach ogromnych, znalazły się moje ludy... Zarządziłem więc najpierw natychmiastowe obniżenie podatku pogłównego o trzy miljony na rok następny, w przekonaniu, że inaczej nie zdołam zacząć się wzbogacać, jak tylko przez powstrzymanie mych poddanych od ruiny, która im już groziła...“

Pierwszą tedy myślą tego tyrana bez serca była chęć ulżenia narodowi. Niemniej jednak troszczyć się winien władca o bezpieczeństwo i dobrobyt poddanych, ile tylko zdoła. Cel taki atoli da się osiągnąć wyłącznie drogą wojny. I nie można się dość wcześnie do niej przygotować. Król rozpoczyna przeto z miejsca gromadzić pieniądze, mobilizować siłę zbrojną. Ale pocichu, aby hałas przygotowań nie obudził czujności nieprzyjaciela. Bo jeżeli się pragnie powodzenia, należy do ostatniej chwili zachować tajemnicę. Postanawia przeto Ludwik XIV okryć swe plany wojownicze wesołym pozorem. Ludzie niewtajemniczeni przypuszczają snadnie, że króla zajmuje przedewszystkiem życie wytworne, kochanki, konie, psy, parady wojskowe, bale i balety, *fêtes champêtres*, iluminacje, czy ognie sztuczne. W rzeczywistości jest zgoła inaczej: tysiąc projektów rozmaitych przewala mu się przez głowę. Robi wrażenie, jakgdyby pławił się w uciechach, tymczasem myśli zupełnie o czem innem.

Do tej roli nadaje się wprost cudownie. Z natury jest zmysłowy i lubieżny. Lubi splendor i zbytki, wspaniałe budowle, wogóle rzeczy piękne. Zaczyna tedy używać życia — pełnej uciechy życia, tak jak ją pojmował każdy z władców ówczesnych, posiadający zmysł dla piękna i wielkości, wogóle zmysł rozkoszowania się tem wszystkiem, co jest na świecie przyjemne. Przychodzą mu na myśl nauki kardynała i te romansowe czytania z Marją Mancini. Głęboko chowa w sercu swą tajemnicę, zachowując ją na przyszłość. Zanim zacznie żyć dla sławy, chce najpierw użyć rozkoszy, bogactw i splendoru.

CZĘŚĆ TRZECIA

ŻYCIE WŚRÓD ROZKOSZY

Za jeden Wersal oddałby król wszystkie kobiety.

Bussy-Rabutin.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PROGRAM PRACY

Ci ludzie pobożni, którzy pragnęli gorąco od początku, aby wnuk świętego Ludwika wstępował w ślady swego wielkiego przodka, musieli zrazu doznać gorzkiego rozczarowania. Nikt inny, coprawda, nie wydawał się godniejszym tytułu „Króla Arcy-chrześcijańskiego", niż ten syn Anny Austrjaczki. Odznaczała go przecie pobożność zarówno szczera jak głęboka. A mimo to z Ludwikiem Świętym nie miał nic wspólnego. Nie było najmniejszych stycznych w usposobieniu dwóch królów z tej samej dynastji. Z innej płaszczyzny wyrośli. Nie zdąża wcale ku niebu myśl Ludwika XIV. Widać to z pierwszego już wejrzenia. Raczej przeciwnie posiada on w wysokim stopniu to, co Nietzsche nazywa *Erdgefühl*, jak żaden inny władca, był głęboko przekonany, że królestwo jego jest z tego świata i wyłącznie z tego świata.

I z tego właśnie powodu, ten lubieżny amator ogrodów, pałaców i innych rzeczy pięknych, postanowił brać pełną garścią z darów doczesnych — a szczególnie wszystko, co tylko wydobyć można z bogactw i uciech królestwa. Nie trzeba pomawiać króla o egoizm, byłaby to rzecz niewczesna, gdyż tych samych bogactw i szczęścia materjalnego życzył przedewszystkiem swoim ludom. Nigdy bowiem ten nadczłowiek nie zwykł oddzielać losu swego od losu państwa. Jeden z kobierców, stworzony dla króla przez Lebrun'a, przedstawia obraz lata w pełni zbiorów i żniw z napisem łacińskim: *Vitae melioris in usum.* (Na użytek lepszego życia). Takiej ery życia lepszego pragnął Ludwik dla całego królestwa swego. Pragnął, aby to życie było dla wszyst-

kich i dla niego rozkoszne. Że takie a nie inne było jego życzenie najgłębsze, dowód mamy wyraźny nietylko w całej postawie królewskiej. Świadczą również o tem wszystkie jego wypowiedzi, enuncjacje ministrów, a wreszcie ryciny alegoryczne, czy symboliczne, w których artyści i pisarze dali wyraz zapatrywaniom Ludwika XIV. Z mnóstwa rozmaitych świadectw, godzi się zwrócić szczególną uwagę na głos szlachetnego Andrzeja Félibien. Znał on chyba najlepiej króla w okresie uciech i rozrzutnych przepychów. Félibien, wyjaśniwszy symbolikę wspomnianego wyżej kobierca, tak powiada na końcu: „Francja otrzymała w darze Jego Królewską Mość w tym celu, aby jej mieszkańców uczynił tak szczęśliwymi, jak nigdy dotąd.“

Już ma zawczasu w głowie gotowy plan tego uszczęśliwienia. Hipolit Taine, chcąc w sposób przekonywujący i plastyczny przedstawić niezwykłe zdolności, zawarte w mózgu Napoleona, ujął go w kształt ogromnego foljantu i nazwał „atlasem napoleońskim". Istotnie, bowiem był to ogromny schów wiedzy, magazyn najrozmaitszych idei i projektów, jakie mieściły się w potężnej mózgownicy. W tym sensie możnaby również mówić o atlasie Ludwika XIV. Żądza wiedzy, niepowstrzymana ciekawość poznania wszystkiego, doświadczenie osobiste, głęboka znajomość wszystkich spraw państwowych i całej administracji, nakoniec mądra i nieprzerwana współpraca najwybitniejszych specjalistów — wszystko to sprawiło, że atlas Ludwika XIV miał rozmiary olbrzymie. Wszystko się zbiegało w tym mózgu, podobnie jak gabinety królewskie były centralnym ośrodkiem spraw państwowych. Wydaje się mi rzeczą pewną, że zasięg patrzenia u Ludwika XIV był szerszy niż u Napoleona, który wszak nie miał prawie żadnego zmysłu dla literatury i sztuk pięknych. Ludwik natomiast znał się na nich wspaniale. Był-że on w istocie królem wymowy *(le Roi de la langue)* jak twierdzi ks. de Choisy? Trzebaby go było słyszeć, by móc ocenić. Natomiast nie ulega wątpliwości, że był najwybitniejszym znawcą i amatorem, żeby nie rzec, pierwszym artystą swej epoki.

W czasie owego „przeglądu wszystkich części państwa,“ rozpoczętego, o czem sam wspomina w „Pamiętnikach“,

po śmierci Mazariniego, zdołał ustalić, jakkolwiek bardzo ogólnie i dorywczo, generalny plan reform i nowych urządzeń, jakie zamierzał wprowadzić. Pierwszym punktem programu — mówiliśmy już dlaczego — było wzbogacenie i podniesienie narodowego dobrobytu. Przeciwności wszelakiego rzędu, konieczność wojen w pierwszym rzędzie, zmuszały nieraz do zacieśnienia, a nawet zaniechania tego programu.

Gdy po raz pierwszy jako monarcha stanął w otwartem oknie swego gabinetu w Luwrze i ogarnął spojrzeniem piękną rzekę, wspaniałe nad nią budowle, gdy widział przed sobą nabrzeże i nawał towarów, przybywających z całego królestwa i całego świata, wtedy marzyło mu się pewnie, że zdoła zmienić życie swego ludu i swoje w jedno nieprzerwane święto.

* * *

Lecz najpierw należało przekonać Francję, że powinna być bogatą. W tej mierze godził się Ludwik XIV doskonale ze swym ministrem Colbert'em. Trzeba było dążyć, aby Francuzi nabrali przekonania o swem bogactwie i o możliwości dalszego wzbogacenia się. Król znał kraj doskonale, przejeżdżał go wszak i zwiedzał wszelkiemi sposobami, i to nie raz, lecz wiele razy aż do późnej starości. Żadna z głów państwa, jakąkolwiek epokę weźmiemy, nie znała Francji tak dokładnie, jak właśnie Ludwik XIV. Z naoczni znał najpierw urodzajność gleby, obfitość zaludnienia i skarbów przyrodzonych. Należała wówczas Francja do najludniejszych i najlepiej uprawionych krain Europy. Podziwiali ją nieraz cudzoziemcy. Aby dorównać Hiszpanji, posiadającej więcej złota, należało zatrzymać gotówkę w kraju, a przyciągać pieniądz sąsiadów. Król i Colbert przypuszczali, że im się to uda. I też wolno było temu monarsze mieć nadzieję, skoro szczęście służyło mu na wyścigi.

Uznawał się za spadkobiercę długich wysiłków idei monarchistycznej, która doprowadziła do zupełnej prawie unifikacji państwa. W unifikacji tkwiła siła Francji, to też podziwiano ją zagranicą niemniej zazdrośnie od żyzności kraju.

I co jeszcze: w owym czasie właśnie stał się król Ludwik przodownikiem całego świeżego pokolenia znakomitych żołnierzy, urzędników, uczonych, pisarzy, artystów i rzemieślników. Ci nowi ludzie marzyli tylko o odznaczeniu się w oczach władcy, który, równie młody jak oni, dzielił ich nadzieje i marzenia, a mocen był nadto wesprzeć ich swą powagą i serdeczną sympatją. Około roku 1660, gdy król się żenił, Francja, wyszedłszy zwycięsko z najgorszych opałów, czuła się jakby nowonarodzoną. Rozpierała wszystkich jakaś młodzieńcza ochota i prężność. Młodzi ludzie dumni byli ze swej młodości. A Ludwik XIV rozkazał swym malarzom mnożyć i uświetniać chwałę młodego wieku. Obrazy i rzeźby w ogrodach i pałacach przedstawiały młodość jako symbol płodności. W Wersalu pragnął widzieć wszędzie postacie chłopięce. Cały naród współdziałał z królem. Czuli że wielka przyszłość stoi przed nimi, mieli do dyspozycji środki, o jakich się nie śniło wiekom poprzednim. Z dumą porównywano się z epoką antyku, przecenioną stanowczo przez szkolnych pedantów. Uważali się z rozkoszą za ludzi „nowoczesnych". Wyliczali z upodobaniem najnowsze wynalazki i odkrycia, które dziesięćkroć pomnożyły władzę człowieka nad światem, rozszerzyły wiedzę, zwiększyły dobrobyt. Oto kompas, oto proch strzelniczy, zegary, zwierciadła, teleskopy, mikroskopy i wszelkiego rodzaju maszyny. A nowe krainy, otwarte dziś naoścież zarówno dla handlu i przedsiębiorstw, jakoteż dla badaczy kultury obyczajowej i filozofów. Indje, Chiny, Japonja, i obie półkule Ameryki. Nakoniec rozwój wiedzy i sztuk. Zupełnie nowe kierunki. Nawet poezja i wymowa szukają nowych dróg... Miała już starożytność swoje wynalazki, my również chcemy ich dokonać i to lepszych jeszcze! A nietylko starożytnych przewyższyć chciano, lecz również inne narody dzisiejsze. W dziedzinie zbytku, piękna i wysubtelnienia kultury postanowiono zaćmić Hiszpanję i Włochy, które to dwa kraje służyły dotychczas za wzór całej Europie.

Owa jakaś egzaltacja duchowa, przejawiająca się we wszystkiem, ten wilczy głód nowinek i odkryć, to jakgdyby zapowiedzi wieku oświecenia, z tą różnicą, że ruch obecny miał w sobie więcej znamion narodowych, francuskich i głęboko

chrześcijańskich. Nowatorzy nie byli bynajmniej buntownikami. Ci ludzie, tak bardzo związani z ziemią, nie zaprzeczali istnienia Boga. Nastała wówczas jakaś przedziwna, nigdy przedtem nie nadarzona we Francji równowaga pomiędzy rozumem i wiarą, pomiędzy pozytywnemi i mistycznemi instynktami rasy francuskiej.

Lepiej niż ktokolwiek inny mocen był Ludwik XIV, wódz narodu, odczuć ten poszum w społeczeństwie, ów zagon impetyczny w dziedzinie bogactwa i chwały. Miał je przecież w swej duszy. I byłoby wprost rzeczą nie do darowania, gdyby wespół z takim narodem i w tak pięknym kraju nie osiągnął wielkich rezultatów. Wszak dobrze jeszcze pamiętał wiernego sługę La Porte'a, który mu co wieczór w latach dzieciństwa objaśniał ustępy z Mézeray'a: „Sire, — mówił — czy pragniesz zostać królem gnuśnym?" — Nie! gnuśnym być nie chciał, jako żywo! A wymagając od siebie *maximum* mozolnego wysiłku, stawał się dla narodu swego wszystkiem innem raczej, niż „nauczycielem ospałości". Wprost przeciwnie. Rozbudzał i ożywiał bez przestanku. I chyba nigdy, powiedzieć można, nie podniecał nikt Francji do takiego wysiłku.

* * *

Jaki był program w ogólnych zarysach, wiadomo. Usprawnić jeszcze i podwyższyć kulturę rolną na gruncie żyznym z natury, a do wytworów krajowych dołączyć przywoźne, zagraniczne. Z innych krajów sprowadzić trzeba to wszystko, czego Francji brakowało, a więc korzenie i towary kolonjalne: kawę, herbatę, chinę, czekoladę. Ponadto porcelanę, bronz, wyroby z laki, kobierce orjentalne, towary chińskie. Trzeba będzie starać się je naśladować, nauczyć się wszystko to u siebie w domu wytwarzać, w ten sposób wyodrębnić się ostatecznie od zagranicy i — wedle słów pewnego ambasadora weneckiego — „zbierać okwiat z tego, co wytwarza świat cały." W ten sposób naród stanie się, ziarnko do ziarnka, bogaty i będzie mógł pędzić w beztrosce życie wystawne.

W roku 1664 w czasie „Święta Wyspy Zaczarowanej" w Wersalu rozkazał król urządzić widowisko, które miało

unaocznić dworowi całemu widoki tej wymarzonej przyszłości. Zastawiono w parku wspaniałą wieczerzę pod gołem niebem, na której można było podziwiać najdroższe i najrzadsze naczynia i zastawy tak złote jak i srebrne. A przytem specjały i potrawy z całego świata w obfitości niespotykanej. U dołu ryciny, przedstawiającej tę wystawną ucztę, widniał napis: *Festin du Roy et des Reines, servi de tous les mets et présents faits par les Dieux et les quatre Saisons.* Tak więc wszystkie żywioły złożyły dań na pociechę króla i jego gości. I sami bogowie zstąpili z Olimpu, aby im ofiarować, wedle słów Wenecjanina, najpiękniejszy okwiat z twórczości świata.

Życie zbytkowne to znaczy również życie w obszernych ubikacjach. Postanowiono tedy przewietrzyć porządnie stare klitki francuskie, otworzyć naścieżaj okna na świat, powiększyć widnokrąg, rozszerzyć ogrody, parki i wyposażyć je w piękne widoki. W urządzeniu mieszkań wprowadzono więcej wygód i, jak się to wówczas nazywało, więcej schludności. „Smaczna zupka“ poczciwego Chrysale'a nie wystarczała już nowej generacji, spragnionej uciechy i wytworności. Chciano się pławić w dostatku i wieść życie, ale piękne życie. Po raz pierwszy zwrócili Francuzi uwagę na krajobraz francuski. Wydał im się bogatszy i bardziej rozmaity od włoskiego. A nadto posiadano do zbytku kamienia, marmuru i drzewa. Skarby ziemi francuskiej, piękne lasy i wielkie rzeki, oraz słodka łagoda nieba. Z tego wszystkiego skorzystano, aby stworzyć sztukę i zmienić wygląd kraju. Italja ma swoje pałace, Francja zaś będzie miała zamków w obfitości. Powszędy stworzyć należy wielkie i ozdobne zespoły. Wąskie, źle skrojone miasta średniowieczne nabiorą wyglądu monumentalnego. Zaczem stanęła do pracy rzesza artystów i rzemieślników. Mieli się zająć przebudową i przyozdobą kraju, mieli zaprząc do roboty wszystkie czynniki od których zależy piękno i przyjemność życia. I pracowali z całą gorliwością pod okiem przodownika, który, podobnie jak oni, gorzał zapałem dla wszelakiego piękna. Skupili się w cechach i korporacjach liberalniejszych teraz, niż dawniej, gdyż stały otworem dla każdego. Osiągnąwszy dobrobyt, nabrali artyści godności zarówno w oczach

własnych jak u ogółu. Powstały akademje królewskie, kształcące w muzyce, malarstwie, rzeźbie i architekturze, nie mówiąc już o warsztatach artystycznych, które w czasie rządów Ludwika XIV czynne były w Luwrze, Saint-Germain, w Wersalu i Marly. A nie trzeba sądzić, że były podobne do dzisiejszych upaństwowionych fabryk mechanicznych. Artyści współpracowali z królem i król współpracował z artystami. On ich ożywiał, on często inspirował, wielki i pod tym względem. Przez pół wieku z okładem sterował Ludwik XIV ministerstwem Piękna we Francji. I nikt go później zastąpić nie zdołał na tym posterunku. Koroną działalności miała być nakoniec organizacja życia duchowego narodu. Uczonym umożliwiono zbieranie się i porozumiewanie wzajemne, wymianę myśli i poglądów, zużytkowanie wynalazków. Przedewszystkiem atoli rozpoczęto uprawiać język narodowy, to giętkie narzędzie myśli francuskiej, rozpoczęto wysubtelniać duchową lotność narodu. Bo najszczytniejsze nawet ideje bez tych pomocy obojga raczej szkodę złośliwą przynieść mogły niż pożytek.

W ten sposób zdobyła Francja wyjątkowe stanowisko w świecie. Ale nie dosyć na tem. Chodziło jeszcze, by ją otoczyć atmosferą sympatji i podziwu, przyciągnąć do niej cudzoziemców. Uważał zaś Ludwik, że Francja winna obcym ukazywać nietylko swe własne przyjemności, lecz również ich krajów ojczystych pożytki. Stąd też wzięła początek myśl dzisiejszych wystaw powszechnych we Francji. Uczynić z niej, z Paryża przedewszystkiem, jakgdyby ośrodek globu ziemskiego, oto idea-matka tego pomysłu. Perrault w swojem dziele *Parallèle des anciens et des modernes* przytacza w tym związku bardzo znamienny projekt Colbert'a, który król niechybnie aprobował, a w każdym razie zgadzał się z jego wywodami. Marzył sobie Colbert, aby w ukończonym nareszcie Luwrze stworzyć coś w rodzaju „Pałacu Narodów". Miały tam powstać sale „zbudowane i ozdobione w guście wszystkich narodów świata, a więc włoska, hiszpańska, niemiecka, turecka, perska — dalej sale w sposobie mongolskim i chińskim." A przedmioty, jakiemi te narody zdobią wnętrza swych pałaców, miały być nietylko

dokładnie naśladowane, lecz wprost sprowadzić miano z dotyczących krajów meble wraz z całem urządzeniem, tak, aby każdy cudzoziemiec mógł z radością odnaleźć we Francji swą ojczyznę i aby cała wspaniałość świata skupiona była w granicach jednego pałacu.

Nietylko ściągnąć cudzoziemców do Francji, trzeba nadto iść do nich, olśniewać i podziw budzić. Starano się więc wpływać na opinję publiczną Europy, urabiać ją w duchu przychylnym dla Francji drogą pochlebstwa, a w razie potrzeby i wsparć pieniężnych dla ludzi, od których taka opinja zależała. Wyznaczono stypendja i pensje dla artystów, uczonych i pisarzy, płacono długi niejednego z wielkich matadorów lub ministrów. W ten sposób osobistości owe stawały się klientami króla Francji. Dziś nazywa się to „wystawianiem czeków na bank“, wówczas mówiono: o „wystawianiu na próbę szczodrości Jego Arcychrześcijańskiej Mości“. W każdym razie był to rys, któremu nie brakło też pewnej wielkości.

Kosztowna praca nad olśniewaniem świata służyła niewątpliwie interesom francuskim. Nawet gdy Colbert kazał w Rzymie odlać bas-relief kolumny Trajana, uczynił to nie bez ukrytej myśli politycznej. „Proszę zważyć — pisze z tego powodu Charles Perrault — jakie to miało znaczenie: Na placu, gdzie tłoczą się codzień bez przerwy cudzoziemcy z wszystkich stron świata, stoi dokoła kolumny o 26 stopach wysokości, olbrzymie rusztowanie, na którem, jak pracowite mrówki, znoją się ogromne rzesze robotników, podczas gdy władca, który im tę pracę zlecił, stoi na czele stu tysięcy ludzi i dyktuje swe prawa obszarom, które podbija lub którym tylko grozi. Proszę pomyśleć, powtarzam, czyż taki widok, z jednej strony bardzo przyjemny, nie musiał być wprost strasznym dla większości tych cudzoziemców i nie zniewalał ich do spostrzeżeń sto razy zaszczytniejszych dla Francji, niżeli opinja, że zna się ona dobrze na pięknie sztuki rzeźbiarskiej?“

Przed wojną roku 1914 starali się Niemcy naśladować te metody reklamy, wszelako czynili to niezgrabnie i w sposób pospolicie użytkowy. Reklama Ludwika XIV nie miała natomiast nic agresywnego w sobie: Starała się raczej



LUDWIK XIV
według sztychu Bollingera.

podobać niż olśniewać. A oto inny przykład, wyjęty z tego samego Perrault'a. Podczas wojny we Flandrji ujęli Hiszpanie kurjera francuskiego, któremu niezawodnie rozkazano, aby pozwolił dać się aresztować. Wiózł on mianowicie szereg przekazów pieniężnych, z których jeden opiewał na imię aktorów hiszpańskich, występujących w komedjach na dworze francuskim wobec królowej. Łatwo pojąć zdumienie generała nieprzyjacielskiego na widok tak niezwykłej uprzejmości. „Jakąż minę musiał, proszę państwa, zrobić ten generał, świadom, że żołnierze jego chodzą nago i boso, gdy książę, który z nimi walczy, opłaca aktorów hiszpańskich, zatrzymanych na dworze jedynie dla rozrywki królowej, z tem zastrzeżeniem, że nigdzie indziej nie wolno im wystawiać swych sztuk?"

Być użytecznym dla narodu i dobrze przysłużyć się Francji, oto w rezultacie ostatecznym właściwy cel tych rozrzutnych wydatków Ludwika XIV. Urok osobisty króla przyczynił się do zwycięstwa jego wojsk, rozkoszne życie, jakie prowadził, sprawiło, że wzrosły jeszcze wyobrażenia o jego potędze. Aby urzeczywistnić swe marzenia przetworzył on naturę, poprawiał ją i zniewalał tak długo, dopóki nie ukształtowała się wedle natchnień jego artystów i jego własnej idei. Podbijał ludzi, którzy pracowali dla niego, podwyższał ich zdolności twórcze do granic nieomal heroicznych. I oto dlaczego pragnął otaczać się tylko wyobrażeniami waleczności i szczęścia. A gdy na przechadzce w swych ogrodach w Wersalu, czy w Marly znalazł się w tłumie posągów mitologicznych, ożywiających wspaniałe kwietniki i tarasy, snadnie mógł mniemać zgodnie ze swoimi poetami, że udało mu się Olimp ściągnąć na ziemię.

ROZDZIAŁ DRUGI

ORGANIZACJA ŻYCIA NOWOCZESNEGO

Więc ten rozpustnik okazuje się przy bliższem poznaniu znakomitym pracownikiem. Uważa tylko, że ze względów politycznych wypada mu się kryć z tą pracą, podobnie, jak ukrywa przygotowania do wojny. A z drugiej strony nie martwi się bynajmniej, gdy go dworzanie nadybią przy pracy, a sami tymczasem grają w *lansquenet*'a, lub siedzą w teatrze. Nie chce król bowiem, aby jego praca osmucała dwór, który znów nie wierzy zrazu, że ten młody monarcha, drażniony tysiącem spojrzeń miłosnych, potrafi się na serjo zabrać do dłuższej pracy nad rządami państwa. Mimo wszystkich przeciwnych prognostyków trzyma się dzielnie. Pracuje ośm do dziewięciu godzin dziennie, czyta raporty ministrów, czyni na aktach uwagi, dyktuje nieprzebraną ilość listów, a czasem sam nawet odpowiada własnoręcznie. Gdyż nowoczesne życie żąda od królów takiego samego, coraz rosnącego nakładu pracy i wysiłków.

Temperament Ludwika XIV i jego „heroiczne zdrowie" wedle słów doktora Vallot nie sprostałyby podobnym wymaganiom, gdyby nie był od początku dbał o równowagę pomiędzy pracą ducha i ciała. W celu nadrobienia wydatku energji intelektualnej, musiał jako człowiek fizyczny nieustannie odnawiać się i uzupełniać. Stąd poszło zamiłowanie we wszelakich ćwiczeniach fizycznych, a szczególnie pęd do życia na świeżem powietrzu. Ten „wiejski szlagon", jak ironicznie mówiono, stał się monarchą szerokiego oddechu *(un monarque de plein air)* w całem słowa znaczeniu. Już Saint-Simon powiada, że „król lubi ogromnie pobyt na powietrzu" a Dangeau dodaje: „Czuł się zawsze niedobrze, ile-

kroć nie mógł wyjść na spacer którego dnia, a potrzebę przechadzki odczuwał najwięcej wówczas, gdy gnębiły go troski.“ Do tego stopnia lubił świeży powiew, że podróżował zawsze przy otwartych oknach karety, bez względu na zimno, deszcz czy kurz. Pani de Maintenon, która była wielką zmarzluchą, nie mogła się do tego przyzwyczaić, dlatego najczęściej jeździła czuła para oddzielnie. I nic też dziwnego, że po wyjściu z sali obrad, z gabinetu czy komnat, gdzie powietrze było pełne swędu świec woskowych i pochodni, lub zepsute oddechami rzeszy ludzkiej — odczuwał potrzebę odświeżenia płuc, głowy i muskułów. Pod tym względem nie miał nigdy dosyć. Wciąż mu potrzeba ogrodów z rozległym widokiem i tarasami, z których można objąć okiem szeroki horyzont i nałykać się do sytości powietrza z oddali, tęsknił do bezmiernych lasów i puszcz, gdzie mógł polować i jeździć konno całemi dniami. Wyobraźmy sobie, że człowieka tak żywego i spragnionego ruchu i wolności, zamknięto w Luwrze, w murach niezdrowego Paryża XVII stulecia. Uwiądłby niezawodnie i padł ofiarą jakiejś złośliwej gorączki, która wówczas panowała epidemicznie. I oto jeden z powodów, mojem zdaniem najważniejszy, dlaczego król przepędził prawie całe życie na wsi, w Saint-Germain, w Wersalu czy Marly. On też stworzył we Francji sposób i styl życia u siebie na zamkach, do dzisiaj jeszcze istniejący. Przebywał na wsi, a równocześnie rzucał podwaliny pod organizację nowoczesnego życia.

* * *

W ciągu wieku XVII rozwinęło się życie zamkowe, które wydaje się jakgdyby rozszerzeniem i przewietrzeniem zamkniętego w zaduchu nieledwie żywota, jaki wiódł człowiek wieków średnich. Pęd do swobody przedewszystkiem. Ludzie łaknęli pewnej intymności, chcieli żyć bez przymusu u siebie w domu, zażywając tych różnych wygód i ułatwień wszelkiego rodzaju, o których się dawniej nie śniło, lub które trzeba było sprowadzać zdaleka. Nie trudno też odgadnąć, czemu to Ludwik XIV, władca nawskroś nowoczesny, tak pożądliwie tęsknił do wolności. Przygniatało go bez liku spraw i kłopotów, ciążyła pańszczyzna ciągłych reprezentacyj, więc ze

wszystkich sił opierał się zautomatyzowaniu. Heroizmu wprost trzeba było, ale historycy nowocześni nawet nie bardzo chcą wierzyć temu. Malują oni zazwyczaj wielkiego króla niby jakąś mumję uroczystą, pochowaną za życia w pozłocistych salonach Wersalu, jak we wspaniałem mauzoleum i spowitą mocno w bandaże etykiety. Może zbyt dosłownie wzięto i tak już przesadne powiedzenie Saint-Simon'a o „mechanizmie“ życia królewskiego. Napewno on nie wymyślił tego mechanizmu, który istniał już chyba od czasów dynastji Walezjuszów i był zawsze skomplikowany. Ludwik musiał go cierpieć, ale czynił wszystko możliwe, aby się mu wymyknąć jako tako i samemu nie ulec, że tak powiem, mechanizacji. To i owo udało się przełamać. Godziny obiadu lub mszy przesuwano rozmaicie, na wcześniejszą lub późniejszą porę, zależnie od długości obrad Rady Koronnej, wyjazdu na polowanie czy na letnią beztroskę.

Natychmiast po obiedzie, około drugiej godziny po południu, wymykał się król w butach i przy ostrogach przez dziedziniec marmurowy, wskakiwał na konia lub z fuzją na ramieniu wsiadał do pojazdu. Dwa razy w tygodniu brał udział w polowaniach *par force*, a prawie codzień, o ile nie wychodził na spacer, polował w swym parku. Był bowiem wyjątkowo świetnym myśliwym i jeźdźcem. W okresie stosunku z panią de La Vallière, przejeżdżał, bywało, konno dwa razy w ciągu dnia z Wersalu do Fontainebleau, — co razem wynosiło prawie stopięćdziesiąt kilometrów. W starości jeszcze miał tak bystre oko i pewną rękę, że prawie nie chybiał na polowaniu. Ale nie zwierzyna i nie konie stanowiły tu główną podnietę. Jeden z ambasadorów weneckich uczynił bardzo trafną w tej mierze uwagę: „Przedewszystkiem w interesie swego zdrowia używa król tak wiele ruchu. Poluje on często, ale poznać odrazu, że czyni to raczej z chęci przebywania na powietrzu i dla pozbycia się tuszy, aniżeli z zamiłowania do tego sportu.“ Znajdował w kniei istotnie okazję do samotności, mógł być zdala od uprzykrzonych gęb dworackich, albo też spokojnie puszczać samopas wodze myślom, szczególnie wówczas, gdy wedle słów Dangeau „gnębiły go jakie troski.“ Bo też, na dobrą sprawę, właściwie tylko w ciągu tych czterech czy pięciu godzin dziennie, lub

raczej raz czy dwa razy w tygodniu przez pół dnia, należał wyłącznie do siebie. Pozatem tylko w łóżku, ukryty poza zasłoną baldachimu, był panem swoich myśli, chociaż i tu rozmyślał nad sprawami państwa, lub układał plany wojskowe. W czasie wojny sukcesyjnej hiszpańskiej trapiły go w łóżku koszmary, gestykulował i gadał głośno przez sen... Tak tedy dla zdrowia fizycznego i swobody myśli pędził Ludwik życie zamkowe i używał wiele ruchu na powietrzu. Polowanie, jazda konna i spacery cieszyły go najwięcej. To nie ulega wątpliwości. Polował, jak każdy myśliwy poluje, aby dać upust nadmiarowi sił, pochwalić się celnością, popisać zdobyczą i móc ją potem rozdarować księżniczkom lub damom dworu, które z pękiem kuropatw u pasa wracały potem na zamek. Jako pan domu lubił też przechadzać się po parkach i ogrodach, zatrzymywał się to tu to tam przy jakiejś plantacji lub nowej budowie, gawędził z architektem, przedsiębiorcą, ogrodnikiem. W takich chwilach bywał Ludwik XIV prosty, dobroduszny, familjarny nieomal. W czasie jednej z takich rozmów ze słynnym ogrodnikiem Le Nôtre pozwolił mu się nawet uściskać w nagłym przypływie entuzjazmu. Coprawda, ten sam Le Nôtre bawiąc w Rzymie rzucił się w ramiona Ojcu Świętemu i ucałował go. Gdy któryś z dworzan opowiadał o tem królowi, uważając to za rzecz nie do wiary, król odparł: „I czemużby nie? Wszakże Le Nôtre ze mną całuje się również.“ Tego rodzaju życie w ograniczeniu zamkowem rozbudza w człowieku chętkę włóczęgi. Na wsi żyć można tylko pod warunkiem częstych wyjazdów. Więc robi się wycieczki, odwiedza sąsiadów, ale do tego potrzebne są dobre stajnie, znakomite środki lokomocji i dobrze utrzymane drogi. Ludwik XIV jest w nieustannych rozjazdach. Znał doskonale wszystkie drogi i gościńce w swojem państwie. Pomijając dalsze wielkie podróże, nie było prawie tygodnia, żeby nie odwiedził Meudon, Saint-Cloud, Marly, Rambouillet czy Saint-Germain. Jeździ wierzchem lub w karecie, samotnie zazwyczaj, raz aby uniknąć niedyskretnej dworaczej paplaniny, a powtóre chce myśleć w spokoju.

Wielkie i Małe Stajnie królewskie urastają przez to do rozmiaru departamentów państwowych. Tak ogromne i wspa-

niałe, niczem same pałace króla Jegomości. Bo czyż są na świecie rumaki dość piękne dla Króla-Słońca? Czy one nie przyczyniają się również do jego boskości? A obok koni, wierzchowych i cugantów, troskliwie dobranych, staje cały legjon pojazdów, począwszy od wielkich karoc, istnych salonów na kołach, gdzie mogłeś grać w karty, obiadować i sypiać, aż do fotelu na kółkach, w którym stary i chory król odbywał przejażdżki po ogrodzie. Możnaby powiedzieć, że owa konieczność nieustającej podróży z Paryża do Saint-Germain, do Wersalu czy Fontainebleau stworzyła powoźnictwo francuskie. Bo przedtem Włosi i Hiszpanie zdobyli rekord w tej dziedzinie. Od Ludwika XIV poczynając, karoce wyrabiane we Francji należą do najwykwintniejszych, są też najszybsze i najelastyczniejsze. Bez króla, który potężnie zabiegał o zdobycie przez Francję prymatu na każdem polu, i ten postęp nie dałby się osiągnąć. Jego przykładowi osobistemu przypisać trzeba, że powoźnictwo francuskie wzięło taki rozpęd nietylko w Paryżu lecz i na prowincji. La Bruyère, tak pompatyczny często, próbuje się oburzać z tego powodu, wprost przeciwnie Perrault, człowiek nowoczesny, nawet nowocześniejszy od króla, aż skacze z uciechy nad tą nowalją. „Za czasów Henryka IV — pisze on — nie było nawet tuzina karet w całym Paryżu. I jakie okropne! Dzisiaj zaś każdy lepszy mieszczuch ma własną landarę.“ Aby ten szereg pojazdów mógł się poruszać bezpiecznie, zbudowano sieć nowych dróg, naprawiono dawniejsze. Wszczyna się ruch ożywiony powszędy. Pod naciskiem energicznego Colbert'a i samego króla okolice najbardziej deskami zabite budzą się i wyłażą ze skorupy.

Niestety, wojny zahamowały w dużym stopniu ten rozmach. Drogi popadały często w stan bolesnego zaniedbania, powozy, szczególnie wiejskie landary wyglądały żałośnie i bardzo prymitywnie. Można się ubawić patrząc na malowniczy obraz Francji ówczesnej: drogi pełne wybojów, na nich pojazd wywrócony lub uwalany błockiem do niemożliwości, gospoda brudna i zapluskwiona, sześć osób w jednej izbie, a często w jednem łóżku. Lecz bądźmy pewni, że wnukowie nasi będą podobnie pokpiwać z naszych katastrof kolejowych i niewygód podróży, z niechlujstwa wagonów kolejo-

wych, źle oświetlonych i ogrzanych, dalej z lichoty naszego budownictwa i bezładu gościńców, pokrytych chmarami kurzu...

* * *

Najwięcej atoli udoskonaleń i nowości wprowadził ten równie namiętny jak nowoczesny władca w dziedzinie wnętrz mieszkalnych. Zdecydowany mieszkać na wsi, pragnął mieć tam powietrze, wodę i widoki. Z tych trzech powodów wybrał Marly. I z tych powodów zrewolucjonizował estetykę i odnowił architekturę swej epoki.

Surowi krytycy zarzucają mu, że poświęcił Luwr dla St. Germain i Wersalu. Zarzut niesłuszny. Bo najpierw Luwr stał pustką oddawna, gdy go objął Ludwik XIV z Anną Austrjaczką, a powtóre, cała masa żałośliwych przykładów pouczała, że nie powinien się trzymać daleko od stolicy, jeżeli nie chce być na łasce-niełasce stronnictw i nie stać się więźniem motłochu. Renanowi podobał się bardzo ten argument i w odniesieniu do rządów XIX stulecia, wydanych również w pewnej mierze w ręce demagogji paryskiej. Uważa on, że stolicą kraju, albo, dokładniej, rezydencją rządu powinno być małe lub średnie miasto, położone niedaleko od centrum kraju, jak np. Bourges lub Poitiers, osłonione jednak od inwazji obcej jakoteż od ruchów rewolucyjnych w wielkich skupieniach ludzkich. Ludwik XIV uwzględnił niechybnie te trudności, mając w żywej bardzo pamięci czasy Frondy, nie przebaczył wszak nigdy parlamentowi i ludowi paryskiemu, że musiał wówczas uciekać z matką i swym ministrem. Oto głębszy, oto istotny powód, dla którego w Paryżu bywał jak najrzadziej. Lecz i o tem pamiętajmy, że ówczesny Luwr był nietylko niezamieszkany, ale i niezamieszkalny prawie; składał się z głównego wschodniego skrzydła, z galerji Apollina, i rozwalonego budynku bocznego od strony Sekwany. Dzisiejszy czworokątny dziedziniec nie istniał wcale, jego miejsce zajmowała hałda gruzów i kamieni z jedną z wieżyc starego, średniowiecznego Luwru pośrodku. Od wszystkich stron, wyjąwszy stronę rzeki, zablokowany był wszelakiem domostwem i odłączony od Tuilleryj. Smrodliwa i złej sławy droga wiodła do Sekwany, tam gdzie dziś Kolum-

nada. Nawet za dnia było ciemno w sypialni króla, który szczególnie musiał odczuwać ciasnotę niedokończonego pałacu, gdzie wraz z nim mieszkała jego żona, matka, brat, kardynał, siostra i siostrzenice kardynała, wszyscy ponadto w towarzystwie mniejszego lub większego dworu. Ponadto otaczały Luwr owoczesny fosy wypełnione wodą, wydzielającą z nastaniem gorąca cuchnące miazmaty. A jeszcze zapachy Paryża, przeludnionego, brudnego Paryża w dzielnicy hal targowych. Razem smród, o jakim dziś nie mamy wyobrażenia. A więc dość powodów, że już pominiemy czysto osobiste względy, aby człowiek tak bardzo wrażliwy unikał granic miasta. Gdy się więc miało do wyboru pomiędzy ogrodem Luwru, otoczonym murem wysokim, zatrutym wskutek sąsiedztwa gnojówek i bajor cuchnących — a pomiędzy czarnym pałacem St. Germain o bezkresnym widoku i pysznym tarasie powietrznym — nie trzeba było wahać się ani chwili.

Samo Saint-Germain nie nastręczało innych korzyści prócz pięknego położenia, czystego powietrza i bliskości lasu, który był radością strzelca i kochanka. Château-Neuf (dzisiaj zniszczone) wówczas już chyliło się ku upadkowi. Był to budynek mało okazały, jednopiętrowy, zaledwie z tarasami i ogrodami od strony Sekwany. W Starym Zamku, odwiecznym i źle utrzymanym, nie więcej było wygody, niż w Luwrze. Postanowił przeto król Ludwik XIV przeistoczyć budowlę całą do swego użytku i stworzyć z Luwru dzieło bardzo nowoczesne i bardzo wystawne.

Budowla dzisiejsza już tylko nieznacznie przypomina Luwr z czasów Ludwika XIV. Tyle tam zimnego szkolarstwa. Wydaje się raczej „postiszem“, próbą rekonstrukcji w duchu francuskiego odrodzenia. W obliczu tej ponurej przestrzeni żałujemy, że przepadły upiększenia i przemiany z wieku XVII.

Po kilku latach pobytu króla w Saint-Germain stara siedziba Franciszka I zmienia się w nowocześnie urządzony i zupełnie przebudowany zamek królewski. Ludzie wieku XVII byli nim oczarowani. A przedewszystkiem zachwyt budziły tarasy, które Ludwik XIV rozkazał dobudować do obu fasad głównych od strony lasu i od strony Sekwany. Nazywano je „Nowym tarasem“. Jeden z gości oficjalnych

tak wyraził swój zachwyt w liście do panny de Scudéry: „Zaprowadził nas tam pan Lebrun... Towarzystwo całe było zdziwione i wniebowzięte tym tak skończenie pięknym widokiem... Każdy wyobrażał sobie, że przeniesiono go gdzieś do Asyrji starożytnej lub do Egiptu... czy do przesławnych ogrodów wiszących... Potem z tarasu droga wiodła na pokoje króla, który się właśnie ubierał.

Jednakże mało było straży przy Jego osobie,
„Wolność" miał tu, jak i wszędzie
I więcej kwiatów pilnowało króla,
Niż było przy nim halabard.

Szliśmy tak między rzędami wiśniowych wawrzynów, goździków, jaśminu i tuberoz."

Wspomniany podróżnik, usposobiony niezawodnie przez pana Lebrun, wyjaśnia nam również w tym liście, czego szukał król przedewszystkiem w Saint-Germain: swobody, a raczej wygody osobistej, prawa życia tak, jak mu się podobało, żeby mu dworactwo nie deptało po palcach. A potem wspaniałość widoku, bezmierna perspektywa lasu, zielonych równin i przytulnych pagórków, niezepsutych jeszcze jak dzisiaj kominami fabryk. Ludwik XIV, władca z rodu, lubił panować i tu nad oddalą przestrzeni, jakgdyby czuł się lepiej pośród niej, jakgdyby te obszary niezmierzone podniecały jego rozmach w dążeniu do wielkości. To pewna, że w Wersalu czy Saint-Germain myśl wzlatała wyżej, niżeli w Luwrze. Wspaniałe położenie wzruszało króla niezwyczajnie. Jak bardzo był wrażliwy pod tym względem, świadczy choćby ten szczegół, że kazał sobie urządzić mały pokoik od najbardziej malowniczej strony tarasu, skąd był widok na Château-Neuf i na wieże Saint-Denis. Z swej pracowni zaś mógł oglądać bijące fontanny, wspaniałe dywany kwiatów i nieprzejrzane morze leśnej zieleni.

Kochał kwiaty i kazał je sadzić wszędzie — kwiaty o bardzo silnym zapachu, kwiaty, które oszałamiają i kwiaty budzące rozkosz, prawie zmysłowe, jak jaśmin i tuberoza. Komnaty swoich kochanek ozdabiał kwiatami, kazał je sadzić u ich okien i drzwi. Tarasy Saint-Germain były jednym wielkim ogrodem wiszącym. Lubił również rośliny i krzewy egzotyczne: oleander, cytrynę, pomarańcze. Szczególnie te

ostatnie. Drzewa pomarańczowe uchodziły wówczas za wielki zbytek. Zarówno w St.-Germain jak i w Wersalu rosło ich sporo, gdyż była to jedna z wielkich przyjemności króla. Nawet na polu bitwy we Franche-Comté ma czas zastanawiać się, czy przyjmą się krzewy pomarańczowe, świeżo zasadzone w parku wersalskim. A obok kwiatów ptaki są pasją królewską. Ptaszarnie znajdziemy wszędzie. Chociażby w Dziedzińcu marmurowym w Wersalu. „Ptaki są przeważnie bardzo rzadkie z dalekich krajów“ — opowiada imć La Fontaine, który wraz z swymi przyjaciółmi Boileau, Racine'em i Molière'm nie mogli się dość nacieszyć menażerją królewską. — Szczególnie podobały im się jednak „Panny numidyjskie i pewien rodzaj ptaków brodzących z bardzo długiemi dziobami... Trudno spotkać coś piękniejszego: jest to gatunek kormoranów.“ Dla świegotu i barw wspaniałych lubił ptaki, dla zapachu kwiaty. Miłował wogóle wszystko, co się żywo porusza i co jaśnieje. Trochę miłych zwierząt, trochę młodości, życia i uciechy — oto, co chciał zawsze widzieć dokoła siebie.

Szlachcic wiejski, chce jednak żyć wśród wygód wszelakich i w jak najbardziej zbytkownem otoczeniu. Dlatego stawiał niezwykle wysokie wymagania rzemieślnikom swym, dekoratorom i budowniczym: przedewszystkiem światła i powietrza w rozległych komnatach, które muszą być wysokie i z okien patrzeć na świat szeroki. Król słońca, bóstwo rozblasku potrzebuje bowiem dużo słońca i dużo jasności dla swej osoby. Razem z sobą wnosi on wszędzie światłość, rzec można. Wystarczy porównać jego zamki z zamkami z epoki renesansu. Jakże ciemne są apartamenty w Blois w porównaniu z Wersalem! Małe okna, wąskie drzwi, kręte korytarze. Mieszkający tam książę strachał się nieustannie, że go napadną mordercy lub spiskowcy; wąskie drzwi i ciasne korytarze miały powstrzymać i hamować ich rozpęd. Ludwik XIV nie odczuwa takich obaw. Wszystko szeroko rozwarte. Powietrze i światło szerokiemi oknami wchodzi i wypełnia radosne salony, złote od fresków i przyozdoby.

W pięknych i rozległych pokojach musi być też niemniej nowoczesne urządzenie. Król okazuje się równie dobrym tapicerem i stolarzem, jak budowniczym i zdobnikiem.

Odrazu po przybyciu do Saint-Germain kazał zupełnie zmienić meble: „Wszystkie ściany i sufity — czytamy w *Lettre à Mlle de Scudéry* — pokryte szybami lustrzanemi i zwierciadłami, w ozdobnych, przebogato złoconych ramach. Stąpamy tam po pawimencie, któryby mógł być ozdobą najwspanialszego tumu. Marmury różnobarwne, mozajki i parkiet pierwszej jakości. We wszystkich kątach i wnękach wielkie srebrne wazony z kwiatami, słupy i kolumny ze srebra, ze złotemi filigranami.“ Szczególnie srebra wszędzie, do zbytku. Chciano jakkolwiekbądź zaćmić Hiszpanję, która była wówczas krajem najbogatszym w złoto, tedy wobec trudności zdobycia złota, poprzestano na srebrze. Z masywnego srebra wykonane więc były wazony do drzew pomarańczowych, jakoteż cała zastawa stołowa. Dał się w tem zauważyć rys nieco parwenjuszowski, chełpa z bogactw, z której nieraz pokpiwali Hiszpanie. I też istotnie Ludwik XIV za młodu nie był wolny od tej śmiesznostki.

Rozmiłowania miał wiele w przepychach, ale i równocześnie wybitne poczucie wygody i jej potrzebę. W Saint-Germain, które jest siedzibą letnią, niech będzie rzeźwo i świeżo. Tak postanowił. Więc gdzie tylko można, poumieszczano na zamku wodotryski i baseny z wodą. W okrągłej izbie w baszcie narożnej (należącej już do „małych apartamentów“), znajdowała się w otworze na kominku wielka waza srebrna, z której biło sto wytrysków wody, w lecie orzeźwiającej powietrze ogromnie. W sali środkowej, ozdobionej *en rocailles* i dlatego zwanej „grotą“, strumień fontanny odbijał się w ścianach bocznych i na suficie, gdzie wyobrażony był mały amorek, „ujęty jakgdyby między dwa strumienie wody.“

Bogactwu odnowionych komnat i mebli odpowiada przepych dań i potraw, atoli bez wybryków; niektóre nawet potrawy wydają się nam dziś dość pospolite. Jadło bywało u dworu raczej obfite niż wykwintne, jakkolwiek w porównaniu z wiekiem poprzednim widać postęp znaczny. Podobnie jak w kwiatach i krzewach zamorskich, gustował Ludwik XIV w owocach i jarzynach egzotycznych, więc rozmaite strąki, melony, świeże figi, owoce granatu i pomarańcze. Sad owocowy i ogród jarzynowy pod kierownictwem p. de La Quintinie służył całej Francji za wzór do naśladowania. Jak

również cukiernicy jego mogli rywalizować z Włochami i Hiszpanami, szczególnie w przyrządzaniu sorbetów. Proszę dodać jeszcze niezwyczajny przepych zastawy stołowej, oraz mnóstwo nowych udogodnień, przedewszystkiem świece woskowe, świece na ścianach, w lichtarzach ściennych, świecznikach, pająkach, żyrandolach i kandelabrach. A zatem istna rewolucja w oświetleniu, która — o czem nie trzeba zapominać — pchnęła na nowe tory całe życie towarzyskie. Wynalazek świec woskowych umożliwił Ludwikowi XIV urządzanie świetnych uroczystości i przyjęć wieczorowych, które mogły się częściej odbywać, gdyż koszt był znacznie mniejszy. Nie potrzebował już odtąd szlachcic na prowincji iść spać z kurami. W miejsce dawnych lampek oliwnych, czy świeczek łojowych, które śmierdziały i dymiły, miał teraz świece woskowe. Można było oświecać do sytości salony gry, zebrania balowe i asamble towarzyskie, zaczem ten postęp w dziedzinie oświetlenia niósł z sobą również rewolucję obyczajową.

Król światła rad również mieć na zamkach swoich wszystko co służy ku wygodzie i „schludności“ bytu. Stolec (wiadomo, o czem mowa) był wówczas objawem nietylko wielkiego postępu ale i wielkiej elegancji. Siedząc na nim, przyjmowało się wizyty, podobnie jak ceromonja mycia odbywała się na oczach ludzkich. Miednice i stolce oto najmilsze wówczas rozrywki towarzyskie. Wziąwszy do rąk inwentarz mebli koronnych, dowiemy się, że w takim Wersalu np. obok całej armji stolców i stołeczków, znajdowały się nadto w ogromnej ilości przybory wcale delikatne, a dotychczas bardzo mało znane we Francji, wanny mianowicie. A więc cały szereg wanien do kąpieli, dzbanków srebrnych i nalewek na wodę, dalej gasidła i szczypce do obcinania knotów, pudełka z gąbkami i spluwaczki — wśród nich osobista królewska w Marly, srebrno-pozłocista, i nakoniec małe rozpylacze do wód pachnących o sączkach z hebanu i srebra.

Tyle dla wygody życia. Dla przyjemności zaś i uciechy oczu oraz innych zmysłów odbywały się uroczystości na wolnem powietrzu, wieczornice w ogrodach, koncerty na wodzie, obiady z muzyką, bale, komedje i opery, przejażdżki w gondolach, gry sportowe i wyścigi, gonitwy o pierścień; zabawa

w *trou-madame*, czy *passe de fer*, dalej huśtawki, chowanki, trzeciaki i wiele innych rozmaitych. A gdy deszcz padał lub zimno było na dworze, grano w karty, w loteryjkę lub słuchano muzyki w pokojach.

* * *

Król był naczelnym organizatorem tych wszystkich delicyj życia. Współcześni chwalili go za to lub ganili, roznosząc w każdym razie imię jego w całym świecie. W pracy pt. *Examen de conscience sur le devoirs de la royauté*, która jest jednym wielkim aktem oskarżenia przeciw królowi, czyni go Fénelon wprost odpowiedzialnym za zepsucie obyczajów. „Więcej — powiada — mamy dziś karet sześciokonnych w Paryżu, niźli było mułów przed stu laty. I nie miał również każdy pokoju oddzielnego, jeden pokój o kilku łóżkach wystarczał na całą rodzinę. A dziś nie może się nikt obyć bez szeregu komnat obszernych w amfiladzie. Każdy chce mieć ogród z wywróconą do góry nogami ziemią, z fontannami i posągami, ogromne parki i pawilony, których utrzymanie przekracza dochody z ziemi, na której stoją. I skąd to wszystko? Wszystko za przykładem jednego człowieka.“ Mowa tu, naturalnie, o królu. Dodajmy mimochodem, że Fénelon, ten cnotliwy cenzor moralności, trzymał dom otwarty na książęcej stopie na swym dworze arcybiskupim w Cambrai. Wynika stąd, że spartańska skromność obowiązywać miała wyłącznie dwór wersalski.

Patetycznie gwałtowne wycieczki przeciw zbytkowi stały się, wedle uwagi Woltera, niejako częścią składową wymowy duchownej. Król zaś uważał, że podnosząc stopę życia daje tem samem swoim poddanym środek do podniesienia wytwórczości i handlu. A nadto powiedział sobie ten robotnik wspaniały, że należy mu się trochę przyjemności po pracy. Po tylu kłopotach rządzenia odczuwał potrzebę rozrywki. Miłował rozkosz narówni jak kochał miłość. A jeśli się jeszcze uwzględni jego żądzę sławy, to zaiste trudno ganić tego młodzieńca, który nie zaniedbał żadnego z obowiązków monarszych, a w rozrywkach swoich szukał chyba tylko wypoczynku potrzebnego po pracy nad tworzeniem wielkości.

Tak pojęte i urządzone życie na zamkach było w samej rzeczy jednym wielkim ciągiem zabaw i rozrywek, obejmujących dzień cały od rannego przebudzenia się, aż do wieczora, gdy król „oddawał lichtarze“ służbie i szedł na spoczynek. O oznaczonej godzinie porannej podnosił kamerdyner ostrożnie zasłony okienne w sypialni, piastunka królewska zaś zbliżała się do łóżka i budziła króla pocałowaniem. Jakiż to piękny obyczaj! I jakże nie obiecywać sobie dobrze po dniu, rozpoczętym przez pocałunek, chociażby tylko taki, macierzyński prawie!... Następowała msza św., w czasie której, jak powiada Saint-Simon, śpiewano zawsze jeden motet. Zkolei obiad przy dźwiękach skrzypiec, po nim spacer lub polowanie, rewja kwiatów w ogrodzie, rewja tualet niewieścich w Galerji, teatr; o dziesiątej kolacja, znowu z muzyką, obfitość dań i przysmaków, wspaniałe zastawy, przepych nad wszelkie pojęcie. Nawet przyjęcia i koncerty w ściśle zamkniętem kółku bywały czarujące. Pani de Sévigné, zaproszona pewnego razu do prywatnych pokojów kochanki królewskiej, zapewnia, że słyszała tam wprost „niebiańską muzykę.“

ROZDZIAŁ TRZECI

USTAWIANIE DEKORACYJ

W pełnym toku wojny sukcesyjnej hiszpańskiej, czyli innemi słowy w najsmutniejszym i wielce niepokojącym momencie rządów Ludwikowych, pisała pani de Maintenon do księżniczki des Ursins: „Przebywamy w okolicy prawdziwie rozkosznej. Nie wiem, czy pani widziała kiedy Trianon o tej porze.“ Było to w czerwcu, a więc wówczas gdy Wersal jest najpiękniejszy. Jakiś czar szczególny musiał tedy wionąć z owej miejscowości, skoro odczuła go istota tak bardzo sucha i pedantyczna i to jeszcze w porze wcale niestosownej. Król już był stary przecie, dewocja ogarniała go coraz większa, wojska odnosiły klęski, a mimo to życie rozkoszne trwało dalej.

Wymagało owo życie czarowne oprawy godnej siebie i godnej sławy młodego monarchy. Ludwik XIV zrozumiał to odrazu. Pojął przedewszystkiem, że nie wystarczą już na dziś te ramy architektoniczne, które stworzyli jego poprzednicy. Życie nowe niesie wszak z sobą inne wymagania, stare pałace już nie przystoją majestatowi Francji i jej wysokosiężnym ambicjom. Ponadto raz jeszcze powtórzmy — odznaczał się król zmysłem wspaniałości i gorzał szlachetną pasją budowania. Niczem jaki wielki pan italski, Pontifex, czy cesarz rzymski. Możnaby nawet powiedzieć, że była to największa namiętność w życiu Ludwika, ważąca więcej niż miłość i galanterja, którym wkońcu dała radę. W czasie tej samej, tak straszliwej wojny hiszpańskiej pisała ta sama pani de Maintenon, że budowanie stało się „jedyną przyjemnością“ króla i jedyną pociechą...“ Bussy posuwa się

jeszcze dalej: „Wszystkie kobiety świata oddałby król za swój Wersal!“

Ale i tę namiętność ujęto w karby, jak zresztą wszystkie inne u tego monarchy, przedstawiającego najpełniejszy chyba typ „człowieka klasycznego“, jaki sobie wyobrazić można. Surowa oszczędność nakłada zawsze pęta zachceniom zbytkownym. Możnaby go nawet pomówić o sknerstwo. Wenecjanie i Włosi, jak Primi Visconti, nie wahali się twierdzić, że król jest skąpcem. A to była raczej przeciwwaga, rodzaj reakcji na rozrzutne skłonności, które mogły doprowadzić do ruiny. W każdym razie starał się oszczędzać i zachować ile się tylko da z tego, co pobudowali poprzednicy. Tak było chociażby w Wersalu, gdzie pozostawił mizerny zamek swego ojca, starając się go ile możności przystosować do wspaniałego tonu nowych budowli. Maximum wrażenia wydobywał przy pomocy minimum środków: i to jest najbardziej znamienna cecha ducha klasycyzmu.

A teraz inne dążności, sprzeczne zrazu, a zczasem zaś rozumnie uzgodnione. Pragnie tworzyć same rzeczy wielkie, bogate, piękne, by pozostawić po sobie pomniki, wedle określenia Colbert'a, „nieprzemijające, na wzór wielkich dzieł Rzymu.“ A znowuż dla siebie, do swego użytku, dla zaspokojenia umiłowań osobistych, nie dla zyskania podziwu u potomnych, woli raczej twory przejściowe, umiarkowane, które dogadzają kaprysom chwili. Celuje w tworzeniu czegoś z niczego — również objaw typowo klasyczny. A ten zmysł dla rzeczy przemijających, lekkich, wdzięcznie-ułomnych i może nawet frywolnych wynagradza to wszystko co jest w wielkich kompozycjach zbyt uroczyste i napuszone.

I stąd wzięły początek podwójne ramy dekoracyjne, w jakie ujęto całą rozkosz dworskiego bytowania. Jedne z nich trwałe i dostojne, niby wielkie pomniki antyku, drugie lekkie i przemijające, stworzone na użytek jednego dnia czy nocy, które król wszelako potrafi przeistoczyć w oczach z takim samym pośpiechem, jak kwietniki w Wersalu, gdzie wystarczyło, aby ogrodnik przestawił doniczki, a powstało złudzenie zupełnie nowej dekoracji roślinnej. Pewnego razu król sam powiedział do ambasadora Wenecji, że „Wersal



WIDOK WERSALU *według sztychu J. Silvestre'a.*

stworzył dla dworu, Marly dla przyjaciół, natomiast Trianon dla siebie.“ A więc dwa rodzaje budowli, jedne ściśle prywatne i osobiste, drugie publiczne i niejako powszechne.

* * *

Dwojaki ten charakter w budownictwie jest osobistym pomysłem króla. Rzecz dziwna i nie do wiary prawie, że i dziś jeszcze trzeba bronić energicznie tego poglądu. Bo wszakże od czasów romantyzmu utrwalił się przesąd, że wielkie dzieła sztuki i literatury są spontanicznym wytworem genjuszu narodowego. Zarówno wielkie katedry jak wielkie eposy powstały same przez się. Tak się to mówi. Epoka Ludwika XIV jest niczem innem wedle tego poglądu, jak tylko zbiorem znacznej ilości wielkich artystów i uczonych, mężów stanu i wodzów. Imię króla jest tylko konwencjonalną wywieszką nad ich dziełem, jest jakby uzurpacją ich chwały. To co widzimy w Wersalu, to wyłącznie dzieła Mansart'a, Le Nôtre'a, Lebrun'a, Coysevox i ich towarzyszy. A mimo wszystko nie trudno nie dostrzec obecności Ludwika w ich dziełach. Niema rady, zmuszeni jesteśmy uznać jego wpływ, interwencję i częściową współpracę przy powstaniu tych cudów rozmaitych. A mimo to usiłują niektórzy udział ten ograniczać, a wpływ jego sprowadzić do zera. Powiadają, że król nie miał żadnego gustu w rzeczach sztuki. Wszystko, co brzydkie pochodzi od niego, natomiast piękno istotne stworzyli wyłącznie jego architekci i artyści.

Inni znowuż chcą w odwet widzieć w królu prawdziwego „estetę“. Wszelako i to określenie nie trafia w sedno. Król nie powinien być pięknodusznym estetą wyłącznie. Ludwik XIV miał zbyt wiele poczucia swej godności i związanego z tem konwenansu, aby się ośmieszać przez taki estetyzm. Potrafił natomiast, jak nikt inny przedtem, ożywić i rozbudzić sztukę swej epoki.

Więc najpierw był człowiekiem, który zamawia robotę i który za nią płaci. Budowniczy o dalekim zasięgu i fachowej znajomości. Artyści i rzemieślnicy, którzy dlań pracują, pewni są nietylko wspaniałego wynagrodzenia, lecz i tego, że pracę ich oceni znawca, kochający sztukę i rzemiosło, a również ich samych, dający im dowody swego

afektu i przyjaźni. Owa rozumna i zawsze wyczuwalna życzliwość monarchy jakże bardzo zobowiązywała ich do tem usilniejszych starań! Sztuka jest zawsze taka, na jaką sobie zasłużymy. W epokach, kiedy władcy odnoszą się do sztuki obojętnie, nabiera ona cech biurokratycznych niejako i mechanicznych, a gdy brak nici wiążących ją z duchem narodu, staje się paradoksalnie i kapryśnie indywidualną. Miłość sztuki i artystów pozwoliła Ludwikowi XIV zdobyć tę zasługę, iż mógł pierwszy radować się z oglądania wszystkiego, co powstało za jego panowania. Sądzićby można, że jego właśnie miał na myśli La Fontaine w owym przepięknym ustępie swojej *Psyché:* „Miłował ponad wszystko ogrody, kwiaty i cień drzew. Polifil był w tem do niego podobny, lecz wiedzieć trzeba, że on miłował również wszystko inne. A skłonności owe przepełniały mu serce czułością". I Ludwik również miłował wszystko, i serce miał pełne czułości. Pamiętamy, że pozwolił się nawet uściskać ogrodnikowi Le Nôtre. Do jednego z zaufanych dworzan, którzy węszyli dlań za nadzwyczajnie rzadkiemi dziełami sztuki w Italji i w Hiszpanji, pisał: „Wielebny mój księże Elpidio Benedetti, chciej wiedzieć o tem, że poleciłem hrabiemu de Brienne napisać do księdza, kładąc mu na serce szczególnie sprawę medalów i pierścieni starożytnych, ze zbiorów Gualdiego, co miał zlecone Héron. Ucieszyłem się bardzo sztuką malowanej materji jedwabnej, którą ten sam posłaniec doręczył mi w pańskiem imieniu, ale więcej jeszcze uradowało mnie uczucie, z jakiem mi ją pan przysłałeś! Wszystko to zasłużyło na odpowiedź godniejszą mojej osoby, niż same słowa podzięki, dlatego uprosiłem pana Colbert, aby pomyślał..." Nie wystarczy tedy królowi, że ktoś dla niego pracuje, pragnie ponadto, by tej pracy towarzyszyła miłość. Otacza piękne nabytki równą sympatją, jak ludzi, którzy mu ich dostarczają.

Był król nietylko zbieraczem antyków, obrazów, posągów i dywanów; miał również zamiłowanie w drobnych ciekawostkach. Nietylko same rzeczy wielkie i piękne, bo także wszystko, co miłe i urocze, nie wyłączając modnych drobiazgów. Gdy kuzyn jego, książę de Beaufort, sposobił się do wyprawy afrykańskiej, pisze mu król, żeby nie zapomniał

też o jego menażerji i ptaszarni. „Przekażę panu pieniądze na zakupno rzadkich okazów zwierząt w krajach, do których jedziesz. A co do ptaków, chciałbym ich jak najwięcej. Czekam również na drzewa pomarańczowe, proszę je wysłać drogą najlepszą“. Do Colbert'a, zajmującego się urządzeniem tomboli, pisze w te słowa: „Co tylko znajdzie się ładnego w Paryżu, trzebaby zebrać w najkrótszym czasie... Pragnę, aby główna wygrana kosztowała pięćset pistolów. Na inne ceny nie naznaczam, cieszyłbym się jednak, gdyby się panu udało nabyć rzeczy możliwie piękne po cenach umiarkowanych. Chodziłoby o pierścienie, bransolety, zegarki, klamry, pudełeczka itd. I piękną kasetę na przechowanie tych drobiazgów...“ Zwróćmy uwagę na ten rys oszczędności. „Po cenach umiarkowanych.“ Niechaj będą fanty w najlepszym rodzaju, ale niech kosztują jak najmniej. Miłośnik sztuki, osobliwości i różnych błyskotek niejedno otrzymał w spuściźnie. Działał tu i kusił przykład poprzedników na tronie, więc Walezjuszów, rozmiłowanych w dziełach sztuki, a też rodzonego dziada, Henryka IV, który był znakomitym budowniczym. Z drugiej strony żyłka zbieracka Mazariniego nie mogła też pozostać bez wpływu. A i to miało ogromne znaczenie, że urodził się i wzrósł w pałacach, które wszak były istnemi muzeami. Od lat najmłodszych spoglądał na wielkie dzieła artyzmu, później żył stale w zażyłości z artystami wszelkiego rodzaju i obznajmiał się chętnie ze szczegółami ich techniki. Czyż który ze zbieraczy na świecie przeszedł za młodu szkołę podobną? Uczyli go pierwsi mistrze czasu tego, a dobry smak był mu wrodzony. Umiał ocenić i odszukać prawdziwą wielkość i prawdziwą sztukę. Wyboru dokonywał zawsze w sposób znakomity. Powiada coprawda Saint-Simon, że czynił to za podszeptem Le Nôtre'a lub Mansart'a. Lecz ten ostatni przedkładał mu zazwyczaj plany z umysłu błędne, aby król miał przyjemność w osobistem odkrywaniu grubych usterek, a potem udawał, że poprawia swoje plany wedle wskazówek króla, chytry był przytem tak dalece, że niby to się upierał przy swojem, podając zmyślone przyczyny dla obrony szczegółu, o którym sam zgóry inaczej postanowił. Wszelako król zbyt szczwany był, aby się nie zorjentować w podobnym podstępie. Jeżeli

tedy udzielił aprobaty planom któregoś z architektów, to zawsze dlatego, że uznał go za najlepszy. Pozatem nie ufał nigdy bezwzględnie swemu sądowi. Nie uważając się bynajmniej za nieomylnego, skłonny był do poprawiania samego siebie. Najlepszym dowodem — nieustanne przeróbki w Wersalu. Tak usunięto resztki złego smaku włoskiego, oraz ową grotę i figurynki z kolorowego ołowiu, mające wyobrażać bajki Ezopa, tak uproszczono konstrukcję wodotrysków na wielkim tarasie. Zapewne pierwszy pomysł dali tu ogrodnicy i architekci, zasługą króla pozostanie natomiast, że usłuchał ich rady i udzielił im poparcia.

Nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie sztuki miał więcej jasnych wyobrażeń, więcej też wiedzy i doświadczenia bezpośredniego, niż niejeden z dzisiejszych uczniów szkoły sztuk pięknych, czy słuchaczy kursów estetyki lub historji sztuki. Korciło go nawet czasem osobiste opracowanie planów dla swych robotników. Gdy wnuk jego, Filip V, udawał się do Hiszpanji, doradził mu założyć w Buen Retiro ogród w stylu francuskim. „Król ułoży sam projekt odnośny — pisała pani de Maintenon — i wskaże ogrodnika. Zapyta również marszałka d'Harcourt, czy tamtejszy grunt nadaje się do naszych roślin"...

Jeżeli Wersal mógł stać się tem, czem został w okresie swego rozkwitu, to zaiste nie bez osobistego przyczynienia się króla, który nie patrzył z założonemi rękoma, jak dzieło wyrasta z ziemi. Jeszcze raz trzeba podkreślić: był to jego twór osobisty. Więc tem bardziej zdumiewać nas musi, gdy nigdzie w tym całym zamku nie napotkamy imienia twórcy, nigdzie nawet, na cokole jego popiersia; w tem sanktuarjum, poświęconem „wszystkiej chwale Francji" — o chwale Ludwika zapomniano zupełnie.

* *
*

Uprzedzony przez romantyków wiek XIX okazał się niesprawiedliwym wobec Wersalu. Więcej jeszcze: zdaje się, że chciano wprost zakasować oszczercze wymysły Saint-Simon'a, a ten niemądry człowiek posunął się tak daleko, że nawet poniżył przyrodzone piękno Wersalu i Marly, odmawiając jakiejkolwiek krasy ich krajobrazowi. Wersal jest

w jego przekonaniu pustynią piaszczystą bez wody, Marly zaś bajorem pełnem ropuch i ponurem bagniskiem. Który z tych dwóch ludzi był filistrem czy ten, co wybrał Wersal i Marly, czy ten co je zganił, nietrudno rozsądzić: naturalnie Saint-Simon. Bo przecie już sam wybór tych obu miejscowości dowodzi wielkiego poczucia artyzmu. Możnaby powiedzieć, że arcydzieło architektury powstaje wówczas, jeśli się piękność budowli połączy z pięknem krajobrazu. Wyjątkowa uroda Partenonu płynie przedewszystkiem z jego przyrodzonej podstawy. Podobnie w Eskurjalu, gdzie otoczenie decyduje o surowym i majestatycznym wyglądzie tej budowli. Filip II w sposób wprost genjalny wybrał olbrzymi blok skały jako fundament dla swego triumfalnego i pokutnego zarazem pałacu, wznoszącego się wśród bezmiaru opuszczonych stepów Kastylji. W chwili równie szczęśliwego natchnienia wybiera Ludwik Wersal i Marly. Bo, jeśli pominąć Saint-Germain, nie znajdziemy w całej Ile-de-France dwóch bardziej czarujących zakątków wśród lasu i pagórków. I również te dalekie przestrzenie, których tak pożądał...

Jest tedy najpierw Wersal położony wspaniale. A powtóre: w czasach swego powstania był zupełną nowością. Nowość ta polegała na połączeniu architektury z przyrodą i wyzyskaniu wszystkich żywiołów: wody, ziemi, ognia i powietrza. Przywykliśmy widzieć w Wersalu same tylko trawniki, gazony i szpalery, „stare, karłowate rzędy cisów, niby cebula w rzędach“, dalej geometrycznie haftowane rabaty i kwietniki, słowem naturę przykrojoną, poprawioną i przystosowaną na użytek domowy. Nie zwraca się natomiast uwagi, że ta artystycznie przetworzona przyroda ma stanowić niejako przejście od masywu architektonicznego pałaców do masywu otaczającej, bezkształtnej i bezmiernej zieleni, słowem, przejście do naturalnej, jeśli tak rzec można, przyrody. Najpierw kamień i marmur w pałacach, potem kwiaty i krzewy symetryczne w ogrodach, dalej ogromne, ale w ordynku drzewa w parku, wkońcu wreszcie morze nieprzejrzanej zieleni lasów i bezmiar przestworza. Jest się w Wersalu niby w salonie, pełnym najwyszukańszych dzieł sztuki, a jednak jest się równocześnie w pełni lasu.

Na wielkim tarasie zamkowym wśród rzek, zakutych w posągi, wśród wazonów z bronzu i alabastru, myśliwy nie może jednak zapomnieć, że na odległość strzału czeka go zając albo kuropatwa w gęstwinie lasu, czy na roztoczu łąk i pól.

Nie została więc ujarzmioną przyroda, ani też nie uległa deformacji. Jak była, tak jest nietkniętą, ujęto ją raczej w karby i włączono, jakgdyby w całość, którą zamierzył i obmyślił artysta. Była to koncepcja pod każdym względem, zarówno pod względem rozmachu jak i piękna — klasyczna. Ogrodnicy ówcześni zrozumieli rychło, że krajobraz francuski będzie jeszcze długo źródłem eksploatacji, gdyż kraje południowe, jak Hiszpanja czy Włochy nie posiadają ani w przybliżeniu tak wielkiej masy wód i masy zieleni. Kto przebywał czas dłuższy na południu Francji, ten zna doskonale przyrodzone bogactwo jej pejzażu. Włoskie siedziby wiejskie w porównaniu z zamkami Francji wyglądają chudo i sucho. Prawdziwą niespodzianką dla oczu jadących z północy stanowi owa rozpowita zieleń obszarów leśnych i obfitość wód, rozlanych po królewsku. Urna francuskich strumieni i rzek nie jest tylko pustym symbolem mitologicznym. Pomysł Le Nôtre'a, który postanowił spoić architekturę z przyrodą, był iście genjalny: pałace z kamienia, otoczone kolumnadą szpalerów zieleni, której nadmierny przyrost umniejszano zapomocą strzyżenia liści, a wpośrodku nich woda w ruchu nieustannym siklaw i wodotrysków, albo też spokojne jeziorka, w których zwierciedle przeglądają się kolorowe splendory nieba. Kiedy światło dnia zagasło, kontury pałacu powlekały się purpurą, a ogień i woda jednoczyły w magicznem oświetleniu ogni sztucznych. Charles Perrault w takich słowach wychwalał piękności Wersalu: „Jeżeli prawdą jest, że woda stanowi duszę ogrodu, jakże nudne i martwe wydają się inne ogrody w porównaniu z Wersalem?...“ Dzisiaj jeszcze nawet, chociaż przycichły znacznie rozgwary wód na tarasach i wpośród szpalerów, musi się przyznać rację temu spostrzeżeniu.

Ludwikowi XIV przyznać musimy zasługę tak oryginalnego pomysłu, uczynił bowiem wszystko, aby zrealizować z całą wspaniałością doniosły plan zdobniczy. Gdyby go

nie było na świecie, gdyby się nie okazał tyle rozumnym obserwatorem i zawołanym miłośnikiem, dla którego pracowano z radością, gdyby wszystkiego nie dopilnował, przekonany głęboko o swem posłannictwie, gdyby nie ucieleśnił w sobie całej Francji, gdyby nareszcie nie okazał się królem od stóp do głów, dla którego nie było rzeczy dość pięknych i dość wielkich — to zapewne żaden z tych cudów nie ujrzałby światła dziennego.

* * *

W Marly przedewszystkiem — więcej o wiele niż w Wersalu — okazało się, do czego jest zdolny jako dekorator, ogrodnik i budowniczy. Powstało Marly dla króla i jego przyjaciół. Po pierwszych omackich próbach w Saint-Germain, po zwycięskich sukcesach w Wersalu udało się dopiero w Marly wyrazić w zupełności ideję Ludwika XIV i dać niezawodnie najgodniejszy jej wyraz. I nie można dość odżałować, że to pieścidło padło ofiarą barbarzyństwa wielkiej Rewolucji. Ubyło nam przez to naczelne dzieło zdobnicze tego wielkiego stulecia.

Ile ocenić można ze współczesnych rycin, Marly udało się może nawet więcej niż Wersal: Fasada główna założona wspaniale, gdy natomiast w Wersalu wydaje się przygnieciona niezwykłemi rozmiarami tarasu. Perspektywa o wiele bardziej rozległa, całość budowli więcej harmonijna, niezamącona nigdzie dawniejszemi przybudówkami. I też widnokrąg piękniejszy. Powiada książę de Luynes w swych „Pamiętnikach“: „Polecił król Jegomość panu Mansart wynaleźć miejsce w pobliżu Wersalu z wodą, lasem i pięknym widokiem.“ Przyznać trzeba, że spełniono to życzenie w całej pełni, gdyż widok, roztaczający się z przed pałacu, jest może największym urokiem Marly. Gigantyczne drzewa na pierwszym planie rozwierają się niby kurtyna teatralna, poza którą spostrzegamy nagle wężowate meandry Sekwany i wzgórza Saint-Germain. Tak więc ogrodnicy świetlistego króla, mając wody i lasu, ile dusza zapragnęła, mogli ukształtować to wszystko wedle swego smaku a na wielką uciechę swego mocodawcy.

Miało być Marly wedle zamierzeń Ludwika XIV roz-

kosznym przybytkiem, a nadto letnią rezydencją wypoczynkową. Orzeźwiający pałacyk nad wodą. W opinji dworzan uchodziło za miejscowość tak pełną czaru, iż o łaskę przyjęcia na dwór tamtejszy błagano króla jakby w modlitwie: „Sire, ja proszę do Marly“. Bo też ten pałac nad wodą był ogromnym salonem pod gołem niebem, gdzie sztuka zdobnicza umiała wydobyć z wody i zieleni efekty zupełnie niesłychane. W gęstwinie leśnej wycięto nisze i wnęki, w których ustawiono posągi; założono kolumnady, zakończone kapitelami, wazami i kagankami. Kopulaste altany wyglądały jak kościołki, do których wiodły drogi z obu stron, obrzeżone zielonym murem drzew i pilastrami z zieleni. Była tam Sala Północna i Sala Wschodzącego Słońca, Tron Bachusa, Zakątek Cienia, wszędzie wiejskie ławki i stoły, bukszpany, cięte w kształcie parawanów i rzeźbione boazerje, dalej Ustronie Pań, Ustronie Księcia, Sala Zielona, Sala Cerery, Amfitryty — i wiele jeszcze innych!

Nieporównane z niczem były wodne przepychy w Marly. Cały odrębny świat basenów, wodotrysków, kaskad. Prawdziwy triumf Neptuna, muszle, trójzęby, pojazdy morskie i potwory, nereidy, w orszaku i różne bóstwa błotne. Na czoło przeróżnych cudowności wysuwała się wielka kaskada „Zielonego Kobierca“, strzelająca niby kryształowy obelisk z ciemnego tła lasu. Ruchoma, roziskrzona kolumna wody wybuchała z wielkiej płaskiej czary, podtrzymywanej przez trytony z bronzu pozłocistego, poczem rozlewała się w sadzawkę, odbijającą się o marmurowe stopnie; cała ta masa niezmierzona spienionego żywiołu, będąc w ciągłym ruchu, tworzyła przedziwny kontrast z ciemno-nieprzeniknioną zielenią, która ją otaczała piętrowemi tarasami. Mieniąca i rozbłyskliwa toń wody wytryskała, zdawało się, z jednego źródła, a spadając w rozpyle mokrych kropel rosiła cały ogród. We wszystkich kątach i zakątach biły studnie i wodotryski w rozmaitych kształtach: smukłe kolumienki wody, słupce i łodygi w kształcie lanc, kity pieniaste, bukiety, grzyby, ule, bufety, snopy na wysokość drzew, potem groty wspaniałe, na których ścianach błyszczały smugi zdroju, darzącego przechodnia orzeźwiającym chłodem. Były też przedziwne kunsztyki wodne, gdzie woda rozpylała się w świecz-

niki, bukiety i żyrandole, albo wylewała się w kształcie obrusa brylantowego na powierzchnię gazonu. Łatwo sobie wyobrazić przebajeczny widok, jaki przedstawiało to rojowisko wód zdyszanych w czasie wieczornych iluminacyj. Ludwik XIV, król wód i słońca, doprowadził dosłownie do skutku marjaż wody z ogniem. Nigdy przedtem nie zdołał nikt wydobyć tak przecudownych efektów z żywiołu wody. Ta czarodziejska baśń zagasła wszelako wraz z słońcem monarchji: uroczystości takich już oczy nasze więcej nie zobaczą!

A pomimo wszystko wypadało być prostym, ba nawet wiejskim. Wielka kaskada „Zielonego Kobierca" wraz z zdobiącemi ją marmurami, trytonami i złotemi wazami nosiła nazwę „Kaskady Wiejskiej". Dla króla było to niczem więcej, jak ozdobą zewnętrzną, która jutro zniszczeje złożona w ofierze nowemu kaprysowi, nie przetrwa króla żadną miarą, gdyż jedyną racją jej bytu jest uprzyjemnić jakąś chwilę dnia, czy nocy. Główny pawilon w Marly i tuzin innych, jakie go otaczały, malowane były *al fresco*, jak kulisy teatralne. Jakkolwiek improwizacje te nie przetrwały nawet stu lat, można o nich nabrać wyobrażenia na podstawie rycin współczesnych. Gdzie jednak szukać cudownych resztek pracy stolarskiej, tokarskiej, złotniczej, czy ślusarskiej, która przepadła w gruzach zamku? Gdzież owe teatry wśród lasu, sale balowe i komnaty przyjęć, albo też ulotne kompozycje budowlane z mchu, materji, drzewa i gałęzi, które powstały, jakby za dotknięciem laski magicznej, i czarowały ludzi przez jeden wieczór, a o których nasi zdobnicy dzisiejsi nawet wyobrażenia nie mają?... Lekkie to było, jak podmuch wietrzyka, a mimo to budowane na równie solidnej podstawie, jak Wersal. Z samych resztek pozostałych murów ocenić można ogrom włożonej w nie pracy: zaiste rzymskie ruiny.

I oto dlaczego zwyczajny dwór wiejski w Marly, miejsce królewskiego odpoczynku, nabrał tych samych cech wielkości i majestatu co Wersal. Radował się Ludwik temi wytworami sztuki i przemysłu, a na każdym kroku, gdzie stąpił, szedł za nim przepych wspaniały i radosny. Umiał przetwarzać oblicze miejsc, przez które przechodził, wy-

posażając je nietylko w piękną linję i kształt podniosły, lecz również użyczał im kolorów i rozblasku, czem się zachwycali artyści. Poczucie barw miał bowiem niesłychane. Skrzyć się w kolorach musiało wszystko, zarówno gondole, szybujące po kanałach w Marly, jak żagle i niewody na czółnach, jak nawet karpie w głębinach stawów. Gondole bywały w kolorze różowym, zielonym, białym, żółtym, niebieskim i w barwach jutrzenki porannej. Na ich ozdobę i przystrój flagami nie szczędziła szatnia królewska najwspanialszego materjału: brokaty złoto- i srebrnolite, atłasy z Bruges, aksamity genueńskie, florenckie, medjolańskie tafty karmazynowe ze złotemi frendzlami. Wiadomo, jak bardzo zachwycała się karpiami malowanemi księżniczka z Palatynatu. Były one „cętkowane żółto i różowo, malowane w złote, niebieskie i czarne pręgi", niby żywe emalje, szybujące w przezroczystych wodach basenów... Zdjęły już dziś koronę z czoła te stare sadyby monarchji. Chcąc nabrać należytego wyobrażenia, czem były pałac i tarasy wersalskie za czasów Króla-Słońca, należy pamiętać o dachu pozłocistym z ołowiu i złotych posągach, i wodotryskach, złocistych karocach i lektykach, a też nie pominąć różnobarwności strojów, kabatów i sukien szamerowanych i kapeluszów pilśniowych, z czerwonemi jak ogień pióropuszami. Nawet taka mieszczanka, jak pani de Maintenon, niechybnie przyuczona przez króla do tych najwyższych rozkoszy, zrozumiała wreszcie, jak wielkie wrażenie wywołać może szmat wspaniałej materji na tle zieleni ogrodu czy parku. „Wszyscy nasi kardynałowie — pisze do księżniczki des Ursins — jeżdżą do Fontainebleau i byłaby wielka szkoda, gdyby tu nie przybyli, gdyż prezentują się u dworu wspaniale, a ich promienista purpura wydaje się pysznie na tle zieloności Marly."

Zamiłowania artystyczne i tęsknotę piękna umiał Ludwik łączyć doskonale z obowiązkami swego urzędu. W pośrodku uciech rozkosznych i beztroskiego bytowania w Marly nie zapominał ani na chwilę, że jest królem Francji. Oto co mówi pan de Sourches w swych pamiętnikach: „Udając się rankiem 4-go sierpnia 1693 na mszę, spotkał po drodze komendanta brygady piechoty, Albergottiego, który przy-

nosił raport o szczegółach bitwy pod Nerwinde od marszałka de Luxembourg. Król przystanął na chwilę, aby się dowiedzieć, czy przywiózł z sobą sztandary i chorągwie. A gdy Albergotti oświadczył, że ma ze sobą pięćdziesiąt pięć sztandarów i dwie chorągwie, rozkazał mu rozwiesić je w salonie pałacowym w Marly, pochlebiał sobie bowiem, że je pokaże ministrom obcych państw, których tego dnia gościł u siebie“... I też owego ranka sierpniowego ambasadorzy przedefilowali wobec istnego kobierca sztandarów, zdobytych na wrogach Francji!...

Ileż cech znamiennych i barwy ma ta scena, jaki heroizm w elegancji. I co za wspaniały Francuz z tego króla, który pragnął, aby Francja wydawała się obcym równie wielką, jak piękną!

* *
*

Niektórzy ludzie markotni odmawiają sobie rozkoszy podziwu dla monumentalnej pracy zdobniczej Ludwika XIV. Wolą oni raczej obliczać z przekąsem, ile to wszystko kosztowało. Wydaje się wszelako, że koszta tych wspaniałych budowli były niezbyt wielkie. Chciałbym widzieć dzisiaj rząd, któryby zdołał, podobnie jak Ludwik XIV, prowadzić wojnę przez lat czterdzieści, a równocześnie przedsiębrać budowle, które z gruntu odmieniły oblicze kraju. A gdyby koszt budowy był nawet większy o wiele, należy się zawsze wdzięczność królowi, który przyłożył się tyle do pomnożenia piękna Francji. Piękno Wersalu sprawiło więcej radości niezliczonym miljonom turystów, aniżeli rozmaite urządzenia praktyczne, które, ustępując rychło z drogi nowym wynalazkom, przyniosły korzyść jednemu lub dwom najwyżej pokoleniom Francuzów. A jeszcze nie zapominajmy i o tem, że musi cierpieć, kto chce zasłużyć się dla piękna. Król pierwszy świeci w tej dziedzinie przykładem.

A niema dla mnie nic bardziej pospolitego, jak wyrzucać Ludwikowi XIV sumy, wydane na budowę Wersalu. Taki np. Diderot uważa za stosowne, rozpływać się w pochwałach nad Marly, a równocześnie oczernia jego twórcę. „Cóż za miejsce wspaniałe! — powiada — jakaż mądra głowa rzuciła plan tego ogrodu! Wywołuję duchy Henryka IV z Lu-

dwika XIV. Ludwik pokazuje Henrykowi przepyszne zamczysko, Henryk powiada: Masz rację, synu, to jest istotnie bardzo piękne! Ale chciałbym zkolei zobaczyć domy wieśniaków naszych w Gonesse. — I cóżby powiedział, gdyby w najbliższem sąsiedztwie tych cudów znalazł chłopów bez dachu nad głową, bez chleba, śpiących na słomie?" — Oto co się nazywa wdzięczność ludzka! Wszak zawsze istnieć będą na świecie ludzie z własnej, czy cudzej winy zmuszeni cierpieć głód lub spać na słomie. Natomiast jest tylko jeden Wersal, jedno Marly, i jeden człowiek, który był w stanie je stworzyć.

Narzekają również nieraz, że tyle życia ludzkiego pochłonęły te olbrzymie przedsiębiorstwa. A równocześnie ci sami ludzie uważają za rzecz zgoła naturalną, gdy nowoczesny przemysł marnotrawi dzisiaj miljony złota i życia ludzkiego. Czy zaś piękno nie jest godne również pewnych ofiar? Nikt się nie oburza jakoś, gdy dziś robotnik ziemny, czy górnik zginie w kopalni lub zostanie zasypany w tunelu. Natomiast niech spadnie z rusztowania mularz, lub niech kopacz zachoruje na malarję — zaraz jest krzyku bez miary. Wszyscy historycy powtarzają nabożnie znaną anegdotę o staruszce, która obrzuciła króla ciężkiemi obelgami, gdy syn jej poniósł śmierć, spadłszy z rusztowania w czasie pracy w Wersalu. Żaden z nich natomiast nie wspomni ani słowem, jakie istniały tam urządzenia, aby robotnicy mogli żyć higjenicznie i dobrze się odżywiać. Również nie mówi się o odszkodowaniach, udzielanych przez króla nieszczęśliwym ofiarom i rodzinom ofiar. Wśród bezmiaru dowodów świadczących o pieczołowitości królewskiej, dbałej o naprawę każdej, najmniejszej nawet szkody, znajdujemy w *Comptes des Bâtiments* następującą, niepozorną zapiskę: „Jedenaście liwrów dla Barbe Cornet'a, któremu zabito osła w czasie robót w Marly". Czemuż więc nie opowiadają nam nigdy o panu Barbe Cornet i jego ośle?

Śmieszne to wszystko i zawstydzające doprawdy. Ludwik XIV przysporzył krainie francuskiej piękna bez liku. Skoro się raz dostało podarunek tego rodzaju, nie wypada, a nawet świadczy o złem wychowaniu, gmerać się w rachunkach i pytać, ile to kosztowało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

„LA FÊTE GALANTE“

Rozkosz życia, stworzonego w krótkim przeciągu rządów królewskich, znalazła wreszcie swój wyraz najwyższy w miłości i trybie wytwornym. Komu się twierdzić podoba, że Wersal zbudowany został dla królewskich nałożnic, może z równą słusznością utrzymywać, że najpiękniejsze kobiety czasu owego stworzone zosłały na ozdobę Wersalu. Król zwykł się był szczycić ze swych duchowych właściwości. Był człowiekiem wytwornym, spragnionym rozkoszy, zmysłowym i równocześnie sentymentalnym. Drobna infantka hiszpańska, którą poślubił, nie miała ani jednej z utęsknionych przezeń zalet serca i umysłu. Brzydka i w miarę głupia, mówiła bardzo słabo po francusku, a tak była słabej konstytucji, że nie była w stanie zapewnić królowi liczniejszego potomstwa. Z sześciorga jej dzieci jedno tylko pozostało przy życiu: delfin. Inne poumierały zaraz po urodzeniu. Dziewczynka, płód przedwczesny, była małą, czarnokosmatą stworą. Więc trudno się dziwić, że tyle kochliwy, co Ludwik XIV, mężczyzna szukał od takiej żony ucieczki w ramionach kochanek. Miał ich też sporo, coprawda o wiele mniej, niż się zazwyczaj przypuszcza. A wszystkie były przedmiotem oburzenia, którego odgłos przetrwał nawet po dni dzisiejsze.

Czy oburzenie było słuszne? Nie zamierzamy uniewinnić króla zupełnie. Samo posiadanie kochanki jest aktem grzesznym, z którego uniewinnić się można tylko na drodze prawdziwej pokuty. Nie podejmując się bynajmniej obrony króla, można i trzeba przekonać się, jakie były w istocie

przewiny królewskie w tej mierze i jak się zachowywał wobec swych kochanek, następnie zaś wytłumaczyć jego postępowanie, które nie zawsze, wyznaję, wydaje mi się niewłaściwe.

* * *

Ale skądże się to wzięło, że ze wszystkich królów naszych jedynie Ludwik XIV wywołuje tyle wrzawy i cnotliwego oburzenia? Miewał kochanki, to prawda, ale dziad jego Henryk IV miał ich jeszcze więcej. I tamten galant podstarzały odnosił się zarówno do miłostek przelotnych, jak do stosunków dłuższych bez wszelkich skrupułów, za nic sobie mając opinję publiczną, a ten cynizm oburzał naprawdę jego wnuka. Szał miłosny pięćdziesięcioletniego już Henryka dla księżniczki Condé mógł łatwo wtrącić Francję w przepaść strasznej katastrofy. W tym wieku Ludwik XIV zdołał się już ustatkować. A pomimo wszystko nie bierzemy niczego za złe Henrykowi IV, który był djabłem wcielonym i bez żadnej ohydy budził zgrozę u swych współczesnych. Gdyby był atoli śmiał odwołać edykt nantejski, jakiż gwałt i rwetes wybuchnąłby przeciw niegodnemu księciu! Podobnie rzecz ma się z Franciszkiem I i Henrykiem II. Współczujemy wprost z tym ostatnim, gdy siedzi pod pantoflem starej kochanicy swego ojca, a mężem jest wprost ohydnym. Nienasyta hetera, jaką była Diana de Poitiers zmienia się w jakieś poetyczne zjawisko. Natomiast pani de Maintenon, w kościele zaślubiona Ludwikowi XIV — cóż to za skandal wszeteczny! Henryk IV wszem wobec legalizował swe dzieci nieprawe i to w taki sposób, że spory wśród ich spadkobierców mogły doprowadzić do zamieszek i wojen straszliwych. Lecz o tem się nie mówi, wybaczając mu również i tę nieroztropność. W odwet jednak, legalizację dzieci nieprawych Ludwika XIV uważa się od czasów Saint-Simon'a za obelgę rzuconą moralności publicznej. Dowiemy się jeszcze później, jakie motywy — pomijając naturalnie sprawę uczucia ojcowskiego — kierowały królem w tych wypadkach. (Zob. w „Uzupełnieniach").

Postępował tedy Ludwik XIV nie inaczej, jak jego poprzednicy. Czynił to jednak z większą dyskrecją, liczył się więcej z opinją, unikał skandalu tak, iż byłoby niespra-

wiedliwością nie wpisać tego na jego dobro. Proszę tylko zważyć, jak trudno królowi wogóle zachować w tajemnicy szczegóły swego życia prywatnego. Ludwik XIV wiedział, że to wprost niemożliwe. Mimo to starał się przynajmniej o przyzwoite usprawiedliwienie tych wykroczeń, które doszły do wiadomości ogółu, żeby nie było obrazy dobrych obyczajów i przyzwoitości. Dając przyjęcia na cześć swych kochanek, stosował się do mody obowiązującej: wymagały tego zasady galanterji. Gdy uroczystość odbywała się na cześć pani de La Vallière czy Montespan, o czem cały świat wiedział, musiało to jednak zostać tajemnicą oficjalną dla obojga zakochanych, gdyż tego wymagała romansowa literatura ówczesna. Nie uchodził za wytwornego człowiek, nie kwapiący się do składania hołdów publicznych wybrance swego serca, ale ogół nie mógł jakoby wiedzieć, kogo dotyczą te hołdy, serenady, przyjęcia, koncerty i madrygały... Zaczem nie było cech wyzywających w zachowaniu się króla. Nie miał on w sobie nic z hulaki, libertyna czy fanfarona. Silnie zmysłowy temperament ponosił go wciąż w dziedzinę miłości, ale pozatem był to, powtarzam, człowiek stałych nawyków, o uregulowanym trybie życia. Ogółem kochanek miał niewiele i nietrudno zestawić ich listę. Uczciwie sądząc, uznać wypada, że był w tych uciechach umiarkowany. Wybryków miłosnych młodzieńca nie zwykliśmy nigdy brać zbyt tragicznie. U zwyczajnych śmiertelników nie zwraca się na nie uwagi wogóle, natomiast każdy najdrobniejszy grzeszek Króla-Słońce przywykło się oświetlać jaskrawie. Bo przecież jako król winien był dawać dobry przykład narodowi.

Sam zresztą przyznaje się pokornie do wykroczeń w swych „Pamiętnikach.“ (Zaznaczmy przy sposobności, że większość naszych historyków bardzo mało wagi przywiązuje do „Pamiętników“ i listów Ludwika XIV. To bardzo dziwne. Bo gdyby nawet był winowajcą, czyż wówczas sędzia sprawiedliwy może nie wysłuchać obrony oskarżonego. Te „Pamiętniki“ wszelako są czemś więcej, niż aktem obrony osobistej. Odsłaniają tajemne powody polityki królewskiej, a nawet szczegóły z życia prywatnego. Co do mnie, nie znam wogóle bardziej otwartego i lojalnego komentarza

wielkich spraw i przedsięwzięć państwowych, jak owo mistrzowskie exposé z ust głównego aktora i głównego świadka. Pozbawiwszy się takiego źródła, historycy dzisiejsi zmuszeni są często bajać od rzeczy.)

Z chwalebną skromnością i prostotą wyraził się raz do swego syna: „Powinienbym wogóle nie mówić z tobą o tej mojej skłonności (mowa o stosunku z panią de la Vallière), gdyż nie należy brać ze mnie przykładu. Ponieważ jednak sam uczyłem się wiele z błędów zaobserwowanych u bliźnich, nie chcę ukrywać przed tobą moich, bo może się z nich też czego nauczysz. Przedewszystkiem pragnąłbym jednak zaznaczyć, że władca winien być stale znakomitym wzorem cnoty. Lepiej przeto, jeśli się ustrzec zdoła od ludzkich słabości wogóle, temci więcej, że błędy jego napewno nie pozostaną w tajemnicy. Jeśli się jednak zdarzy, że wbrew woli, zbłądzimy, wówczas należy przestrzegać dwóch zasad, których ja zawsze przestrzegałem, dobrze na tem wychodząc. Po pierwsze czas, który poświęcamy miłostkom, nie śmie przynieść uszczerbku sprawom państwowym, ponieważ pierwszem zadaniem naszem musi być stale dbałość o naszą sławę i powagę, a te utrzymać można tylko dzięki pracy nieustannej. I chociażby namiętność nasza była bardzo wielka, to w jej interesie właśnie baczyć winniśmy, by przez utratę zaufania w opinji publicznej, nie narażać również szacunku tej osoby, z powodu której właśnie zaniedbaliśmy swych obowiązków... Drugi warunek delikatniejszy jest i trudniejszy zarazem. Albowiem jeśli się nawet złożyło kobiecie serce w ofierze, winniśmy zostać panami swego rozumu i oddzielić czułość kochanka od zarządzeń władcy. Z piękną kobietą, która nam uprzyjemnia życie, nie powinniśmy nigdy rozmawiać o sprawach państwowych, podobnie jak z ludźmi, którzy nam służą. Miłość i sprawy państwowe to dwie zupełnie różne rzeczy... Pamiętasz, co ci już nieraz mówiłem na temat faworytów i udzielanego im zaufania? Z kochankami zaś rzecz jest jeszcze bardziej niebezpieczna.“

Wyrażono ten pogląd wcale stanowczy prawdopodobnie w latach 1667/1668, a więc w czasie, gdy miłość króla dla pani de Montespan doszła do największego napięcia. Słów

tych nie pisał zapewne sam król, gdyż styl Ludwika XIV odznacza się większym polotem i rzutkością, musiał dać wszelako impuls do tego ustępu i przeprowadzić jego rewizję. Widzimy w każdym razie, że starał się nie dać opętać szałom uczucia. Charles Perrault zanotował w swych Pamiętnikach“ ciekawy szczegół. W obecności marszałków Villeroy, de Lionne i de Gramont oraz ministra Colbert'a i kilku innych, wyraził się król następująco: „Drodzy przyjaciele! Jesteście ludźmi, których najbardziej cenię w mem królestwie i do których mam najwięcej zaufania. Ja jestem młody, a zazwyczaj kobiety mają najwięcej wpływu na ludzi w moim wieku. Dlatego, jeżeli tylko zauważycie, że jakaś kobieta, kimkolwiekby była, zdobywa władzę nade mną i zaczyna wywierać na mnie wpływ, rozkazuję, abyście mi zaraz zwrócili na to uwagę. Wystarczą wówczas dwadzieścia cztery godziny, abym się od tego zwolnił, ku waszemu zupełnemu zadowoleniu.“ Dwadzieścia cztery godziny! Czyż to nie jest zadziwiające?... Król, jak wiemy napewno, aż do końca życia nie pozbył się nigdy lęku przed grożącym wpływem kochanek lub ministrów na jego rządy.

Wobec królowej zachował zawsze pomimo wszystkich wybryków uszanowanie, należne kobiecie, związanej z nim węzłem małżeńskim. W dniu zaślubin uprosiła sobie u niego tę łaskę jedyną, aby jej nigdy nie opuścił. Król obiecał i sumiennie dotrzymał słowa. Co wieczora, wyjąwszy, gdy był w polu lub chory, spełniał swe obowiązki małżeńskie, pomimo tak niewielkiego uroku oblubienicy. Na rozkosz z innemi przeznaczał godziny wieczorne lub czasami nocne, wszelako nigdy nie wymykał się z łoża małżeńskiego. I nawet w czasie poczynającej się namiętności, nie sypiał nigdy poza domem. Jak długo można było, krył się ze swemi miłostkami, w każdym razie aż do chwili, zanim rozgłos powszechny nie ujawnił stosunku. Przypominam, z jak wielkiemi ostrożnościami odbywał się pierwszy połóg pani de La Vallière, jak wielką tajemnicą otaczano zrazu dzieci pani de Montespan, wychowywane w sekrecie przez pannę de Maintenon w pewnym domu w Vaugirard. W opinji publicznej, dalekiej od oburzania się na to, znajdował król raczej pomoc dla swych namiętności. Wystawiony był

wszak na pokusy ze wszech stron. Najpiękniejsze damy dworu ścigały go bez przerwy omdlałym wzrokiem, wyzywając do przygód miłosnych. Uważały bowiem, że niema dla nich nic szczytniejszego i bardziej godnego zazdrości, niż zyskać względy królewskie. „Bracia tych pań — pisze Bussy-Rabutin — pozatem bardzo wrażliwi na honorze, są zawsze szalenie radzi, gdy podobne szczęście spotka ich siostrę.“ Ludwik XIV, który bynajmniej nie chciał zostać świętym, opierał się przecie, ile mógł, tym miłosnym zalecankom. Za lat chłopięcych kazał mu profesor przełożyć pewną sentencję łacińską, pod którą miał na znak zobowiązania położyć swój podpis. Sentencja była następująca: *Quoties voluptas corporis me hortabitur ut renuntiem castitati, resistam fortiter ejus illecebris. Ludovicus.* (Ilekroć żądza cielesna ciągnąć mnie będzie do utraty czystości, ze wszystkich sił opierać się będę jej pokusom.) I zapewne nieraz w życiu przychodziły mu na myśl słowa tej cnotliwej obietnicy. Robić z Ludwika XIV świętoszka, to naturalnie śmieszne żądanie, przyznać jednak i podkreślić należy, że z wszelakich a tak hojnych umizgów korzystał w sposób dyskretny.

Pod względem moralnym zachowuje się w sposób nierównie godniejszy, niźli to było w zwyczaju u ludzi jego epoki. Wszakże większość możnych panów ówczesnych pogrążona była w hulankach i opilstwie. I trwało tak aż do końca jego panowania, pomimo wszelkich rygorów, nałożonych przez króla, szczególnie po nawróceniu się. Wystarczy przewertować Saint-Simon'a, a nabierzemy dokładnych wiadomości. „Pamiętniki“ te to cała galerja, której każdy występek sportretowano i to w formie zgoła satanicznej. Jednego pochłonęło pijaństwo, drugi jest zapamiętałym kartołupą lub zdecydowanym oszustem, trzeciego gubią kobiety, czwarty kończy życie jako ofiara najstraszliwszej choroby. A kobiety jeszcze bardziej cyniczne od mężczyzn. Pijaczki, karciary, ladacznice i włóczykije ostatniego rzędu, giną potem z hulanek w ohydzie występku. Nawet w najbliższem otoczeniu króla jakiż obraz rozpustnego zepsucia! Wystarczy wspomnieć niesłychane obyczaje brata królewskiego i jego godnych koleżków, książąt de Guiche, Vardes i Manicamp, lub marszałka de Luxembourg. Zrazu

okazywał król może zbyt wiele pobłażania wobec tych rozpustników, nie przepuścił natomiast nigdy, w żadnej epoce panowania, ludziom u których z rozpustą łączyła się bezbożność i libertynizm *à la* Don Juan. Wiadomo, jak surowo ukarał Bussy-Rabutin'a, Filipa Manciniego, de Guiche'a, Manicamp'a i kilku innych dudków, kiedy to w Wielki Czwartek po tysiącznych innych awanturach, dla żartu ochrzcili prosię, a potem obili prokuratora. Bussy zaprzeczał, jakoby odbył się chrzest prosiaka, ale zarówno on jak i jego towarzysze byli zdolni do czegoś podobnego. Przywodzi on w swych wspomnieniach masę niecnych historyjek, które nie ustępują ani trochę obiadowi w Roissy — chociażby jak ów żart makabryczny i błazeński, jakiego dopuszczono się w czasie oblężenia Leridy w r. 1646. Kilku młodych oficerów, wśród których znajdował się również markiz de Barbentane, przebumblowali całą noc w pewnym klasztorze kapucynów, nakoniec, nadomiar dzikich wybryków, przyszedł im pomysł następujący: Zeszli hurmą do krypty klasztornej, uszkodzonej w czasie bombardowania, i zaczęli otwierać groby zakonników. Barbentane wyciągnął z jakiejś trumny zwłoki mnicha, zmumiałego już pod habitem, i ująwszy go w ramiona, jął tańczyć z truposzem przy dźwiękach piszczałek i skrzypiec. W jakiś czas potem udał się do okopów i padł sam trupem, rażony kulą nieprzyjacielską...

W czasie osobistych rządów Ludwika XIV, wypadki takie należały do rzadkości. Ale rozpusta i birbanterja nie dały za wygraną. W korespondencji tego samego Bussy-Rabutin, szczęśliwego, że znajduje ludzi jeszcze gorszych od siebie, znajdujemy pod rokiem 1680 opis sceny nad wyraz skandalicznej i oburzającej, jaka się wydarzyła w Paryżu w jednym z domów rozpusty. Niestety, trudno opisać szczegółowo, czego się owej nocy dopuścili książę de La Ferté-Biron, kawaler Colbert i markiz d'Argenson. Usprawiedliwiało ich nieco, że byli kompletnie pijani. „Król dowiedziawszy się o wszystkiem, rozkazał panu de Louvois wyrazić w jego imieniu najgłębszą pogardę księciu de La Ferté, a ministrowi Colbert'owi oświadczył, że o ile syn jego raz jeszcze coś przeskrobie, zostanie na zawsze wygnany z granic

państwa. D'Argenson ratował się ucieczką, Colbert zaś zamknął swego synalka i przetrzepał go straszliwie"...

Do tak ohydnych orgij nie poniżył się nigdy Ludwik XIV i nie dał się ponieść rozpasaniu. Ile mógł, przeciwdziałał raczej tym haniebnym często nałogom współczesnych mu ludzi. Jeśli porównać ich zachowanie z królewskiem, to raczej pochwalić należy przyzwoitość i wysoki poziom jego trybu życia. Sam zresztą powiedział, przyznając się do swych błędów przed delfinem. „W godzinie śmierci, która może być bliższą, niż się wydaje, zapyta nas Pan Bóg nie, czyśmy żyli poczciwie, lecz czyśmy zachowywali jego przykazania." On zaś żył zawsze poczciwie i to w najwyższem znaczeniu tego słowa w XVII wieku.

Mimo to trudno zaprzeczyć, że życie królewskie wywoływało wiele głosów oburzenia. Poszło to stąd, że wrogowie króla — zarówno w kraju jak zagranicą — szczuli przeciw niemu zawzięcie. Wysilali się wszyscy: gazetnicy i pamfleciści, cudzoziemcy i protestanci. Pamiętać trzeba o ogromnej a zakazanej literaturze, którą rozszerzano przeciw niemu, o treści częścią erotycznej, częścią satyrycznej. Potem trzeciorzędne romanse, pełne scen lubieżnych, przedstawiały króla już za życia jako niepoprawnego świntucha i rozpustnika, który cały żywot przepędzał w ramionach nałożnic. Akcja udała się tak dobrze, że i dziś jeszcze odcinki powieściowe w dziennikach korzystają z tej charakterystyki.

Wspomnieć należy jeszcze o interwencji kościoła, jakkolwiek bardzo dyskretnej. Słuszne przygany księży, a nieraz i śmiałe ostrzeżenia padały z ambon w Luwrze, Saint-Germain i Wersalu, grożąc otoczeniu króla ponuremi konsekwencjami klątwy. Kościół posiada skarby łagodności dla grzeszników. Ale doniosłość jego wymowy kazalnej działa czasami skuteczniej, niż miłosierdzie.

* * *

Fatalną swą reputację zawdzięcza Ludwik XIV nietylko paszkwilantom, lecz pośrednio i kaznodziejom. Większość historyków przyczyniła się do tego również. Może jedyny Wolter, dzięki swej bystrości i zdrowemu rozsądkowi, osądził sprawiedliwie miłostki królewskie. Największym błę-

dem tych sędziów surowych jest fakt, że traktują króla jak zwykłego śmiertelnika, nie biorąc pod uwagę wyjątkowych okoliczności, w jakich temu człowiekowi działać wypadło. A już zupełnie śmieszne wrażenie czynią ci cenzorowie moralności, gdy się pobłąkają w bezdrożach psychologji miłości.

W czasach młodości zmysły opanowały zupełnie Ludwika i sam nieraz nad tem desperował, mówiąc do swej matki ze łzami w oczach, że nie potrafi się opanować. Jedyne co mógł przyrzec swej żonie, to, że się będzie starał ustatkować po trzydziestym roku życia. Wszelako stało się to dopiero w dziesięć lat później. Jakkolwiek jednak silna była chęć zmysłowa u Króla Jegomości, tęsknił zawsze chciwie do czułości i zaufania. Chciał być kochanym nie jako król, lecz jako człowiek i znaleźć serce wierne, o któreby się oprzeć można w każdej doli. Po gorzkim zawodzie miłosnym z Marją Mancini, nie wierzył prawie w istnienie bezinteresownych uczuć u kobiet. Chyba jedna, pani Luiza de La Vallière obudziła w nim na krótko tę wiarę; wówczas przeżył chwilę odnowy miłości. Powtórzmy jednak, że naprawdę kochał tylko raz, Marję Mancini. Uczucie dla Luizy było jakby ułudną wizją tamtego. Lecz i Luizę kochał ostatecznie również. W jej ramionach znalazł te same wzloty i łzy i wszystkie czułe sentymenty, które tak ongi upoetyzowały stosunek z Marją. Trwało nowe uczucie tak długo, jak zwykła trwać namiętność ognista i rozhukana. A trzeba było mieć polot pani de La Vallière, aby zdołać króla opętać. Nie była ona istotą ograniczoną wprawdzie, ale też nie posiadała w sobie tej połyskliwej i żwawej wesołości, które to zalety bardzo pociągały króla. By mu się przypodobać, czytywała wiele, nawet bardzo uczone książki, podobnie jak Marja Mancini. Nakoniec udała się, o niebaczności! po radę i pomoc do podstępnej przyjaciółki, markizy de Montespan. Poczem nie omieszkała opowiedzieć królowi o jej uroku duchowym, i wszystko się skończyło!... Mimo to król kochał ją. Z tamtą (Atenaidą) mile czas płynął na rozmowie, z tą miłość była przyjemniejsza. Więc trudno mu bardzo przyszło się z nią rozstać. Jesteśmy zazwyczaj pobłażliwi wobec ludzi genjalnych, takiego Wiktora Hugo,

czy Chateaubriand, gdy zdawali się żądać od kobiety takiego rozdziału, czy ofiary. Dlaczegoż tedy odmawia się Ludwikowi XIV takiej pobłażliwości? Podobnie jak tamci wielcy ludzie zdawał się on mówić do swej przyjaciółki: „Od chwili, gdy cię pokochałem, gdy jesteś pewną mego serca, pozwól mi iść tam, dokąd mnie ciągnie pożądanie i ciekawość duchowa. Bo zawsze wrócę do ciebie.“ Donżuanizm mógł nieraz uwieść na chwilę młodego monarchę o krwi gorącej, oszołomionego pochlebstwem i chełpliwemi omanami. Kobieta wszelako nie zgodzi się nigdy dzielić się z drugą, chociażby tamta była uosobieniem chwały i talentu. Długo wysilał się Ludwik nad uzgodnieniem tych uczuć i utrzymaniem wśród nich równowagi. Skończyło się na tem, że Luizę poświęcił z bólem serca zapewne, gdyż były łzy, wiele łez obustronnych. Był-że więc „dręczycielem“, jak go nazywano z tego powodu? W tym wypadku historycy już zgóry wyrażają swą zgodę. Pani de la Vallière uznana jest za boleściwą ofiarę, król to zwyczajny uwodziciel, figura wogóle pospolita, egoista do obrzydliwości.

Co do mnie nie mogę podpisać tak sumarycznego wyroku, gdyż pamiętam przedewszystkiem o naczelnym rysie charakteru królewskiego: wzdragał się przed urażeniem ludzi i zadawaniem im bólu. „Król, który nikomu, bez względu na osobę, nie chciał robić przykrości“, pisze Primi Visconti. Pamiętajmy też, że wszystkie dowody jego nieczułości zaczerpnięte są z pamfletów lub pokątnych romansów, nie posiadających wszak wartości dokumentu historycznego. Dziwić się tylko wypada, że uczeni przykładają do nich podobną wagę. Bo wszystkie rzetelne dokumenty, jakie posiadamy, świadczą raczej na korzyść króla. Coprawda, jest ich tylko niewiele. Nie wiemy tedy prawie nic o jego psychologji miłosnej, o formach, jakie przybierał w stosunku do kochanek. Chciałoby się wziąć do rąk i przejrzeć te woluminy listów, jakie pisywał do Marji Mancini, potem do La Vallierki, wreszcie do pani de Maintenon, która, niestety, z niepotrzebnym zapałem spaliła pisane do niej listy. Ludwik XIV rozumiał wprawdzie, że królowi nie uchodzi pisać wiele, mimo to jednak, młodzieńcza jego namiętność

odznaczała się ogromną wymową. Ileż dalibyśmy za to, gdyby tak znać listy pisane z Lotaryngji do pani de La Vallière wśród bitewnego zgiełku, które jej potem Colbert musiał przesyłać w sekrecie. — Rzecz prosta, że erudyci przewertowali sprawę na wszystkie strony. Znamy tedy akty zaślubin kochanek królewskich, inwentarze ich klejnotów i garderoby, ale nic nie wiadomo o istocie rzeczy: o rodzaju, genezie i ewolucji uczuć, jakie kobiety rozbudzały w duszy monarchy. Zdani jesteśmy na łaskę przypuszczeń oraz na próbę wytłumaczenia pewnej ilości faktów.

* * *

Kochał Luizę do La Vallière z całego serca, żądał też od niej zupełnego oddania i wierności we wszystkiem. To nie da się zaprzeczyć. Razu pewnego pokłócili się już prawie o to, że pani de La Vallière, związana przysięgą, nie chciała wydać tajemnicy stosunku miłosnego pomiędzy panem de Vardes a Madame (żoną brata królewskiego). Przyobiecali sobie odtąd nie mieć wzajemnych tajemnic między sobą.

Wzamian za oddanie zupełne żądała Luiza, aby serce króla należało wyłącznie i niepodzielnie do niej. Na grosz chciwą nie była, wyjąwszy dla brata i dzieci swoich. Dla siebie samej nie pragnęła niczego i nawet dziwne to było, w jakiem opuszczeniu zostawił ją dostojny kochanek, pozwalając jej nędznie mieszkać u Madame. Nie należy jednak zapominać, że La Vallière była frejliną honorową przy Madame, więc nie mógł król bez skandalu zwolnić jej od tego obowiązku. Gdy zaszła w ciążę i nie dało się już dłużej ukrywać tego w tajemnicy, umieścił ją król w pałacu Brion, opodal Palais-Royal i wyposażył dworem oddzielnym. Później została księżną de Vaujours, otrzymała dobra i zamek, nie mówiąc już o pałacu, urządzonym koło Tuilerjów. Wspaniałomyślne wyposażenie kochanek należało do tradycji u królów francuskich. Ludwik XIV zaś obchodził się z damami swojemi, w szczególności z panią La Vallière, już nietylko hojnie, ale nadto w sposób tak wytworny i subtelny, że nawet współcześni podkreślali fakt ten z uznaniem. Pani de Scudéry w listach, pisanych do Bussy-Rabutin na

temat pani de La Vallière, chwali zachowanie się króla, „nawet w jego zaniedbaniach". „Odnosił się on — powiada — do osób, które kochał kiedyś, z respektem, jakiegoby fircyki nasze nie umiały okazać kobiecie, której już nie kochali, chociażby wierną była nawet, jak sama Duchesse"...

Weszło w zwyczaj podówczas, że te fircyki żyły na utrzymaniu u swych kochanek. Primi Visconti pisał: „Mamy w Paryżu zgórą dwadzieścia tysięcy szlachciców, zupełnie bez grosza, którzy żyją z gry w karty, z kobiet i z oszustwa." Sutenerstwo należy u tych jegomościów do stałego i tradycyjnego nawyku. Jakże zabawny i znamienny jest ustęp w „Pamiętnikach" marszałka de Gramont, gdzie ten magnat opowiada o swych początkach u dworu. Przybywa do Paryża w jednej lichej bryczce, ze starą szkapą i starym baskijskim sługą. „Każdego rana idzie piechotą na ujeżdżalnię u Poitrincourt'a i bierze lekcje jazdy. Na kolację zjada kawałek suchego chleba, kładzie się spać przy kopcącym kaganku, bo nie ma nawet pieniędzy na świecę. Lecz dzięki dobrej postawie, zyskał względy pewnej damy wytwornej, która go wzięła na utrzymanie i oporządziła — i taki był początek karjery pana marszałka de Gramont. Ludwik XIV nie mógł, rzecz jasna, pojść na utrzymanie do swych kochanek, nie poprzestawał jednak na obsypywaniu pań złotem, lecz otaczał nadto takim respektem i względami, że można go było stawiać na wzór bezmyślnym bawidamkom dworskim.

Zarzucano mu, że gdy pani de La Vallière musiała odbyć połóg w sekrecie, to się nawet nie pojawił u niej i wogóle okazał się niewzruszonym. Trzeba tu znowuż pamiętać, że król to nie zwykły śmiertelnik. Wszak nie był panem swego czasu, etykieta dworska władała nim bezwzględnie, często naprzekór zamiarom i chęciom. Jeżeli łowy lub spacer wypadały w chwili, kiedy kochanka wiła się w bólach porodowych, król nie miał możności odwołać polowania lub wyjazdu i pośpieszyć do łoża cierpiącej. Gdy w październiku 1666 La Vallière odbyła pod opieką swej córki panny de Blois połóg na zamku w Vincennes, w apartamentach, do których dostęp otwarty był dla wszystkich, stało się to na jej życzenie. Mogła wszak była w tak wyjątkowej chwili pozostać



LUIZA DE LA VALLIÈRE
według sztychu Gerarda Edelinck'a.

u siebie w domu! A posiadała aż dwa pałace w Paryżu, jakoteż swoje oddzielne skrzydło w Wersalu. Elementarne poczucie przyzwoitości winno było skłonić ją do pozostania w domu w takiej chwili, tem bardziej, skoro nie piastowała wówczas żadnego urzędu dworskiego, nie była już frejliną honorową u dworu Madame, a nie była jeszcze księżną. Jeżeli mimo to w stanie tak bardzo już poważnym, sprowadziła się do Vincennes, to chyba tylko z powodu wściekłej zazdrości i w chęci nękania króla. Zauważywszy bowiem wzrastające u króla zainteresowanie dla pani de Montespan, obawiała się, że rywalka wyruguje ją zupełnie. Chcąc zdobyć zpowrotem zagrożone serce monarchy, nie cofnęła się nawet przed skandalem, gotowa była na wszystko.

Dała tego dowody w rok później, w czasie oblężenia Avesnes, gdy znowu próbuje się naprzykrzać mu i to na oczach królowej i całego dworu. Tym razem skandal był potworny. Szczegóły są znane. La Vallière pędziła w karecie „naprzełaj pól, co koń wyskoczy“, aby tylko dopaść króla, który znajdował się wśród swych wojsk. Królowa „niezwykle oburzona“, kazała ją zatrzymać... Po lodowatem przyjęciu przez kochanka, mogła była snadnie ukryć swą boleść na swym zamku w Vaujours. Nic podobnego jednak; uznała, że lepiej będzie powrócić do Saint-Germain, tam się rozsadowić, niepokojąc króla i markizę de Montespan swą obecnością, pchać się im nieustannie na oczy, jak żywy wyrzut. A ponadto nie ustawać w wysiłkach odbicia niewiernego kochanka. Zaszedłszy znów w ciążę, powiła potajemnie dziecko, którego jednak król uznać nie chciał, przekonany, że nie on jest ojcem. Czemuż, u licha, ta zwarjowana dama nie załatwiała swych przejść połogowych w domu? W jakiś dziwny sposób odnoszą się historycy do tej sprawy, nie widzą najprostszych okoliczności, zapominają o wszystkiem. Wygląda tak, jakby Ludwik XIV był człowiekiem odrażającym, a La Vallière anielską męczennicą! A wszak prawdą jest, że nie ustawała ona w ciągu lat najbliższych w wysiłkach nad odzyskaniem swej pozycji, dlatego pęta się wciąż u dworu, zatrzymuje mieszkanie, chociaż jej nic do tego nie upoważniało. Możliwe, że gdyby zaraz po zerwaniu cofnęła się do swych dóbr, król ucieszyłby się

bardzo, pozbywszy się tak uciążliwej kochanki. Pozostała wszelako uparcie u dworu. Wobec tego kochanek markizy de Montespan, który był człowiekiem praktycznym i liczył się z okolicznościami, uznał, że tak będzie lepiej. Gdyż usunięcie się pani La Vallière, znanej powszechnie kochanki majestatu i matki „dzieci Francji", które zajmowały miejsce u dworu, podkreśliłoby wyraźnie fakt zerwania i zdradziło wszem wobec, że król ma nową metresę. A tak Luiza, mimochcąc, przynosi korzyść parze miłosnej! Służy jako osłona ich stosunku, myli opinję publiczną, rozwiewa podejrzenia lub gniew zazdrosnego małżonka. Gdy król przez pokój pani La Vallière udawał się do markizy de Montespan, przypuszczano powszechnie, że jest wciąż przyjacielem pierwszej. Niezawodnie, że było coś odrażającego w tych wybiegach. Czy działo się to z obłudy.? Bynajmniej. Król miał odwagę przyznawania się do swych wykroczeń. Wolał jednak, gdy tylko można było, zachować pozory. Nawet w tej rozwiązłości chodziło mu o utrzymanie miary. Czyż zresztą taki władca jak Ludwik XIV mógł postępować inaczej? Dość już przecie było cudzołóstwa, poco jeszcze skandal? Lepiej zostawić sprawy, jak są. Pani La Vallière miała mieszkanie u dworu i była przyjaciółką pani Montespan. Jeśli opuści mieszkanie i pokłóci się z przyjaciółką — opinja publiczna dowie się o wszystkiem, — ileż nowego żeru dla złych języków! Więc jeśli tak bardzo zależy jej, by została, niechże siedzi! Kochając króla wciąż jeszcze, cierpiałaby więcej w oddaleniu od niego, niż tu, gdzie miała codzień dowody jego niewierności. A tak i skandal jest mniejszy i cierpienie Luizy. Oto niewątpliwe chyba powody, które zdecydowały o postępowaniu króla. Może mało chwalebne, ale jedynie właściwe w tym wypadku. Nie był król bynajmniej okrutnikiem, zmuszającym porzuconą kochankę do życia wespół z nową, zwycięską rywalką. Nie posiadamy ani jednego przekazu wiarygodnego w tym kierunku. Ilekroć mowa o surowości króla wobec pani La Vallière, zwykło się cytować na dowód swawolne romanse lub komeraże dworskie. Taka chociażby historja o piesku, którą opowiada Liselota z Palatynu: Przechodząc przez pokój Luizy do pani Montespan, miał król jakoby rzucić

jej na kolana wyżełka hiszpańskiego i dodał: „Proszę go trzymać! Wystarczające towarzystwo dla pani!“ Niema żadnego dowodu, że użył istotnie tych niecnych słów. Był przecie zbyt dobrze ułożonym człowiekiem, by się zachować podobnie wobec kobiety, którą ongi a może i dzisiaj jeszcze kochał.

Najgorzej postąpiła sama La Vallière, gdyż nie zdołała nigdy usunąć się w zupełności. Jej wstąpienie do klasztoru było aktem rozpaczy w chwili, gdy już nie zostawało żadnej nadziei, a ta publiczna i demonstracyjna skrucha miała podkreślić, jak dalece zbrodniczy jest związek króla z jej rywalką. Później rzuciła się do kolan królowej, prosząc o wybaczenie wszystkich przykrości, jakich mogła być przyczyną. Współcześni nie widzieli w tym geście dramatycznym nic innego, jeno szczytowy wybuch zazdrości: Jeżeli ona jest winna, ileż więcej grzechu ciąży na Athenais'ie i jej przyjacielu, którzy żyją w cudzołóstwie! Wprost w oczy wyrzucała im nikczemność ich związku. Po jej pierwszej ucieczce do klasztoru w Chaillot, król, nie dając się wywieść w pole, zorjentował się odrazu, do czego to prowadzi. Że La Vallière przez tę pokutę, czynioną z wielkim harmiderem, chce ściągnąć nań naganę opinji publicznej. I dlatego nie pierwej udzielił zezwolenia, aż póki się nie przekonał, że nieszczęśliwa czyni to ze szczerego powołania. Powołanie przyszło nieco późno, wedle opinji Bossuet'a, który został spowiednikiem skruszonej. „Kobieta o silniejszej woli niż ona — tak pisał Bossuet w r. 1673 do marszałka de Bellefonds — byłaby sobie z tego zdała sprawę już wcześniej... Dlatego byłem zawsze zdania, że należało zwolna krok za krokiem przecinać więzy, które silniejsza od niej ręka przecięłaby za jednym zamachem...“

Dopiero w rok później, a w siedem lat po opuszczeniu przez króla, wstąpiła pani La Vallière do klasztoru. Bojaźliwy Montausier przygania jej trochę z tego powodu: „Oto, Madame, najbardziej budujący przykład, jaki kiedykolwiek dano światu, lecz dziwię się, że osoba o tak wyrobionym umyśle nie powzięła wcześniej tyle pobożnego zamiaru.“ I niezawodnie, żadna siła ludzka nie byłaby w stanie jej przeszkodzić, gdyby chciała włożyć welon zakonny zaraz po zerwaniu i po zapewnieniu przyszłości swym dzieciom.

Była też Luiza de La Vallière z tego typu kochanek, które nie łatwo dają za wygranę. Dla amanta płochego stała się wielce niewygodną. „Musisz mnie kochać od chwili, gdy ja cię kochać zaczęłam“ — oto wieczysty ilogizm namiętności. Lecz Ludwik XIV jej już nie kochał. Czyż nowocześni apostołowie „otwartości“ uczucia mają prawo zganić go za to, że się jej pozbył? Okazywał jej do ostatka jak największe względy, a nawet niezwyczajną u niego tkliwość. To go poniekąd uniewinnia. Obrzydliwa miłość pani Montespan kazała mu nieraz żałować za tem niewinnem i bezinteresownem uczuciem Luizy. A tak się król był przyzwyczaił do jej miłej obecności, że ucieczka do klasztoru w Chaillot sprawiła mu przykrość ogromną. Płakał z radości, gdy powróciła, jak również płakał, gdy zdecydowała opuścić go na zawsze...

Ludwik XIV — powtórzmy raz jeszcze — był człowiekiem bardzo uczuciowym. I nawet czułym, cokolwiekby się pozatem o nim mówiło. Nie ulega wątpliwości, że sposób, w jaki odnosił się do swych kochanek, stanowił kontrast zupełny do brutalnych obyczajów epoki. Bussy-Rabutin opowiada gdzieś oburzającą historję o księciu de Caderousse, zaciekłym karciarzu, który, udając miłość dla niejakiej pani de Bertillac, kazał się przez nią utrzymywać. Dama zmuszona była wkońcu zastawić wszystkie swoje klejnoty, aby popłacić długi karciane lalusia, Caderousse przechwalał się później głośno w szulerni, że zniszczył ją zupełnie. Tymczasem ona, ukryta w alkowie, słyszała wszystko. Potworny cynizm i bezczelność obwiesia oburzyły ją tak dalece, że zemdlała. Ciężko chorą odniesiono do domu, gdzie w cztery dni później umarła. „Nie uwierzycie państwo — dodaje Bussy — jak ta przygoda rozsławiła imię księcia Caderousse“...

* * *

Więc smutne jest to wytworne życie miłosne, ta *fête galante*, gdy zajrzeć za kulisy. Tragiczne i odrażające. A kiedy po pani La Vallière nastąpi markiza Montespan, będzie to dla króla, zaiste, prawdziwe zejście do piekieł.

Markiza de Montespan wzięła króla w posiadanie, rozwijając cały kunszt trzydziestoletniej rozpustnicy. Była to urodzona kurtyzana z usposobienia i temperamentu. „Ta dziewka!“ — mówiła o niej wprost królowa. I, trzeba przyznać, miała rację. Piękna jak djabeł, umiała nadto uzupełnić swój urok wszystkiemi podstępami, jakich używają zawodowe kapłanki miłości. Brunetka, o niebieskich oczach, farbowała sobie jednak włosy na złoty kolor, ponieważ król gustował w blondynkach. Zauważmy przy sposobności, że wszystkie jego kochanki, z wyjątkiem Marji Mancini, były jasno- lub rudowłose. „Miała zwyczaj — opowiada Primi Visconti — leżąc w łóżku zupełnie naga przez dwie lub trzy godziny dziennie namaszczać się wonnościami i kropić perfumami.“ Przytem była, zdaje się, bardzo brudna, co zwykło chodzić z sobą w parze. „La Vallière odznaczała się czystością — podkreśla z naciskiem księżniczka Palatynu — Montespan natomiast była niechlują.“ Siostra jej, panna de Thianges, którą Saint-Simon opisuje z plastrem i przepaską pod okiem, a z śliniaczkiem pod brodą, to także flejtuch niegorszy...

Jak urodzoną kurtyzanę cechowała ją niesłychana żądza złota i łask. Równocześnie jednak ogromny apetyt na władzę. Władzę nad królem w pierwszym rzędzie. Że tylko środkami gwałtownemi może opanować tak dumną sztukę, jak Ludwik, zorjentowała się rychło. Wzięła go tedy pod pantofel i pod bat, czyniąc wciąż jakieś zarzuty lub sceny zazdrości, przepełniające go niesmakiem. Miała do dyspozycji cały arsenał szatańskich sposobików, i jako osoba z natury zła, nie cofała się przed żadnym występkiem. A wszystkie złe moce, jakie się kryły w jej duszy, stawiła do dyspozycji jednego pragnienia: Panna Mortemart z rodu, wywodzącego się od książąt Akwitanji, a więc dynastji starszej o wiele od Burbonów, uważała Ludwika XIV za równego sobie i postanowiła zostać królową Francji.

Trzymała króla na uwięzi wdziękami ciała swego i wielką inteligencją. Nietylko go pętała rozpasaniem zmysłów, lecz podniecała go nadto zapomocą ohydnych lubczyków. Przez cały czas jak długo była przy nim, kazała mu dodawać do potraw rozmaite *afrodisiaca*. I oto dlaczego ten człowiek,

dotychczas zrównoważony i opanowany, uległ pod jej wpływem przełomowi seksualnemu i rzucał się w objęcia coraz nowych kochanek. Nie zwrócono dotychczas wcale uwagi na tę ważną okoliczność: wszak pani Montespan zatruwała króla dosłownie zapomocą rozmaitych „filtrów" miłosnych i to w ciągu szeregu lat. To należy podkreślić jak najdobitniej. Wrodzone rozpasanie nie wchodziło tu w grę. Człowiek, względnie umiarkowany i ogromnie poprawny w swych uciechach, padł ofiarą straszliwych praktyk. Obok wdzięków cielesnych, jeszcze potomstwo liczne dodawało pani Montespan władzy nad królem. Urodziła mu siedmioro dzieci. Czy wszystkie jego dzieci? Można wątpić bardzo poważnie, mając do czynienia z kreaturą zdolną do wszystkiego. W wersalskim zbiorze posągów mitologicznych wyobraża ta nieustannie ciężarna kobieta Latonę, kochankę Słońca, radującą się ze swej płodności. Wskutek tych ciągłych porodów nabrała znacznej tuszy i zbrzydła niesłychanie. „Utyła tak bardzo — mówi żartobliwie Primi Visconti — że gdy pewnego dnia ujrzałem ją wysiadającą z karety, jedna jej noga była tak gruba, jak ja cały." Otoczona licznem potomstwem, mogła upokarzać biedną królową, której wszystkie dzieci poumierały w kołysce, a został się tylko delfin, spasiony, tępy i głupkowaty bęcwał, zupełny kontrast czarującego księcia du Maine. Mogła więc roić sobie przez czas jakiś pani Montespan, że jej potomstwo, a nie potomstwo Marji Teresy zasiądzie na tronie Francji.

Ponad wszystko jednak starała się zbrodniczemi praktykami zachować dla siebie uczucie króla. Była prawdziwą czarownicą i trucicielką. Wiadomo, że przez piętnaście lat zgórą utrzymywała stosunki ze spaloną na stosie czarownicą Voisin. Kolejno starała się zatruwać wszystkie swoje rywalki, od pani La Vallière zacząwszy a skończywszy na biednej Fontanges, która była „piękna jak anioł i głupia jak stół". Nakoniec postanowiła otruć samego króla. Można sobie wyobrazić, jaki wstręt i oburzenie ogarnęły króla, gdy się dowiedział o tym niesłychanym zamiarze. Zadała wtedy cios śmiertelny jego miłości. Nie przebaczył jej tego nigdy. Ten pomysł zbrodniarki otworzył mu oczy nareszcie i zwrócił króla ku uczuciom, które wpierw tak bardzo za-

poznawał. Pani Montespan ujawniła Ludwikowi XIV całą straszliwą ohydę swego demonizmu. Za sprawą tej szatańskiej kobiety ujrzał wlepione w siebie, świdrujące ślepia djabła wcielonego. A pomimo to, aby zachować pozory, przez wzgląd na jej dzieci, które prawnie i uroczyście usynowił przed światem — znosił przez lata jeszcze w swym pałacu obecność wiedźmy potwornej, która go otruć usiłowała.

Wypadek ten przyśpieszył niewątpliwie chwilę nawrócenia króla. Zwrot w usposobieniu religijnem rozpoczął się już czas jakiś przedtem, głównie dzięki tajemniczemu, a mało znanemu zdarzeniu, o którem wspomina w swych pamiętnikach La Fare. Zanim przeczytamy, co mówi, pamiętać trzeba, że autor jest znanym bezbożnikiem i opozycjonistą. „W głębi duszy — powiada La Fare — był król zawsze człowiekiem religijnym i bogobojnym. Przypadek chciał, że pewnego razu spotkał księdza, śpieszącego z Najświętszym Sakramentem do Wersalu do jednego z oficerów. Dla dobrego przykładu król poszedł również do łoża umierającego. Przeżycie to wywarło nań tak wielki wpływ, że powróciwszy do domu, podzielił się natychmiast wyrzutami sumienia ze swą kochanką. Ona oświadczyła również, że czuje skruchę, wobec czego postanowili się rozejść.“

Może nie tak poprostu rozwikłały się te sprawy, jak sobie wyobraża pamiętnikarz. Lecz to spotkanie Ludwika XIV z Najświętszym Sakramentem na korytarzach Wersalu jest wydarzeniem szczególnem, może opatrznościowem i pociągnęło za sobą daleko idące konsekwencje. Przy łożu umierającego przeżywa w obliczu śmierci chwilę straszną i wymowną. Stawia mu ona przed oczy tragiczną antytezę Śmierci i Życia. I widzi biedny Król-Słońce całą nicość i kłamstwo i pustkę tych ułud bezbożnych, którym się dał uwieść w oszołomieniu pierwszych awanturek miłosnych. Życie miłosne, jakie wiódł dotychczas, wydało mu się ponętą bez treści. Przyszedł czas, w którym zwrócić się wypadło ku rzeczom poważniejszym — ku Wielkiej Sprawie, jedynej ważnej sprawie w życiu człowieka.

Całe życie miłosne króla, wszystkie jego uciechy i wybryki, były jednak — jak znów podkreślić trzeba — niczem więcej jak chwilową rozrywką i rodzajem dywersji, płynącej z chęci

ukrycia swych wojowniczych zamiarów i wyprowadzenia Europy w pole. Kochanki nie zabierały mu nigdy czasu przeznaczonego na sprawy publiczne. Na czele wszystkiego stał obowiązek pracy dla państwa, którego ogłosił się pierwszym sługą. Naród domagał się od swego władcy gwałtownego parcia naprzód, ale ze względu na swą matkę i swego teścia, króla Hiszpanji, nie chciał Ludwik XIV burzyć narazie pokoju i czekał przezornie korzystnej sposobności. Nareszcie w roku 1664 umarł Filip IV, a w dwa lata później Anna Austrjaczka. Już go nie wiązały żadne skrupuły. W ciągu pięciu, czy sześciu lat oczekiwania zdołał zgromadzić znaczne zapasy ludzi i pieniędzy i wystawił ogromną armję. Nadeszła wreszcie chwila, w której mógł dopełnić dzieła zjednoczenia narodu i dać właściwe granice krajowi. Żądali tego odeń najrozumniejsi i najdalej patrzący ludzie z pośród poddanych.

W jaki sposób przystąpił król do spełnienia tych życzeń narodu?...

CZĘŚĆ CZWARTA

POMIĘDZY ORŁEM I LWEM

Zwycięstwa wojenne i powodzenie w rządach doprowadziły monarchję do takich wyżyn potęgi, że potomność i przyszli historycy nie będą mogli poprzestać na samych świadectwach współczesnych.

Z relacyj ambasadorów weneckich.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ODWET FRANCJI

Podobnie jak katedry średniowieczne jest zamek wersalski również siedliskiem symbolów. Już u wejścia głównego, po obu stronach pozłocistej i oliljowanej kraty stoją na pilonach grupy alegoryczne, których treść, zatarta zupełnie w pamięci potomnych, przemawiała głosem entuzjazmu do Francuzów z epoki *Louis quatorze*. Grupa z prawej strony, dzieło Marsys, przedstawia skrzydlatą Wiktorję, która usiadła na barach klęczącego olbrzyma, w jednej ręce trzyma wieniec, drugą kładzie na wiązce palm, które jej wręcza mały genjuszek, również skrzydlaty, niby Kupidyn. Otaczają Wiktorję łupy zdobyczne, pancerze i sztandary: nogę zaś wsparła o skrzydło orła pokonanego. Druga grupa naprzeciw, dłuta Girardon'a, wyraża myśl podobną. Ta sama bogini Zwycięstwa w tejże samej postawie, jeno w wyciągniętej dłoni wyżej wieniec unosi. Usiadła na barach wziętego w jasyr olbrzyma, o skrępowanych rękach, nogę zaś oparła na łapach lwa, który legł u jej stóp. Całość wysoce szlachetna, pełna umiaru, wyposażona jakimś wdziękiem uroczym, wyłączającym uczucia niskie, bez cienia nienawiści i brutalnej pychy. Plastyczne wyobrażenie dwóch świetnych czynów francuskich, nic więcej. Grupa prawa przedstawia zwycięstwo Francji nad orłem niemieckim, grupa lewa zwycięstwo nad lwem kastylijskim. Cesarstwo i Hiszpanja to dwaj najwięksi wrogowie Francji w tym czasie, a dążenie do pokonania jednego i drugiego, to dwie ideje naczelne rządów Ludwika XIV. W ten sposób dwie grupy, od których rozpoczyna się zamek wersalski, są niby portykiem triumfalnym, który rozpoczyna jego historję.

Streszczają one i wyobrażają wysiłek narodu pod wodzą człowieka obdarzonego genjuszem i wolą.

Lecz pozostawmy na boku alegorje, a przypatrzmy się faktom. Pochyliwszy się nad kartą Europy, Ludwik XIV spostrzegł odrazu, że dwojaki problem wypadnie mu rozwiązać: odebrać Hiszpanji ziemie dziedziczne, które pozwoliły okrążyć Francję temu narodowi, od niedawna liczącemu się do mocarstw europejskich, i równocześnie zniszczyć jego przymierze z Cesarstwem, przymierze, które, przyczyniając się walnie do potęgi Hiszpanji, mogło grozić niebezpieczeństwem dla Francji i Europy. Wskutek tego przymierza granice francuskie od północo-wschodu były stale zagrożone. Francuska linja obronna dochodziła zaledwie do Somme'y. Dolina Oise'y była otwarta. Paryż zdany stale na łaskę najezdnika. Flandrja i Franche-Comté i Roussillon stały się ośrodkiem szpiegostwa i gniazdem intryg anty-francuskich, więcej jeszcze: przez Franche-Comté Niemcy stały zawsze jedną nogą na ziemi francuskiej. Dziś zapomina się o tem, że te wszystkie prowincje pograniczne Francji, Brabancja, Hannonja, Limburg, Luxemburg i Franche-Comté, które stały się hiszpańskiemi drogą dziedzictwa, w rzeczywistości należały do Cesarstwa niemieckiego. Gdy Ludwik XIV rozpoczął oblężenie Besançon, powołało się ono na swój tytuł: miasta cesarskiego. Tak tedy Niemcy i Hiszpanja były wrogami dla Francji, stanowiąc w owym czasie jak gdyby dwie głowy orła germańskiego. Gdy Karol V został cesarzem, połączył na jakiś czas oba narody pod jednem berłem, a jego spadkobiercy podtrzymali sojusz hiszpano-niemiecki. Umacniały go później małżeństwa austrjackie infantów i królów katolickich przy każdej zmianie rządów. Nareszcie król hiszpański, mieniący się zawsze księciem Burgundji, był wasalem cesarza z tytułu swych posiadłości kontynentalnych.

Obaj spólnicy wszelako, zarówno katolicki jak cesarski, grali bardzo marną rolę w świecie chrześcijańskim w drugiej połowie XVII stulecia. Żaden z nich nie był groźny w pojedynkę, jakkolwiek Hiszpanja, co przyznawał nawet sam Colbert, zawsze jeszcze była najbogatszym krajem na świecie. Pod lepszym rządem mogłaby wystawić wojska bitne i o-

gromne, znaleźć sprzymierzeńców w całej Europie i przywieść znaczne posiłki cesarzowi. Zjednoczona z Niemcami mogłaby stworzyć potężną koalicję na zgubę Francji. Wielkiem tedy zadaniem Ludwika XIV było nie dopuścić do tych koalicyj i zebrać w odpowiednim czasie siły, zdolne stawić im odpór.

Bo jeżeli nawet w chwili obecnej Hiszpanja i Niemcy zachowywały się spokojnie, należało przecie obawiać się zawsze, że mogą kiedyś spróbować, razem albo w pojedynkę, pokusić się o odbicie obszarów straconych w traktatach munsterskim i pirenejskim. Ponadto jeszcze granica otwarta od północo-wschodu. Trudno więc, by Francja mogła się zadowolić tak niepewną sytuacją. Przynosi to zaszczyt Ludwikowi XIV, że się w niej zorjentował, za co mu Francuzi zawsze wdzięczni będą. We wszystkich tych wojnach, prowadzonych w celu zyskania umocnionych granic, nie chodziło bynajmniej, jak się to zwykle mówi o „chwałę" króla — chodziło o egzystencję narodu. Nieraz jeszcze miał Ludwik XIV sam często mówić o swej „chwale" lub drugim o niej mówić pozwalał, był wszelako zbyt trzeźwym na to człowiekiem, aby nie znał istotnego sensu tego słowa. Przywykł zresztą ukrywać pod maską frywolną zamiary bardzo poważne. Taka udana pustota była jedną ze sprężyn jego całej polityki.

Zadziwiające wogóle, do jakiego stopnia godzą się nasi historycy w zapatrywaniu, że prowadził on wyłącznie wojny zdobywcze, gdy w istocie były to akty obrony narodowej. Francja XVII stulecia czuła doskonale, że raz wreszcie musi się pozbyć grozy dwoistego niebezpieczeństwa, musi pokonać Orła i Lwa, albo, co najmniej, nauczyć ich respektu.

* * *

Spróbujmy teraz przyjrzeć się bliżej zamiarom królewskim, od chwili, gdy on wraz z Le Tellier'em, Louvois i Lionne'm zaczął, na początku swych rządów, interesować się zagadnieniami polityki zagranicznej. Wśród jakich uczuć i pod wpływem jakich zasad przystąpił do walki?

Do Cesarstwa odnosił się nieledwie z pogardą, bo też Niemcy od czasów pokoju westfalskiego znajdowały się w nieświetnej

zaiste sytuacji. Również — Król Arcy-chrześcijański — zwysoka mierzył cesarza, który, mało mając posłuchu w Sejmie Rzeszy, zajęty był wojną z Turkami, co dotarli aż do stolicy tego państwa, ogołocony ponadto z wojska i pieniędzy. Bo i cóż znaczył w oczach Ludwika ten biedny władca elekcyjny, który uważał, że stoi ponad królem Francji, monarchą dziedzicznym i prawowitym spadkobiercą Karola Wielkiego? Bo ostatecznie Karol Wielki był cesarzem Franków a nie cesarzem Niemców. Jakiś czas przed wojną dewolucyjną ukazała się z inicjatywy rządu francuskiego książka pod tytułem: *Des justes prétentions du roi sur l'Empire.* Czytać w niej można było następujące, wielce miarodajne słowa: „Przeważna część obszaru niemieckiego, to dawne dziedzictwo królów francuskich. Karol Wielki władał Niemcami jako król Francji, a nie jako cesarz." W dotyczących instrukcjach dla delfina wypowiedział Ludwik XIV wyraźnie, co o tem myśli. Z uczuciem dumy narodowej, jak prawy Francuz, podtrzymuje swe prawa i tytuły wobec cesarstwa germańskiego. Z powodu jakiejś podniesionej przez cesarza szykany w etykiecie, pisze: „Ten objaw śmiesznej próżności skłania mnie do podkreślenia... jak cesarze ci, o których tyle słyszysz w historji nowożytnej, dalecy są od wielkości tych, z których my wywodzimy swój początek, za ich to przyczyną Cesarstwo popadło w tak wielkie poniżenie. Bo przecie, gdy tytuł cesarski przysługiwał naszemu domowi, posiadaliśmy wówczas Francję, Niderlandy, Niemcy, Włochy i znaczną część Hiszpanji... Wszelako podziały dokonane pomiędzy synów Francji umniejszyły odrazu splendor tej godności i wkrótce potem straciliśmy je całkowicie, pozbywając się tej linji, która rządziła wówczas z tej strony Renu. Od chwili bowiem, gdy Niemcy owładnęli nią całkowicie, postarali się, aby nas od niej wykluczyć na zawsze, zdobywszy prawo następstwa i przywracając cesarstwo elekcyjne."

Powstało więc Cesarstwo germańskie z bezprawnego przywłaszczenia sobie korony Francji. W rękach uzurpatorów spodlała godność cesarska i tylko cień z niej pozostał. „Gdyż — pisze dalej król — ta część Niemiec, do której ograniczono obecnie władzę cesarza, pochodzi z rozbioru dawnego

Cesarstwa Zachodniego, wszystkie najważniejsze jego uchwały podległe są obradom Stanów Cesarstwa; elekcja zależna jest i skrępowana intrygami i widzimisiem, jakie się spodoba elektorom; przeważna część ziem znajduje się pod władzą oddzielnych książąt, nawet najbardziej oddane im miasta mają prawa tak bardzo zbliżone do wolności, że gdyby cesarze nie byli panami dziedzicznymi, władzę ich należałoby uznać za malowaną.“ Nie bez uzasadnionej dumy kończy Ludwik XIV te rozważania: „Tedy zupełnie nie pojmuję, mój synu, dlaczegożby królowie francuscy, władcy dziedziczni, którzy mogą być słusznie dumni, że niema dziś w świecie całym bez wyjątku świetniejszej od nich dynastji, ni większej potęgi, ni władzy bardziej absolutnej, mieliby być niższymi od tych książąt elekcyjnych“...

Mógłby ktoś powiedzieć, że to są tylko puste przechwałki pretendentów. Ale pogląd taki byłby zgoła naiwny. Bo nie chodzi tu bynajmniej o wyższość Cesarza nad Królem Arcy-chrześcijańskim, lecz o prawo Francji w przeciwstawieniu do prawa Niemiec.

Ówczesne Cesarstwo niemieckie nie przypominało w niczem Cesarstwa rzymskiego, którego ciągiem dalszym być miało. W rzeczywistości obumarło oddawna. Francja miała je obecnie powołać do nowego życia, wszelako nie drogą rewindykacji swych słusznych praw, lecz wyłącznie siłą swej broni!... I to jest ciekawe! Na początku rządów Ludwika XIV był okres, w którym nietylko dał się odczuć żywy ruch imperjalistyczny, lecz nawet przyszedł do mody Rzym starożytny, jak później za czasów Dawida i Rewolucji. Wydobyto godła Republiki i Cesarstwa. Na frontonach bram i na łukach triumfalnych, zarówno w dziełach malarstwa jak rzeźby, pojawiły się rzymskie sztandary i vexilia, tradycyjne litery S. P. Q. R. (*Senatus Populusque Romanus*), wole głowy, zdobyczne kaski i puklerze. Przedstawiano króla pod postacią Cezara rzymskiego w nagolenicach i pancerzu Augusta watykańskiego. Artyści starali się otrząsnąć ze wszystkich cech, które, ich zdaniem, trąciły średniowieczem. Zarzucono tarcze herbowe. I ciężkie korony. I heraldyczne potworki. Herb króla stanowiły trzy symboliczne kwiaty lilji, nic więcej, a godłem było przeważnie

promieniste słońce. Niech tam sobie Hiszpanie i Niemcy pieczołowicie chowają rupiecie gotyku, bezecny, przedśmiertny wytwór barbarzyńców. Na gruzach średniowiecza odnowi król Francji wielką tradycję zachodu, wskrzesi myśl cywilizacyjną Grecji i Rzymu, wszakże jest Bogiem Światła, i raczej Apollinem, niż księciem z liljami w herbie.

Narówni ze swymi artystami przeciwstawiał się król średniowieczu. Nienawidził feudalizmu, który przyczynił się do rozczłonkowania kraju. Jako odnowiciel jedności czuje się wrogiem zaprzysięgłym wszystkiego, co feudalne. Pod pozorem walki z Niemcami i Hiszpanją walczy właściwie z feudalizmem. Lecz jako bystry i trzeźwy człowiek rasy latyńskiej umie skorzystać mimo to z urządzeń feudalnych, z rozgałęzionych obficie praw lennych, które mu pozwalają rewindykować niektóre obszary i przyłączyć do Korony. Gdyby interes Francji tego wymagał, Ludwik XIV, monarcha nowoczesny, zmieniłby się odrazu w średniowiecznego władcę. Doprowadziwszy do tego, że feudalizm zrujnował się sam przez się, dał przez to przykład giętkości myślenia i działania, które potrafi przystosować do wszystkiego, jeśli konieczność tego zażąda i nie zawaha się — na pozór przynajmniej — przeciwstawić niczemu. Takie zasady i myśli kierowały Ludwikiem XIV, gdy przygotowywał się do walki z Niemcami. Cesarstwo winno przestać istnieć, jego zdaniem, a w każdym razie utracić moc ofenzywną, gdy będzie podzielone. Natomiast królestwo Franków odzyska swą granicę naturalną, którą tworzy Ren od północy i zachodu. A nie były to bynajmniej mrzonki megalomana. Polityka Francji od stu lat prawie zdążała w tym kierunku. Cudzoziemcy godzili się na to również. W Ludwiku XIV widziano szczęśliwca, który zdołał wprowadzić w życie zamiary swych poprzedników. Baron de Lisola, pochodzący z Franche-Comté, zwolennik Hiszpanji i Niemiec, ogłosił w czasie wojny z Flandrją pamflet pod tytułem: *Le Bouclier d'Etat et de Justice, contre le dessein manifestement découvert de la monarchie universelle.* Uznaje on tam w Królu Arcy-chrześcijańskim jedynego ucznia i wykonawcę testamentu jego dziada, Henryka IV, i powiada tak: „Wszystko, co tamten wielki król miał w planie, zamierza wnuk jego zdobyć



MARKIZA DE MONTESPAN
według sztychu Etienne Picart'a.

orężem." Powiadają o Henryku IV współcześni, że miał on zamiar „przywrócić Francji pierwotne granice i rozszerzyć monarchję aż po Ren na wschodzie, po Pireneje na południu i po Ocean na Północy... Wszyscy ludzie mówiący z urodzenia językiem francuskim, winni być poddanymi króla Francji." A mimo to nie pomawiano nigdy tego podstarzałego bawidamka, człowieka z „kurą w garnku" o megalomanję lub żądzę zaborczą? Skądże teraz tyle rygorów przeciw dziedzicowi jego nietylko korony, lecz i planów politycznych? Najdoświadczeńsi i najbystrzejsi ludzie opowiadają się przy tym programie królewskim. Nawet Mézeray, ten drobiazgowy i prozaiczny dziejopis Mézeray, woła w swojej „Historji", że monarchja francuska powinna sięgać do granic dawnej Galji. A dzisiejsi nasi politycy, którzy uważają za konieczne, abyśmy zajęli co najmniej lewy brzeg Renu, idą śladem Ludwika XIV i jego poprzedników. Jeśli on błądził, to uznać musimy, że republika dzisiejsza błądzi również. W istocie zaś poszedł za głosem całej Francji, gdy z bronią w ręku zaczął dochodzić praw swej żony do francuskiej Flandrji. Czynił to w każdym razie z umiarkowaniem, które się wkrótce dało zauważyć w całem jego usposobieniu.

* * *

Z Hiszpanją było więcej drażliwych komplikacyj, niż z Niemcami. Tu miał król pomścić nietylko krzywdę narodową, lecz cały szereg zniewag i upokorzeń osobistych. Słowem, dość było powodów, aby szukać odwetu u sąsiadów z Południa.

Długa i odwieczna była lista krzywd i uraz, jakie król odczuwał wobec Hiszpanji. Więcej, niż od stu lat Hiszpanie zachowywali się wobec Francji w wysoce drażniący i napastliwy sposób. Najpierw więzienie Franciszka I, potem bezczelne zachowanie się Karola V. Filip II i jego następcy usiłowali dokonać rozbioru Francji, podsycano wszędzie wojnę domową, stworzono Ligę, która zamierzała osadzić króla katolickiego na tronie francuskim itd... We wszystkich zamieszkach znać było rękę hiszpańską. W czasie Frondy baron de Watteville, pochodzący z Franche-Comté

podobnie jak Lisola, nawiązał stosunki i rokowania z frondystami z Bordeaux. Gabinet madrycki próbował potem raz jeszcze zniszczyć jedność Francji drogą ruchawki, wywołanej na południu kraju. Parlament paryski i książęta próbowali również rzucić się w objęcia Hiszpanji, a nie był to wcale pierwszy przejaw ich zdrady. Pomimo zwycięstw odniesionych i pomimo traktatu pirenejskiego Francja była stale okrążona przez swą sąsiadkę, aljantkę i wasala Niemiec. Posiadając zaś Sycylję i królestwo Neapolu, mogła Hiszpanja zawładnąć, kiedy się jej podobało, zachodniem wybrzeżem morza Śródziemnego. Posiadając Medjolan, miała w ręku Italję północną. Przez Franche-Comté, Luxemburg lub Niderlandy przedostawała się do Francji. W ten sposób czynili Hiszpanie bez liku powikłań Francuzom, uprawiali szpiegostwo, mieszali się do ich spraw państwowych. Ich dyplomaci, wicekrólowie, czy namiestnicy podróżowali sobie swobodnie wszerz i wzdłuż Francji, która musiała im dawać paszporty, a często i eskortę honorową. Wedle wymagań bałamutnego układu musiano podejmować ludzi niezwykle drażliwych na punkcie etykiety i prawa pierwszeństwa. A nadomiar ci goście nieproszeni niezawsze okazywali się ludźmi dobrze wychowanymi.

Warto odczytać w pamiętnikach Grande Demoiselle, panny de Montpensier, opis przyjęcia Don Juana austrjackiego przez królową-matkę, aby poznać nieznośną butę Kastylczyka: „Wedle zwyczaju hiszpańskiego, podała mu królowa rękę i mówiła wyłącznie po hiszpańsku, nazywając go (tego bękarta) „ukochanym siostrzeńcem“. Porozmawiawszy z nim trochę, zwróciła się królowa w stronę Monsieur i moją, którzyśmy stali ztyłu, i rzekła do Don Juana: „A to mój syn!“ Hiszpan poruszył zlekka nogą, ale tak, że tego nie można było nazwać ukłonem. Zauważywszy tę zarozumiałość bezgraniczną, oburzyliśmy się do żywego, gdyż nasze ukłony były pełne uszanowania. Nazajutrz, gdy Hiszpan pragnął zobaczyć jarmark, Monsieur dał mu swą straż przyboczną do dyspozycji. Znalazłszy się w kramie, w którym znajdował się Monsieur i Mademoiselle, bękart przeszedł obok nich obojętnie, bez przywitania.“ Naiwna

i bezmyślna córka Gastona d'Orléans nie może się tu powstrzymać od uwagi: „Dziwiło nas takie zachowanie. Bo mógł wszakże złożyć na ręce Monsieur chociażby podziękowanie za to, że użyczył mu swej straży przybocznej. I wobec mnie mógł również okazać nieco grzeczności."

Z podobną pychą bez granic nie mógł się pogodzić król, ani żaden Francuz wogóle. Miał jej dość i nie mógł znosić, gdy matka, Hiszpanka całą duszą, nie ustawała w pochwałach dla wszystkiego, co hiszpańskie. I miała ich zawsze pełne usta. Pamiętna jest awantura, która wybuchła z tego powodu pomiędzy królem a matką, w czasie podróży dworu do Lionu w r. 1658. Mademoiselle, znajdując się wówczas w karecie Ich Królewskich Mości, odmalowała scenę na gorąco w sposób niezwykle żywy i sugestywny: Młody monarcha pragnął koniecznie bić się z wujem i zakończyć wojnę walką wręcz na ubitej ziemi — krzyczał więc na cały głos, że członkowie domu austrjackiego są tchórzami. Największym atoli „dysgustem" — ulubione wyrażenie współczesne — napełnili go Hiszpanie w czasie zaślubin. Wówczas to wszyscy obecni Francuzi, nietylko sam król, ucierpieli wiele od tej obmierzłej pychy. Grandowie hiszpańscy, pusząc się ponad szlachtę całego świata, nie wiedzieli już co wymyśleć, aby wznieść przegrodę pomiędzy nimi a resztą świata. W czasie zjazdu na Wyspie Bażantów utrzymywał don Luis de Haro, że ma pierwszeństwo przed Mazarinim, jakkolwiek księciem kościoła. „Na swą obronę — opowiada Brienne — przytoczył swą godność kardynalską i zwyczaj obowiązujący. Don Luis de Haro trwał przy swojem, twierdząc, że nie przyjechał na konferencję z kardynałem, lecz z ministrem króla francuskiego. Mazarini, któremu bynajmniej nie zależało ani na obronie swej godności ani swego pana, ustąpił nieco obojętnie, chociaż mógł śmiało zaprzeczyć i nie uznać czegoś podobnego." Takie to rozmaite szykany wystawiały bez przerwy cierpliwość Francji na próbę.

Z Ludwikiem XIV zaczęli od tego, że dali mu dobitnie do poznania, jak wielkim dlań zaszczytem będzie ślub z infantką. Udawali, że się wahają, czy dać mu ją za żonę. Nakoniec po ostatecznem ustaleniu projektu małżeństwa w Madrycie, zaczęto wynajdywać tysiące odwlekających

pozorów. W ten sposób Hiszpanja brała na kawał Francuzów.

Od września 1659 bawił Ludwik w Bordeaux w celu zaślubienia infantki, ale że intercyza nie była gotowa, więc musiał czekać. Tysiąc przeszkód, a jedną chytrzejszą od drugiej, wynajdywał Don Luis de Haro, aby zawarcie intercyzy odwlekać z dnia na dzień. Potem poproszono króla, aby wyjechał w podróż aż do chwili ukończenia rokowań, zostawiając go przytem pod groźbą zupełnego zerwania. W czasie, gdy jego minister walczył z ową kastylijską chytrością, Ludwik musiał przez cały rok prawie siedzieć na południu w oczekiwaniu łaski Jego Katolickiej Mości. Jeździł z Bordeaux do Tuluzy, z Tuluzy do Avignon, do Aix, do Tulonu. Nareszcie zgodzili się dyplomaci. Na czerwiec następnego roku naznaczono dzień zaślubin.

Ale nie koniec na tem. Od maja czekały oba dwory — hiszpański w Saint-Sébastian, francuski w Saint-Jean-de-Luz. Tarć przybywało coraz więcej. Francuzi stosownie do okoliczności, starali się wystąpić z całą okazałością: wstążki, koronki, klejnoty, złote galony, pióropusze — Hiszpanie natomiast wysadzili się na jak największą skromność. Od stóp do głów ubrani czarno, zdawali się być w żałobie, jak gdyby małżeństwo infantki równało się nieszczęściu narodowemu: Francuzi odnosili bądź co bądź takie wrażenie i czuli się do najwyższego stopnia oburzeni. Hiszpanie natomiast kpili sobie na potęgę z parwenjuszowskiego zbytku Francuzów. Don Luis de Haro, widząc kosztowne przybiory szlachty towarzyszącej Mazariniemu, nie mógł się powstrzymać, aby mu nie powiedzieć: „Ależ ci ludzie się rujnują!“ — „Chyba kupców swoich raczej“ — zauważył kwaśno kardynał. Nadomiar zarozumiali hidalgowie hiszpańscy nie pomyśleli wcale o przyjaznem odnoszeniu się do książąt i parów strony przeciwnej. Na uroczystość zaślubin *per procura*, które, nawiasem mówiąc, odbyły się w Fontarabji, a nie w Saint-Sébastian, jak chcą niektórzy historycy — nie zaproszono nikogo z Francuzów do udziału w ceremonji. Mademoiselle mogła się zjawić tylko *incognito*. Czy i innym osobistościom dozwolono również obecności pod podobnym warunkiem? Urosło to w każdym razie do rozmiarów sprawy

państwowej, nad którą Rada ministrów zastanawiała się przez trzy, czy cztery godziny w gabinecie kardynała. Monsieur, ciekawy niczem kobieta, pałał żądzą towarzyszenia swej kuzynce w drodze do Fontarabji. Odmówiono mu tego z racji bardzo formalnej, gdyż nikt z członków dworu hiszpańskiego nie raczył złożyć wizyty dworowi francuskiemu.

W kościele w Fontarabji nie zarezerwowano wcale miejsc dla Francuzów — nawet dla biskupa z Fréjus, Ondedei, który miał odczytać akt prokuracji. Więcej jeszcze: nie uznano za potrzebne zawiadomić go o godzinie, w której odbędzie się msza. Dopiero ks. de Lenet, brat tego Lenet'a, który był posłem Kondeusza w Hiszpanji, musiał szukać biskupa w jego mieszkaniu. Biskup wszedł do kościoła bez odźwiernego i bez mistrza ceremonji, przeszkadzając jeno obecnym. Krótko mówiąc, przy każdej sposobności starali się Hiszpanie traktować Francuzów, jak ubogich krewnych.

Nie więcej względów znaleźli również w ich oczach Ludwik XIV i królowa-matka. Anna Austrjaczka była zapewne bardzo rada, że po tylu latach rozłąki może znowu obaczyć swego brata. Z radosnem biciem serca zwraca się tedy do Filipa IV, który jednakowoż z dumą a chłodną miną mierzy czułość swej siostry. Zdawało się, że nikogo nie widzi wogóle. „Król hiszpański — słowa świadka naocznego — schylił głowę do włosów królowej, lecz nie ucałował jej wcale, ani nic podobnego nie uczynił... Przyczyną tego nie była oziębłość, czy też brak życzliwości. Przeciwnie, oboje mieli łzy w oczach z uciechy, że się widzą znowu. Jedynie surowość obyczaju hiszpańskiego była tego powodem.“ Wyjaśnienie podobne nie mogło, rzecz prosta, zadowolić Francuzów, uczucia zaś publiczności obserwowała bystro pani de Motteville, która powiada, że „zimne i pogardliwe zachowanie się króla uczyniło bardzo złe wrażenie.“ Inny szczegół, który Francuzi uznali za obrazę: oto w sali obrad naznaczono na podłodze linję graniczną, Filip IV chciał przez to podkreślić wyraźnie, że nie zamierza opuścić swego królestwa i nie uczyni ani kroku naprzeciw królowi Francji.

Wymiana podarunków dała również sposobność do podobnych zadrażnień. Ludwik XIV wykosztował się bardzo.

Ofiarował on narzeczonej cudowny zbiór przyborów tualetowych, opisanych z przyjemnością przez Mademoiselle: „Było to puzderko dość duże, złotooprawne, w którem znalazłeś wszystkie kosztowności ze złota i diamentów, jakie sobie wyobrazić można. Zegarki, officja duchowne, rękawiczki, lusterka, pudełeczka z plasterkami piękności, pastylki, różnorodne małe flakony, chowadełka na nożyczki, scyzoryki, wykałacze, dalej malutkie minjatury do zawieszenia nad łóżkiem, krucyfiksy, różańce, pierścienie, naramienniki, agrafy, szydełka i haczyki z różnych drogich kamieni, niektóre wielkiej wartości; w oddzielnej mniejszej kasetce znajdowały się perły, brylantowe nausznice i schowek na klejnoty koronne. Słowem, można być pewnym, że nigdy nie widziano podarunku tak wspaniale cudownego.“ Zdaniem ks. de Montreuil klejnoty przedstawiały wartość 350 000 liwrów. Książę de Créquy przeznaczony został do ich wręczenia. Lecz infantka nie otworzyła nawet kasety, oddała ją zaraz damie honorowej, a oba klucze wzięła z sobą i schowała do kieszeni. Większy brak taktu trudno sobie chyba pomyśleć. Królowa-matka ze swej strony ofiarowała bratu, Filipowi IV „zegar dzwoniący, ozdobiony brylantami.“ Obdarowany wzamian przesłał jej potem kilka par hiszpańskich rękawiczek. Królowa sama uważała, że to prezent zbyt skąpy.

Do tych przeróżnych objawów małostkowego sknerstwa dołączyła się nadto cała litanja złośliwości i różnych podstępnie złośliwych ukąszeń. Zaczem łatwo pojąć, że Ludwik XIV nietylko nie żywił wcale uczuć serdecznych dla swego teścia i dla Hiszpanji, lecz starał się skończyć jak najrychlej z narodem tak aroganckim i nędznym. A obrazę odczuwali z nim wszyscy poddani pospołu. Gdyby tylko o obrażoną miłość własną chodziło między dwoma narodami, okazałby król tyle rozsądku i zdołał się pohamować. Tymczasem w grę wchodziła sprawa istnienia Francji wogóle. Lecz nad tem zwykło się przechodzić do porządku, ilekroć mowa o wojnach Ludwika XIV.

W chwili, gdy postanowiono wojnę o Flandrję, Hiszpanja wchodziła coraz bardziej i bardziej w zależność od polityki Niemiec. Regentka była Austrjaczką, jej pierwszy minister

i faworyt jezuita Nithard, również Austrjak, znajdował się zupełnie w ręku cesarza. Następca tronu, skrofuliczny degenerat Karol II miał wówczas lat pięć. Uważano, że czeka go bliska śmierć. Mógł umrzeć lada dzień, zaczem zadawano sobie pytanie bardzo trudne: kto odziedziczy po nim monarchję, w której słońce nie zachodzi? Jeżeli królowa Francji nie upomni się o swe prawa, jako córka Króla Katolickiego — i to córka z pierwszego małżeństwa — wszystko przejdzie na cesarza, który był również synem i mężem infantki hiszpańskiej. Będzie on wtedy posiadał Niderlandy, Franche-Comté, Italję północną, Sycylję, Indje zachodnie, a więc połowę kontynentu?... Takiego wzmożenia potęgi germańskiej Francja ścierpieć nie mogła. Należało w sposób przyjazny rozdzielić dziedzictwo między pretendentów. To też w istocie powstała wkrótce wśród nich taka myśl podziału.

Do przewidzenia było atoli, że albo się nie zgodzą, albo że któryś z obdzielonych nie będzie zadowolony, a wówczas ta kolizja interesów wywołać może szereg wojen, i to długich wojen. W spodziewaniu rychłego konfliktu musiał król Francji pomyśleć o słabszych punktach swych granic i przedsięwziąć środki, zapobiegające nieuniknionej wojnie. Potem łatwiej będzie spróbować drogi układów. Od strony Flandrji granica Francji była najmniej zabezpieczoną. Wedle prawa miejscowego mogła Marja Teresa Austrjaczka, żona Ludwika XIV, podnieść swe pretensje co do „księstwa Brabancji z przyległościami, państewek Malines, Anvers, Gweldrji-Wyższej, Namuru, Limburga, miast zjednoczonych z tej strony Mozy, Hainaut, Artois, Cambrai, hrabstwa Burgundji, księstwa Luksemburg i do znacznej części hrabstwa Flandrji". Wobec tego, że posag przyznany jej pod warunkiem, że zrezygnuje z dóbr po ojcu, nie został wypłacony, tedy żadna przeszkoda prawna nie broniła jej małżonkowi w rewindykacjach.

Tak tedy zdecydowano się na wojnę o Flandrję. Daleki od chęci wystąpienia w roli zaborcy czy brutalnego zdobywcy, który depce nogami wszelkie prawo, starał się Ludwik najpierw o uznanie swych praw oczywistych. Nie chcąc wypowiadać wojny Hiszpanji, ograniczył się, jak sam powiada, do objęcia w posiadanie swej własności. Stąpał

w rzeczywistości śladami swych poprzedników: chciał przez stworzenie trudnych do ataku granic, utwierdzić bezpieczeństwo Francji.

* * *

Z początku ambicje Ludwika ograniczyły się jakoby do zamiaru odzyskania kilku miast i obszarów, stanowiących część dziedzictwa jego żony. W przededniu atoli sukcesji hiszpańskiej, która wedle zdania ogólnego miała się wkrótce rozstrzygnąć, ogromne nadzieje rozogniły Francuzów i ich monarchę. Szybko, coprawda, leczył się z mrzonek imperjalistycznych, gdyż rozwój wydarzeń nie szczędził mu bezwzględnych i krwawych lekcyj, była jednakowoż chwila, — chwila ślepiącej ułudy młodzieńczej — kiedy mógł wierzyć, że zostanie spadkobiercą Karola V i Karola Wielkiego. Monarchja powszechna nie byłażby tedy utopją bez znaczenia? Każdej chwili mogło jej berło znaleźć się w jego ręku. A wówczas któż zdoła mu się oprzeć? I czegoż się nie dokona przy pomocy złota amerykańskiego!... Urządzona w tym czasie uroczystość o wybitnie narodowym charakterze dawała doskonały wyraz tej entuzjastycznej wierze w wielkie przeznaczenie Francji. Był to pamiętny „Carrousel“ z roku 1662, do którego asumpt dały urodziny delfina. Ludwik XIV opisuje uroczystość z ogromną dokładnością w swych „Pamiętnikach“, w czem dowód, jak wielką wagę przykładał do manifestacji. Zapewne, uprzedzonym dziejopisom łatwo nadać temu wydarzeniu rozmiary humorystyczne — i nie dostrzegać w niem niczego więcej, jak np. tylko kawał, zrobiony ministrowi Colbert'owi przez ministra Louvois, aby go wprawić w kłopot szukania pieniędzy, potrzebnych na tak rozrzutną eskapadę. Tymczasem stał się ten karuzel uroczystem zatwierdzeniem największej ambicji politycznej, jaka kiedykolwiek rozpierała duszę Francji. Z całego obrazu tych niepojętych wspaniałości, możemy uwzględnić chyba tylko kilka znaczących szczegółów. Najbardziej zastanawiało już z miejsca, że król ukazał się w stroju imperatora rzymskiego, w otoczeniu liktorów, których rumaki miały na czaprakach wyhaftowane godło orła latyńskiego. W owej chwili wyglądał zaiste



MARLY, LETNIA REZYDENCJA *według sztychu Jean Rigaud'a.*

jak Napoleon. W poszumie i rozbłysku drogich kamieni i kosztownych szat pojawił się w obliczu swoich ludów niby żywa monstrancja monarchji.

„Król — tak czytamy w opisie uroczystości — ubrany był po rzymsku — w kaftanie ze srebrnego brokatu, złotem bitego i usianego brylantami wpośród haftów. Zewnętrzne końce kołnierza, ozdobionego podobnie jak kaftan z dodatkiem dwudziestu czterech róż diamentowych, połączone były zapomocą agraf z diamentów, naramienniki z tegoż materjału i haftu co kaftan. Trzy wstęgi, niezwykle szerokie, pokryte stu dwudziestoma różami diamentowemi, tworzyły przepas tego wspaniałego pancerza... Na głowie miał kask srebrny ze złotem listowiem, przyozdobiony dwoma wielkiemi diamentami, dwunastoma różami po obu stronach i sznur z dwunastu innych diamentów. Na szczycie kasku błyszczał grzebień z piór czerwonych, jak ogień. Buciki miał z srebrnego brokatu, złoto-przetykane. Szabla do tego stopnia przeładowana diamentami, że ledwie dostrzec można było złotą jej oprawę. Siedział król na koniu złoto-izabellowatym z ognistym pióropuszem, który pałał również blaskiem diamentowym“...

Pięć części świata, każda pod postacią jakiejś wybitnej osobistości dworskiej, tworzyły orszak królewski: obok imperatora rzymskiego, cesarze, perski, turecki, indyjski i amerykański. Jakgdyby chciano wokół kolebki delfina zgromadzić wszystkie części świata, „wystawić wszystkie narody, hołd mu niejako niosące, jako temu, który pewnego dnia może niemi zawładnie.“ Snać uważano go jako dziedzica Indyj, który to spadek mógł objąć po matce. Inny szczegół znamienny nakoniec: na froncie trybuny środkowej, która zakrywała fasadę Tuilerjów, można było czytać na czarnej marmurowej tablicy taki napis złotemi literami: *Victricibus armis Lodoici, Francorum Imperatoris.* Nazwany był tedy Ludwik XIV Cesarzem Franków. Postanowiono pognębić Orła i Lwa. Na ruinach Austrji i na gruzach Hiszpanji myślano odbudować cesarstwo Karola Wielkiego.

Wszelako ten majak niebezpieczny nie gościł zbyt długo w zdrowej głowie Ludwika XIV.

ROZDZIAŁ DRUGI

„CLAUSA GERMANIS GALLIA“

Najpierw musiała się odbyć cała kampanja zapomocą memorjałów, dowodowych i uzasadnień prawniczych, paszkwilów ulotnych i karykatur, potem król wobec wszystkich dworów Europy nie szczędził deklaracyj pokojowych, wkońcu dopiero w maju 1667 wypowiedziano wojnę Hiszpanji. Ludwik zastrzegał się przeciw temu, jakoby napadał sąsiednią monarchję. Bynajmniej, on tylko zajmuje siłą zbrojną obszary, prawnie mu się należące. Tak sam mówił. Wojna miała trwać lat prawie czterdzieści. Krótkie przerwy, od czasu do czasu, i rokowania były raczej chwilowym rozejmem, aby strony walczące mogły nabrać nowego tchu. Jeżeli doliczyć do tego wojnę trzydziestoletnią, zakończoną niedawno pokojem pirenejskim, będzie to razem stuletnia wojna, z której wyjść miała nowoczesna, zjednoczona Francja. Owocem tej nawskroś narodowej kampanji było wielkie dzieło, zapewniające Francji pozycję mocarstwową na świecie. Wojny Ludwika XIV stanowią drugi okres tego wielkiego rozdziału historji Francji, która stała wówczas u szczytu napięcia energji narodowej. Wszystkie swoje siły złożył młody monarcha na ołtarzu tego wysiłku gigantycznego, całe serce i zdolności wszystkie. Bo nikt z jego otoczenia nie zapalił się tak do tej roboty. Naród, porywany przezeń nieraz wbrew swej woli — nie zapominajmy, że Francja stała się tem czem jest, wbrew woli Francuzów — zdobył się na ofiarę wielką, największą zapewne przed erą napoleońską i wojną roku 1914. Pomimo wszystko mniejszy był ten wysiłek w porównaniu z osobistą ofiarą króla; dzięki jego zażartej i niezłomnej woli mogła Francja

odnieść zwycięstwo nad koalicjami i stać się państwem nowożytnem, jakiem do dziś pozostaje.

Wolter, który był wielkim wielbicielem Ludwika XIV, nauczył nas widzieć w nim organizatora zdolności francuskich, budowniczego Wersalu i Marly, inicjatora zabaw wytwornych. Z Ludwikiem-wodzem załatwiamy się krótko, wymyślając mu nawet tu i owdzie. Tymczasem właśnie wojny były istotą, żeby nie powiedzieć, duszą jego rządów. A jednak, czytając przeważną większość dzieł historycznych, od Michelet'a począwszy, przecieramy oczy. Nietylko nie doceniają niczego ci pisarze, ale nawet wyrządzają szkodę Francji opinjami swemi, pełnemi złej woli i nienawiści. Szczególnie Michelet. Do rozpaczy doprowadzić może to jego ślepe i pełne goryczy uprzedzenie. Pytamy wprost: czy to jest nierozum, czy obłęd genjalnego pisarza? Wkońcu, aby nie stracić zupełnie szacunku dla Michelet'a, odrzucamy książkę z żalem, że szał anti-monarchiczny doprowadził tego wielkiego Francuza aż do zupełnego rozdźwięku z interesami ojczyzny.

Inni znowuż, nie zaprzeczając użytków tej wojny, zarzucają, że prowadził ją nazbyt niedbale i nie wykorzystał wszystkiego co się dało. „Co? — powiadają — tyle czasu, tylu ofiar trzeba było, aby zdobyć Holandję? Czy aż tyle wysiłków warte były Niderlandy, po które wystarczyło wyciągnąć rękę?“ Zapominają, że Ludwik XIV we wszystkich swych wojnach stawać musiał sam przeciw całej Europie, że poza Holandją stała Anglja, Hiszpanja, Niemcy i Stany Północne. Przez lat czterdzieści sprzymierzała się Europa, aby zwalczyć wielkość Francji i pognębić Lilję, *conculcare Lilia*, jak się wyrażali pamfleciści współcześni. Wtedy można pojąć dumę starych Francuzów na myśl, że byli dziećmi narodu, zdolnego do odporu, w takich okolicznościach. Hasło królewskie *Seul contre tous* (sam jeden przeciw wszystkim) widniało nietylko na monetach francuskich, lecz na drogowskazach gościńców, na ścianach najodleglejszych domków, nawet w zdobytych tak niedawno miastach Lotaryngji.

Gorszą jeszcze może od osamotnienia była zła wola nieprzyjaciół, stawiających wszystko pod znakiem pytania. Wzbraniali się od dochowywania traktatów, a każdy pokój

był skrycie dalszym ciągiem wojny. Przez cały czas rządów Ludwika XIV działo się tak samo, jak dzisiaj nad Renem. Musiano trzymać wojska w nieustannem pogotowiu, aby zmuszać zwyciężonych do wykonania zobowiązań, lub nie dać się zaskoczyć przygotowanym w tajemnicy atakiem. A zważmy nadomiar, jak niedostatecznemi środkami król rozporządzał. Mimo jego całego genjuszu i talentów organizacyjnych u jego ministrów, mimo tak przedziwnie ekonomicznego rozdziału sił bojowych, nie dysponował król ani dostateczną ilością wojsk, ani potrzebną gotówką, aby stawić czoło koalicji całej Europy. Zarówno finanse monarchji jak i system rekrutacji znajdowały się w stanie opłakanym. Ludwik XIV nie uważał jednak za potrzebne poprawiać się z tych zaniedbań swoich i swych poprzedników. I oto błąd zarówno jego, jak całej Francji. Francji przedewszystkiem, gdyż płacić nie chciał nikt. Gdy chodziło o karuzele i frontony łuków triumfalnych, Francuzi chcieli być pierwszym narodem świata, ale żeby to nie kosztowało ani jednego człowieka i ani jednego franka. Wojny ciągnęły się bez końca, gdyż brakło głównego ich nerwu, pieniędzy. Stanowiły one, na owe czasy, wydatek, bezwątpienia, ogromny. Czas, jakiego wymagały wojny, wyczerpująca długość ich trwania, ogrom pożeranych przez nie zasobów wszelakiego rodzaju — wszystko wskazuje, jak niesłychany był ciężar przedsięwzięcia.

Jeżeli pomimo takiego wodza i tak wysokiej miary jego współpracowników, rezultat nie spełnił wszystkich oczekiwań francuskich, to dlatego, że osiągnięcie go przechodziło możność ludzką wogóle.

* * *

Wyjąwszy na początku rządów krótki okres młodzieńczego oszołomienia, kiedy mu schlebiał naród cały, zorjentował się Ludwik XIV bardzo rychło w trudnościach, czekających go w tem nieuniknionem przedsięwzięciu. Od chwili, gdy zaczął poważnie zajmować się polityką zagraniczną, możnaby w dwóch słowach wyrazić jego postępowanie: roztropność i umiarkowanie. Coś zupełnie przeciwnego od późniejszych metod rewolucyjnych i napoleońskich.

Zdumiewać się naprawdę i dziwić! Młody ten człowiek ma zaledwo dwadzieścia dziewięć lat! Naród cały podżega go do wojny zdobywczej, która powiększy obszar państwa. Szlachta nie posiada się z niecierpliwości, chce walczyć. Wojsk ma bez liku, na doskonałej stopie bojowej, pieniędzy dość i zapasów i amunicji. A więc wszystkie dane potemu, aby się rozprawić ostatecznie z Hiszpanami. Od stu lat przeszło należą wszak do wrogów Francji, nie skąpili mu upokorzeń, dyplomacja ich dyszy złą wolą, nie chcą się uznać za pokonanych, ani respektować traktatów, a w Europie szczują przeciw Francji bezustanku. Król wie o tem wszystkiem. Widzi nawylot miernotę cesarza i jego roszczeń, zna sprzedajność książąt niemieckich i wszystkich bez mała władców północnych. Powinien wreszcie z tysiąca naglących powodów rzucić swą potęgę na szalę, a gdyby jej nawet nadużył, będzie się czem usprawiedliwiać. A mimo to powściąga uczucie nienawiści, miarkuje swe ambicje. Obwieszcza głośno, że nie chce wojny wypowiadać nikomu, osłania się tarczą swych praw. Gdy, po przedłożeniu swych żądań w Madrycie, zdecydował się wtargnąć do Flandrji, pragnie, aby ta okupacja miała charakter rycerski. Wszak bije się o to, aby u stóp swej żony złożyć jej spadek prawowity. Gdy się otworzą bramy miast Lille i Douai, wjedzie w nie natychmiast Arcy-chrześcijańska Królowa, jako dobra władczyni, która powraca do swych wiernych poddanych i pozwala im zapomnieć o obecności wojsk okupacyjnych jej groźnego małżonka.

Udowodnić słuszność praw królowej do sukcesji hiszpańskiej — oto do czego zdążają wszystkie posunięcia. Kto o tem zapomina, ten chyba nie rozumie wcale polityki i wojen Ludwika XIV. Już dawno temu dowodził Mignet, że sprawa sukcesji to oś główna jego rządów, tylko dzisiejsi historycy zdają się nie zdawać sobie sprawy z jej narodowej doniosłości. Uważają raczej, że był to przedmiot pustoty i czysto osobistych ambicyj Ludwika XIV. A tymczasem to dla Francji sprawa życia i śmierci. Dzięki sukcesji zyskałyby Niemcy zdobycze olbrzymie: obok krajów hiszpańskich i Nowego Świata, wicekrólestwa i państewka włoskie, dalej Burgundję i Niderlandy. A wówczas Francja zginęłaby,

wciśnięta pomiędzy olbrzymią, wszechmożną na kontynencie Germanję i Anglję, władczynię mórz. Za każdą cenę musiał tedy zapobiec tej katastrofie człowiek, w którego ręku z mocy dziedzictwa spoczywały losy Francji.

W trudnych i długotrwałych działaniach wojennych, które wypadło prowadzić zarówno taktownie jak dobitnie i uparcie, umiał znaleźć znakomite ponad wszelką pochwałę wyjście z każdej sytuacji. Oddawna miał, jak sam powiada „całą rzecz w głowie". Więc najpierw ustalił zasadę, że jest pierwszym i uprawnionym dziedzicem. Uznał to nawet w swym testamencie sam król hiszpański, chorowity Karol II, chociaż zaciekły wróg Francji. Wszelako Hiszpanie wraz z cesarzem zaprzeczali tej prawowitości pod pozorem, że matka i żona Ludwika XIV jako infantki zrezygnowały z tych praw w intercyzach przedślubnych. Na to odpowiedział król, że zrzeczenie się owo ważne było jedynie w razie wypłacenia posagu, którego nigdy nie wypłacono. W głębi duszy myślał wraz z całym narodem, że najważniejszym powodem wojny jest walka o byt Francji, ale nie mógł tego głośno powiedzieć. I tego również dodać nie mógł, że pod pretekstem szacunku dla formuły prawniczej, doprowadza się do ruiny cały naród — jego naród!

Rozważywszy wszystko, doszedł do przekonania, że Europa zatrwoży się bardziej na wieść, że sukcesja hiszpańska przypada Francji potężnej i zjednoczonej, niż gdyby przypadła Niemcom, które są słabe i anarchiczne. Z umiarkowaniem tedy i roztropnie działać należy, jeśli Europa ma uznać prawa Królowej Arcy-chrześcijańskiej. Jeśli konieczne, użyć przemocy, w innych razach szukać ratunku w fortelach i łapówkach. Tak tylko wytłumaczyć można postępowanie króla. Ilekroć drogą układów uzyska, czego pragnął, zatrzymuje się; wie dobrze, ile kosztuje wojna, chociażby najmniejsza. A zresztą taka zgoda jest uznaniem *implicite* jego praw. Jemu zaś tylko o to chodzi. Dlatego nie należy opinji europejskiej źle usposabiać dla siebie. Lecz znowuż trzeba, aby sąsiedzi byli przeświadczeni o jego sile. Niemniej jednakże nie używać przemocy. Przewiduje niemal, że wkońcu przyjdzie mu stanąć samemu przeciw wszystkim, że wojna przeciągnie się długo i wówczas po-

mimo całej potęgi i dobrej organizacji i wyższości narodu i genjuszu wodza, wypadnie może ulec prawem słabszego. Zaczem wojsk należy oszczędzać.

Skorośmy już to wszystko dobrze zrozumieli, mniej nas zadziwi wieść, że król nagle, wpośrodku wojny zdobywczej we Flandrji, po wzięciu Courtrai, cofa się do Compiègne, a zdobywszy Lille, nagle powraca do Saint-Germain. Niektórzy historycy tłumaczą ten pośpiech tem, że pragnął jak najrychlej znaleźć się przy pani Montespan. Głupstwo wierutne! Powody takiego postępowania były liczne i wielkiej wagi. Ten pierwszy, że po akcji zbrojnej rozpoczęła się akcja dyplomacji. Wypadało najpierw rozwiać wątpliwości Ojca Świętego, wybranego przez Hiszpanję na arbitra, następnie sparaliżować robotę Holendrów, przerażonych gwałtownemi ruchami wojsk francuskich we Flandrji. „Holendrzy — mówił król, — nie wiedzieli zapewne, że znam sidła, jakie na mnie zastawili.“ A ponieważ je znał i wiedział o możliwości przymierza pomiędzy Holandją, Szwecją i Anglją, śpieszy zobowiązać ich sobie nowym układem, jakoże woli paktować, niż wyzyskiwać swe zwycięstwo. Dlatego opanowuje Franche-Comté w przewidywaniu, że w miarę układów trzeba będzie może co ustąpić, zręczność tedy nakazuje zagarnąć naprzód, ile się da.

Odpowiedź koalicji po zajęciu Franche-Comté nie kazała długo czekać na siebie. Wezwano Ludwika XIV, aby przyjął propozycję Hiszpanji. Tak więc już po pierwszych krokach w kierunku rewindykacji — nieodzownej, jak wiemy, dla ustalenia granic państwa — koalicja zwraca się przeciw niemu. Co uczyni król wobec tego? Silniejszy jest w tej chwili niezawodnie od swych zjednoczonych nieprzyjaciół. Wszelako ustąpi im i niby zgodzi się na pokój. Znaczna część opinji francuskiej weźmie mu za złe to ustępstwo, dziś jeszcze ocenione bardzo surowo. Posłuchajmy, co ma do powiedzenia na swe usprawiedliwienie. Niby bohater z tragedji Corneille'a naradza się z sobą samym. „Rozstrzygnięcie trudne było już chociażby dlatego, że z obu stron wytoczono wiele ważkich argumentów. Dla mnie największa trudność leżała w tem, że zdany byłem wyłącznie sam na siebie, nie posiadając nikogo, kogobym się

mógł poradzić z całem zaufaniem... Z jednej strony zwracano mi uwagę na liczbę i bitność moich wojsk, na słabość sił hiszpańskich, oraz obojętność, z jaką Niemcy odnosiły się do całej sprawy. Przedstawiano mi, że wszystkie przygotowania do następnej kampanji są już ukończone, rekruci wybrani lub pobór naznaczony, magazyny pełne i większa część wydatków poczyniona... Jakkolwiek wszystko to mogło było szczęśliwie podniecić wysokosiężną ambicję, to po drugiej stronie widziałem z przykrością wiele argumentów silniejszych i bardziej przekonywujących. Zwolennicy pokoju nie mogli zaprzeczyć, że mam przewagę nad Hiszpanją, twierdzili jednak, że obrona wymaga więcej sił, niż atak. Gdyż w miarę posuwania się naprzód, osłabiać się będzie siła zbrojna, wobec konieczności obsadzenia nowo zdobytych obszarów wielką załogą. Natomiast wróg z dniem każdym będzie mnożył swe siły, tak, że wkońcu mogę pomimo wszystkich odniesionych sukcesów zostać zmuszonym w razie pokoju do zwrotu znacznej części zdobytego obszaru, albo też samemu wieść będę musiał wojnę wieczystą z sąsiadami.

„Oprócz tych powodów, które mi każdy mógł przytoczyć, istniały jeszcze inne, zależne w zupełności od tajnych zamysłów, jakie miałem wówczas (w związku z sukcesją hiszpańską). Wobec wielkiego wzrostu, jakiemu mógł ulec mój majątek, wydawało mi się, że trzeba koniecznie w oczach nawet najuboższych sąsiadów zyskać mi opinję człowieka umiarkowanego i uczciwego. Uznałem tedy, że udowodnię najlepiej te zalety, jeśli posłuszny orędownictwu mych sprzymierzeńców, ustąpię z pola z bronią w ręku, kontentując się małem odszkodowaniem. Zaznaczam jeszcze, że odszkodowanie, chociażby najmniejsze, było dla mnie rzeczą ważną, ponieważ ten pokój dobrowolny niósł z sobą niejako rezygnację z wyrzeczeń, zapomocą których Hiszpanie sami chcieli wykluczyć królowę od udziału we wszystkich spadkach po tej dynastji...“

Tak więc osią pokoju w Akwizgranie, który zakończył tę pierwszą wojnę, była sprawa sukcesji hiszpańskiej — najważniejszy problem za rządów Ludwika XIV. Ogranicza się on teraz i hamuje, w oczekiwaniu lepszej przyszłości.

Tymczasowo opróżnia prowincję Franche-Comté, wszelako zyski jakie osiąga, nie są bynajmniej tak „umiarkowane“, gdyż północna granica państwa uległa umocnieniu, Francja zyskała część Flandrji i Hannonji, krajów, które, zdaniem samego króla, „zawsze należały do królów Francji, wchodząc w skład ich dóbr koronnych.“ Ponadto zajęte przez Francuzów i położone w kraju nieprzyjacielskim twierdze Tournai, Oudenarde i Charleroi były odskocznią i przynętą dla przyszłych zdobyczy.

Wogóle wojny ówczesne, jak i cała polityka zagraniczna były wówczas, co trzeba podkreślić, nierównie mniej skomplikowane od dzisiejszych. Można bez trudności wyliczyć uczestników i dokładnie oznaczyć pole zapasów. Jest to poprostu szachownica. Szachownica z królem, królową, giermkami, lauframi i wieżami. Bez wielkiego wysiłku śledzić możemy rozwój gry. Lecz i to trzeba zaznaczyć, że jak na sam początek Ludwik okazał się graczem wybornym.

* * *

Pokój w Akwizgranie nie rozstrzygnął niczego. Raczej przeciwnie, dał początek szeregowi nieuniknionych konfliktów. Człowiek, powołany z tytułu swego urzędu na obrońcę interesów francuskich, nie mógł na tem poprzestać. Rozważając rzecz na płaszczyźnie realnej, nie metafizycznej, widzimy, że Francja nie mogła zgodzić się na granicę z Niemcami, otwartą wskutek wyłomu Franche-Comté od chwili, gdy ta prowincja znów została hiszpańską. Alzacja zawojowana ledwie w części, Lotaryngja powrócona swemu księciu. Palatynat zawsze wrogo usposobiony. Od strony Hiszpanji również kiepska linja obronna: dziura w Oise i niezupełnie zdobyta Flandrja. Nie posiadała wówczas Francja ani Cambrai, ani Maubeuge, ani Valenciennes. Wrogowie niepokoją ją nietylko ciągłem przecinaniem dróg, lecz również usiłowaniem odbicia świeżych nabytków... Francuzi jednak są w owej chwili górą i lepiej przygotowani. W dobrze zrozumianym interesie narodowym muszą przeciwdziałać poczynaniom wroga, i prześcigać go w działaniu. Król świadom był tego dobrze. Kpią sobie chyba z Francji

i ze swych czytelników ci historycy, którzy w kampanji roku 1672 i późniejszych wojnach chcą widzieć wyłącznie tylko osobisty odwet króla na Holendrach, lub zwyczajne zadowolenie miłości własnej, czy wreszcie mroczny spisek, uknuty przez ministra Louvois, który pragnął okazać swą niezbędność. Wobec tego, że książę lotaryński Karol IV, wzbraniając się dotrzymywać zobowiązań, pozostawał w ciągłym kontakcie z Niemcami, Ludwik XIV widział się od roku 1669 zmuszonym do konieczności zajęcia Lotaryngji. Ponadto trójprzymierze między Holandją, Anglją i Szwecją, nietylko nie było jeszcze rozwiązane, lecz de Witt starał się jeszcze umocnić je wszelkiemi środkami i odsunąć Francję od Niderlandów. Król próbował zrazu przeciwdziałać temu drogą bardzo zręcznego zabiegu dyplomatycznego, który przeprowadził Lionne i też udało mu się istotnie odciągnąć Anglję. Następnie przypuszczał, że uda mu się wtargnąć do Holandji, która była główną przeszkodą w zamiarach flandryjskich. Natychmiast zwraca się przeciw niemu koalicja, której spodziewa się dać radę. Po sześcioletniej wojnie, po wybitnych sukcesach oręża francuskiego, który zdołał utrzymać się ku podziwowi nieprzyjaciół, musi znowu przerwać kampanję i wdaje się w układy pokojowe w Nimwedze. Tym razem korzyść była wielka na pociechę króla po stratach, jakie poniósł, i po rezygnacji z nadziei, które żywił. Posiedli bowiem Francuzi nareszcie prowincję Franche-Comté, Fryburg na prawym brzegu Renu, Lotaryngję wzięli w zastaw, a od strony Flandrji granicę obronną, mniej więcej taką, jaka istnieje do dziś.

* * *

Po pokoju w Nimwedze łudził się król przez jakąś chwilę, że jego robota skończona lub przynajmniej, że okres wojen zamknięty. Zaczem bierze się do umacniania nabytków, chce żyć w pokoju ze wszystkimi sąsiadami, z Hiszpanją w szczególności. Nazajutrz po zawarciu pokoju, prosi go król katolicki o rękę siostrzenicy. A więc ten upośledzony od natury władca ma widoki potomstwa. W ten sposób sprawa sukcesji hiszpańskiej na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu przestaje wchodzić w rachubę. A dzięki nowej

królowej hiszpańskiej zdobędzie wpływ francuski przewagę nad austrjackim na dworze w Madrycie. Chcąc dać namacalny dowód zamiarów pokojowych, rozpoczyna Ludwik demobilizację. Zmniejsza swe wojska prawie o połowę. Już na konferencji w Nimwedze okazał się wybitnie umiarkowanym w swych żądaniach, a też dał dowód najlepszej woli przez to, że ocenił wysoko swe zdobycze.

* * *

Od dłuższego czasu dręczyła go myśl, aby raczej dążyć do utrzymania zdobytych obszarów, niż do ich powiększenia. Chciał, jak sam powiada, uniknąć zarzutu czynionego często Francuzom, że nie umieją zbierać owoców ze swych zwycięstw. Spodziewał się, że danem mu będzie spokojne użytkowanie w krainach, tak drogo okupionych. Ale niedługo trwało złudzenie. Intrygi nieprzyjaciół Francji znów zaczęły głowę podnosić. W chwili, gdy dobito targu o małżeństwo siostrzenicy Ludwika z królem katolickim, Hiszpanie zaczęli więcej jeszcze dokuczać markizowi de Villars, który był posłem Ludwika na madryckim dworze. W Biskai i we Flandrji wybuchały dzień w dzień starcia pograniczne. Palono barki rybaków francuskich, chwytano szkuty kupieckie, aresztowano kurjerów. Gorzej jeszcze działo się: tuż po zawarciu pokoju z Francją rozpoczęła Hiszpanja paktować z Holandją i Anglją o przymierze, aby obejść chytrze zobowiązania traktatowe. Miała według nich Hiszpanja zapewnić Arcy-chrześcijańskiemu Królowi posiadanie miasta Dinant, albo w braku tegoż Charlemont, i to w przeciągu roku, licząc od dnia ratyfikacji traktatu.

Po upływie tego terminu zażądali Hiszpanie nowej odwłoki. „Nie mieli wszakże wcale zamiaru — powiada słusznie markiz de Villars — zyskać na czasie w ustąpieniu z Dinant, chcieli natomiast stworzyć przymierze zaczepno-odporne, które dochodziło wówczas do skutku pomiędzy nimi, Anglją i Holandją, w przeświadczeniu, że z taką pomocą będą mogli śmiało odmówić Francji odstąpienia Charlemont. Może się Francja nie odważy zadzierać z tak potężną ligą, która w ostatecznym razie może jeszcze połączyć się z Niemcami i znowu powołać całą Europę pod broń. A ry-

zykowaliby tylko bitwę na polach Flandrji i przeróżne obietnice, którychby potem nie dotrzymali.

Czemuż-to mówi się zawsze o złej woli Ludwika XIV, a nigdy nie mówi się o złej woli jego wrogów? To jest poprostu wstrętne, szczególnie ze strony Francuzów, których takie zapatrywania stawiają na jednym poziomie z cudzoziemcami. Od czasu bowiem ministerstwa brutalnego Olivarès'a, który zasłynął powiedzeniem *No hay gratitud entre reyes* (niema wdzięczności pomiędzy królami), dwulicowość dyplomacji hiszpańskiej oburzała całą Europę. W odniesieniu do Francji nielojalność ta należała, rzec można, do tradycji. Gdy przeciwnie Ludwik XIV rozwija w swych „Pamiętnikach" następującą zasadę: „Kto chce być wielkim i dobrym monarchą, musi przedewszystkiem zyskać opinję porządnego człowieka". A później dodaje: „Dotknę teraz, mój synu, może najdelikatniejszego punktu w postawie moralnej władcy. Daleki jestem od tego, aby cię uczyć niewierności... Trzeba tu wszelako odróżnić rozmaite rzeczy. Sytuacja dwóch monarchij, francuskiej i hiszpańskiej, jest taka już oddawna, że niesposób wywyższyć jedną bez poniżenia drugiej... Powstaje przeto niesłychana zawiść pomiędzy niemi, jest to, śmiem twierdzić, rodzaj wieczystej nieprzyjaźni, którą w traktatach usiłuje się osłonić, ale zupełnie nie przygłuszy się jej nigdy... I prawdę mówiąc, w tej jedynie myśli zawiera się wszystkie umowy. A jakiekolwiek by tam były klauzule o jedności i przyjaźni... każdy inaczej pojmuje ich treść ze swej strony: należy się na zewnątrz wstrzymać od kroków nieprzyjacielskich, natomiast liczyć się trzeba zawsze z potajemnem naruszaniem traktatu i wedle tego kierować swe postępowanie."

Po podpisaniu pokoju w Nimwedze miał Ludwik jeszcze więcej powodów nieufności wobec Hiszpanji. Właśnie w sprawie Dinant i Charlemont uchylili się od formalnych zobowiązań, starając się równocześnie przeforsować powstanie ligi przeciwfrancuskiej. „W takich warunkach — kończy król — uważałbym, że nie dopełniam obowiązków wobec mego państwa, gdybym sumienniej dotrzymywał zobowiązań traktatu, niżeli moi wrogowie."

* * *

Podobną nieufność żywił w stosunku do Niemiec. Cesarz Leopold zawarł pokój, przyparty do muru, gdyż na Węgrzech wybuchło powstanie, a Turcy zagrażali jego stolicy. Jasnem było, że gdy tylko pozbędzie się nacisku wrogów, uderzy znów na Francję, aby odebrać to, z czego musiał ustąpić. Podczas, gdy pełnomocnicy cesarscy podpisywali pokój w Nimwedze, armja cesarska na początku roku 1679 obsadziła Strasburg. Trudno było nie upatrywać w tym fakcie groźby na przyszłość. Wobec tego minister Louvois ułożył wraz z królem podwójny plan obrony granic francuskich. Marszałkowi Vauban powierzono organizację obrony twierdz i obszarów, znajdujących się w posiadaniu Francji, z drugiej zaś strony w Metzu, Brisach i Besançon urządzono „Izby łączności“, aby zespolić obszary, zajęte na mocy pokoju westfalskiego z należącemi do nich lennami. Vauban wywiązał się ze swego zadania znakomicie; udało mu się zmienić poprostu oblicze miast francuskich i nadać im wygląd wybitnie narodowy. Do dziś jeszcze dochowały się w części nieuszkodzone mury i forty jego twierdz. Szkoda tylko, że pozwala się na ich ruinę, należałoby najpiękniejsze z tych zabytków zachować z poszanowaniem, na świadectwo wielkości starej Francji. Zwiedzając cytadelę w Lille, lub na drugim końcu państwa, na granicy hiszpańskiej w Montlouis, możemy podziwiać, jak wspaniale umieli ówcześni inżynierowie i przedsiębiorcy przyczynić się swą pracą do wielkości Francji i króla. Niema tam zbytku, niema żadnych świecidełek, natomiast jest przestronność iście królewska, troska o sztukę i piękno wraz z nieustanną, skwapliwą myślą o praktycznym pożytku. Są to prawdziwe miasta w minjaturze, mające własne kaplice, sale teatralne, ratusze, szpitale itd. W Lille, na frontonie monumentalnej bramy zachodniej wyobrażone są liry i flety wśród kart rozwartych ksiąg, zdobyczne hełmy i pancerze. Brama główna, uświetniona herbem Francji, wśród puklerzy i rózeg rzymskich wygląda niby majestatyczny łuk triumfalny. Nie dawniej, jak pół wieku temu pisał Teofil Lavallée w znakomitej książeczce *Les Frontières de la France*, którą powinnyby posiadać bibljoteki wszystkich gimnazjów francuskich: „Obmyślane to wszystko, przewidziane i stworzone z ogromnym

artyzmem i drobiazgowem wykorzystaniem miejsca; bije stąd świadomy i praktyczny patrjotyzm. Praca bez rozgłosu i myśli o sławie, praca zwyczajna, pospolita, której szczegółów i planów prawie nie znali współcześni. Nazywało się to dzieło skromnie i poprostu: „uporządkowaniem miejscowości pogranicznych“. Istnieje wszelako do dziś dnia, ujawnia samo swą doniosłość, stanowiąc przez ciąg wieku całego ratunek dla Francji, a jest do dziś pamiątką wiecznej sławy trzech swoich twórców: Ludwika XIV, Vauban'a i Louvois.“

Drugi plan obrony granic zapomocą tz. *Chambres de réunion* przeprowadzono również, zpoczątku przynajmniej spokojnie i bez rozgłosu, niby zwyczajną robotę codzienną. Wrogowie Francji czynili wogóle dużo wrzawy z powodu tych usiłowań jednoczenia obszarów, nazywając to „napadem wojennym w czasie pokoju“. I tu znowuż niektórzy historycy, zapoznając zupełnie interes kraju, biorą stronę nieprzyjaciół i godzą ich z ich atakami na Ludwika XIV. Dochodzi do tego, — rzecz wprost haniebna i nie do wiary — że popierają propagandę niemiecką przeciw Francji! A nawet ci, którzy starają się sądzić bezstronnie, odnoszą się do tych spraw, jakgdyby chodziło o prowincje w Laponji, nie zaś poprostu o bezpieczeństwo, o istnienie Francji. W grze była wszakże obrona Burgundji, Szampanji, i stolicy państwa przed napaścią!

Zobaczmy, jak wyglądała sytuacja Francji w roku 1679, tuż po zawarciu pokoju w Nimwedze. Posiadła ona wprawdzie po raz drugi Franche-Comté, ale o granicy niezabezpieczonej od Niemiec, wskutek szczerby w Montbéliard. Francuzi posiadali Alzację, przyznaną im pokojem münsterskim przed trzydziestu laty, atoli dziesięć miast alzackich z Strasburgiem na czele ani myślały poddać się królowi Francji, chcąc wprost zależeć od cesarza, którego wojskom otwarły swe bramy naoścież. Sytuacja więc była nie do zniesienia, co, wobec milczenia oficjalnych historyków, tem silniej trzeba podkreślić. Ba, nawet po zawarciu pokoju w Münster musiał Ludwik XIV dosłownie zdobywać Alzację, odcinając ją zarówno od wojsk jak od wpływów i intryg niemieckich. W Lotaryngji natomiast, zawsze wiernej swemu księciu,

francuska okupacja wojskowa miała niewielkie znaczenie, szanse obrony były małe: jedynym punktem utwierdzonym był fort Longwy. Nareszcie na granicy flandryjskiej Maubeuge i Cambrai stanowiły niedostateczną osłonę wyłomu Oise'y. Do zupełnego bezpieczeństwa należało tu mieć jeszcze w ręku Charleroy, Dinant a nawet Namur. Słowem: nieprzyjaciel miał dostęp ze wszystkich stron. Tymczasem Francja mogła wejść w posiadanie obszarów koniecznych dla jej obrony bez wydobycia pałasza, wyłącznie na zasadzie praw feudalnych, zawartych i uznanych w poprzednich układach. Byłby jednak Ludwik XIV głupi doprawdy, gdyby nie zrobił użytku z tych uprawnień, bo wszakże przeciwnicy jego na podstawie analogicznych pretensyj chcieli się utwierdzić na stałe w nowych nabytkach francuskich. Pod pozorem takich samych praw zamierzał cesarz utrzymać się w Strasburgu i innych miastach alzackich. A cóż innego czynił król hiszpański, gdy na zasadzie swych lennych uprawnień, nazywał się, nawet po zawarciu pokoju w Nimwedze, księciem Burgundji? A jeśli w pokoju pirenejskim musiała Francja uznać hiszpańską enklawę Llivia w Serdanji, to tylko dlatego, że Don Luis de Haro wyszukał stare tytuły lennej zwierzchności.

Świadom tego dobrze, że wrogowie szykują się potajemnie do nowej wojny, która przekreśli niedawne umowy pokojowe, popełniłby król błąd największy, gdyby im zezwolił na zajęcie tak ważnych pod względem strategicznym obszarów, któremi prawnie władał. Od chwili, kiedy Europa sprzymierzyła się, aby przeszkadzać Francji w dążeniu do umocnienia granic i zdobycia tego, co jej się należało, nie pozostawało nic innego, jak jąć się podstępu lub przemocy, by osiągnąć swój najżywotniejszy cel. Potomność chyba tylko wdzięczną być może królowi za taktowne jak energiczne dopięcie tego celu. Dzięki niemu też mogliśmy być gotowi, gdy wybiła godzina nowej walki. Umocnił bowiem Ludwik linję granic i zorganizował ich obronę tak, że przez lat dziesięć mogła Francja stawić czoło całemu światu i bić się zarówno we Flandrji, Niemczech, Italji i Katalonji, jak na wybrzeżach Atlantyku i morza Śródziemnego. A kiedy wróg, narówni z nią przemęczony, próbował raz jeszcze

układów, można wówczas to tylko zarzucić Ludwikowi XIV, że sukcesów swych nie wykorzystał dostatecznie, że nazbyt pochopnie odstąpił przyczółki mostowe na Renie, a szczególnie umocnione punkty, jak Luksemburg lub Mont-Royal, któreby mu pozwoliły trzymać w szachu cały Palatynat. Bohater tej wojny, Vauban, szczególnie oburzył się na wieść o tej rezygnacji. Pisał on w przededniu zawarcia pokoju: „Ze względu na warunki w jakich przyszło ten pokój zawierać, uważam go za bardziej haniebny od traktatu w Cateau-Cambresis, który jak wiadomo, zniesławił Henryka II i uważany był zawsze za najgorszy ze wszystkich."

Po podpisaniu pokoju w Ryswick w roku 1697 sprawa sukcesji hiszpańskiej, weszła znów wobec oczekiwanej śmierci króla katolickiego na porządek dzienny. Chcąc pozyskać chociażby część z tego spadku, Ludwik XIV stara się usposobić dla siebie przyjaźnie opinję Europy i zgłasza zupełną bezinteresowność. Nie rezygnując zupełnie, stara się przeszkodzić wybuchowi nowej wojny z tego powodu. Dodajmy, że postępowanie jego, jak zawsze u Francuzów, cechowała szlachetność, która najpierw zdumiewa zawsze wrogów Francji, a zczasem zmienia się w pogardę.

Pozatem więcej niż kiedykolwiek ulegał król wówczas nieszczęsnemu wpływowi, który zresztą usiłował zwalczać z podziwu godną energją aż do ostatka: był to wpływ pani de Maintenon, oraz owej doktrynersko-pobożnisiowskiej kliki, która otaczała księcia Burgundji. Aby go odwieść od pracy nad wielkiem dziełem narodowem, wmawiano weń, że Francja jest wyczerpana, a ludy „jęczą pod ciężarem". Ten człowiek bowiem, tak bardzo twardy dla siebie, więcej był uczuciowy i sentymentalny, niżby można sądzić. I dzięki tej ukrywanej zresztą uczuciowości iście francuskiej, popełnił szereg błędów w polityce.

* * *

Akceptując 10-go października 1700 testament króla hiszpańskiego, wedle którego głównym dziedzicem został wnuk Ludwika, młody książę d'Anjou — uczynił król posunięcie jedynie wskazane dla jego godności i dla interesów państwa. Gdyby się bowiem nie zgodził, wówczas królem hiszpańskim



GASTON Z ORLEANU

według portretu Van Dyck'a.

zostałby arcyksiążę Karol, drugi syn cesarza. Za żadną cenę nie wolno było dopuścić, aby w Madrycie rządził Niemiec, okrążenie Francji zaczęłoby się wszakże od nowa, jak za czasów Karola V i Franciszka I.

Karol II, ostatni z hiszpańskich Habsburgów, pomimo nienawiści do wszystkiego, co francuskie, zgodził się dlatego na uznanie księcia d'Anjou, gdyż mógł dzięki temu uratować nienaruszalność monarchji hiszpańskiej. Wydało mu się, że jedynie wnuk Ludwika XIV, zawsze jeszcze najpotężniejszego władcy w Europie, uchroni Hiszpanję od rozbioru. Chcąc nie chcąc, uznać tedy musiał znaczenie i siłę istotną Króla Arcy-chrześcijańskiego. Wiek XVIII rozpoczęła tedy dynastja Burbonów od „zbiegu szczęśliwych przypadków“, jak to gdzieś powiedziano. Wszelako król nie dał się tem oszołomić. W obliczu spełniającego się najdroższego marzenia życia, i to bez rozlewu krwi, wobec cudownej wprost realizacji długo żywionego planu, umiał ten autokrata, w chwili najwyższego nawet triumfu, zachować jasny pogląd na sprawy. Zarówno w słowach jak czynach daje dowody rozwagi i umiarkowania. Warto przypomnieć ową scenę historyczną, kiedy w gabinecie wersalskim odbyło się przedstawienie księcia d'Anjou posłom zagranicznym. „Panowie — rzekł Ludwik XIV — oto król hiszpański. Urodzenie powołało go na tron, a zmarły król dał mu koronę w testamencie. Życzył sobie tego cały naród, a ja również pragnąłem usilnie. Jest to zrządzenie niebios, na które godzę się z przyjemnością.“ A zwracając się do wnuka, dodał: „Bądź dobrym Hiszpanem, to jest twój pierwszy obowiązek w tej chwili. Pamiętaj wszakże, że jako urodzony Francuz winieneś utrzymywać zawsze łączność między oboma narodami, bo tylko wówczas będą one szczęśliwe, a pokój w Europie zostanie utrzymany.“ Jakież to piękne i szlachetne słowa! A powiedzenie: „Panowie, oto król hiszpański!“ — wydaje mi się wprost genjalnem. Wyobraźmy sobie, coby w podobnej chwili powiedział jakiś władca nowożytny, Wilhelm II naprzykład? I przyznajmy, że w chwili tak zaszczytnej dla Francji i dla króla trudno było zdobyć się na większą prostotę i wielkość równocześnie.

A jednak wojna była nieunikniona. Król wiedział o tem, przeczuwając już naprzód straszne skutki swej decyzji. Twierdzono, że przy nieco większej zręczności i umiarkowaniu dałoby się uniknąć konfliktu. Osąd taki jest błędem albo oszczerstwem. Od chwili ogłoszenia testamentu Karola II cesarz z wściekłością protestował przeciw pozbawianiu go dziedzictwa i gotował się do wojny, ile mu na to jego sytuacja pozwalała. Państwa morskie natomiast, Anglja i Holandja nie posiadały się z oburzenia na myśl, że handel z Indjami hiszpańskiemi może przejść w ręce francuskie, podobnie jak śródziemnomorski. Osobisty wróg Ludwika, Wilhelm Orański, parł do starcia i tylko pozornie uznał testament Karola II, by zyskać na czasie i móc snadniej osaczyć przeciwnika.

A czy Ludwik XIV dopuścił się istotnie zarzucanych mu błędów i swą zarozumiałością sprowokował nową koalicję w Europie? Zarzucają mu, że wskutek przedłożonych w parlamencie *lettres patentes* uznał prawa księcia d'Anjou do korony francuskiej, co mogło wskazywać na możność zjednoczenia w przyszłości Francji z Hiszpanją pod berłem jednego władcy z domu Burbonów. A tymczasem był to raczej środek zapobiegawczy na wypadek, mało prawdopodobny, wygaśnięcia bezpośredniego potomstwa po Ludwiku XIV. Z drugiej strony nie podkreślono jednak wcale, że w takim razie Filip V zachowa koronę hiszpańską. Ponadto, arcyksiążę, roszczący stale prawa do udziału w sukcesji hiszpańskiej, nie oświadczył bynajmniej, że się jej zrzeka. Skoro został królem hiszpańskim, równie dobrze może zostać cesarzem niemieckim. A w chwili, gdy cesarz Leopold zbroi się do wojny przeciw Ludwikowi XIV, czyż uchodzi królowi francuskiemu okazać się mniej zainteresowanym, niż jego przeciwnik? Zdaniem wielu historyków, ten król skłonny był stale do korzenia się i czynienia ustępstw, gdy wróg nie chciał ustąpić ani kroku. Zarzuca się dalej Ludwikowi, że przepędził załogę holenderską z tak zwanej „barjery", gdzie w myśl układu w Ryswick miała ona stanowić straż przeciw Francuzom. Podobnie obłędnych zarzutów słuchać wprost niesposób. Jakże to? Nowy król hiszpański, który był synem Francji, miał ścierpieć obecność

najgorszego wroga w swych miastach flamandzkich? A miałże naczelnik państwa francuskiego, w poczuciu nadchodzącej wojny, pozwolić swym wrogom na tak korzystne usadowienie się w sercu kraju, którego mu już może jutro wypadnie bronić na rzecz swego wnuka? No, a przedewszystkiem: czyż miał patrzeć spokojnie na ponowne zagrożenie granic francuskich?

Jedynym błędem Ludwika, popełnionym dzięki przesadnej szlachetności, było to, że pozwolił załogom holenderskim odejść, zamiast wziąć je w niewolę do chwili wyjaśnienia ich właściwych zamiarów. Saint-Simon, który wcale nie zdradza życzliwości dla króla, atakuje go za to gwałtownie, nazywając ten postępek „naiwnością bez granic". Odesłał im zpowrotem, „dwadzieścia dwa bataljony doskonałego wojska — są jego słowa — których im bardzo brakowało i bez których zapewne nie mogliby prowadzić wojny. Uczyniłoby to zapewne wielki zamęt w Anglji, w Cesarstwie i w całem przymierzu, które jęło się organizować przeciw obu monarchjom."

Inne przestępstwo: Uznając Jakóba Stuarta jako króla Anglji, wbrew Wilhelmowi Orańskiemu, którego parlament angielski królem ogłosił — wzburzył Ludwik przeciwko sobie opinję protestantów. Lecz cokolwiekby czynił król francuski, protestantów nie przejednałby nigdy. A przyznać trzeba, że postąpiłby bardzo nieoględnie, gdyby z dwóch pretendentów wybrał akurat najgorszego ze swych wrogów osobistych, który deptał wszystkie umowy i zabiegał około tworzenia koalicji przeciw Francji. Zresztą Jakób Stuart był nieszczęsnym banitą — czegoż trzeba więcej? Jako dobry Francuz, uważał Ludwik za swój rycerski obowiązek, wziąć w obronę uciśnionego i nie dopuścić się zdrady wobec człowieka, który był jego gościem.

Jeśli to ma być błędem, to zaiste nie największym, bo Ludwik XIV dopuścił się gorszych. Największą jego winą było, że w czasach groźnych dawał chętnie ucha defetystom z panią de Maintenon na czele. Decydując się na ustąpienie nieprzyjacielowi takich pozycyj jak Lille, Condé, Maubeuge i Strasburg, omal nie przegrał wojny dzięki temu, a też bliski był niesławy, ofiarowując sprzymierzonym zasiłki na

zwalczanie jego własnego wnuka, króla hiszpańskiego. Na szczęście opamiętał się, w chwili już ostatecznej, ten starzec schorowany i zgnębiony licznemi wypadkami śmierci w rodzinie. Odtąd staje się prawdziwym naczelnikiem swego narodu. Przemawia do Francuzów językiem, którego radzi słuchają i radzi ponoszą największe ofiary dla obrony ziemi ojczystej. Sam, prawie sam jeden, w całem swem otoczeniu, nie traci nadziei. Porywa się wówczas raz jeszcze i podejmuje czyn wspaniały: zwycięstwo pod Denain. Pierwsza myśl dywersji, która zdecydowała o wszystkiem i była jakgdyby genjalnem natchnieniem — to jego pomysł. Krok za krokiem, godzina za godziną, śledził król pracę swych generałów, z mapą w ręku, udzielając im bardzo rozumnych rad, a pozostawiając zupełną swobodę w działaniach wojennych. Korespondencja prowadzona w czasie tej kampanji, dowodzi, ile tam było królewskiej inicjatywy, która w rezultacie odniosła triumf nad chwiejnością marszałka de Villars. W pamiętnikach swoich zapisał marszałek rozmowy prowadzone z królem w przededniu bitwy. Na wypadek przegranej poleca mu król cofnąć się poza linję Somme'y. „Znam tę rzekę — powiada — trudno ją bardzo przekroczyć. Są tam twierdze. Udałbym się do Péronne lub Saint-Quentin, zebrałbym tam wszystkie wojska, aby przejść do ataku ostatecznego i potem razem zginąć albo uratować państwo, gdyż nie dopuściłbym nigdy, aby wróg dotarł aż do bram stolicy."

Te słowa nie wymagają objaśnień. Dumna ich wymowa starczy zupełnie za pochwałę króla, który na wypadek klęski, uczyniłby niewątpliwie tak, jak zapowiedział.

* * *

Dzięki heroicznemu oporowi mogła Francja zachować nietylko znaczenie, lecz również wszystkie zdobycze z wojen poprzednich. Na mocy układów pokojowych w Utrechcie i Rastadt zatrzymała Francja Franche-Comté, Alzację z dziesięcioma miastami królewskiemi, wpośród nich Strasburg, przyłączony do Francji dopiero w roku 1681, miasto, które Francja zawdzięcza równie zawziętym jak przezornym wysiłkom Ludwika XIV i jego ministrów. Miasto, stanowiące

przyczółek mostowy Renu i klucz do wnętrza państwa, miasto wreszcie, którego powtórne zdobycie tyle Francję kosztować miało. Ponadto przypadła Francji Lotaryngja, którą pozostawiono tymczasowo w ręku jej księcia. Granica francuska od północy była nawet mocniejsza od dzisiejszej, gdyż w r. 1815 twierdze broniące dolin Oise'y i Saary, odpadły od Francji, żeby nigdy do niej nie wrócić. Niebezpieczeństwo okrążenia Francji przez Hiszpanję i dom austrjacki minęło raz na zawsze od chwili, gdy Burboni zastąpili Habsburgów na tronie hiszpańskim. Korzyść tę odczuwamy i dziś jeszcze: granica hiszpańska jest najspokojniejsza ze wszystkich.

Na morzu i w kolonjach nie utracono niczego. Musiało się wprawdzic w Utrechcie odstąpić Anglikom trochę obszaru i przywilejów handlowych, wzamian przyszedł natomiast sojusz z Hiszpanją, największą potęgą kolonjalną na świecie. Zresztą tuż przed swą śmiercią starał się król, jak wynika z instrukcyj dla hrabiego de Luc, posła francuskiego w Wiedniu, przeprowadzić odwrócenie przymierzy, któreby umożliwiło podjąć na nowo wojnę z Anglją. Austrja miała zostać w przyszłości sojusznikiem, z którego pomocą Francja utrzyma pokój na kontynencie i wolność na froncie morskim.

Ogólnie wziąwszy, pozostawił Ludwik XIV państwo znacznie powiększone i jak nigdy dotychczas obronne. Naród winien mu za to wdzięczność głęboką. Można zarzucić coprawda, że wyniki nie pozostają w stosunku do trwania i przewlekłości wysiłków. Ale zważyć trzeba, że wypadło się opierać przeciw całej Europie. Od pierwszych posunięć świat zawsze walczył z Ludwikiem. A w tem znaczna część jego chwały, że sam zdołał wytrwać przeciwko wszystkim, potwornie silnym koalicjom, sam przez czterdzieści długich lat.

Nie można nigdy zapominać, mówiąc o wojnach Ludwika XIV, że był on jakgdyby w położeniu gracza ze wszech stron osaczonego. Ilekroć ważył się na atak, z reguły niebezpieczny, zdany był wyłącznie na swą siłę, czy szczęście, czy nieostrożność przeciwnika. W takich warunkach zwyciężać nieustannie było wprost rzeczą niemożliwą. A mimo wszystko zdołał osiągnąć cel najistotniejszy: stałą

granicę obronną. I nie przesadził wcale, ani nie zmyślał, gdy już po pierwszych zwycięstwach kazał wybić medal z napisem: *Clausa Germanis Gallia.* (Francja zamknięta dla Niemców.) Tak się w istocie stało, zamknął Francję przed Niemcami tak dalece, ile to możliwem było w ówczesnej Europie, nieufnej i wrogiej mu od początku do końca.

Nie kłamią również posągi alegoryczne u wrót zamku wersalskiego. Hiszpanja i Niemcy leżały naogół pobite, lub w każdym razie niezdolne do walki. Wrogom Francji nie udało się zniweczyć jej lilij. Orzeł i lew przez długi czas nie były w stanie przynieść jej żadnej szkody.

ROZDZIAŁ TRZECI

WSPÓŁUDZIAŁ KRÓLA

Usiłowano umniejszyć zasługę króla w tych wszystkich trwałych raczej, niż wspaniałych rezultatach, które tak wielkiej były dla kraju doniosłości. To raczej zdobycz ministrów i generałów, niż jego. Nie ulega żadnej wątpliwości, że niezwykłej i najgorliwszej pomocy użyczyli królowi jego współpracownicy; sam przyznawał to przecie z wielką uciechą. Wszelako z tych wszystkich pomocników podziwiał z największą wdzięcznością współpracę narodu. W „Pamiętnikach“ swych o wojnie roku 1672 powiada nie bez uprawnionej dumy: „Mogłem szczycić się w ciągu tej wojny, że danem mi było widzieć, co zdoła Francja uczynić, kiedy jest sama. Dała ona wszak miljony moim sojusznikom, mogłem rozdzielać bogactwa, a teraz jestem w stanie napawać trwogą mych wrogów, zadziwiać sąsiadów i doprowadzać zazdrosnych do rozpaczy. Poddani moi poparli te usiłowania, ile było w ich mocy, w wojsku odznaczali się walecznością, w pracy wewnątrz kraju byli gorliwi, poza granicami przemyślni i dzielni. Razem wziąwszy, okazała Francja, jaka zachodzi różnica pomiędzy innemi narodami, a nią.“ Przypominają te słowa rozkaz Napoleona do armji: „Żołnierze, jestem z was zadowolony!“ Wszelako u Ludwika XIV myśl była bogatsza i głębsza. Tem jednem ogólnem uczuciem wdzięczności obejmuje on nietylko wszystkie stany narodu, lecz również wszystkie rodzaje jego narodowej sprawności. I dumny jest, że danem mu przewodniczyć tak dzielnemu ludowi.

Niemniej przeto wdzięczny ministrom i generałom. Raz po raz dziękuje i winszuje im wszystkiego, co uczynili „dla

dobra służby“. W dziedzinie przysposobienia i organizacji wojen, jak niemniej w samem prowadzeniu kampanji każdej, w obronie i zdobywaniu twierdz zawdzięczał niezwykle wiele rozumowi i energji Louvois, który był nieporównanym ministrem wojny. Ponadto doznał wiele pomocy od Clerville'a, Vauban'a i ich podwładnych, mniej się wysuwających na czoło, jak np. Chamlay'a.

Ministra Louvois nazywają czasem złym duchem króla. Zarzucają mu, że był brutalny i cyniczny. Ale to rzecz względna. Czyż bowiem ten brutalny cynizm nie był do pewnych granic potrzebny jako przeciwwaga wobec bezwzględnej i bardzo skrupulatnej uprzejmości osobistej monarchy, który stale bał się kogoś urazić lub pokrzywdzić i odznaczał się iście francuskim humanitaryzmem i wielkodusznością. Wiadomo napewno, że tylko dzięki naciskowi Louvois udało się skłonić króla do aprobaty pożarów i spustoszeń w Palatynacie, które wywołały tyle krzyku oburzenia przeciw Francji zarówno w Niemczech jak w innych państwach Europy. Historycy francuscy przyłączają się chętnie do tej opinji. I mają rację, gdyż pod żadnym warunkiem nie należało zezwolić na coś tak potwornego. Z korespondencji z ministrem Louvois wynika, że król z bólem serca zatwierdził rozkazy w tym kierunku. Ubocznie przypomnijmy słynną scenę, opowiedzianą przez Saint-Simon'a. Wściekły na wieść, że Louvois bez jego wiedzy kazał podpalić Trewir, rzucił się Ludwik na ministra z pogrzebaczem i chciał go obić.— Zdarzenie to jest zapewne wytworem imaginacji, nieraz mu też zaprzeczano. Nie trzeba jednak zapominać, że chodziło tu, oczywiście, o ochronę Alzacji i Lotaryngji, a może i całego królestwa od groźby nowej inwazji, jak to się udało nieprzyjacielowi w roku 1674. Mieszkańcy zniszczonych okolic — o czem się również nie pamięta — otrzymali wysokie odszkodowanie, zobowiązano się też do ułatwienia im osiedlin w Alzacji i Franche-Comté, z uwolnieniem od podatków na przeciąg lat dziesięciu. Z czysto wojskowego punktu widzenia Napoleon ocenił to spustoszenie Palatynatu jako najwybitniejszy czyn Louvois, mówiąc: „Tylko Wellington i ja mogliśmy uczynić coś podobnego.“

Jakkolwiek się rzeczy miały, pozyskał król przecie w tym synu Michała Le Tellier takiego ministra wojny, jakiego pragnął. Obaj wespół organizowali wojnę nowoczesną — pojmując ją raczej jako zagadnienie naukowe, a co najmniej jako operację, która wymaga metody i sztuki ześrodkowania w danej chwili w jednym punkcie wszystkich możliwych sił i posiłków; jest to słowem robota, której ster spoczywa w jednem biurze, czy jednym gabinecie pracy. Oni zaś obaj, Ludwik XIV i Louvois byli twórcami nowoczesnych sztabów generalnych. W tej dziedzinie był król uczniem Turenne'a, podobnie jak w polityce uczniem Mazariniego.

Marszałek posiadał umysł zimny i bardzo rozważny, postępowanie jego różniło się wybitnie od porywczości, czy ryzykownych improwizacyj takiego Luxembourg'a, czy Kondeusza. Król zbyt był świadom rzemiosła wojennego, aby nie docenić waloru takich zalet. Tedy szczerze podziwiał ich obu, zarówno księcia de Luxembourg jak księcia de Condé. Miał wszelkie powody nie ufać ostatniemu, mimo to wszakże nie omieszkał nigdy okazywać mu uszanowania i wszelkich względów. Pisał doń np. w r. 1673 po zdobyciu Maëstricht: „Drogi kuzynie, zaufanie, jakie mam do Twej przyjaźni, pozwoliło mi odczuć Twą radość z powodu wzięcia Maëstricht, zanim jeszcze odebrałem Twój list. Odczytawszy go jednak, byłem, wierz mi, poruszony do żywego, słysząc tyle komplementów od człowieka tej miary, co Ty. Nie mogłeś mi zrobić większej przyjemności. Dziękuję Ci.“— A później, gdy brat jego Filip wygrał bitwę pod Cassel, przesyła król następujący bilet Kondeuszowi: „W polu, pod cytadelą Cambrai, 15 kwietnia 1677. Drogi kuzynie! Zupełnie słusznie winszujesz mi bitwy pod Cassel. Gdybym ją był wygrał osobiście, nie posiadałbym się z radości, raz ze względu na wielkość czynu, powtóre z racji doniosłego jego znaczenia, a przedewszystkiem z powodu zaszczytu, jaki przyniósł memu bratu. Zresztą nie dziwię się radości, jaką odczuwasz. Rzecz jasna, że odczuwasz to samo ze swej strony, co czuć kazałeś innym chwili własnych zwycięstw podobnych.“

Istotnie trudno okazać więcej taktu i życzliwości w przyznaniu każdemu, co mu się należy.

Podobnie jak ministrom i generałom, winniśmy dank szlachcie francuskiej, która więcej może, niż ktokolwiek, przyłożyła ręki do sukcesów wojskowych monarchji. Dziś jeszcze zwykło się powtarzać wkółko stary frazes, że za ostatnich Burbonów szlachta była czemś w rodzaju „pozłacanej czeladzi dworskiej“ i meblem w przedpokoju. Tak też i było, że wszyscy ludzie z nazwiskiem, czy stopniem wojskowym, starali się co jakiś czas odetchnąć powietrzem Wersalu. Z pierwszą szarugą jesienną przerywano corocznie operacje wojskowe, aby je na wiosnę podjąć na nowo. Wówczas oficerowie ściągali na leże zimowe u dworu, zażywając tu wypoczynku i dobrze zasłużonych rozkoszy. Większość z nich byli to ludzie bardzo dzielni i rozmiłowani w swoim zawodzie. Błędem byłoby wielkim sądzić ich wedle pospolitego ruszenia szlachty, które zostało powołane w chwili trwogi i wzięło tak żałosny udział w kampanji roku 1674. Ci bowiem hreczkosieje, wydobyci ze swych mizernych dworków wiejskich, stanowili bowiem coś w rodzaju obrony narodowej, w oddziałach pospolitackich, źle uzbrojonych i niewyćwiczonych. Prawdziwej szlachty francuskiej owego czasu szukać trzeba raczej wśród wojsk królewskich, w gwardji i muszkieterach Króla Jegomości. Te bowiem korpusy wyborowe, starannie przebrane i zorganizowane, stanowiły wzór dla całej reszty armji.

Biorąc sprawę w ogólnych zarysach, można powiedzieć, że szlachta francuska z czasów Ludwika XIV jest szkołą żołnierza więcej niż kiedykolwiek. Pisał razu pewnego dyplomata wenecki do swojego rządu: „Król Francji posiada tyleż poddanych, co żołnierzy.“ I miał rację w odniesieniu do szlachty, szczególnie młodszej daty, do synów z rodzin ubogich, których całem utrzymaniem było beneficjum duchowne lub patent podchorążego, czy kapitana. Dla ogromnej ich większości wojna przedstawiała jedyny środek utrzymania. A jeśli nie mogli walczyć pod sztandarami Króla Arcy-chrześcijańskiego, prosili go o zezwolenie na służbę w szeregach cesarskich, ba nawet tureckich. Przedstawiało to bez kwestji nieco niebezpieczeństwa, gdyż owa młodzież żądna łupiestwa i przygód, pragnąca zawsze zdobyte kraje, „wyjeść do ostatka“, łatwo mogła przyprawić zarówno

kraj jak i króla o niepotrzebną awanturę. Nietylko tolerowano zdzierstwa i rabunki, lecz starano się wszędzie użyć tej szukającej guza młodzieży do rozmaitych zamachów. W roku 1690, w przededniu wielkiego konfliktu w Europie, pisał ksiądz Thésut do Bussy-Rabutin'a, jak o rzeczy najprostszej pod słońcem: „Francja potrzebuje wojny, aby zająć swą młodzież i przysposobić ją do tego rzemiosła." Na wieść o jakiejś ruchawce ochotnicy szlacheccy zgłaszali się w tak wielkiej ilości, że większość trzeba było zawsze odprawić z kwitkiem. W chwili rozpoczęcia kampanji we Flandrji w r. 1667 napłynęło również rekruta bez miary, a król zapisał w swoich „Pamiętnikach": „Tak chętnie garnęli się do służby pod mojemi sztandarami, że z wielką jedynie trudnością mogłem zatrzymać tych, którzy się zgłaszali, jak dajmy na to wówczas, gdym potrzebował załogi dla moich okrętów w Dieppe. Oprócz powołanych do służby, zgłosiła się wówczas tak wielka ilość ochotnika, że zmuszony byłem oddalić wszystkich, a co więcej, nawet ukarać kilku z nich na wysokich stanowiskach, gdyż bez mojej wiedzy wstąpili do służby, wiedząc, że nie mogą być przyjęci."

W pierwszym rzędzie szlachta płaciła wówczas daninę krwi. Tworzyła ona kadry armji względnie ograniczonej, w której wiele miejsca zajmowały pułki cudzoziemskiego autoramentu. Stosunkowo biorąc, szlachta dostarczyła królowi o wiele więcej żołnierza, niż inne stany narodu. W czasie jego rządów arystokracja francuska składała hekatomby bezustanku. Ojcowie nasi, mając więcej od nas odwagi, umieli lepiej kryć żałobę w sercu, nie rozczulali się też nadmiernie wypadkami, uważając je za próbę nieuniknioną. Gdy jednak weźmiemy do rąk listy z tej epoki, widać na każdym kroku bolesny niepokój rodzin pozostałych w domu, które śledzą z lękiem zmienną dolę oblężeń i walk. Pisze Bussy na początku wojny o Ligę augsburską: „Żal mi bardzo biednych matek, jak pani de Saucour lub pani de Calvisson." Żałość owa, w której tyle skromności i zarazem męstwa, przetrwa aż do końca królestwa. Miarę ogromu bólu i cierpień, jakie niosła z sobą wojna, tyle konieczna dla zbawienia ojczyzny, może nam dać uroczysty mówca owych czasów, Massillon, autor *Oraison funèbre de Louis le Grand.* Massillon

woła z namaszczeniem „O, wy, budowle wspaniałe, pośrodku naszych placów wzniesione, z czemże pójdziecie do naszych wnuków, co im przypominać będziecie? Przypominać im będziecie wiek grozy i rzezi, kiedy francuskiej szlachty kwiat lec musiał w grobie, kiedy tyle rodów prastarych wygasło, a matki ożałobione stanęły bez pociechy, płacząc dziś jeszcze dzieci swoich..."

Z radością oddawały te dzieci życie za chwałę króla i wielkość Francji. W czasie przejścia przez Ren, 12 czerwca 1672, jakby szał heroizmu ogarnął wszystkich. Nawet stary Kondeusz, narówni z młodymi żołnierzami, miał w oczach króla odnieść ranę na polu bitwy.

* * *

Jakkolwiek wielkie ofiary poniosła szlachta francuska i znaczna część narodu, jaśniał też talent i genjusz dowódców, niezwyczajną, wprost nie do wiary energję rozwinęli ministrowie i ich pomocnicy, a jednak główna część zasługi w tych wojnach przypada królowi samemu, który przez całe stulecie umiał bronić kraju od inwazji nieprzyjaciela.

On był właściwym szefem sztabu generalnego. Wystarczy przejrzeć korespondencję królewską i zapiski wojskowe, aby sobie zdać sprawę, jak czynny brał udział we wszystkiem. Zajmował się ruchami i zaopatrzeniem wojsk, kierował każdą kampanją, nie spuszczając z oka nawet podrzędnych zadań wojskowych. Dokładnie i szczegółowo zwykł roztrząsać nietylko plany wielkich operacyj, gdy znajdzie się wśród wojska w obozie, lecz również ich wykonanie w szczegółach. Wysłuchawszy zdania ludzi kompetentnych i zebrawszy cały materjał informacyjny, król wydaje decyzję ostateczną. Sam naznacza godzinę i kolejność wymarszu. Własnoręcznemi dopiskami uzupełnia raporty generałów, poufne listy Louvois, czy donosy tajnych emisarjuszów zagranicą. Do ostatniego liwra wyliczyć potrafi, ile wydano na żywność i amunicję. Nawet najdrobniejsze utensylja potrzebne w czasie akcji oblężniczej nie ujdą uwagi króla: „Tysiąc granatów, dwadzieścia par pancerzy i hełmów, dwa tysiące worków z piaskiem, — sto siekier dla ludzi przeznaczonych do ataku na kontr-szkarpy... Piętna-

ście tysięcy ludzi z kosami i pięć tysięcy z siekierami pójdą na czele artylerji." Przygotowując w dniu 1 czerwca 1672 słynne przejście przez Ren, wydaje następujący rozkaz dzienny: „Jutro o świcie wysłać z narzędziami stu ludzi, którzy utorują drogę, zniszczą przeszkody i zrobią wszystko, co dowodzący oficer uzna za stosowne... Wymarsz nastąpi o godzinie czwartej — na czele żandarmerja, zkolei brygada hrabiego de Roye, dalej brygady Feuillée i Koenigsmarcka, które zajmą pozycję poza lasem, w celu przygotowania faszyny... Potem dopiero wyruszy piechota i zajmie także pozycje poza lasem, w miejscu niewidocznem dla załogi twierdzy. Hrabia de Soissons obejmie dowództwo piechoty, a „Grand Maitre" artylerji. Rochefort uda się na stanowisko wraz z Genlis. Chevalier de Lorraine uda się za mną, Montal ruszy naprzód, aby przysposobić drogi. Fourille pozostanie w pobliżu mnie."

Widzimy, że obchodzą króla nawet drobne szczegóły. Saint-Simon wytyka mu wprost, że się w nich zatraca. Król sam wszelako zauważa w „Pamiętnikach", że troska o szczegóły dyktowana była chęcią dodania tem większego bodźca pracy ministrów i urzędników. Ponadto upatrywał w tem sam najlepszą sposobność do nauki: „Znajomość drobnych szczegółów, jeśli ją sobie przyswajamy, chociażby dla rozrywki tylko a nie systematycznie, potrafi nas objaśnić zwolna i bez trudu o tysiącu drobiazgów, które się mogą przydać przy rozstrzygnięciach zasadniczych." Pragnął, aby świat przekonany był o jego wszechwiedzy. Miał zawsze oczy otwarte i nic nie uszło jego uwagi. Zdumiewali się nieraz cudzoziemcy nad tym darem bystrego i przenikającego spojrzenia, nad nieprawdopodobną pamięcią. „Wystarczy mu jeden rzut oka — pisze Primi Visconti — aby dostrzec wszystko, i to zarówno w swoim pokoju, w kościele czy w obozie. Siedząc na koniu w Wersalu, sam jeden odkrył złodzieja, który właśnie wsadzał rękę w kieszeń młodego Villars-Orondate... Odbywając niedawno przegląd kompanji grenadjerów konnych, poznał wlot konia, którego przed trzema laty wzięto z garnizonu w Valenciennes, a gdy koń zaczął wierzgać, ostrzegał dworaków, aby się mieli na baczności..."

Zależało mu na tem, aby każdy z oficerów wiedział, że król ma go na oku. Znał ich po nazwisku, pisywał sam lub kazał do nich pisać z zapewnieniem szczerej życzliwości. Opłakiwał śmierć swych oficerów, troszczył się o rannych, zalecał dbać o zdrowie. Żaden wódz naczelny nie szafował tak oszczędnie „materjałem ludzkim“, jak się dziś mówić zwykło. Wie doskonale, ile każdy pułk kosztuje, lecz przedewszystkiem z poczucia humanitaryzmu i wrodzonej dobroci serca wzdryga się przed niepotrzebnym rozlewem krwi. Możnaby cytować bez końca całemi stronnicami ustępy z jego listów, gdzie przebija troska o rannych, gdzie zaleca dbać o nich z największem staraniem. „Zmartwił mnie ogromnie — pisze do hrabiego de Coligny — spis zabitych i rannych, który mi przysłałeś, chociaż jest rzeczą konieczną, abym o tem wiedział. Rannych żołnierzy należy traktować z najżywszem staraniem, odwiedzać ich w mojem imieniu i zapewniać, jak bardzo z nimi współczuję...“ Nie ogranicza się bynajmniej do pociech czysto platonicznych, rozdziela również podarunki: „po sześć tysięcy liwrów dla kapitanów kawalerji, po cztery i trzy tysiące dla podchorążych, a każdemu z piechoty po dwa zegarki...“ W czasie wyprawy księcia de Beaufort do Afryki Północnej pisze: „Pamiętaj troszczyć się o chorych i zranionych. Wyrażaj im stale współczucie, jakie mam dla ich cierpień, i powiedz im, że rany ich będą zawsze najlepszą rekomendacją w moich oczach... Żołnierzom winieneś oświadczyć, że, daleki od tego, aby o nich zapomnieć, rozkazałem wypłacać im codziennie jednego *sou* dodatkowo ponad żołd obowiązujący, za co będą mieli lepsze wyżywienie... Chciałbym znać również imiona tych, którzy się odznaczyli. Pozatem należy ich używać do robót, aby sobie coś zarobić mogli. Szczególnie dbać jednak o dobre kwatery, aby nie wpadali w choroby...“ A wreszcie: „Przedewszystkiem starać się nadal o jak największą opiekę nad chorymi. Polecam to jak tylko można najgoręcej!“

Nie same tylko komplementy pod adresem znaczniejszych dowódców, jak chociażby księcia de Vivonne, którego, jako towarzysza zabaw dziecinnych, traktuje po koleżeńsku. Dba narówni o zwyczajnego szeregowca. Pragnie się im

wszystkim podobać, niechby go uważali jako króla żołnierzy. Młodzieńcem będąc, zabiegał wielce o swych muszkieterów, o ich pobór, uzbrojenie, ba, nawet o szczegóły umundurowania, okazując podobnie drobiazgowe zainteresowanie, jak później Fryderyk Wielki wobec swych grenadjerów. Miał czas nauczyć się gruntownie rzemiosła wojennego pod okiem wodzów znakomitych, skoro już od czternastego roku życia utrzymywał bliski stosunek z swojem wojskiem, prawie codzień, ku uciesze gawiedzi paryskiej odbywał parady lub wysyłał często oddziały na manewry. Aż do pięćdziesiątego piątego roku życia brał udział osobisty we wszystkich kampanjach, a opuścił wojsko w polu dopiero wówczas, gdy z powodu straszliwego artretyzmu nie mógł jeździć konno i przebywać stale w obozie. Przykłada się, ile może i ile wypada władcy, który sam chce wszystko wiedzieć i widzieć. Pragnie dać przykład osobisty dobrego żołnierstwa, karności i męstwa. Wie, co mu zarzucają, brak nieustraszonej brawury Franciszka I, brak porywającego zapału, jakim odznaczał się Henryk IV. To prawda. Tego rodzaju męstwo, pozostające w związku z siłą fizyczną i rodzajem temperamentu, nie było udziałem Ludwika XIV. Jego męstwo było bardziej zrównoważone, o charakterze, jeśli tak rzec można, bardziej heroicznym. Heroizm Ludwika był równoznaczny z poczuciem obowiązku w najwyższym stopniu. Z chwilą, gdyby uznał, że obowiązkiem jego jest poświęcić się dla dobra państwa, dałby się zabić z zimną krwią. Przy każdej sposobności dawał tego dowody w obliczu swych wojsk. Narażał się na niebezpieczeństwo częściej, niż było potrzeba, tak że sami żołnierze musieli mu na to zwracać uwagę. Jeszcze w roku 1691 w czasie jednej ze swych wypraw ostatnich, w których osobiście uczestniczył, podczas oblężenia Mons usiłował dać dobry przykład swym wojskom, okazując zupełną pogardę dla niebezpieczeństwa. Młody książę du Maine, którego nie stać było na tyle odwagi, pisał wówczas do pani de Maintenon: „Król nie dotrzymuje danego Pani słowa. Gdyż pominąwszy trudy, na jakie się wystawia, naraża się jeszcze, niczem młody szaleniec, który chce zdobyć sławę i dowieść, że strachu nie zna wcale...“

Wyrachowanie i rozmysł wiodą tu Ludwika aż do śmieszności. Uważa, że to konieczne, że musi podnieść w ten sposób męstwo żołnierzy i czyni to bez wahania. Ale równocześnie świadom jest doskonale, że czystem szaleństwem byłaby brawura w stylu Franciszka I, gdyż król nie powinien się narażać, jak zwyczajny żołnierz, a przedewszystkiem, że królowi nie wolno być zwykłym żołnierzem. Ogromnie trafnie i rozsądnie odróżnia co należy do jego zakresu działania, co zaś jest rzeczą jego generałów. Obserwuje zbliska wszelkie przygotowania, wspomaga je całą powagą stanowiska i doświadczenia, lecz wykonanie pozostawia ludziom, których uważa za kompetentniejszych od siebie. Chyli czoło wobec talentów wojskowych takiego Turenjusza lub Kondeusza, a gdy ten ostatni przesłał mu życzenia z powodu zdobycia którejś z twierdz flamandzkich, król odpowiada: „Drogi kuzynie! Dla początkujących w rzemiośle wojennem wiele znaczy uznanie od takiej powagi, jak Ty." Król bowiem ma jeszcze inne zajęcia, nie samo prowadzenie wojen. Jest wszakże szefem sztabu generalnego, naczelnym intendantem, ministrem skarbu i spraw zagranicznych w jednej osobie. Prowadzić wojnę, to znaczy dla niego: przygotować wyprawę, zebrać pieniądze, wojsko, żywność, amunicję, usposobić przyjaźnie opinję tak w kraju, jak zagranicą, a walkę zbrojną poprzeć walką dyplomatyczną. Zachłannie aktywny Ludwik XIV podejmuje się tych wszystkich prac, gdyż odczuwa potrzebę uniwersalizmu i wszechobecności. Panuje nad całem polem walki, chociaż front jej bywa prawie zawsze niezwykle rozległy. Francja bije się w owym czasie w Katalonji, w Prowansji, we Włoszech, nad Renem, we Flandrji, na wybrzeżach Oceanu i morza Śródziemnego! Więc nieraz tak bywało, że dowódcy, ograniczeni do swych odcinków, nie znając ani intryg dyplomatycznych, ani reakcji opinji Francji, czy Europy, często nie rozumieli zgoła zarządzeń królewskich, ganili więc jak najgwałtowniej jego powolność, albo przewłokę, albo odwrót. Widzieli bowiem tylko jedną stronę tego zagadnienia, które ich wódz obejrzał dokładnie i zbadał ze wszystkich stron.



KSIĄŻĘ LUDWIK KONDEUSZ
według sztychu Jacques Lubin'a.

Dwie niewzruszone zasady kierują królem i wyjaśniają jego postawę we wszystkich wojnach. Oszczędza. Szczędzi swych wojsk i amunicji, oszczędza pieniądze i twierdze. Wie, że wojna potrwa długo, a on stoi sam jeden przeciw wszystkim. W danej chwili stara się wchodzić w układy z wojskami i twierdzami na swoich tyłach, a z drugiej strony z uzyskanych zdobyczy wyciągnąć maksimum korzyści. Mimo środków ograniczonych (nie miał wszak do dyspozycji ani naszych budżetów, ani naszego materjału ludzkiego!) pragnie budzić wrażenie, że posiadł potęgę olbrzymią. W tym celu nie cofa się nawet przed „bluffem". Rozdmuchuje umyślnie swe zwycięstwa, powiększa kontyngent wojsk pod bronią. Sam wkłada wieniec laurowy na czoło i potrząsa toporem. Ludzie nazywają to „organizacją chwały królewskiej". Ma ona jedynie na celu zwiększyć w pewnej mierze siłę rzeczywistą — nazbyt kosztowną — i dopełnić ją sugestywnie na wszelkie możliwe sposoby.

* * *

Cała ta nieustająca aktywność osobista króla jest wszelako niczem w porównaniu z miłością zawodu swego i ogromem serca w pracę każdą wkładanego. Nikt inny nie był tak bardzo żołnierzem i nikt tak nie pokochał stanu żołnierskiego. W czasie wyprawy roznamiętnia się w związku z najdrobniejszym szczegółem akcji, i takim goreje zapałem, jak ongi, gdy za dni dzieciństwa zdobywał twierdze w Tujlerjach lub Palais-Royal. Nawet w gabinecie swoim w Saint-Germain, czy Compiègne, zapala się do planów jakiejś zmyślonej bitwy. W czasie wojny dewolucyjnej pisał do marszałka de Turenne: „Zajmują mnie teraz wielkie projekty wojskowe, zarówno w dziale piechoty jak i kawalerji. Mam już całość w głowie i będę pracował, aby je rozwiązać za każdą cenę..." A w kilka dni później: „Różne myśli krążą mi po głowie i znajduję, że nie są niemożliwe do rozwiązania. Ach! jak mi się piękne wydają!..." Ilekroć jaka twierdza jest oblężona lub wybitniejsza akcja się toczy, król nie może wytrzymać z niecierpliwości. Gdy w roku 1672 książę Orański oblegał Charleroi, pisze Ludwik XIV do ministra Louvois, znajdującego się już w obozie: „Przysyłaj natychmiast

kurjera, ponieważ jestem szalenie niespokojny.“ Nie mógł spać, budził się wśród nocy, czy o świcie, by podyktować jakiś rozkaz, lub rzucić na papier myśl, która mu przyszła w czasie bezsenności. A kiedy wkońcu padając ze znużenia zasypiał, trapiły go we śnie zwidy i koszmary, gadał głośno i gestykulował.

Nie ograniczał się do prawienia swym podwładnym kazań na temat „dobra służby“, sam bowiem nie umiał myśleć o niczem innem. Porywał za sobą ministrów, generałów, urzędników i oficerów, zapalając ich ogniem własnego zapału. Hasłu: „służba dla króla“, nadał znaczenie, jakiego my dziś już wprost pojąć nie jesteśmy w stanie. Służba dla króla! W samem pojęciu tego służenia było coś wykluczającego wszelką niewolniczą służalczość. Raczej z entuzjazmu i miłości służono królowi, niż z abnegacji i tępego posłuchu. Jakiś szczególny rys osobisty przepajał tę miłość dla władcy. Oddawali ludzie swoje ja w ofierze nie zimnej chimerze idei, lecz żywej istocie wyższego rzędu, o której wiedziano, że ich kocha, zna, uznaje i ceni i popiera w każdym wysiłku. Wspaniałomyślny i szlachetny uwielbia piękno pod wszystkiemi postaciami, rad uznaje każde bohaterstwo i czyn rozgłośny, umie wspaniale nagradzać, a ofiarować się za niego, to już nie obowiązek tylko, lecz wprost przyjemność. Służba dla króla równała się nadto zwolnieniu od wszystkich dawniejszych pęt i więzów, a było ich dość: feudalne, municypalne, kościelne, miejscowe wreszcie w każdej prowincji. Zrzucono z chęcią jarzmo tysiąca małych i marnych tyranów, aby pójść w służbę jednego pana o wielkim rozmachu, który swym żądnym wybicia się poddanym dawał świetne widoki karjery. Służba dla króla — oznaczała wreszcie wolność i dumną możność współuczestnictwa w pracy tak rozległej i zaszczytnej.

Czytając listy i wojskowe notatki Ludwika XIV, odczuwamy wszędzie, nawet w wywodach ściśle administracyjnych, czy technicznych, ten rozpęd entuzjazmu, ogarniający naród cały, który zaufał, zawierzył rozumowi i mądrości swego wielkiego przewodnika. Ileż tam uciechy, gdy skutek odpowie oczekiwaniom! Z jaką wspaniałą i wspaniale skromną prostotą donosi o wzięciu miast lub o zwycięstwach na polu bitwy. Gdy się Cambrai poddało, 18 maja 1677, pisze król do Col-

bert'a: „Przypuszczam, że data tego listu nie powinna Cię zmartwić. Co do mnie, uważam, że jest bardzo miłą dla króla Francji...“ Również do Colbert'a, w czerwcu 1673, w czasie oblężenia Maëstricht: „Powiedziałem Twemu synowi, żeby Cię poprosił o przysłanie malarza, gdyż uważam, że można tu wiele ciekawych rzeczy zobaczyć. Wszystko idzie doskonale!...“ A po wzięciu Besançon: „Nie wątpię ani na chwilę, że mój sukces pod Besançon uraduje Cię bardzo. Cieszę się bardzo, że radość jest powszechna. Dzień dobry!“ Lecz nie zawsze składało się tak szczęśliwie. Ilekroć zdarzyła się klęska, król odchodził od siebie, starał się ukryć udrękę duszy, ale cierpiał bardzo, nawet fizycznie. Wystarczyło jednak drobne polepszenie sytuacji, a rozjaśniał się, wyznając odrazu, że mu już lepiej. Zobaczywszy marszałka de Villars po zwycięstwie pod Friedlingen, mówi mu: „Jestem narówni Francuzem jak królem! Więc wszystko co przyćmiewa chwałę narodu, dotyka mnie więcej od jakichkolwiek innych spraw. Zazwyczaj o 6-ej zrana przychodzi Chamillart i pracujemy wspólnie — od trzech miesięcy przynosił mi same złe wiadomości. Godzina jego przyjścia wywoływała zawsze we mnie ogromne podniecenie. Wydobyłeś mnie z tego przykrego stanu. Możesz liczyć na moją wdzięczność...“

Interes państwa, interes narodu i Francji, oto co dominuje nad wszystkiem. Te słowa powracają wciąż w listach i wypowiedziach królewskich. Zgodnie z prawdą mógł tedy rozpocząć swe sprawozdanie o kampanji roku 1673 następującemi słowy: „Pragnąłem odnieść kilka zwycięstw, pragnąłem podtrzymać i zwiększyć potęgę oraz znaczenie Francji. Pracując dla niej, pracowałem dla siebie. I było dla mnie rozkoszą znajdywać chwałę osobistą w chwale państwa tak potężnego i zasobnego.“ Nie zapomniał też nigdy o świętym obrządku, jaki się odbył w bazylice w Reims. Był człowiekiem, który zaślubił Francję. Siłą broni postanowił zdobyć wielkość dla tej mistycznej oblubienicy. Lecz nie zawsze mu się to udało. Przy końcu rządów, doświadczywszy już wszystkiego, pisał do swego wnuka, Filipa V: „Jeżeli sądziłeś, że być królem należało do rzeczy łatwych i przyjemnych, to pomyliłeś się bardzo.“

Doznał zawodu, wszelako wysokie poczucie godności własnej nie pozwala mu przyznać się do rozczarowania. I nie miałby racji zresztą. Gdyż osiągnięte korzyści są tak piękne i tak trwałe, że starczą na pociechę po tysiącu drobnych, przemijających przykrości.

A czy w rządach wewnątrz kraju miał więcej szczęścia? czy Francja, którą tak kochał i której tak z całego serca służył, zyskała dzięki administracji Ludwika XIV więcej, niż dzięki zwycięstwom wojennym?

CZĘŚĆ PIĄTA

CZŁOWIEK, KTÓRY ZAŚLUBIŁ FRANCJĘ

Jestem narówni Francuzem jak królem. Arzeczy, plamiące dobre imię Francji, bolą mnie więcej od wszystkiego.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„KRÓL IDZIE, PANOWIE!"

Zanim poznamy go w walce z przeciwnościami polityk wewnętrznej, przystańmy na chwilę, by przyjrzeć się królowi u siebie. I spróbujmy wyobrazić go sobie takim, jak był około roku 1682, wówczas mniej więcej, gdy Coysevox, u szczytu rozbłysku rządów, stworzył owo słynne popiersie. Jakże wyglądał wtedy z wejrzenia i duszy, w sercu i umyśle, po tak długim okresie rządów, w czasie których zdobył tyle doświadczenia i znajomości ludzi? Poza nim leżał ciąg długi zwycięstw, a nieprzerwany prawie pokój onegdaj właśnie zawarty, pasował go na arbitra Europy.

... Jest już blisko południa. W przestronnych komnatach Wersalu, który, nowiusieńki wówczas, rozbłyskał przepychem zwierciadeł, złoceń i świeżych malowideł, ciżba dworaków oczekuje pojawienia się władcy, który za chwilę przejdzie przez amfiladę salonów i uda się na mszę. Narazie Jego Królewska Mość bawi jeszcze w swej sypialni, rozmawia z dziećmi i krewnymi, z budowniczymi i domownikami. Nakoniec rozwierają się drzwi dwuskrzydłowe komnaty królewskiej. Obecni, zarówno z uszanowania jak z ciekawości, zachowują głębokie milczenie, a służbowy odźwierny wygłasza przepisane słowa:

— Panowie, król w pobliżu!

Król wydaje się człowiekiem stosunkowo wysokim, ramiona barczyste, znać trochę skłonności do tuszy. Idzie krokiem swobodnym, nieco elastycznym, posuwistym, niby tancerz próbujący pierwszych taktów, niby jeździec, który ma dosiąść rumaka. Nie wypiękniał wcale od czasu, kiedy to bawił wytworną rozmową siostrzenicę Jego Eminencji

kardynała. Na twarzy rumianej, ogorzałej od częstego przebywania na powietrzu, znać blizny po ospie. Ubrany bardzo skromnie, jeśli się zważy przepych i zbytek przeładowanych strojów ówczesnych. Wiadomo, że zwykł ubierać się bardzo szybko, jak człowiek, który zna wartość każdej minuty. Brat królewski, towarzyszący mu Monsieur, to jakby ucieszny kontrast z osobą Majestatu: spowijają go pióra, wstęgi, pierścienie i przeróżne kosztowności, za któremi przepada, niczem jakaś sułtanica ze Wschodu. Ubrany jest król w bronzowy frak, bez złotych szamerunków, wyjąwszy u kamizelki, bez pierścieni i diamentów, wyjąwszy chyba u sprzączek bucika, na podwiązkach i na kapeluszu. W kapeluszu na głowie, w rękawiczkach i laską w ręku, kroczy król przez pokoje. Pomimo stroju wcale skromnego i twarzy nie nazbyt pięknej, wywiera ogromne wrażenie, dostojne i majestatyczne. Wielkopańskość jego szlachetna i pełna wykwintu, wydaje się teraz przyrodzonym rysem postaci, teraz, bo dawniej nie odnosiło się tego wrażenia. Dzięki ćwiczeniom i sile woli udało mu się przybrać taki wyraz zewnętrzny, jakiego pragnął. Podobnie jak pewna wielka artystka z ubiegłego stulecia, która była brunetką, zdołała wraz ze zmianą koloru włosów przybrać cerę, charakter i nieomal temperament blondynki. Ludwik XIV, nieśmiały trochę za młodu, zakłopotany i sztywny w chwilach występów publicznych, teraz robi wrażenie człowieka niewymuszonego, o wrodzonym wdzięku i słodyczy w postępowaniu.

Kroczy z uśmiechem lub chmurą na czole, zależnie od okoliczności. Każdy ma doń przystęp, może wręczyć prośbę, lub prosić o łaskę. Zdarzają się zuchwalcy tak pewni siebie i zaufania monarchy, że, jak mówi Saint-Simon, zbliżają się ze swą prośbą aż do ucha pod peruką. Król odpowiada stale i niezmiennie: „Zobaczymy!“ Czasami, jeśli uzna za stosowne, dorzuci kilka słów pociechy lub obietnicy. A jeśli znów chce pozbyć się natręta lub winowajcy, przybiera mroźny i groźny wyraz twarzy. Wówczas z oczu olimpijczyka padają błyskawice i pioruny. Rozgadani dygnitarze milkną odrazu. Twarz króla przejmuje ich strachem. Zazwyczaj jednak bywa przystępny, rozmowny, stara się wprost zachowywać jak ojciec wśród swych dzieci. Bardzo

często zdarzy się, że oczaruje i zachwyci jakiegoś przybysza. Księżniczka Palatynatu, kochająca się potajemnie w swym dostojnym szwagrze, zauważyła to bez trudności: „Ilekroć król nasz pragnie przyjąć kogoś łaskawie, czyni to lepiej, niż ktokolwiek inny. Bez cienia przymusu w zachowaniu, staje się tak grzecznym i tak czarującym w głosie i sposobie rozmowy, że ulegamy natychmiast jego urokowi.“ — Musiało być w tem istotnie wiele prawdy, skoro nawet po śmierci króla, pomimo wszystkie usterki jego rządów i zarzuty, jakie mu z tej racji czyniono — nieraz dawały się słyszeć zdania o wielkim powabie osobistym Ludwika XIV. U trumny zmarłego króla w obecności całego parlamentu miał biskup Massillon wspaniałą mowę pogrzebową, którą więcej może cenić należy dlatego, że padło w niej również kilka znamiennych zastrzeżeń. „Wiecie wszak o tem, że Król Najjaśniejszy nie miał nic w sobie z odludka. Jeśli pozwolił już komuś zbliżyć się do siebie, był wówczas człowiekiem przemiłym. Umiał przyprawić swą łaskawość wdziękiem, wzruszającym więcej, niźli łaskawość sama. W rozmowach grzeczność posuwał daleko, gdyż umiał wyszukiwać najmilsze tematy. Niezapomniane są dla nas te chwile podniosłe i żałować tylko wypadało, że wskutek osamotnienia i pracy królewskiej, zdarzały się coraz rzadziej. Jesteśmy narodem wiernym, który rad zawsze królów swoich ogląda, królowi zaś dobrze jest zawsze przebywać wśród narodu, który go miłuje.“

Otóż odwrotna strona medalu: zarzut uczyniony Ludwikowi XIV, że zbyt rzadko pojawiał się wśród swego ludu i mówił doń za mało. Wszelako postępowanie to było świadome i dobrze wpierw rozważone.

* * *

Zkolei zobaczmy, jak zachowuje się na Radzie ministrów. Słucha bardzo uważnie, mówi niewiele. Ilekroć otworzy usta, to nie dla rzeczy błahych. Gdy przyjmuje na audjencji ciało ustawodawcze, lub odpowiada na mowę posła zagranicznego, ogranicza się do niewielu słów, ale wypowiedzianych z szlachetną swobodą i ogromną swadą. Językiem francuskim włada jak berłem w dłoni. Nazywają go wszak

„królem wymowy“ *(le roi de la langue)*. Widać, że gdyby tylko zechciał, mógłby rywalizować z mistrzami słowa. Nikt nie potrafi tak opowiadać, jak on, to pewne. Nawet Saint-Simon, chociaż wróg, uznać to musiał. Wszelako strzeże się gadatliwości i wszelkiego rodzaju niedyskrecji. Zachowanie tajemnicy, to w jego oczach najważniejsza z cnót monarszych. Bo od niej dobro państwa zależy. Zagraniczni bywalcy u dworu tak byli tem zdumieni, że aż Primi Visconti pisał: „Z niczem nie da się porównać tajemniczość, jaką król otacza sprawy państwowe. Ministrowie biorą udział w Radzie, ale król zaznajamia ich ze swojemi projektami dopiero wówczas, gdy je przepatrzył na wszystkie strony i sam powziął decyzję. Chciałbym, żebyście go kiedy zobaczyć mogli. Ma oczy lisie i wygląda na wielkiego symulanta. O sprawach państwowych nie rozmawia nigdy, wyjąwszy z ministrami w czasie Rady. Jeśli odezwie się paru słowy do dworaków, to z reguły w związku z ich zajęciami lub stanowiskiem. Wszystko jednak co mówi, chociażby w największych drobnostkach, brzmi jak wyrocznia“.

I oto dlaczego sprawy dyplomatyczne, czy wojskowe, były spowite tak ścisłą tajemnicą. Na wiosnę roku 1677, gdy cały świat sądził, że król zaprzątnięty jest w zupełności romansem z piękną panią de Ludres, on rozmyślał tymczasem nad planem ofenzywy we Flandrji. Milczeć — to jego dewiza. „Król — tak mówi w „Pamiętnikach“ — winien częściej słuchać, niż mówić, gdyż trudno mówiąc dużo, nie powiedzieć za wiele.“ A podobnie jak język trzyma za zębami, umie również panować nad wyrazem twarzy. Czasami trzeba heroicznego wysiłku, aby opanować poruszenie i ukryć gwałtowne pragnienie odwetu. „Ponieważ spełniamy na ziemi posłannictwo boskie, nie wolno nam poddawać się uczuciom, które mogłyby je obniżyć. Albo też, jeśli dla słabości usposobienia naszego uczynić tego nie potrafimy, musimy być przynajmniej na tyle rozsądni i kryć je tak długo, dopóki szkodzą dobru publicznemu, dla którego jesteśmy wszak przysłani na świat.“

Z uwagi tedy na dobro publiczne, nietylko dla dogodzenia samemu sobie, przestrzega król absolutnej tajemnicy, a niedyskrecję zwalcza szczególnie u wrogów państwa. Nie

lubi, aby ajenci zagraniczni zbyt dokładnie wiedzieli, co się dzieje we Francji. „Hrabia de Ferrero, ambasador sabaudzki, — opowiada Primi Visconti — nie wiedział, że Sycylja jest wyspą... Zmiarkowałem tedy odrazu, że będzie bardzo mile widziany u dworu, gdyż jak wiadomo, król nie lubi bystrych obserwatorów w swem otoczeniu“... Rozumieć to należy w tym sensie, że Ludwik XIV był postrachem szpiegów i plotkarzy.

Choć jednak z miną nieprzejrzaną i zamkniętemi ustami, wnosi przecie na Radę ministrów głęboką miłość swego zawodu. Z jaką pasją zajmował się wojskiem i wszystkiem, co dotyczyło wojen, słyszeliśmy już poprzednio. Ale inne dziedziny zarządu państwem obchodzą go równie żywo. Rozmiłowanie w swem zajęciu oto pierwszy w oczach króla warunek dobrego sprawowania rządów. Powiedział raz do swego syna: „Wogóle nie zdołasz nigdy poznać żadnej rzeczy dokładnie, będzie to drobnostka, czy ważna sprawa, jeśli nie potrafisz samemu zrobić jej z przyjemnością.“ Oskarżano go niejednokrotnie o potworny egoizm. W rzeczywistości był to jak gdyby „egoizm święty“, odnoszący wszystko do służby dla państwa, którego pierwszym sługą siebie mienił. Nie wypowiedział nigdy owych słów niedorzecznych, tak często mu przypisywanych: *L'état c'est moi* (państwo to ja). Okrzyk ten stoi zresztą w jaskrawej sprzeczności z poglądami człowieka, który daleki od myśliześrodkowania i wchłonięcia całego państwa w swojem ja, oświadczał, że przyszedł na świat jedynie dla dobra państwa. „Dobro publiczne, dla którego wyłącznie urodziliśmy się.“ W tej myśli domagał się od wszystkich ministrów i oficerów aby z taką samą, pełną wyrzeczeń namiętnością, poświęcali się służbie. Żądał całkowitego oddania się zawodowi. Dlatego nie lubił ludziom zakochanym dawać żadnego, chociażby najmniejszego polecenia. „Są to bowiem — tak mawiał — niewolnicy swoich namiętności.“

Pracownik zapamiętały, wymagał od swych współpracowników wysiłku, o jakim dzisiejsi rutynowani biuraliści nie mają zielonego pojęcia. Sławiąc bajeczną sprawność pomocników Napoleona I, stwierdza Balzac, że właściwie rozwinęli oni w dalszym ciągu metody monarchiczne, wpro-

wadzone przez Ludwika XIV. Prawie tyle przykładał się do roboty sam król, co ministrowie i ich podwładni. Od dnia, w którym wziął osobiste kierownictwo sprawami publicznemi nakłada sobie obowiązek stałej, dwurazowej pracy codziennie. W momentach szczególnie naglących, rezygnuje z wszelkich przyjemności, skraca rozrywki miłosne i zamyka się w swym gabinecie. Po śmierci ministra Louvois zasypany był, rzecz prosta, robotą i musiał dobrze przysiąść fałdów, aby zastąpić sprawność tak wybitnego pracownika. W tym czasie pisała pani de Maintenon do którejś z przyjaciółek: „Ludzie, którzy go znają dobrze, zdumieliby się, widząc, jak bardzo wiele pracuje teraz. Częściej, niż zwykle, odbywają się posiedzenia Rady ministrów, ponieważ spraw jest bez końca, a nadto dwie lub trzy godziny dziennie spędza na łowach. (Nie trzeba zapominać, że codzienne polowanie było wedle etykiety obowiązkowe.) O ile tylko może, wraca o szóstej, i potem już bez przerwy czyta, pisze lub dyktuje do dziesiątej. Często zaraz po kolacji żegna się z księżniczkami, aby załatwić korespondencję dla jakiego kurjera.“

Zadaje sobie tyle trudu dlatego, aby „poznać wszystkie sprawy do gruntu“ i do najmniejszych szczegółów. Wpośród przepisów zachowania się, danych synowi, na jedno kładzie nacisk szczególny: „Przedewszystkiem musisz poznajomić się gruntownie ze sprawami, gdyż monarcha, który ich nie zna, a zdaje się we wszystkiem na swych podwładnych i od nich zależy, nie zdoła się wkońcu ustrzec od tego, by aprobować to, co im się podoba“. Rzecz jasna, że w rzeczach, na których sam się nie znał, musiał zaufać ministrom. Żądał od nich wówczas dokładnych i jasnych sprawozdań, na których podstawie wydawał opinję, radząc się zawsze jednak swego doświadczenia i jasnego osądu. Ten ostatni ma wielką wagę w oczach królewskich. „Zdobywamy go — powiada — na podstawie długiego doświadczenia i wielokrotnych rozmyślań na podobne tematy.“ Można sobie wyobrazić, jak precyzyjną musiała być budowa umysłu, zdolnego do narzucenia sobie podobnej dyscypliny.

Decyzję ostateczną dyktuje mu nietylko jasny osąd i dokładne rozważanie wszystkich okoliczności, porówni zależy ona od poczucia dostojeństwa korony. We wszystkiem

szuka król pierwiastka wspaniałości. Ceni wysoko sławę imienia francuskiego, niezwykle drażliwy, gdy idzie o sprawę honoru narodowego. Z ministrem spraw zagranicznych, Arnoldem de Pomponne rozstaje się tylko dlatego, gdyż, „wszystko, co przechodzi przez jego ręce, traci na wielkości i sile, potrzebnych do wykonania rozkazów króla Francji, który nie jest byle kim.“ Czy można wogóle — spytajmy powtórnie — wyrazić myśl podobną bardziej wytwornie i bardziej poprostu? To określenie króla — a wiemy napewno, że napisane przezeń własnoręcznie — nietylko dowodzi, że był gorliwym patrjotą, lecz również wybitnym pisarzem francuskim.

Tak tedy coraz wyraźniej i dokładniej widzimy postać tego wyjątkowego władcy. Wydaje się on najbardziej skończonym typem latyńskiego człowieka, jaki istniał wogóle. Posiadał wszakże iście hiszpański zmysł wspaniałego zbytku, włoską żądzę użycia i zmysłowość, poczucie sztuk pięknych wszelkiego rodzaju, gibką żwawość ducha i trzeźwy realizm. A do tego wszystkiego dołączały się francuski umiar i zdrowy rozsądek.

Mimo tych wszystkich zalet i przykładania się do swych obowiązków, mógł się mylić jednak. Przyznaje się do omyłek bez fałszywego wstydu. Ani nie jest nieomylnym, ani panem wydarzeń. Lecz jakiekolwiek dotkną go niespodzianki fortuny i dopusty losu, umie je znieść i trwa do końca, z odwagą niewzruszoną. Po fatalnych klęskach w wojnie o sukcesję hiszpańską pisze na marginesie listu do ministra Chamillart, który grążył się w beznadziejnej rozpaczy: „Wszyscy jesteśmy godni współczucia, w tak strasznym stanie się znajdujemy, lecz nie wolno się poddawać, raczej wytężyć starania.“

Wytężyć starania, nieustraszonym być, zachować jasną stanowczość umysłu, korzystać z doświadczeń — oto w kilku słowach zawarta zasadnicza postawa polityczna Ludwika XIV.

* * *

Poznajmy go teraz, jakim był na dworze, w otoczeniu rodziny, małżonki i najbliższych krewnych. Zależało królowi na tem bardzo, aby odczuwali, jak dobrym jest wobec

nich. Surowość pojawia się tylko w razie ostatecznym, jako konieczny hamulec. Król, tak uważa, winien się odznaczać ojcowską dobrocią. Dobroć to pierwsza, jeśli nie wogóle najważniejsza z cnót królewskich. Coprawda, nie potrzebował się przymuszać, gdyż z natury był człowiekiem dobrym i sprawiedliwym. Nawet Saint-Simon to przyznaje. Bardzo niechętnie karał ludzi, a uważałby za rzecz niegodną siebie mścić się później na winowajcy. Tyle tylko, że miał się później na baczności. Przebaczył tedy wkońcu Fenelonowi, chociaż obrażony przezeń ciężko i niegodnie, darował na początku rządów winę Bussy-Rabutin'owi, który był zakałą dworu. Ten Rabutin przez całe swe życie nietylko szarpał, kogo się dało, pisywał również sprośne, skandaliczne książki, zniesławiał w nich kobiety, między innemi swą kuzynkę, panią de Sévigné, a w czasie śmiertelnej choroby młodego króla puścił w obieg epigram, zakończony takim dwuwierszem:

Mówią, że go nam zesłał Bóg.
Ach, gdyby go też zabrać mógł!

Aby uwolnić opinję publiczną od Rabutin'a, skazał go król na szereg lat wygnania do jego włości. W czasie pobytu w Saint-Germain w roku 1682 pozwolił wszelako szkodliwemu plotkarzowi powrócić na dwór. Oto w jakich słowach opowiada sam obżałowany chwilę swego powrotu do łaski: „Powstał król z klęcznika i szedł mi naprzeciw. Gdy już był u drzwi, padłem na kolana i objąłem go za nogi. Pochylił się, dotknął moich pleców, a musiał schylić się porządnie, gdyż leżałem prawie u nóg, poczem rzekł: Bussy, wstań! Gdy nie uczyniłem tego odrazu, powtórzył w tonie serdeczniejszym: Ależ mówię ci, Bussy, powstań! Ruszyłem się tedy, i powstałem ze łzami w oczach. — Cieszę się, że cię widzę — powiedział — bo przecie nie widzieliśmy się już oddawna. — Już siedemnaście lat, Sire! Szczęśliwy jestem, że mój powrót i sposób, w jaki mnie Wasza Królewska Mość przyjął, pozwala tuszyć, że wina będzie mi przebaczona. — Tak — odpowiedział — zapomniałem o wszystkiem. Nie zawsze byłem z ciebie zadowolony. Ale teraz jestem... od jakiegoś czasu. — Byłbyś był zawsze, Najjaśniejszy Panie, gdybyś mógł widzieć, co się dzieje w głębi

mego serca. — I ponownie rzuciłem się mu do nóg. Król uścisnął mi ramię i poszedł do swej komnaty. Zarówno ja, jak marszałek de Duras i prezydent de Mesmes zauważyliśmy, że był nieco wzruszony“...

Ilekroć był przekonany, że ma do czynienia z porządnymi ludźmi, umiał okazać wiele serdecznego pobłażania. Wybaczał im wówczas muchy w nosie, tolerował głupie uwagi, a nawet brak uszanowania. Dama honorowa królowej, panna de Coetlogon nadąsała się raz z jakiegoś powodu, nie chcąc wogóle rozmawiać z królem, ani pełnić swych obowiązków. Pewnego razu złość swą posunęła tak daleko, że nawet podrapała króla. Król wiedział doskonale, że powodem jest miłość nieszczęśliwa, roześmiał się, wydał zrozpaczoną owieczkę za człowieka, który był przedmiotem jej uczucia, wyposażywszy dostatnio młodą parę. Nierzadko odkładał nabok całą srogą majestatyczność i brał udział w zabawach, a nawet grubych żartach dworaków. Tak naprzykład przekomarzał się chętnie z siostrą pani de Montespan, panią de Thiange, która była częstym przedmiotem kpinek całego dworu. „Pewnego razu — opowiada Saint-Simon — włożył kilka włosów do masła oraz do tortu, które miano właśnie podać tej pani. Zaczęła krzyczeć, spluwać i krztusić się, potem porządnie nawymyślała królowi, który śmiał się na cały głos. Ona zaś, bywało, robiła taką minę, jakby weń chciała rzucić talerzem przez stół.“ Ta sama jejmość puszyła się kiedyś dumnie przed królem ze swych przodków, uważając go nieomal za parwenjusza. „I my także — chełpiła się — królowaliśmy niegdyś w naszych własnych państwach, mieliśmy generałów i ministrów i dworaków dokoła siebie.“ W takich chwilach król-Słońce odkładał zupełnie nabok glorję promienistą, stawał się wesołym kompanem zabaw, jak za dawnych, młodzieńczych lat.

W gruncie rzeczy był, jak się już rzekło, zwolennikiem równości. Uważał np., za rzecz niesłuszną, że młodzi księża, pochodzący ze znanych rodzin, chcieli odrazu zostawać biskupami, gdy szlachta najwyższego rzędu nie wstydziła się rozpoczynać służbę w gwardji od prostego muszkietera. Więc chociaż dla karności i porządku liczy się z tytułami i przestrzega przepisów etykiety, nie pozwala wywodzić się

w pole pod tym względem i nie znosi nadużyć. Pani de Maintenon opowiada, że kazał delfina wychowywać zprosta, jak zwyczajne dziecko mieszczucha paryskiego. Zabronił, aby w życiu domowem tytułować go „Monseigneur.“ Mówiono doń na codzień, jak stwierdza człowiek współczesny, panie delfinie. Zwracano się doń zawsze *per* pan, bez żadnych dodatków Mości lub Królewskiej Wysokości. Takie było wyraźne życzenie króla, który mógłby świecić przykładem dla ludzi przesadnie chełpliwych.

W czasie służby wojskowej musiał się pan delfin poddać surowemu rygorowi. Gdy książę de Maine, naturalny syn Ludwika XIV, ruszył pierwszy raz w pole, musiał trzymać straż w okopach. Król w czasie wypraw wiódł wspólne życie żołnierskie, jadał co się zdarzyło, gdzieś na brzegu stołu, a sypiał, jeśli wypadło, w stodole lub stajni. Warto przeczytać opis wyprawy do Flandrji w r. 1667, w pamiętnikach księżniczki de Montpensier (La Grande Mademoiselle), a zobaczymy, jak szczególnym uplotem zbytku i prostoty, żeby nie powiedzieć prostactwa, było wówczas życie królewskie.

Umiał atoli przystosować się, najłatwiej pod słońcem, do każdej okoliczności, a ludziom oddawał, co się komu należało. Miało się wrażenie, że podziela ich kłopoty i uciechy i też podzielał w rzeczywistości, gdy szło o kogoś z bliskich, przyjaciela, ministra, czy generała. Wybitnie czuły i tkliwy, płacz miał na zawołanie. Przy najmniejszej okazji: umarł ktoś, odjeżdżał, rozstawał się — łzy majestatu płynęły ciurkiem. Ta skłonność do płaczu przywodzi na pamięć piękne wiersze Sainte-Beuve'a o Racine'ie:

Il pleurait comme un exilé
Pour lui, pleurer avait des charmes.
Le jour que mourait dans les larmes
Ou La Fontaine, ou Champmeslé.

Trudno wiedzieć, czy płacz przedstawiał dla Ludwika XIV taki urok, jak dla Racine'a, to pewna jednak, że łzy płynęły mu z oczu z łatwością i że miał w sobie coś z wrażliwości artystycznej tego poety swego dworu. A mimo to zarzucano mu obojętną nieczułość w obliczu śmierci najbardziej oddanych sług tronu. Nie trzeba jednak zapominać, że w chwili, gdy



MINISTER COLBERT
według sztychu Jacques Lubin'a.

Colbert i Louvois odchodzili ze świata, król miał wiele do zarzucenia ich działalności. Weźmy natomiast do rąk notatkę, nakreśloną przez króla na marginesie listu kawalera de Seignelay, donoszącego mu o groźnym stanie zdrowia swego ojca, a zobaczymy, czy istotnie Ludwik XIV był człowiekiem niewdzięcznym i twardego serca: „Stan zdrowia twego ojca poruszył mnie boleśnie. Pozostań przy jego łożu, jak długo będzie potrzeba, i jako dobry syn nie zapominaj wśród bólu o niczem, co mogłoby ulżyć jego cierpieniom. Żywię wciąż jeszcze nadzieję, że Bóg nie odwoła go z tego świata, gdyż jest tak bardzo potrzebny dla dobra państwa. Życzę wam tego z całego serca, a to ze szczerej przyjaźni, jaką mam dla niego, dla ciebie i całej waszej rodziny.“ Natomiast minister Louvois umarł w pełni wojny. Otoczony wrogami Ludwik XIV musiał udawać, że utrata takiego ministra nie osłabia wcale jego pozycji i że może się obejść bez jego usług. Było to raczej posunięcie taktyczne, przyjęte zresztą ze zrozumieniem przez rozsądnych ludzi. Zależało chyba królowi na tem, aby był kochany przez swych ministrów, jak wogóle na sympatji u wszystkich poddanych. Był człowiekiem kochanym powszechnie, człowiekiem wprost ubóstwianym. Odwzajemniał te uczucia, jak umiał i w miarę jak uważał, że to się godzi z powagą korony. „Jakkolwiek kocham bardzo sławę, uważam, że dobry władca dopiero wówczas może być w pełni zadowolony, jeśli poddani go nietylko kochają, lecz i podziwiają.“ Na miłość poddanych odpowiadał uczuciem ojcowskiem. „Wolę być ojcem mego narodu, niż ojcem moich dzieci. Gdyż pierwsze dała nam przyroda, drugie zaś zdobyć trzeba przez własne zalety.“

* * *

Człowiek mocnej woli i „hartownego serca“ — własne jego słowa — był jednak, ile mu tylko ciężkie brzemię pozwalało, dobrym ojcem, szlachetnym i czułym bratem, powolnym wreszcie i troskliwym, chociaż nie nazbyt wiernym, małżonkiem. Tęsknił wciąż do „tkliwości“ (często powtarza to słowo w „Pamiętnikach“) i do zaufania. Połączony z kobietą brzydką i prawie bez żadnej treści wewnętrznej starał

się zaspokoić obie te tęsknoty przy boku swych kochanek. Pomylił się. Po wielu gorzkich rozczarowaniach, po straszliwych cięgach, jakie mu zadała pani de Montespan, zdawało mu się, że wreszcie, gdy przeminęła już czterdziestka, znalazł czego szukał tak długo — w osobie pani de Maintenon.

Zdaniem madame de Sévigné, miała pani de Maintenon dać poznać królowi „świat dotąd zgoła nieznany, świat przyjaźni, rozrywek i rozmów, wolnych od przymusu, dalekich od matactwa.“ Może i było w tem trochę prawdy. Miał już tamtej powyżej uszu, ordynarna była i zła, napastliwa i mściwa, robiła mu nieustanne awantury. Teraz zaś wypoczywał oddany słodyczom nieznanej dotąd przyjaźni kobiecej. Ta przyjaźń była również miłością, ale miłością bez wstrętnych przywar i bez obrzydliwego egoizmu tamtej. A więc dla króla nowość wielka i pełna uroku. W dziedzinie konwersacji pani de Montespan raczej psuła króla i marnotrawiła. (Nawiasem zauważyć trzeba, że listy jej przedstawiają żałosny obraz pracowitej gmatwaniny, dziwna rzecz u tak inteligentnej kobiety.) Pani de Maintenon ujęła dostojnego kochanka nietylko umiejętnością rozmowy, ale i ciekawym jej tematem. Ona to właśnie odkryła przed nim inny świat, świat wzruszeń religijnych. Król nie jest stworzony na teologa, czy mistyka to pewna, a ci, co mu zarzucają, że nic nie rozumiał z św. Augustyna lub z delikatnych pojęć „miłości czystej“ wedle Fenelona i pani Guyon, nie wiedzą co mówią. Tak, to nie była jego rzecz, miał wszak co innego do czynienia, niż zagłębiać się w foljantach dysput teologicznych. Lecz niezawodnie powierzchowne pojęcia religijne króla oczyściły się i pogłębiły w rozmowach z panią de Maintenon. Zwrócił się umysł jego do uczuć i spraw, które przedtem ledwie odgadywał.

Nadewszystko jednak pociągała Ludwika ta starsza o wiele od niego kobieta przez swe bezgraniczne i zupełnie bezinteresowne oddanie. Mówiła do niego: „Sire! Nie pragnę niczego dla siebie. Nie pociągają mnie bogactwa, ani zaszczyty. Pragnę tylko duszy twojej, nie dla siebie, lecz by ją zdobyć dla Boga. Mojem posłannictwem na ziemi jest dbać o zbawienie twej duszy. Tylko w tym celu żyję, tylko poto pozostanę zawsze przy tobie.“ Łatwo zrozumieć,

że tego rodzaju słowa musiały wywierać wielkie wrażenie na zatwardziałym grzeszniku, który żył w wiarołomstwie małżeńskiem i pragnął się oczyścić z tego brudu. Przyjął tedy nietylko pomoc i przyjaźń tej kobiety, lecz pragnął również ożenić się z nią koniecznie. Jako zwolennik równości nie uznawał żadnych przesądów kastowych. Niewiele brakło, a byłby pojął awanturnicę Marję Mancini. Już więcej zaparcia się wymagał zamiar poślubienia pani Scarron, wdowy po kalece i nędznie-złośliwym pisarczyku, którego życie cygańskie obfitowało w szereg skandalów. Mimo to poślubił panią Scarron, uważając, że na takie poświęcenie niema dość wielkiej ceny.

Ale i tym razem rozczarował się. Pani de Maintenon, nowa małżonka, była jaskrawem zaprzeczeniem wszystkich jego upodobań i skłonności, najściślej związanych z całym charakterem króla. Gorzej dobranego małżeństwa nie można sobie wyobrazić. Nie posiadała ani krzty delikatności, nie była nawet kobietą w pełnem znaczeniu. Dopiero spowiednik musiał jej nakazać wypełnienie obowiązków małżeńskich. Zaufany jej arcybiskup z Chartres, Godet des Marais, udzielił jej razu pewnego takich dość szczególnych rad: „Słabemu człowiekowi trzeba udzielić opieki, inaczej pobłąka się... Jak pięknie, z poczucia cnoty prawdziwej uczynić coś, co inne kobiety czynią z namiętności bez żadnej przytem zasługi.“ — Ponadto pani de Maintenon była bardzo trzeźwa, pozbawiona poczucia artystycznego, nie rozumiała upodobań królewskich w architekturze, ani w innych sztukach pięknych. Nie znała się również na polityce i co gorsza, tchórzem podszyta w chwilach krytycznych, udzielała staremu małżonkowi rad, sprzecznych z interesem narodu.

Ucierpiał wiele Ludwik XIV wskutek błędów popełnionych przez swą towarzyszkę życia, która była istotą po mieszczańsku przeciętną, zdolną może do kierowania zakładem wychowawczym dla dziewcząt w Saint-Cyr, ale żadną miarą nie dorosłą do korony Francji. Pomimo wszystko, posunął tak daleko swą wierność i poświęcenie, że znosił ją aż do końca dni swoich. Jakkolwiek pani de Maintenon nie brała bezpośredniego udziału w rządach — wyjąwszy udział w Radzie Duchownej dla wyboru biskupów i bene-

ficjantów — król zwykł w jej apartamentach pracować ze swymi ministrami. Przekonany był, że ta kobieta, która słuchała obrad z wielkiem roztargnieniem, jest bardzo sprytna i bystra, a posiada tak wielką znajomość duszy ludzkiej, że prędzej, niźli on sam, wykryje fortele i sztuczki jego współpracowników i zwróci mu na nie uwagę. Pomimo wszystko, co ich rozdzielało, wytrwał król wiernie przy boku pani de Maintenon. I mógł szczerze a niewymuszenie wyrzec na łożu śmierci te słowa, które dały najgłębsze świadectwo jego uczuciu: „Kochałem cię zawsze i czciłem".

Pozostał tedy właśnie sam, zawiedziony i rozczarowany w swem wielkiem łaknieniu miłości. Po dzieciach i bliskich krewnych nie mógł się też spodziewać żadnej pociechy. Brat króla, opanowany w zupełności przez niegodnych faworytów, należał do najperfidniejszych ludzi na świecie. Więc bardzo słusznie trzymał go król zdala od wszelkiego wpływu na rządy. Nie działo się to bynajmniej z zazdrości, czy z despotycznego egoizmu, lecz z prostej przezorności. A co do dzieci, zarówno prawowitych jak i tamtych innych, to zbyt dobrze znał nicość delfina, aby się oddawać jakimkolwiek złudzeniom. Z równą słusznością niedowierzał bigoterji księcia Burgundji, otoczonego gronem ideologów z utopijnym Fenelonem na czele, który skrzywił mu umysł zupełnie. Pozostawali jeszcze synowie z nieprawego łoża (zob. Uzupełnienia, rozdział drugi). Król żywił dla nich skryte uczucia przywiązania, wiadomo też, że książę de Maine miał nierównie więcej inteligencji od delfina.

Nie brakło także dworzan i faworytów, darzonych szczególną życzliwością. Do takich należeli de Vardes, Lauzun, La Rochefoucauld. Wiedział król wszelako, że zaufanie można posuwać tylko do pewnych granic. Przenikliwem spojrzeniem ogarniał zgniliznę lub płytką przeciętność ludzi, pochłoniętych w zupełności przez intrygi i niestworzone awantury. Z drugiej strony wiedział, że otoczony jest wrogami, otrzymywał bezustanku listy z pogróżkami. Dochodziły go sprośne piosenki, w których wyszydzano i mieszano z błotem wszystko, co miał drogiego. Był świadkiem, jak prawie wszyscy członkowie jego rodziny zginęli od trucizny. I na niego samego czyhali również tru-

ciciele. Wiedział o wszystkiem. Jak również i o tem, że w pewnych chwilach krytycznych odbiegali go ministrowie, zostawał wówczas jak mówił „sam jeden człowiek, który kocha państwo“. A mimo to nie zwątpił nigdy — a przynajmniej długi czas nie zwątpił. Wewnątrz siebie nie czynił żadnej różnicy pomiędzy człowiekiem a władcą. I cokolwiek się działo, jakieby nie padały mu kłody pod nogi, pomimo odrazy jaką czuł, i zdrad, jakich się wobec niego dopuszczano — pracował bez przerwy, wedle najlepszych sił i możności. Pracował na stanowisku, które mu Bóg przeznaczył. I wytrwał po królewsku aż do końca.

* * *

Nikt inny nie wypełnił swego zadania tak całkowicie i wzorowo. Nikt inny nie sprawował władzy królewskiej z takim kunsztem i zarazem prostotą. Podobnie jak u ludzi prawdziwie religijnych widać ich wiarę głęboką już w samym sposobie klękania lub składania rąk, tak Ludwika XIV przenikała nawskroś idea monarchiczna. Czynił wszystko z głębokiego poczucia królewskości. I myśl o tem, że jest królem, nie opuszczała go prawie nigdy.

Należy, zapewne, wydobyć na jaw powabne i familjarne strony jego usposobienia. Ale oprzeć się na nich wyłącznie, znaczyłoby zniekształcić oblicze Ludwika XIV. Obok zewnętrznego dostojeństwa majestatu, obok tego co Francuz nazywa *grand air*, cechowała go jeszcze bardzo poważna postawa moralna. Narodowi, który miał zawsze pociąg do lekkoduszności i chełpy swawolnej, umiał dodać powagi w myśleniu i zachowaniu. Monarchą w stylu francuskim *à la bonne franquette* był raczej Henryk IV. Latynem bardziej niż Francuzem wydaje się nam Ludwik XIV. Tę romańską powagę i surowość wprowadził on nietylko do manier towarzyskich, ale do obyczajów, do literatury, nawet do myśli francuskiej. W słynnym jednym ustępie podkreśla Saint-Beuve z szczególnym naciskiem ten rodzaj wpływu Ludwikowego.

Starzy dworacy, przyzwyczajeni do opieszałości za czasów Frondy i Regencji, z oporem poddawali się rygorom nowego porządku. La Fare zarzuca królowi w swych pamiętnikach,

że już z natury ma usposobienie surowego pedanta. To chyba za ostro. Nie ulega natomiast wątpliwości, że już od lat młodych Ludwik XIV zrażał bardzo często ludzi do siebie wskutek nieustannego przymusu, jaki sobie zadawał, owej pewnego rodzaju samo-ascezy, jako też dzięki zmysłowi porządku i ogromnej akuratności we wszystkiem. Innych znowuż cechy te czarowały poprostu. Takiego chociażby Primi Visconti, gdy pisze: „Mogę was zapewnić, że pominąwszy jego grzeszki miłosne, oraz ambicję, aby królestwo swe powiększyć, zabrać trochę to temu to owemu (zważmy, że mówi cudzoziemiec) — prawie niesposób znaleźć człowieka bardziej sprawiedliwego, ustatkowanego i wogóle przykładnego. Wprost świętym możnaby go nazwać.“

Określenia powyższe nie zawsze zgadzają się z rzeczywistością. Ale ta właśnie przesada świadczy, jak dalece ludzie współcześni podziwiali wysokie zalety moralne i duchowe króla i jego wogóle powagę. Takim był naprawdę Ludwik XIV. Bo tamten, heros, trochę emfatyczny i nadęty, jakiego wysławiała literatura ówczesna, jest raczej wymysłem polityków i także — co trzeba podkreślić — wytworem narodowej miłości własnej. Król grał rolę Jowisza z piorunami poto tylko, aby zaimponować, ile się dało, koalicji wrogów, a naród rozsmakował się w ubóstwianiu swego monarchy. Wszystko, co piszą dzisiejsi nasi pisarze o Francji — cała ta tradycjonalna retoryka, która oskarża nas w oczach zagranicy o imperjalizm — pisano już o Ludwiku XIV współcześnie.

Listy jego dowodzą, że przykładał właściwą miarę do tych słów przychlebnych. Nie było człowieka większej odeń trzeźwości i tak wrogiego pozorom bez treści. Oto zaiste monarcha sumienny, w pełnem znaczeniu wyrazu. Dowiedzie tego zresztą sam, rozwijając w swych uwagach „o zawodzie królewskim“ osobistą teorję sprawowania władzy.

ROZDZIAŁ DRUGI

TEORETYK MONARCHJI FRANCUSKIEJ

Gdy nazajutrz po śmierci Mazariniego nabrał król wyobrażenia, co znaczy właściwie być królem Francji, gdy ogarnął zakres swej władzy i owo wspaniale-bezmierne pole, jakie się otwierało przed jego żądzą sławy — uczuł się jakby porwany wzwyż. Uczuł przybór w całem swem jestestwie, i wzmagającą się wolę potęgi. Dla nauki syna stara się w swych „Pamiętnikach" objaśnić to zawrotne a niepochwytne wzruszenie, tę, jeśli tak powiedzieć można, narastającą świadomość swej nad-ludzkości: „Zdawało mi się wówczas, że byłem królem i urodziłem się poto, aby nim być. Owładnęła mną trudna do określenia słodycz, którą pojmiesz wtedy dopiero, gdy sam jej zakosztujesz."

Jeśli ktoś jest królem ze wszystkich sił serca swego i tyle odczuwa dumnej uciechy z tego powodu, tedy nic dziwnego, że kocha swój zawód i zna go nawylot. Trudniejsza rzecz natomiast, zdać sobie z tego jasno sprawę. A Ludwik XIV właśnie czyni usiłowania w tym kierunku. Najpierw dla uświadomienia siebie samego, powtóre dla syna i potomności, „aby dać wskaźnik historji, jeśli zacznie się błąkać i mylić, nie mając dostatecznego wglądu". Dotyczą te słowa przedewszystkiem historyków francuskich, którzy z niesłusznem lekceważeniem odnieśli się do „Pamiętników" królewskich. Prawda, że te „Pamiętniki" nie są skończone, ale zawsze starczy ich na tyle, by ogarnąć całość myśli Ludwikowej, a z porównania luźnych fragmentów zdobyć pogląd na jego teorję o władzy monarchicznej. Spisywał je król osobiście, lub kazał pod swojem okiem notować poszczególne spostrzeże-

nia, poddając je potem rewizji i uzupełnieniom. Jesteśmy pewni wobec tego, że niema tam zapatrywań, które mu ktoś podsunął, król sam, siedząc niejako poza biurkiem w swym gabinecie do pracy, wyłuszcza nam zasady monarchizmu francuskiego.

* * *

Rozpoczyna się wykład od wyjaśnienia różnicy pomiędzy władzą duchowną i świecką niejako. Przekonany jest najgłębiej, że moc jego pochodzi w prostej linji niewątpliwie od Boga, który jest źródłem wszelkiej władzy. Nauka to czysto gallikańska, której bynajmniej nie wymyślił Ludwik XIV, jak się to mówi powszechnie, szerzyła się wszakże oddawna we Francji, stale zwalczana przez kościół. Gdyż kościół przyznaje królom władzę z bożej łaski tylko wówczas, gdy otrzymują sankcję swego ludu.

W oczach Ludwika XIV, jako też zdaniem uczonych i prawników gallikańskich, władza królewska to posłannictwo otrzymane od Boga wprost, bez żadnych pośredników. Pomazanie olejami w czasie aktu koronacji, widomy dowód tej władzy, wydaje się królowi ósmym sakramentem kościelnym. Wszakże i on został namaszczony, podobnie jak papież i biskupi. Wiadomo mu nawet, lub tylko sądzi, że wie, jak daleko ma sięgać to przedstawicielstwo prawa bożego na ziemi. Papież i kapłani niechaj się troszczą o zbawienie duszy człowieka, król o rozrząd doczesnych spraw swych poddanych. I oto dwie dziedziny, od początku dokładnie rozgraniczone. Już wiecej nie będzie o tem mowy w praktyce, skoro się raz ustaliło przestanki. Władza świecka rozwija się równolegle do władzy duchownej, jakgdyby państwo miało i mogło być instytucją wyłącznie świecką. Doradcy gallikańscy Ludwika XIV mogli sobie próbować, nakłaniając króla do legislatywy również w dziedzinie spraw kościelnych, on sam również może miewał pokusy w tym kierunku; zawsze jednak skończyły się na niczem ich zamiary: musieli się ukorzyć przed władzą Namiestnika Chrystusowego. Król mógł dyskutować na temat granic tej władzy, jej samej jednak nie poważyłby się podać w wątpliwość.

W całej pełni i okazałości umie też król wykonywać władzę, którą mu dał sam Bóg i o której uznanie walczy tak energicznie. Nie chce dzielić jej z nikim. Ani z faworytami, ani z prezesem ministrów. Nie chce rozdrabniać jej między trybunały, ani rady królewskie. Odczuwa wprost pogardę dla tych mizernych naczelników państw, którzy zdani są na łaskę i „na niedyskrecję, stowarzyszonego motłochu.“ Wprost przeciwnie: wszelkiemi środkami stara się zabezpieczyć swą suwerenność i bezwzględną swobodę decyzji. Raz dlatego, że tak chce Francja, powtóre, że to godzi się z jego własnem pojęciem ideału władzy i poniekąd z jego poczuciem sumienności. Do tego stopnia nie ma zaufania do swych ministrów, krewnych najbliższych i faworytów, że trzeba podstępu nielada, gdy się pragnie wpłynąć na jego decyzję, lub, przy obsadzaniu urzędów, podszepnąć mu wybór człowieka. Nawet osoba tak zręczna i ujmująca, jak pani de Maintenon, nie odważy się wprost powiedzieć mu, czego pragnie. Musi ona udawać obojętność wobec kandydata, którego popiera, gdyż wie, że najmniejszy ślad zainteresowania z jej strony będzie dostatecznym dla króla powodem do odrzucenia protegowanego.

Ludwik pragnie być władcą zupełnie samodzielnym, powodującym się jedynie sprawiedliwością i rozumem. Setki razy wraca do tego przekonania, że autorytet monarchy to autorytet rozumu. Pod tym względem skończony kartezjańczyk, jest człowiekiem epoki swojej. Pierwiastek przedewszystkiem racjonalistyczny sprawia, zdaniem jego, że władza monarchiczna wyrasta wysoko ponad wszystkie inne. „Albowiem niema pana, któryby nie był niesprawiedliwym, podobnie jak niema wojsk, któreby nie okazywały rozwiązłości, niema dziedzica, któryby nie tyranizował chłopów, niema poborców, posłów, czy woźnych sądowych, którzyby na swojem podwórku nie popełniali karygodnych przekroczeń... W miejsce jednego króla, którego powinny mieć narody, wydaje się ich na łaskę tysiąca tyranów, z tą różnicą wszelako, że rozkazy takiego władcy prawowitego są zawsze łagodne i umiarkowane, gdyż płyną z podstaw rozumu, natomiast rozkazy fałszywych władców są popędliwe i krzywdzące, wydaje je bowiem nieokiełznana namiętność.

Rządzi więc zapomocą rozumu. Wszelako ten rozum winien być miarkowany doradami zdrowego rozsądku, „trzeźwego realizmu“, jakbyśmy dziś powiedzieli, Ludwik XIV zaś posiadał ten zdrowy rozsądek w genjalnym wprost stopniu. Dzięki temu, mógł się doskonale orjentować w sytematycznem oblagowywaniu go przez ministrów, mógł abstrakcyjnej logice i biurokratyzmowi Colbert'a, czy Louvois przeciwstawić jasny osąd na płaszczyźnie rzeczywistości, i właściwie oceniać sprawy, których mu bronić wypadło.

Powiedział sobie wkońcu, że tylko on jeden w swej osobie zespolić mocen wszystkie gałęzie zarządu państwem, a każdy z ministrów niech pozostanie przy swej specjalności. Jemu jednemu uchodzi rozstrzygać o ogólnem dobru państwa. W ten sposób indywidualny jego rozum zespalał się w jedno z rozumem państwa. „Gorzej jest zawsze narodowi, skoro ma kontrolować, niż znosić rządy królów, których sędzią jest sam Bóg. Jeśli zaś nawet pozornie czynią oni coś przeciw prawu ogólnemu, dzieje się to często dla dobra państwa, — i oto najwyższe prawo, uznane zgodnie przez cały świat, natomiast zapoznawane i niedoceniane przez tych, którzy rządów nie sprawują.“

* * *

„Rządy królów, których sędzią jest sam Bóg!“ Straszliwe to słowa! Ale też Ludwik XIV miał równie straszliwą świadomość odpowiedzialności, ciążącej na człowieku obarczonym taką władzą.

Chcąc się tedy okazać godnym tego zadania i rządzić wyłącznie samemu wedle rozumu i wedle sprawiedliwości, należy nietylko wziąć się z ogromną pilnością do pracy, lecz zdobyć również jasny rozgląd we wszystkiem tak, aby zarządzenia królewskie stanowione były zawsze na zasadzie dokładnej znajomości rzeczy. Stąd poszło, że Ludwik XIV okazał się tak niezmordowanym pracownikiem. Sam pragnął wszystko widzieć i wiedzieć, poznać, ocenić, osądzić i zadecydować. Do końca życia pracował bez przerwy po osiem i dziewięć godzin dziennie. Ideałem władcy jest w jego oczach człowiek, który może powiedzieć: Wiem o wszystkiem!

Zależało mu szczególnie, by aż do najdrobniejszych szczegółów poznać swoje królestwo, zarówno mieszkańców, jak urządzenia państwowe. Bogactwo ziemi i jej urodzajność i zasoby, możność nowych dochodów, sprawy podatków i ich rozpiętość, oto co go zajmowało, a dalej temperament urzędników administracyjnych, oraz charakter narodu: co myślą, o czem mówią, jakie intrygi knują nietylko na dworze i w Paryżu, lecz nawet w najbardziej zabitych deskami zakątkach prowincji. A wreszcie władca tak wybitny nie mógł żyć pod kloszem, podobnie jak zresztą i lud jego. Musiał zapoznać się z zagranicą. Raz dlatego, aby wiedział, jak się przeciw niej bronić, powtóre dla porównania zasobów innych państw, jaki mają przemysł i handel, armja czy bitna, jakie zamieszki polityczne, jakie tajemnice dworskie. O tem wszystkiem informować go musieli dokładnie przedstawiciele dyplomacji lub specjalni wysłańcy. „Człowiek, nie powiadomiony dokładnie o wszystkiem, co się dzieje, nie spełni dokładnie swych obowiązków."

Nie wystarczy sama znajomość stanu dzisiejszego, człowiek, który rządzi, równie dobrze powinien rozumieć przeszłość. Przystoi tedy każdemu królowi znać dobrze dzieje swego kraju, przedewszystkiem historję polityczną i wojskową. „Doszedłem do wniosku, że znajomość wielkich wydarzeń światowych, o ile ją posiądzie umysł potężny, może nielada wzmocnić jego postawę i siłę osądu w ważnych okolicznościach. Przykład sławnych mężów, dalej szczególnie cenne przekazy, pozostawione nam przez starożytność, mogą nastręczyć wiele pożytecznych punktów wyjścia, czy to w sprawach wojny, czy w sprawach pokoju... Cała trudność byłaby w tem, że trzeba na to czasu." Ludwik XIV umiał jednak zaradzić i temu. „Postanowiłem sobie — wyznaje — poświęcić tej nowej nauce stale kilka godzin czasu, jak gdybym się oddawał jednej z najważniejszych spraw państwowych."

Lecz osobisty wysiłek króla, jakkolwiek bardzo intensywny i w miarę możności regularny, mógł mu dostarczyć jeno części wiedzy, potrzebnej do rozrządu państwem. Ministrowie musieli ze swej strony przyłożyć się, każdy w swoim resorcie, do informowania króla. Nietylko ich słuchał i ich

rady przyjmował, lecz również zasięgał zdania ludzi kompetentnych. Gromadził informacje, kontrolował opinję jednych zapomocą zdania drugich, rozszerzał swe pole widzenia. W tych razach musi się król uzbroić w cierpliwość. „Powinien — słowa Ludwika XIV — umieć słuchać nawet głupstw oczywistych.“

Rządzić znaczy nietylko: wiedzieć, rządzić znaczy również: przewidywać. Należy wiedzieć, co zrobimy dziś, a jak się zachowamy jutro i z tego punktu widzenia wszystko ułożyć. Trzeba w tym celu zaapelować do wszystkich zasobów narodu, do jego złota, żołnierzy i sprawności, do tych rozmaitych środków, jakie przemysł i wiedza mogą postawić do dyspozycji naczelnikowi państwa. A więc genjalne pomysły Colbert'a. Ludwik XIV podzielał bowiem przeważną ilość zapatrywań tego ministra i wspierał je energicznie. Można tedy stwierdzić, że rządy jego dały Francji i Europie współczesnej wzór i przykład organizacji.

Nie można dość silnie podkreślić tego pozytywnie-naukowego charakteru państwa w rozumieniu Ludwika XIV. A pozatem tak trzeźwy i racjonalistyczny rząd starał się być rządem sprawiedliwym. Król rozpisał się obszernie o sprawiedliwości królów. Sprawiedliwość wraz z łagodnością i dobrocią należą, jego zdaniem, do naczelnych cnót królewskich. Książę sprawiedliwy potrafi się oprzeć pokusie pychy i potrafi nawet, gdy zajdzie potrzeba, okazać się pokornym. Ta myśl natchnęła Ludwika XIV do przepięknych słów, które zawsze przypominać trzeba, ilekroć bierze nas ochota, oskarżyć go o pychę nie do zniesienia. „Jeżeli stanowisko nasze — mówi do swego syna, delfina — uprawnia nas słusznie do dumy, to wymaga ono również skromności i pokory niemniej godnych pochwały. Nie wierz, mój synu, że to cnoty nie dla nas stworzone. Wprost przeciwnie, przystoją nam one więcej, niźli innym ludziom. Gdyż ci, którzy nie posiadają bogactw, ani zasług, nie potrzebują wcale być skromnymi i pokornymi, jakkolwiek mało myśleliby o sobie. Natomiast konieczne są te zalety u ludzi, wyniesionych wysoko, gdyż u nich łatwo o próżność. Gdy jednak całe otoczenie zacznie nadskakiwać dokoła ciebie, przepełniając cię jedynie myślą o tobie samym, wówczas

nie szukaj, mój synu, porównań z władcami pośledniejszymi od siebie. Raczej pomyśl o tych mężach z wieków minionych, którzy zażywali największego podziwu i poszanowania... Postępuj surowo z przejawami własnej słabości. Wtenczas, synu mój, okażesz się prawdziwie pokornym. Ilekroć jednak chodzić będzie o pozycję, jaką zajmujesz na świecie, o prawa korony twojej, o króla wkońcu, nie o człowieka, wówczas bądź ze wszystkich sił dumny, całem sercem i umysłem. Nie umniejszaj nigdy chwały swych poprzedników, ani pożytku swych następców, tej chwały jesteś depozytarjuszem. W takim wypadku bowiem skromność twoja byłaby nikczemnością.“

A więc wyłącznie w interesie państwa, którego jest pierwszym sługą, winien być król dumnym ze swej korony. Do tego zapatrywania powraca Ludwik niejednokrotnie. Po sto razy powtarza w „Dzienniku“ swym i „Pamiętnikach“, że władca nie ma innej racji bytu, jak służyć państwu, któremu wszystko ofiarować winien, czas swój, przyjemności, umiłowania najdroższe choćby, a w potrzebie i życie również. Dobro państwa to jego cel jedyny. Pod słowem państwo rozumieć należy Francję, tę Francję, którą poznał do gruntu, której zgłębił istotną rzeczywistość. Francję konkretną i żywą, jej wieśniaków i rzemieślników, szlachtę i urzędników, księży i żołnierzy. W marcu roku 1666 pisze w swym „Dzienniku“, myśląc o swych poddanych, z których każdego radby widzieć na właściwem stanowisku: „Kochać trzeba ich wszystkich. I być przekonanym, że każdy z nich służy nam choć w inny sposób. Nie być nigdy stronniczym, lecz zawsze sędzią i ojcem pospólnym“... Z pośród różnych zawodów, które przynoszą swą cząstkę „na rzecz wielkości i podtrzymania monarchji“ stawia na pierwszem miejscu wieśniaka. „Wieśniacy są bardziej pożyteczni od żołnierzy, gdyż bez nich nie mogłoby istnieć ani wojsko, ani naród.“

* * *

Państwo, zbudowane na zasadzie rozumu i racjonalnie urządzone, nabiera form łagodnych i humanitarnych, dzięki sprawiedliwości i ojcowskiej dobroci swego księcia. Skorośmy

wyjaśnili ten nawskroś humanitarny charakter monarchji Ludwika XIV, godzi się określić ją dokładniej: Było to państwo świeckie i oparte na zasadzie równości — równości w tym sensie, że zasługa osobista znaczyła więcej, niż pochodzenie. Państwo, oparte na fundamencie rozumu i wiedzy, które dążyło do coraz energiczniejszego dobywania bogactw i sił z narodu swego.

ROZDZIAŁ TRZECI

URZĄDZENIE FRANCJI NOWOCZESNEJ

Nie należał Ludwik XIV do ludzi, którym wystarczą teoretyczne rozprawy o rządzeniu. Rządzenie samo rzeczywiste, interesowało go i pasjonowało dopiero. Z prawdziwym entuzjazmem trzymał ster państwa, oddany mu całkowicie i bez reszty. Był królem Francji w całem znaczeniu i całej powadze tego wyrazu. Żaden z dzisiejszych sterników państwa nie zna kraju tak dokładnie, jak on go poznać zdołał. Jak długo mógł się poruszać i jeździć konno, przebiegał Francję wszerz i wzdłuż, od Lille do Perpignan, od Bordeaux do Lyonu, od Hawru do Strasburga. I bynajmniej nie śladem dzisiejszych dostojników państwowych, jako chybki wojażer, który przez szyby wagonu salonowego, albo limuzyny, chwyta garść przelotnych i płytkich wrażeń. Ludwik jeździł wolno, przystając wiele, ciekaw wszystko zobaczyć i zdać sobie sprawę z wszystkiego. Jeździł z reguły konno, używając kolasy wówczas tylko, gdy był zmęczony lub chory. Niestrudzony myśliwy aż do siedemdziesiątego czwartego roku życia, znał na palcach całą swą Ile-de-France i puszcze królewskie od Rambouillet do Vincennes i od Compiègne do Fontainebleau. Zwiedził osobiście przeważną część miast i nawet wsi, gdzie niegdzie zatrzymywał się nawet dość długo. Znał przydrożne oberże, w których często spoczywał i nocował, pamiętał promy, porty i mosty nad rzekami, które często przemierzał i kędy lądował. Nietylko wiedział, jak się zowie pan burmistrz w Aix, czy w Tuluzie, lecz pamiętał nawet, jak wygląda, jakie ma kłopoty i wady, jakie spory wiedzie z dygnitarzami miasta. Tu arcybiskup kłóci się z kapitułą, tam parlament z sądem przysięgłych.

Mało mu było znać to powierzchu, przedsiębrał wyprawy istne dla studjów kraju, jak choćby owa w zimie r. 1659/1660 do Prowansji. A jeszcze długie i szczegółowe inspekcje granic. W roku 1678 odbywał wizytację miast i twierdz w Lotaryngji, jadąc przez Sézanne, Vitry-le-François, Bar-le-Duc i Commercy — i zpowrotem przez Stenay i Ardenny. W roku 1680 wizytacja miast flamandzkich i granicy północnej. W roku 1681 podróż do Alzacji. W roku 1683 pobyt we Franche-Comté. Krótko mówiąc, żaden z szefów sztabu nie opanował lepiej od króla mapy Francji, szczególnie na północo-wschodzie. Gdy w przededniu bitwy pod Denain, wobec spodziewanego odwrotu poza linję Somme'y mówił do marszałka de Villars: „Znam tę rzekę, trudna jest do przejścia" — nie chełpił się wcale. Mógł ją wszak poznać dokładnie w czasie wypraw wojennych, albo licznych podróży po Pikardji.

Znając Francję tak dokładnie, zajął się niezwłocznie wewnętrznem urządzeniem kraju. Z autopsji przekonał się dokładnie o najpilniejszych potrzebach, jako też o bogactwach i zasobach miejscowych. Podobnie jak Colbert, jego minister, pragnął i Ludwik uczynić Francję krajem żywotnym, przemysłowym, a nadewszystko bogatym. Wszelako wojny, jakie wieść musiał, nie pozwoliły mu na upragnioną realizację całego wspaniałego planu reform i nowych urządzeń. Pieniędzy i wciąż pieniędzy potrzebował na pustoszące kraj wojny w ciągu lat czterdziestu. I oto dlaczego zagadnienia skarbowe wysunęły się na czoło wszystkich trosk. Najważniejszą rzeczą było ściąganie podatków i temu twardemu nakazowi musiało się wszystko inne, mniej lub więcej bezpośrednio podporządkować.

* * *

Dzisiaj jeszcze przypuszcza się dość powszechnie, że za Ludwika XIV i wogóle *ancien régime*'u główny ciężar danin spadał na barki wieśniaków i rzemieślników. Słusznie to chyba w odniesieniu do podatku, zwanego *taille*, który obciążał przedewszystkiem ludzi nieszlacheckiego pochodzenia. Mogło się jednak zdarzyć, że podlegała mu również szlachta zubożała, w wypadku, jeśli sama uprawiała swą rolę. Po-

nadto istniał cały szereg innych podatków, obowiązujących wszystkie warstwy narodu. Tylko my dziś, uprzedzeni, nic o tem wiedzieć nie chcemy. Przyzwyczailiśmy się do powtarzania wkółko tyrady o doli „biednego ludu“, który był owcą obdzieraną żywcem ze skóry. Za czasów monarchji „biedny lud“ był tem samem, czem dziś robotnik. Chłop, sypiający na słomie, mrące głodem bydlę robocze w niewoli możnowładców, którzy zeń wyciągają miljony na opłacenie swego zbytku i rozpusty. Otóż niewątpliwie praca ludności wiejskiej stanowiła ważną pozycję w budżecie dochodów monarchji. Zapomina się jednak, że kler ponosił wyłączne wydatki na oświatę, opiekę nad ubogimi i naukę, oraz że wiele łożył na cele sztuki, nie mówiąc o dobrowolnych ofiarach na rzecz państwa, które szły w grube miljony. Na barkach szlachty natomiast spoczywał ciężar wydatków na wojny i politykę zagraniczną. Szlachcic, gdy nabył pułk, musiał, wyjąwszy okres kampanji, dbać o jego ekwipunek i utrzymanie. Gdy król wyznaczył wsparcie pieniężne dla swych posłów zagranicą, koszta ponosić musiała szlachta. Nie otrzymywali ani dodatków na reprezentację, ani zwrotu kosztów podróży. Wielcy panowie, towarzyszący dworowi w czasie wyjazdów, podróżowali na własny koszt. W czasie podróży króla do Lionu w roku 1658, la Grande Mademoiselle, przerażona ogromem wydatków, krzyczała głośno, że zaszczyt towarzyszenia królowi w karecie kosztuje zbyt wiele.

Niewątpliwie, że mogli płacić wysocy dostojnicy duchowni, beneficjarjusze, książęta krwi i wielmoże, ci wszyscy, którzy posiadali sowite apanaże, brali wysokie pensje. I znowu pamiętać trzeba, że obok uprzywilejowanych istniał tłum ubogiej szlachty i kleru, który, żeby użyć wyrażenia stosowanego do chłopów — „przymierał głodem“ w nędznych plebanjach i zagrodach. Szlachta bowiem ciągnęła do Wersalu, wieszać się u klamki królewskiej i żebrać o łaskę wówczas, gdy już nie było z czego wyżyć u siebie w domu, gdy lenne dochody zmalały do zera. Król świadom był tego doskonale. Zaczem już wcześnie pomyślał, by każdego opodatkować w miarę jego dochodów. Zdaniem jego kler, pomimo ofiar dobrowolnych i wydatków na sprawy publiczne, nie płacił jeszcze tyle, ile był w możności. Pod ro-

kiem już 1666 pisze Ludwik XIV w „Pamiętnikach“: „Gdy szlachta ofiarowuje znoje i krew na obronę kraju i często całe swe mienie daje na utrzymanie urzędu jej powierzonego, gdy chłop (posiadający tak mało majątku a tyle głów do wyżywienia) sam jeden ponosi wydatki państwowe, czyż godzi się, by księża, którzy z powodu swego stanu wolni są od niebezpieczeństwa służby na wojnie, od zbytku i od wydatków na reprezentację i utrzymanie rodziny, korzystali obficie ze świadczeń ludu, nie przyczyniając się w niczem do zaspokojenia jego potrzeb?“ W tem ujęciu jest nieco tendencyjnej przesady, ale zawsze ciekawa rzecz słyszeć, że ten koronowany zwolennik równości chce zasadę równości nietylko zastosować w podatkach, lecz również wygłasza teorje ekonomiczne, wcale zbliżone do zasad socjalistycznych lub komunistycznych. Nie waha się wyznać w każdym razie: „Królowie są władcami absolutnymi i wolno im rozporządzać w zupełności wszelakim majątkiem tak świeckim jak kościelnym i używać go w rozważny sposób, o ile potrzeba państwa tego wymaga.“

Tak tedy właścicielem majątku społecznego jest państwo, a poszczególni właściciele mają jeno prawo użytkowania. W rezultacie wolno królowi ocenić wartość każdego, jak uzna za stosowne w imię dobra państwa. Myśl ta dręczyła Ludwika XIV od początku rządów, ale w zastosowaniu jej natrafił na gwałtowny opór. A wreszcie, gdy olbrzymie i stale rosnące wydatki wojenne zaczęły coraz bardziej dociskać, obłożył warstwy uprzywilejowane, zarówno szlachtę jak duchowieństwo, pogłównem oraz dziesięciną, co równało się naszym podatkom dochodowym. Ten równomierny rozkład wywołał oburzenie we wszystkich stanach; kto się nie przeciwił otwarcie, starał się skarb państwa oszukać, lub w jakiś inny sposób uwalniał się od świadczeń. Płacić nie chciał w rezultacie nikt.

* *
*

Najbardziej opornymi okazali się, jak zwykle, chłopi. Od niepamiętnych czasów przedstawiali oni i tylko oni symbol tz. „biednego ludu“. Ulubiony to konik wymowy kazalnej i parlamentarnej, która wciąż apelowała do litości

królów nad umierającą z głodu nędzą. Miał też i Ludwik XIV odrazu zpoczątku pełne uszy tych skarg żałosnych. Zdjęty litością, zapragnął „ulżyć ludowi“, zaczął tedy od redukcji podatku mieszczańskiego *taille*. Zczasem jednak, gdy się sam na własne oczy przekonał, gdy zastanowił się dokładnie nad sprawozdaniami ministrów swoich, nabrał innego, bardziej zbliżonego do rzeczywistości wyobrażenia o stanie ludu. Zrozumiał, że wogóle w skargach na biedę przesadzają wszyscy a już najbardziej chłopi, oraz że powód tych lamentów nietrudno odgadnąć. Intendanci, którzy naznaczyli podatki i trudnili się ich ściąganiem, otrzymywali mianowicie podarki od poszczególnych prowincyj. W ich interesie leżało zatem przedstawić położenie ekonomiczne ludności w barwach jak najczarniejszych, aby zarząd podatków nie obciążał bardzo danego okręgu i przez to ułatwił im zadanie. Z drugiej strony duchowieństwo i wielcy panowie mieli również interes w tem, aby fiskus nie wyniszczał bardzo ich wasali, tenutarjuszów, dzierżawców, czy parafjan. Bo z czegoż zapłacą dziesięcinę lub czynsz feudalny?

Tu więc leży źródło gwałtownych narzekań na straszliwą nędzę ludu, obdzieranego żywcem ze skóry przez egzekutorów. Słyszymy, że biedny lud żywi się chlebem z żołędzi i wodą, że jadać musi korę i korzonki, o ile nie jest tak biedny, że musi poprzestać na zielonej paszy narówni z bydłem. Wogóle w owych czasach takie były na wsi stosunki, że „ludzie umierali jak muchy“. Nasze podręczniki historyczne korzystają skwapliwie z tych kwiatków prozy biurokratycznej. I wierzą im na słowo. Ani się komu śni, skontrolować prawdziwość tych powiedzonek lub opatrzyć jakąś uwagą. Bo wszakże we wszystkich krajach w każdej epoce można znaleźć podobne wypadki. Lecz nie wolno ich generalizować. Niedawno przecie jeden z mówców Akademji Francuskiej w referacie swym o nagrodzie cnoty, opowiadał o bolesnem zdarzeniu: uczenica szkoły powszechnej padła z głodu zemdlona na ławkę. — Cieszyć się można już naprzód, jak historycy przyszłych pokoleń potrafią zużytkować tę wzruszającą historję, zaczerpniętą z ust wybitnej osobistości urzędowej! Dodajmy nawiasem, że w języku XVII stulecia słowo „korzonki“ (*racines*) oznaczało ja-

rzyny, jak np. buraki, marchew, rzepę i kalarepę. Cała Francja żywiła się „korzonkami". Więc niema się, doprawdy, nad czem rozczulać.

Druga uwaga, jaka się tu nasuwa. Większość owych ponurych określeń, wyjęta ze starych aktów administracyjnych, dotyczy okresów anormalnych i dość odległych od siebie. Chodzi najczęściej o czasy wojny i głodu. Przeważnie są datowane te relacje z lat 1674,—1675 lub 1693, 1697 lub 1708,—1709, kiedy ostra zima zniszczyła cały urodzaj, albo gdy najechana przez wroga, Francja musiała walczyć z przemożną koalicją. Wojny domowe, jak za czasów Frondy, lub powstania na prowincjach zwiększały, rzecz jasna, niedolę. Winę ponosiła również próżniacza gnuśność i stare nawyki chłopa na wsi, czy robotnika w mieście. Dowodem tego dobitnym są listy Colbert'a. Naogół nietrudno każdemu z tych ujemnych spostrzeżeń przeciwstawić inne dodatnie, ale i to nie dowodziłoby niczego. Posłowie weneccy prawią często o ubóstwie wsi francuskiej, o wyczerpaniu biednego ludu. I to jest również frazes stylistyczny, powtarzający się w ich listach z roku na rok. Podobne komunały słyszymy od nich na temat bogactw Francji, która ma dosyta ludzi, pieniędzy i środków żywności. Od czasów, gdy Machiavelli składał podobne relacje dostojnym władcom Republiki florentyńskiej, wiadomo było powszechnie, że Francja jest krajem „spasionym i bogatym", który nie wie co nędza, gdzie każdy żyje z ziemi i nie ma żadnych wydatków. Machiavelli w dziele swem *Ritratti delle cose della Francia* zapewnia, że magnaci francuscy mają do zbytku bydła, drobiu, ryb i dziczyzny. „Wieśniak nie ma gdzie sprzedać zboża, gdyż każdy z jego sąsiadów ma je na sprzedaż również. Słowem, Francja nie wie, co czynić ze swojem bogactwem." W sto lat później inny Włoch, Locatelli, stwierdzi prawie to samo w swoim dzienniku podróży. Wyda mu się Francja krainą dostatku, uciechy i wolności, a podróż zmieni się w jeden ciąg biesiad i przyjemności.

Ogólnie biorąc, były to albo poglądy tendencyjne, albo zwyczajne, bezpośrednie wrażenia, które tak łatwo zawsze odeprzeć lub sprostować. Niesposób natomiast odtworzyć

sobie na ich podstawie właściwy obraz doli ludu wiejskiego, podobnie jak nie da nam go opis literacki lub sławne malowidło. Wstrząsający dokument epoki stanowićby mogły ów często powtarzany ustęp z La Bruyère'a lub niemniej słynne obrazy braci Lenain. Na jednym z tych obrazów (malowanych, pamiętajmy, w ciemnym tonie Spagnoletta!) cóż widzimy? biesiada wiejska, stół nakryty obrusem, chłopi jedzą biały chleb i piją wino. Ośrodkiem kompozycji jest ojciec rodziny, który bynajmniej nie wygląda na „dzikie zwierzę" z La Bruyère'a. Twarz pociągła i delikatna, mina poważna, trochę smutna, w całości piękny typ człowieka, przynoszący zaszczyt ówczesnej Francji. Więc to nic więcej, jak tylko literackie wrażenie i uchwyty. Rzeczywistość przedstawiała się następująco: Już za czasów Ludwika XIV wielka własność była bardzo rozdrobniona. Wieśniak, ten skatowany do krwi, mógłby zdobyć całą własność ziemską i zapłacić gotówką. Bywały okolice, w których ludność wiejska posiadała połowę ziemi. Wysokość podatków i czynszów gruntowych wyolbrzymia się przesadnie. Składała się ona często z karpia, kilku pstrągów i dwóch tłustych kapłonów na Boże Narodzenie lub Wielkanoc. Obliczono, że w jednej wsi Delfinatu w roku 1702, a więc w bardzo niepomyślnym momencie rządów Ludwika XIV, zapłacił pewień chłop sześć liwrów podatku z półtrzecia hektara ziemi. Gdyby nawet tę sumę podwoić dla takich prowincyj, jak kraje elekcyjne lub Ile-de-France, to jeszcze nie będzie za wiele. Z ówczesnych spisów rejentalnych przeziera bogactwo ludu. Zastawy srebrne nie są rzadkością nawet w bardzo skromnych gospodarstwach. Locatelli zdumiewał się, gdy mu w zwyczajnych oberżach podawano jedzenie na srebrnych talerzach, i nie miał słów dla komfortu, jaki panował w chałupach wiejskich. U jakiejś przekupki w Joigny znajduje „w domu niechlujnym z wejrzenia kobierce i obrazy na ścianach, a stół nakryty płótnem tak delikatnem i białem, że mógłby doń zasiąść książę."

Jak zawsze tak i tu słuszność ma Wolter, w słowach, któreby snadnie można przeciwstawić tyradzie La Bruyère'a. „Skargi na niedolę rolnika słyszy się wszędzie, we wszystkich krajach na świecie. Pochodzą one atoli przedewszyst-

kiem od bogatych próżniaków, i płyną raczej z chęci zaszkodzenia rządowi, niż współczucia dla ludu. Nie jest zadaniem historyka, zastanawiać się, ile podatku płacić musi chłop, aby nie odczuwał ucisku. Historja powinna natomiast wykazać, że miasta rozwijać się mogą tylko wówczas, jeśli są otoczone bogatemi wsiami, gdyż wieś je żywi. Jedynie skrzętna praca rolnika zdolna jest zapewnić obfitość środków spożywczych; a za tę pracę rolnik dostaje dostatnie wynagrodzenie. Zaczem te narzekania na nędzę wsi, jakie się słyszy nieustannie, nie mają żadnej podstawy. A jeszcze jedno: czemuż się nie odróżnia w tych pustych utyskiwaniach kmiecia i dzierżawcy od zarobnika dziennego? Ten żyje istotnie z pracy rąk swoich... Natomiast niema na całym świecie kraju, w którym rolnik i dzierżawca czuliby się tak dobrze, jak w niektórych prowincjach francuskich. Jedna Anglja mogłaby tu chyba wchodzić w rachubę.“

Wiedział niezawodnie Wolter co mówi, gdy taką konkluzję pomieścił przy końcu swego dzieła *Siècle de Louis XIV*. Pan na Fernay był wszak sam właścicielem ziemskim i chłopów znał doskonale.

* * *

Król świadom był doskonale tej sytuacji, jako też wiedział o ucisku, o krzyczącej niesprawiedliwości, jakie często miały miejsce w czasie wybierania podatków. Dbał, ile można było, o ulżenie ludziom biednym, o naprawę krzywd i pomoc w niedoli. Gdy zmarł niejaki Jean Berth, „doskonały pracownik gliniarski“ w Wersalu, zostawiwszy wdowę z czworgiem dzieci, król na wieść o tem polecił natychmiast Colbert'owi: „Proszę dopomódz osieroconej rodzinie człowieka, który pracował w gliniarni Wersalu — udzielam im prawa do spadku“. Wypadek ten dlatego wybrałem z pośród tysiąca innych, gdyż list pisano „w obozie w Cambrai“, w pełni walki, gdy król obarczony był bezlikiem innych kłopotów. Saint-Simon opowiada, jak trudno królowi przyszło w roku 1710, a zatem w najcięższym momencie rządów, wprowadzić daninę dziesiętną. Tak go ta myśl dręczyła przez cały tydzień, że nawet odbiła się na zdrowiu

i zaniepokojony chirurg przyboczny Mareschal musiał zapytać, co królowi dolega. Wyznał wówczas, że na samą myśl o obciążeniu ludu odczuwa ból ogromny, dla uspokojenia sumienia radził się już nawet swego spowiednika. Saint-Simon objaśnia wprawdzie to zdarzenie na swój sposób, z nienawiści do ks. Tellier i jezuitów, osądza króla w sposób niesprawiedliwy. Niemniej wszakże fakt jest faktem: sama myśl nałożenia nowych ciężarów przyprawiała króla o chorobę. Dzisiejsi ministrowie skarbu nie są zaiste tak delikatni.

W ostatniej fazie wojny o sukcesję otoczenie przedstawiło królowi „nędzę ludu“ w tak okropnych barwach, że już był gotów prawie przyjąć haniebne warunki nieprzyjaciół, aby tylko ulżyć biedocie. Dobre z natury serce parło go do takich gestów szlachetnych, rozum wszelako zadecydował inaczej. Bo wszakże potrzebował gwałtem pieniędzy do ukończenia wojen. A od wyniku tych wojen zawisł los Francji. Poświęcił się tedy przed wszystkimi innymi temu naczelnemu zadaniu, które wymagało największego nakładu sił. Organizacja sił zbrojnych, kierowanie operacjami, rokowania dyplomatyczne. Pominąwszy inicjatywę ministra Louvois, wszystko to było jego osobistem dziełem, ponad wszystko inne drogiem i umiłowanem. Colbert zajmował się głównie sprawami wewnętrznemi, lecz nie dlatego, jakoby król nie czuł pociągu do administracji i gospodarczych interesów. Raczej przeciwnie, miał sobie to za punkt honoru i ochoczo imał się wszystkiego. Po odwiedzinach w Dunkierce, gdzie brał udział w manewrach floty, zaczął się nagle interesować gorąco sprawami marynarki. W tym samym czasie oglądał fabryki manufaktury w Abbeville i Beauvais.

Zaciekawiły go tak dalece, że kazał zwołać robotników i wygłosił do nich mowę, jaką mu doradził Colbert. Sam nie mógł, rzecz jasna, zajmować się wszystkiem. Wystarczyło, że przyczynił się do rozbudowy bogactwa i potęgi państwa.

Gdy umierał, dzieło odnowy i organizacji Francji było w głównych zarysach skończone. Naprzekór wszystkim przeciwnikom posiadła Francja przemysł i handel, kolonje,

porty i marynarkę handlową, która mogła wytrzymać konkurencję z zagranicą. Plan urządzeń administracyjnych gotów był w ogólnych zarysach. Mocen był król dokazać jeszcze więcej, ale przerwała mu tę pracę potęga silniejsza od ludzkiej woli. Lecz dał ze siebie, jak sam skromnie wyznaje, co miał najlepszego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WOBEC TWÓRCZOŚCI DUCHOWEJ

W sprawach wewnętrznej administracji, jakoteż w dziedzinie wojen, spotykał trudności prawie niepokonalne. W sferze ducha natomiast odniósł zupełne zwycięstwo. I zaiste wygrał bitwę wspaniale. Nietylko zdołał zgromadzić wokół swego tronu pisarzy i artystów, godnych takiego króla i wytrzymujących porównanie z najświetniejszymi wodzami, czy ministrami. Za sprawą Ludwika XIV duch francuski rozszerzył się zagranicą w sposób dotychczas niebywały, zdobywając w ciągu półwiecza hegemonję w Europie i na całym świecie. Ujmując dzieje rządów Ludwika z pewnego punktu, możnaby główną wagę położyć na rozwój literatury i nauk. Należałoby wówczas dzieje wojen pominąć zupełnie. Lecz to metoda niebezpieczna. Gdyż zwycięstwa w świecie ducha są mniej skomplikowane i jakby łatwiejsze, niźli w świecie życia praktycznego. Nie można i nie wolno pomijać zupełnie wojen Ludwika XIV. Wszakże w nich jest najwięcej ofiar, złożonych przez króla i przez Francję na ołtarzu sprawy publicznej. One to wszak stanowią jądro jego królowania, bez nich, bez kierownictwa i rozkazu królewskiego, nie zdobyłby nigdy duch francuski tak znacznego wpływu, bez nich nie znalazłaby literatura francuska tej trwałej podstawy, tego tonu i stylu, które się tak ściśle łączą z niezłomnie śmiałą myślą Ludwika XIV.

* * *

Ludwik XIV otaczał sympatją twórczość duchową, literaturę i literatów, tych przynajmniej, z którymi nietrudno było nawiązać stosunki. Niemniej cenił ludzi nauki i myśli-

cieli. Istnienie tej sympatji trzeba, wbrew przeciwnym poglądom, podkreślić stanowczo. W miłości nawet szukał pierwiastków duchowych. Jeśli się zakochał w smagłej brzyduli, jaką była Marja Mancini, to dzięki jej wybitnej inteligencji. A jeśli porzucił wkońcu czułą panią La Vallière, to dlatego, że pani de Montespan przewyższała ją kulturą duchową. A ta ostatnia zestarzała, przytyła i pełna zgryźliwości, odnosi przecie zwycięstwo nad młodą, uroczą i świeżą panną Fontanges, gdyż owa panna „głupia jest jak gęś". A jeśli już prawie czterdziestoletni a zawsze jeszcze łakomy miłości król pojmie za żonę mądrą panią Scarron, to znowuż dzięki urokowi jej umysłowi i zaletom konwersacji.

Od lat najmłodszych okazywał wiele zaciekawienia dla tych rzeczy. Czytywał wiele z Marją Mancini, pisywał dosyć, próbował nawet wierszy, zresztą lichych. Poczucie języka i stylu posiadał wrodzone. Nie należy go jednak sądzić wedle niektórych ustępów „Pamiętników", gdyż Pellisson i prezydent de Périgny, opracowując je, przybrali myśl królewską w formę akademicką, napuszoną i pedantycznie uroczystą. Prawdziwy Ludwik XIV ma więcej życia i wdzięku w słowie, przypomina wprost najlepszych stylistów swej epoki. Odznacza się wielkiem zamiłowaniem języka. Ma doskonałe poczucie wyrazu, krótkie i zdecydowane zdania, umie użyć słowa właściwego na właściwem miejscu, jako władca, którego trzeba słuchać bez szemrania, jak dyplomata, znający wartość każdej zgłoski w tekście traktatu. Więcej może niż Boileau umiał król pouczyć swój naród o mocy właściwych słów. Gdy Benserade podejmował na posiedzeniu Akademji prezydenta de Mesmes, wysławił szczególnie w mowie swej „delikatne wyczucie stylu u króla", mówiąc: „Podobnie, jak żołnierza na nieswojem stanowisku, nie mógłby Jego Królewska Mość ścierpieć słowa na niewłaściwem miejscu."

O wiadomościach literackich Ludwika XIV i o jego smaku nie mamy dokładnego wyobrażenia, ponieważ nikt się nie zastanawiał nad tem dokładniej. Powtarzamy z zamkniętemi oczami oszczercze wymysły Saint-Simon'a, który przedstawił króla, jako analfabetę, nie czytającego książek wogóle

i nie zdradzającego wcale zainteresowania w tym kierunku. Albo też opieramy się na fałszywych świadectwach, jak choćby następujące: „Już sam widok książek nużył go — pisze Primi Visconti — nawet tych książek, które mu ofiarowywano, choć rad był, że je otrzymuje. Marszałek de La Feuillade zdradził mi w zaufaniu, że dla mnie jednego uczynił król wyjątek i odczytał kilkanaście kartek z mojej Relacji o wojnie holenderskiej“. Z pierwszych kilkunastu słów możnaby sądzić, śladem Saint-Simon'a, że Ludwik XIV miał wstręt do lektury wogóle. Wszelako Primi Visconti chciał jedynie podkreślić zaszczyt, jaki król raczył uczynić jego osobie, czytając swemi królewskiemi oczyma osobiście relację cudzoziemca. W istocie zwykł bowiem używać oczu swych nadwornych lektorów, a na to stanowisko zgłaszali się na ochotnika najwybitniejsi ludzie czasu owego. Sam nawet Primi rad nierad przyznaje to o parę ustępów dalej: „Ponieważ musiał wysłuchać tylu kazań, poematów, mów i lektury książek mu ofiarowanych, dlatego jest zmęczony..“ A miał ponadto dość mitręgi, skoro sam musiał przez wiele godzin codziennie czytać stosy całe raportów, listów i depesz. Więc jak tu żądać od biednego króla, aby dla wypoczynku po tak wyczerpującym trudzie znalazł jeszcze czas na zagłębianie się w innych pismach? Ilekroć miał ochotę, a miewał ją bardzo często, czytywano mu książki. Posługiwał się oczami innych ludzi, aby oszczędzić wzrok swój i tak dość znużony posiedzeniami w gabinecie, które często dzień cały zajmowały. Zdołał wysłuchać w ten sposób z poczucia obowiązku, ale też z ciekawości prawie całą literaturę współczesną, dziś już zapomnianą, a w każdym razie obejmującą więcej tomów, niż te, które obecnie stanowią jej okres klasyczny. Czytywali mu lektorzy sztuki teatralne, kazania, mowy pogrzebowe i pochwalne, poematy itd. Dla niego i w jego obliczu wygłaszał kazania Bossuet i Bourdaloue. Dla niego pisał i grał Jan Poquellin Molière. Na jego przyjemność i wychwałę powstają komedje *Esther* i *Athalie.* Znakomity Racine pełnił obowiązki lektora i objaśniacza na dworze królewskim. I któż z nas, ludzi dzisiejszych, poszczycić się może podobnem wykształceniem, tak rozległem, nieustającem i żywotnem! Trzeba zważyć, jakie

to miało znaczenie, gdy Racine sam odczytywał i objaśniał swe utwory! Wobec tego, bez przesady, godzi się uznać, że nikt wogóle nie posiadł tak dokładnej znajomości literatury w epoce Ludwika XIV, jak właśnie sam Ludwik XIV.

* * *

Nie zaniedbał żadnej sposobności, aby nie zaznaczyć, jak szczególny szacunek żywi dla literatury, dla sztuk pięknych i wogóle wszystkich spraw duchowych. Żaden z dzisiejszych naczelników państwa nie otaczał takiem uznaniem Akademji Francuskiej, jak ten monarcha absolutny. Miał sobie to za zaszczyt, gdy po śmierci kanclerza Sêguier został z urzędu najwyższym protektorem Akademji. Zależało mu też na tem z wielu zrozumiałych pobudek politycznych. Aby więc usunąć najlżejszy choćby cień przymusu i tyranji, urządził rzecz tak zręcznie, że członkowie Akademji sami przyszli mu ofiarować godność protektora. Na cele posiedzeń oddał Akademji salę w Luwrze, w swym własnym pałacu, podczas gdy Colbert proponował, że lepiej i wygodniej będzie usadowić Akademję w bibljotece. Na skraju listu, jaki Colbert w tej sprawie wystosował, zaznacza król odręcznie: „Akademja powinna odbywać swe posiedzenia w Luwrze. Wydaje mi się to lepsze, chociaż mniej wygodne.“

Chcąc dać wreszcie dowód, jak wielką wagę przywiązuje do tego wypadku, przyjmuje członków Akademji na uroczystej audjencji w Wersalu. Pellisson w swej *Histoire de l'Académie Française* powiada, że „król życzył sobie, aby i delfin był obecny przy tej tak szczytnej uroczystości literackiej.“ Zkolei kazał sobie przedstawić tych członków, Akademji, których nie znał jeszcze, i rzekł do Colbert'a: „Proszę mnie powiadomić, co mógłbym zrobić dla tych panów“. Rozkazał później, aby we wszystkich uroczystościach dworskich przeznaczono sześć miejsc dla członków Akademji. Z okazji tej audjencji polecił wybić medal z napisem na jednej stronie: *Apollo palatinus* i na odwrociu: *Academia gallica intra regiam excerpta MDCLXXII.* W przedsionku „*Grand escalier des Ambassadeurs*“, gdzie uwieczniono wszystkie świetne chwile jego rządów, odmalo-

wany został fryz, przedstawiający „króla, przyjmującego Akademję francuską“. Stanowi on pendant do dwóch innych, do „Przejścia Renu“ i „Hiszpanji upokorzonej“, i jest dowodem, że król traktował narówni sprawy wojenne ze sprawami literackiemi.

Później, gdy Akademja ukończyła nowe wydanie swego Słownika, członkowie jej zostali niemniej uroczyście przyjęci w Fontainebleau: „Pan de Toureil — pisze Racine do swego przyjaciela Boileau — przybył tu, aby ofiarować *Dictionnaire de l'Académie* Jego Królewskiej Mości, dalej królowej Anglji, delfinowi i ministrom...“ Innym razem spędzili członkowie Akademji cały dzień na dworze. „Po mszy z udziałem króla — opowiada Bussy-Rabutin — poszliśmy razem, w dwunastu akademików, nie bacząc na starszeństwo, na obiad u Jego Królewskiej Mości, w małem gronie. Zasiedli do stołu: książę Orleański, książę de Conti, M. de Vendôme, duc de Roquelaure, hrabia de Gramont, i arcybiskup... Król rzecze do markiza de Vendôme: „Posiadasz waszmość tyle rozgarnienia duchowego, że powinieneś pomyśleć o dostaniu się do Akademji... — Nie posiadam go bynajmniej, Sire, myślę wszelako, że może zrobią mi tę łaskę, a pozatem sądzę, że tak znowu wiele rozgarnienia nie trzeba mieć do tego. — Jakto nie trzeba? — odparł król. — Słuchajcie panowie, książe arcybiskupie, panie de Bussy i wszyscy obecni, podobno nie trzeba rozgarnienia. — Później zeszła dyskusja na mówców i na to, jak trudno ułożyć dobrą orację... Trwały te rozmowy przez cały czas obiadu królewskiego. Potem udaliśmy się, arcybiskup, ja i dziesięciu akademików „na obiad do Szambelana“, a król polecił Livry'emu, aby nas uraczył obficie. Sześć godzin siedzieliśmy przy stole i nie przepomnieliśmy o toaście za zdrowie Protektora Akademji.“

Opieka nad Akademją to coś więcej, niż akt konwencjonalnej uprzejmości wobec instytucji urzędowej, to wyraz prawdziwego zamiłowania. Polubił bowiem towarzystwo ludzi światłych i artystów, tych naturalnie, z którymi dało się utrzymywać stosunki towarzyskie. Rzecz prosta, musiał zrezygnować z towarzystwa takich poczciwców jak Corneille czy La Fontaine, mruków, z których nie dało się wyciągnąć

ani jednego słowa, a ponadto „brudasów niesłychanych“. Wiemy natomiast, jak szczególną i serdeczną przyjaźń żywił Ludwik XIV dla najwybitniejszych pisarzy swego czasu, dla Molière’a, Racine’a, Boileau, Bossuet’a. Bossuet był zapamiętałym i skrajnym monarchistą, Molière, człowiekiem przekonań niezależnych, może nawet libertynem, zaś Racine i Boileau, to dwaj ludzie z obozu jansenistów, członkowie opozycji, jak powiedzielibyśmy dzisiaj. A mimo to ci dwaj właśnie, Racine i Boileau zdobyli sobie szczególną łaskę w oczach króla. Odnosił się do nich zawsze jak do przyjaciół, okazywał żywe zainteresowanie nietylko dla ich dzieł, lecz nawet dla spraw osobistych i stanu zdrowia. Gdy Boileau zmuszony był udać się dla poratowania zdrowia do wód w Bourbon, Racine pisał doń z Paryża: „Trzy dni temu zapytał mnie król przy obiedzie, jak się miewa twój głos osłabiony, powiedziałem mu, że leczysz się w Bourbon. Monsieur wmieszał się zaraz do rozmowy i zasypał mnie szeregiem pytań, podobnie, jak Madame. I tak przez połowę obiadu prawie przedmiotem rozmowy byłeś ty. Nazajutrz spotkał mnie na drodze pan de Louvois, i również zagadnął o ciebie, wyrażał się bardzo życzliwie, powiedział dosłownie, że mu bardzo przykro, iż choroba przeciąga się tak długo.“ Trzeba to zapisać szczególnie na dobro króla, który nie wahał się okazywać tyle przyjaźni ludziom nie robiącym żadnej tajemnicy ze swych stosunków z Port-Royal, ludziom wychwalającym głośno i publicznie takich banitów jak Arnauld. Przypuszczano, że te stosunki stały się ostateczną przyczyną niełaski, w jaką popadł Racine — inni znów twierdzili, że powód niełaski leżał w rozprawie, jaką Racine miał napisać o „niedoli ludu“. Ta rozprawa bowiem miała jakoby wzniecić gniew królewski. Dzisiaj wiemy z wszelką pewnością, że rozprawy takiej nie napisano wogóle, a Racine wcale nie popadł w niełaskę. Nastąpiło raczej pewne i to nieznaczne oziębienie uczuć Ludwika wobec Racine’a, gdy ten pod koniec życia pozwolił sobie na pewne nieopatrzne wystąpienia na rzecz jansenizmu. Wszelako poeta, który był pokojowcem przybocznym monarchy, nie został nigdy usunięty z dworu. Do ostatka brał udział we wszystkich uroczystościach w

Marly. W czasie ostatniej choroby Racine'a król rozpytywał się o niego z ogromną pieczołowitością. A gdy umarł, powiedział Ludwik do starego już i połamanego Boileau, który był głuchy jak pień: „Straciliśmy obaj wiele wskutek śmierci biednego Racine'a.“ Jeśli się zważy, jak król zwykł był taić się ze swemi uczuciami i jak się liczył ze słowami, wówczas dojdziemy do przekonania, że, wyjąwszy chwilę śmierci matki, nie wyrzekł nigdy nic bardziej wzruszającego ponad te proste słowa. A nie było to powiedziane tylko *en passant*, dla uspokojenia sumienia. „Rozmowa, — jak zapewnia któryś z przyjaciół Boileau — trwała dłużej, niż godzinę. Niezawodnie mówiono tam, kto weźmie spadek po Racine'ie, który był historjografem króla, ale mówiono również o zmarłym samym. A Ludwik dał dowód wielkiego poświęcenia, rozmawiając z głuchym staruszkiem, któremu trzeba było wprost krzyczeć do ucha każde słowo.“

Czemś zgoła nowem było zainteresowanie, jakiem król darzył literaturę. Nowość ta mierziła wielu wybitnych dostojników. I pod tym więc względem Ludwik XIV, jako władca nowoczesny, wyprzedził o wiele swój czas. Primi Visconti oburza się na brak uszanowania dla literatury w kołach dworskich. „We Francji — pisze — uznają tylko tytuły i zasługi wojenne, twórczość literacka i wszelaka inna jest w pogardzie, człowieka z lepszej sfery, o ile pisze, mają tu za hetkę-pętelkę. Słyszałem, że rodzina d'Urfé wstydzi się swego przodka Honorjusza d'Urfé, ponieważ napisał „Astreę“. Bussy-Rabutin, typowy oficer kawalerji, żywił uczucie pogardy dla Racine'a i Boileau, „tych tam ludzi bez znaczenia“, a jednak król podejmuje ich w Wersalu. Razu pewnego chciał nawet Bussy obić kijem Boileau, jakoże pozwolił sobie na żart, w którym Bussy dopatrzył się obrazy. Innym razem pewnemu hreczkosiejowi akademickiemu wyrwało się powiedzonko naiwnie-niedorzeczne: „To prawda, że Akademja składa się z ludzi właściwych. Wogóle należałoby tam pozostawić pewną ilość uczonych i pisarzy, chociażby tylko dla dokończenia „Dictionnaire“, no i dla ich pilności, na którą się tacy ludzie, jak my, zdobyć nie potrafią“. Czyż to nie nadzwyczajne? Za-

iste, Ludwik XIV nie okazywał tyle wielkopańskiej pogardliwości wobec „tych ludzi z Akademji“, ile jej odczuwa zwykły wiejski szlagon.

* * *

Miał zatem król dużo żywej sympatji dla ludzi pióra i literatury, okazywał obojgu należny szacunek i uznanie. Nie jako dyletant czy esteta z dwudziestego wieku, lecz jako członek siedemnastego stulecia, i jako monarcha poważał tę sferę po królewsku. To nie ulega wątpliwości. Przekonany głęboko, że twórczość umysłowa jest potęgą i to wielką potęgą, uważał za swój obowiązek monarszy, uczynić ją użyteczną dla państwa, skłonić do służby na rzecz dobra publicznego i nie pozwolić, by temu dobru szkodziła. A powtóre zdaje sobie król doskonale sprawę z ogromnego znaczenia opinji publicznej na świecie. Dlatego zaczyna bardzo wcześnie myśleć o informowaniu opinji i czasopism literackich. Rozpoczął organizować propagandę zagraniczną na długo przedtem, zanim się do tego wzięły Niemcy dzisiejsze. W celu przygotowania i poparcia wojen przez się prowadzonych, zaczął urabiać opinję europejską w sposób, który dziś nazwalibyśmy kampanją prasową. Dba zresztą zawsze o to, aby zagranica miała o Francji jak najlepsze i najpodnioślejsze wyobrażenie. W tym jedynie celu płaci systematycznie stałe pensje i rozsyła podarunki pisarzom i uczonym wszystkich krajów europejskich — w Holandji i w Niemczech, w Anglji i we Włoszech. To uwodzenie opinji odbywało się zawsze w sposób iście francuski, dyskretnie, a z wdziękiem. Tyle tylko żądano od obdarowanych, aby byli życzliwie usposobieni dla Króla Arcy-chrześcijańskiego i dali temu wyraz przy sposobności. I bez tego zresztą zagranica wysadzała się na pochlebstwa. W Rzymie, w willi Medici ustawiono posąg, odtwarzający Ludwika XIV w postaci imperatora rzymskiego, z kulą ziemską u stóp. Jest to dzieło współczesnego rzeźbiarza włoskiego, nazwiskiem Bernini. Żaden Francuz nie posunąłby się tak daleko w pochlebstwie. Ze sposobu prowadzenia propagandy zagranicą moglišmy byli wiele nauczyć się od Ludwika XIV w chwili wybuchu wojny światowej.



MARKIZA DE MAINTENON
według sztychu Pierre Giffart'a.

Literatura i sztuka winny zatem służyć państwu. Język francuski staje się narzędziem, które pomaga w zdobyczach i poszerza potęgę. W ziemiach świeżo zyskanych jak w Roussillon i Franche-Comté, we Flandrji i Alzacji Ludwik XIV każe przedewszystkiem otwierać szkoły, gdzie nowych poddanych uczą języka francuskiego. Jezuici znakomicie współpracują przy boku nad ekspansją myśli francuskiej. Ich kolegja i wszechnice w Strasburgu, Perpignan, Gray, Salins i Bêthune, to przednie straże kultury francuskiej. Nie dozwala król wszelako zaniedbywać języków obcych na korzyść ojczystego. Nigdy więcej i nigdy lepiej nie mówiono we Francji po włosku i po hiszpańsku, jak za jego rządów. Od roku 1670, gdy rozpoczął się nacisk na Ren, zaczęła się skwapliwie nauka języka niemieckiego. Racine zachęcał swego syna starszego, który był radcą ambasady w Hadze, do nauki tego języka.

Ba, nawet język sam winien służyć królowi i państwu. W zakończeniu jednej z swych mów akademickich podkreśla ten sam Racine myśl tę, ciekawą, gdyż odbiega znacznie od dzisiejszych naszych zapatrywań. Oto co mówi wielki poeta „Fedry“ i „Atalji“: „Wszystkie wyrazy naszej mowy, każda nawet pojedyńcza zgłoska zyskuje wielką wartość w naszych oczach, gdyż uważamy je niby narzędzia do budowy chwały naszego Dostojnego Protektora.“ Pisarze owej epoki uznali też w przeważnej części ten szczytny ideał i jęli dlań pracować, rozpierani jakby dumą i radosnem poczuciem patrjotyzmu. Śladem Ludwika XIV nabrali przekonania, że przyszli na świat poto, aby służyć społeczeństwu. Mało więc dbają o swoje osobiste wewnętrzne uczucia. Celem ich głównym staje się użyteczność publiczna. Chwała króla jest tem samem chwałą Francji. A ponieważ króla zajmują w pierwszym rzędzie prace związane z wielkością i dobrobytem narodu, więc i najświetniejsi z jego poddanych myślą podobnie. Zostaje więc król bohaterem całego szeregu utworów literackich. Sławią go w poematach i mowach pochwalnych, przedstawiają w tragedjach, komedjach i romansach. Staje się typem bohaterskim epoki klasycyzmu. I nie poniżają bynajmniej swej godności artyści, którzy go sławią. Raczej przeciwnie: rośnie przez

to ich sława i godność osobista. Racine'a mianował król swym pokojowcem przybocznym, był to zaszczyt bardzo wielki. W jakiś czas potem dał mu mieszkanie w Wersalu, tej łaski zazdroszczono mu jeszcze więcej. Król ilekroć mówi o Racine'ie, nazywa go „wielkim poetą", natomiast pani de Maintenon zowie go „wzniosłym poetą". Na liście pensyjnej, ułożonej w roku 1663 przez Colbert'a, Piotr Corneille nazwany został „pierwszym w świecie poetą dramatycznym", podobnie lud francuski i zagranica nazywali Ludwika „największym królem świata."

* * *

Nie należy jednak trzymać się zbyt ściśle zasady o służbie literatury wobec państwa i nie należy przypuszczać, że Ludwik XIV uznawał wyłącznie tylko literaturę, spełniającą funkcje publiczne i monarchiczne. Bo również lubił bardzo dzieła literatury same dla siebie, poprostu i szczerze, jak każdy wykształcony człowiek owego wieku.

Przepadał za teatrem i sceną wogóle. Interesowało go przygotowanie sztuki, inscenizacja, podział ról, śledził to wszystko z takim zapałem, jakgdyby był z zawodu reżyserem i przedsiębiorcą teatralnym. A nadto odznaczała go wielka miłość muzyki i opery. Wpośród bezliku zajęć znaleźć zawsze zdołał chwilę wolną, w której kazał sobie odczytywać to, co dziś nazywamy „ostatniemi nowościami" — mowę inauguracyjną nowego członka Akademji francuskiej, odę, poemat, tragedję, albo farsę. Opowiada Ludwik Racine: „Ojcu memu polecono odczytać królowi trzy „Épitres" Boileau, który zwykł osobiście wygłaszać swoje utwory przed obliczem Jego Królewskiej Mości." Pomyślmy: Czy którykolwiek monarcha, prezydent, czy minister okazał kiedy więcej łaskawego zainteresowania dla osoby i twórczości pisarza? Przez lat prawie pięćdziesiąt był król Ludwik XIV urzędowym protektorem Akademji. Zasłużył sobie, by potomność uznała w nim wielkiego patrona literatury i nauki francuskiej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W NAJWYŻSZYM STOPNIU CHRZEŚCIJAŃSKI

Przeszliśmy tedy mniej więcej wszystkie dziedziny, w których zaznaczyła się działalność króla, dało się poznać jego serce i rozum z najlepszej strony. I stanął nam przed oczyma wyjątkowy pod każdym względem typ monarchy. Jakgdyby wyczerpał całą treść tego pojęcia i ustalił na zawsze symbol królewskości. Bo żaden z naszych pisarzy, czy mędrców, czy generałów, nie zdołał dać światu tak wysokiego i tak szczytnego wyobrażenia o Francji. Dzięki niemu, historja nasza zdobyła rozmach i ton, jakiego nigdy przedtem nie miała. Poprzednicy jego na tronie byli to ludzie skąpi, marne mieszczuchy, albo niedokończone wielkości. Ludwik XIV natomiast nauczył Francuzów zarówno uroczystej powagi jak honorowej rozrzutności. Obrócił, rzecby można, Francję podszewką do góry. Zaprowadził porządek, dał krajowi piękno, zaszczepił poczucie chwały.

Gorejąc pasją tworzenia, rad był podporządkować wszystko ideałowi państwa, jaki sobie wytworzył. Ogarnął również swym wpływem kulturę duchową. Wpływy państwa chciał, zpoczątku przynajmniej, rozciągnąć również w dziedzinę religji. Wszelako z pomiędzy wszystkich potęg duchowych najtrudniej może ujarzmić uczucia religijne. Autokrata pojął to bardzo rychło. I zamiast podporządkować religję swej polityce, sam musiał wkońcu uchylić czoła przed jej autorytetem. I tak ten najbardziej chrześcijański władca nietylko w najcięższych terminach znajdował ostoję w wierze ojców swoich, religja pozwoliła mu również wykończyć i do skończonej piękności doprowadzić stworzony przezeń typ monarchy.

Czyście zauważyli, że w rozkładzie zamku wersalskiego, kaplica zajmuje oddzielne miejsce opodal niejako innych budowli królewskich? Oburzało to wielce Hiszpanów, którzy w swoich pałacach królewskich przywykli umieszczać kaplicę pośrodku, jako najważniejszą część budowli. Jego Katolicka Mość, król hiszpański uważał się tylko za przedstawiciela Bożego Majestatu na ziemi. Bóg Wszechmogący oto właściwy mieszkaniec pałacu królewskiego. Bóg najpierw, potem król. Natomiast kaplica w Wersalu — szczególnie w swym kształcie pierwotnym, z ową latarnią u szczytu — wznosiła się ponad wszystkie inne budowle. Uczyniono to z rozmysłu, jak również rozmyślnie wybrano plac na ten święty przybytek. Była w tem symboliczna intencja, pozwalająca nam zrozumieć postawę Króla Arcy-chrześcijańskiego wobec spraw religijnych.

Zarówno Ludwik XIV, jak i jego doradcy anglikańscy, taki Colbert, czy Le Tellier, dążyli do ścisłego odgraniczenia spraw doczesnych i świeckich od duchownych. Biegną one wprawdzie równolegle i łączą się w absolucie, ale w życiu praktycznem zespolić się nie dadzą. Sprawy religijne mają się do świeckich podobnie, jak kaplica do całości pałacu w Wersalu. Ludwik XIV nie dopuszczał żadnych wpływów klerykalnych na politykę Francji, zarówno ze strony papieża, jak biskupów i naczelników innych wyznań religijnych. Jak nikt inny, bronił świeckiego charakteru państwa. Jak nikt inny, rozmawiał dobitnie z papieżem.

W roku 1662 w czasie słynnej afery o gwardję korsykańską pisał król do papieża, który zresztą był wyraźnym austrofilem, wrogo wobec Francji usposobionym: „Poleciliśmy panu de Bourlemont, audytorowi Roty, dowiedzieć się, czy Wasza Świątobliwość pochwala czyny tej soldateski, czy też skłonny jest udzielić nam odpowiedniego zadośćuczynienia w stosunku do obrazy. Prawo narodów zostało nietylko obrażone, ale podeptane niegodnie. Nie prosimy o nic Waszej Świętobliwości, skoro weszło już w zwyczaj oddawna odrzucać wszystkie nasze prośby. Okazuje wszak Wasza Świątobliwość głęboką niechęć wobec wszystkiego, co dotyczy osoby naszej i naszej korony. Lepiej więc będzie, gdy w tej sprawie pozostawimy decyzję

rozstrzygnięciu Waszej Świątobliwości, do którego się zastosujemy.“

Człowiek używający tak pewnych siebie słów, mieni się sam Królem Arcy-chrześcijańskim i „pierworodnym synem Kościoła.“ Uważa, że nie są to jeno tytuły bez treści, bo pragnie, aby Francja cała była równie chrześcijańska jak on. Religja jest wielkiem dobrem. Król rad z głębi duszy dopuścić wszystkich swych poddanych do korzystania z tego dobra. Podobnie jak krzyż kaplicy pałacowej dominuje nad całym Wersalem, tak religja winna przedewszystkiem zaprzątać myśl ludzką. Ale nie znaczy to bynajmniej, by Francja miała być rządzoną jak jaki klasztor. Władza duchowna nie powinna przywłaszczać sobie uprawnień władzy świeckiej, ani tem mniej trzymać ją w szachu. Doskonałość chrześcijańska to sprawa prywatna każdej jednostki. Niechaj zakonnicy, księża i ludzie pobożni ściśle zachowują przepisy chrześcijaństwa w klasztorach i kościołach, w głębi swego sumienia wreszcie, lecz niechaj ich nie starają się rozciągać na ogół chrześcijańskiego społeczeństwa. Gdyż wówczas usposabiają raczej to społeczeństwo przeciwko sobie. Nie trzeba dopuszczać, aby niebo ciężyło zbyt wiele nad ziemią. Od chwili, kiedy znaleźliśmy się na tej ziemi poto, by na niej żyć, baczyć trzeba, aby troska o życie wieczne nie uniemożliwiała życia doczesnego, — a szczególnie, o ile chodzi o Francję — aby interes religijny nie popadał w zbyt wielki rozdźwięk z interesami państwa.

Tak mniej więcej wyglądały zasadnicze poglądy króla i jego doradców, przynajmniej na początku rządów. Przeciwstawił się zakusom tyranji religijnej. Stąd poszło jego stanowisko wobec Inkwizycji. W okolicach, gdzie ona istniała jeszcze, jak np. w Roussillon, stara się ją znieść za każdą cenę, mimo oporu stolicy apostolskiej i czynników zainteresowanych. I udaje mu się to w całej pełni. Przedewszystkiem jednak baczy usilnie, aby religja nie stawała wpoprzek interesom państwowym. Zarzucają wrogowie zarówno królowi jak i Mazariniemu, że prowadzą politykę nawskroś pogańską. On tymczasem zabiega, aby przeciwników swoich, u których myśli chrześcijańskiej było bardzo niewiele, zwalczyć ich własną bronią. Uważa, że nie uchodzi działać

inaczej na posterunku, na którym postawił go sam Bóg. Pierwszym obowiązkiem króla Francji jest dbałość o jej sprawy. A jako Król Arcy-chrześcijański sądzi, że służąc Francji, pierworodnej córce Kościoła, służy tem samem Bogu i Kościołowi równocześnie.

* * *

W taki sposób objaśnia się postawa Ludwika XIV wobec wszystkich zagadnień religijnych, jakie pojawiły się w ciągu jego panowania. Należały do nich: sprawa przywilejów królewskich, Deklaracja praw kościoła gallikańskiego, odwołanie Edyktu Nantejskiego, jansenizm i kwietyzm. Zasadniczo nie pozwalał sobie nigdy wdzierać się w dziedzinę religji. Ocenia problemy religijne, wyłącznie z punktu widzenia polityki — jako król francuski, nie jako teolog. Broniąc interesów państwa, broni równocześnie swego autorytetu i władzy świeckiej wogóle. W protestantach, jansenistach i kwietystach widzi przedewszystkiem nieprzyjaciół państwa, są też związki i sekty potajemne, które pod płaszczykiem religji sieją niezgodę w kraju i osłabiają go w opinji nieprzyjaciół. Poglądy, jakie mają na ideję monarchiczną zarówno zwolennicy Port-Royal jak i hugenoci, mają bardzo niewiele wspólnego z pojęciem władzy absolutnej, którą król wprowadzić zamyśla. I o tem mu również wiadomo dobrze, że hugenoci nawet w najspokojniejszej i pozornie uległej fazie swego istnienia, byli podejrzani o kontakt z zagranicą. Ileż to razy bowiem, przed odwołaniem Edyktu Nantejskiego, prosili ją o pomoc. Porozumiewali się z Hiszpanją i Anglją, dążąc z nimi razem do rozbioru Francji. A po rewokacji rozpoczęły się nowe knowania. Otrzymali pomoc zarówno z Holandji i Anglji jak z republiki genewskiej. W czasie wojny o sukcesję hiszpańską Francja południowa stanęła nieomal otworem dla inwazji angielskiej. Hugenoci postępowali podobnie jak swego czasu książęta francuscy i możnowładcy w czasie Frondy. Były to pozostałości średniowiecza, gdzie interes kasty, czy sekty stawał ponad interesem państwa. Albowiem nie dorośli oni jeszcze do nowoczesnego pojęcia miłości ojczyzny.

Król natomiast miał już to pojęcie i świadom był, że państwo, że ojczyzna stoi ponad wszystkiem.

Nie udało się więc królowi, tak jak pragnął, oddzielić w zupełności państwo od Kościoła. Czasami — ale i to ze względów politycznych — zdarzyło się, że się pobłąkał w sferę spraw religijnych. Zatargi z papieżem Inocentym VI dowodzą zamętu w świadomości politycznej i pogmatwania uprawnień obu potęg. A jeśli błądził, jeśli nawet dopuścił się nadużycia swej władzy, to znowuż z pobudek czysto religijnych. Winnem tu było przesadne wyobrażenie o roli, jaką królowi nadawał tytuł Króla Arcy-chrześcijańskiego. Nie należy przypuszczać, że jedynie względy polityczne skłoniły go do rewokacji Edyktu Nantejskiego, i do prześladowania protestantów i jansenistów. Względy wiary grały tu rolę niemniejszą. Od chwili, gdy uznano, że istnieje jedna prawdziwa religja, król Francji sprzeniewierzyłby się swemu posłannictwu i przestałby być ojcem swoich ludów, gdyby je pozbawił dobrodziejstw tej religji prawdziwej. Tak poplątawszy atrybucje władzy świeckiej i duchownej, uczynił się jakby patronem kościoła i nawracającym misjonarzem. Przekroczył granicę swej możności i nadużył władzy królewskiej w sposób przykry, czasem wprost godny ubolewania.

* * *

Sam osobiście był głęboko wierzącym chrześcijaninem. I to takim, jak za owych czasów bywali, a jakich dzisiaj napotkać rzadko: poważnym, uświadomionym i we wierze niezłomnym. Gdyż jest przesądem z czasów romantyzmu, odmawiać wiekowi XVII wiary wogóle, a obdarzać tym przywilejem wyłącznie niemal średniowiecze. Jakto? Stulecie Pascal'a, Bossuet'a, Bourdaloue, św Wincentego à Paulo i świętej Małgorzaty-Marji nie miałożby być, w całem znaczeniu wyrazu, chrześcijańskiem? I dlaczegożby „kościoły gotyckie wydawały się bardziej chrześcijańskiemi od kościołów z epoki klasycyzmu?“ Symbolika i święte obrazy w kaplicy wersalskiej są niemniej religijne od symboliki i świętych obrazów w kaplicy Grobu Świętego. Kościoły Inwalidów, Saint-Sulpice, czy Val-de-Grâce są jako dzieła

sztuki godne wysokiego podziwu. Możnaby nawet powiedzieć, że budownictwo XVII wieku jest bardziej utrzymane w duchu francuskim niźli średniowieczne, ponieważ wyraża lepiej istotę rasy francuskiej, jej zmysł w kierunku prostoty, jasności, dobrego smaku i umiaru, gdy natomiast styl gotycki pełen jest nieumiaru i wschodniej przyozdoby, a czasami nawet razi przesadą.

Bo cóż pomoże sztuka, gdzie niema głębokiej wiary z przekonania? A kiedyż było więcej chrystjanizmu prawdziwego, jak nie w stuleciu XVII? Umrzeć po chrześcijańsku należało wówczas do obowiązującej reguły. Można przypomnieć cały szereg bohaterskich i budujących wypadków śmierci i to w odniesieniu do ludzi, którzy nie wolni byli od zarzutu bardzo gorszącego życia. Taka chociażby śmierć księżniczki Palatynu — że tylko o najwybitniejszych wspomniemy — albo księżny de La Valière, albo pani de Montespan, czy pani de Monaco, która „umierając, nie miała już wyglądu człowieczego“. Albo walka toczona przed zgonem przez zbrodniarki takie, jak Brinvilliers, czy la Voisin. Egzekucje były w ówczesnym Paryżu częste, prawie na porządku dziennym. Ściągała na plac kaźni ciżba bezmierna, spragniona wzruszeń i krwi. Gdy jednak skazaniec, znalazłszy się już na placu de Grève, ukląkł przed klocem, u stóp szafotu, a jego spowiednik z wysokości szafotu zaintonował *Salve Regina*, wówczas ciżba ludu padała na kolana, podejmując hymn błagalny o litość i miłosierdzie. I w przeciągu tej chwili zachwytu religijnego kajała się z grzesznej ciekawości.

Ludzie nie bali się śmierci. Oczekiwali spokojnie swojej godziny, przygotowywali się długo i patrzyli mężnie śmierci w oczy, gdy wreszcie nadeszła. Pewien minister, nazwiskiem Pontchartrain, czując zbliżający się koniec, złożył swoją dymisję kanclerzowi i mimo usilnych nalegań zarówno króla jak swej rodziny zamknął się w klasztorze oratorjanów i tam przez lat kilka żył w pobożnem oczekiwaniu śmierci. W żadnej innej epoce nie było we Francji tyle co teraz wiary poważnej, przemyślanej i głębokiej. I nigdy indziej nie określono tak dokładnie jej granic.

* * *



LUDWIK XIV
według portretu Le Brun'a.

I w tej mierze mógł król również służyć przykładem dla swych współczesnych. Jest on przepysznym typem chrześcijańskiego Francuza w epoce klasycyzmu. Przedewszystkiem daje przykład jako wzorowy parafjanin zarówno w Paryżu jak w Saint-Germain i w Wersalu. Pierwszą komunję przyjął w kościele św. Eustachego, ponieważ mieszkał wówczas w Palais-Royal. Później, gdy w Luwrze przynależał do parafji Saint-Germain-l'Auxerrois, rozdzielać zwykł chleb poświęcany wśród wielkich uroczystości, przy akompanjamencie piszczałek i kotłów. Bierze udział we wszystkich obrzędach i obchodzeniu stacyj Męki Pańskiej w czasie Wielkiego Tygodnia. Podobnie w Wersalu w Kaplicy zamkowej. W kościele parafjalnym przyjmuje komunję św. cztery, czy pięć razy do roku zazwyczaj: na Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki, Wniebowzięcie Matki Boskiej i w dzień Wszystkich Świętych. Z odkrytą głową towarzyszy procesji z Najświętszym Sakramentem z kościoła aż do ostatniego ołtarza w obrębie zamku wersalskiego. Nie opuści żadnej procesji Bożego Ciała, czy Wniebowzięcia N. P. Marji. Proboszcz parafjalny to osobistość u dworu. Jeden z nich, ks. Hébert, cieszył się wielkiem zaufaniem u króla i u p. de Maintenon. On to właśnie potępił zbyt jaskrawe przedstawienia teatralne w Saint-Cyr.

Oprócz obowiązków zwyczajnego chrześcijanina dopełnia król skwapliwie powinności związanych z jego wysokiem stanowiskiem. Nietylko przestrzegał postu z ogromnym rygorem, co było aktem bohaterstwa niemal u człowieka obdarzonego chorobliwym apetytem, lecz również codziennie rano odmawiał officjum do św. Ducha (coprawda, bardzo krótkie). W Wielki Czwartek za przykładem Chrystusowym, myje nogi dwunastu ubogim, potem je obciera, na pamiątkę Ostatniej Wieczerzy, i całuje. Opuszczając mury kościoła po każdej komunji, dotyka chorych, a dzieje się to w czerwcu i w sierpniu, a więc w czasie największych upałów. Chorzy nędzarze z wrzodami, wyrzutami i zaraźliwemi chorobami — ustawiają się setkami i tysiącami na dziedzińcu zamkowym lub pod sklepieniem Oranżerji. Widowisko straszliwej nędzy ludzkiej i cierpienia, jakie dziś znaleźć można chyba tylko w Lourdes. Ludwik XIV idzie piechotą. Na szyi

ma łańcuch orderu Ducha Świętego, ciężki, czarny płaszcz aksamitny, haftowany w czerwone języki, dusi go poprostu. A mimo to godzinami całemi stąpa wpośród szeregów chorej, umierającej biedoty, raz po raz powtarzając tę wzruszającą formułę: „Niech cię Bóg uleczy! Król cię dotyka!“ A czyni to nieraz i nie dwa, lecz wiele razy w ciągu roku aż do ostatnich dni życia. W przededniu niemal śmierci, gdy miał gangrenę w nodze i całe ciało schorzałe bez nadziei, uważa za swój obowiązek, nawiedzić i dotknąć po raz ostatni innych śmiertelnie chorych. Dnia 8 czerwca 1715 donosiła *La Gazette de France:* „Król przyjął komunję św. i dotykał chorych“. Ilu ich zaś było tego dnia? 22 maja 1701 zgromadziło się w Wersalu na wielkim dziedzińcu dwa tysiące czterysta chorych. Przyznajmy, że nawet Ludwik Święty nie może się poszczycić piękniejszą ilością aktów miłosierdzia!

* *
*

Pod dwiema postaciami przejawia się ponadto pobożność króla. Są to mianowicie dwa ulubione w XVII wieku rodzaje nabożeństwa: odmawianie różańca i adoracja Najświętszego Sakramentu. Ojcowie nasi pragnęli bowiem przeciwdziałać negacji protestanckiej przez realne uznanie Eucharystji i kult Dziewicy-Marji. Kaznodzieje ówcześni zwykli byli rozpoczynać kazania od „Zdrowaś Marja“, publiczne adoracje Najświętszego Sakramentu zaś odbywały się tak często, że przybyszom z zagranicy wydawały się zabobonem lub herezją. Ksiądz Locatelli w czasie swej podróży po Francji zapisuje w swym dzienniku dość szczególne spostrzeżenie: „Święty Sakrament Ołtarza to zda się jedyny przedmiot wiary w narodzie francuskim.“

W tych wszystkich okolicznościach zachowywał się Ludwik XIV nie inaczej, jak pierwszy lepszy z jego poddanych. Na zewnątrz nie różnił się co do pobożności niczem od najbiedniejszego węglarza. Stale nosił różaniec w kieszeni. W kościele widywano nieraz jak obraca paciorki, a gdy spotkał księdza, idącego z wiatykiem, zwykł mu towarzyszyć aż do łoża umierającego. W czasie największego napięcia jego wiarołomnej miłości ku pani Montespan opadła go skrucha wówczas właśnie po raz pierwszy, gdy napotkał

w zamku księdza niosącego ostatnie sakramenty śmiertelnie choremu oficerowi. Hostja św., niesiona do ust grzesznika, znak wieczystej i serdecznej ofiary, jawi się niespodzianie i zagradza mu drogę. I oto początek jego nawrócenia. A nie były to chwilowe tylko porywy. Wierzył tak gorąco i szczerze, że nawet najcięższe błędy nie zdołały przyćmić i nadwyrężyć tej wiary. Przez cały czas nabożeństwa klęczał zazwyczaj na kolanach, a skupiona postawa ducha wyrażała tyle przejęcia się ofiarą Mszy świętej, że wywierało to wpływ nawet na dworzan. Zdaje się, że widzimy go jeszcze na miejscu, które zwykł był zajmować po lewej stronie chóru kaplicy wersalskiej. Twarzą zwrócony do ołtarza, klęczy na dywanie z czerwonego aksamitu. Cały dwór zwraca oczy na osobę monarchy, jak gdyby nie śmiał zwracać się do Boga inaczej, jak tylko za pośrednictwem królapośrednika. Wspaniałość obrządku i ceremonjału, niebiańska muzyka organów, anielskie tony skrzypiec, mieszając się ze śpiewem ludzkim, użyczają przepysznego tła tej chwili. A było w niej coś tak pięknego, że pewna młoda protestantka, późniejsza pani Caylus, wyraziła się: przejdę na katolicyzm pod warunkiem, że codzień będę mogła być obecną na mszy królewskiej.

Ludzie, którzy mało znali Ludwika XIV, sami zresztą gorliwi wyznawcy, zarzucali mu, że jego pobożność jest czysto formalistyczna, zewnętrzna i zgoła płytka. Fenelon pisał do pani de Maintenon, że król Jegomość „nie ma pojęcia o swych obowiązkach“ ani o prawdziwej pobożności. Pani de Maintenon uważała się za zesłaną przez Boga, aby króla zawrócić z drogi ignorancji i zaślepienia i przez to zjednać mu zbawienie wieczne. Każdego rana odmawiała modlitwę, ułożoną dla niej przez ks. biskupa z Chartres, Godeta des Marais, który był jej spowiednikiem. Modlitwa brzmiała tak: „Postawiłeś mnie, Boże i Panie, na miejscu, na którem się znajduję. Ty, który serca monarchów masz w swej opiece, otwórz serce naszego króla, abym mogła wprowadzić w nie to, czego Ty, Boże, żądasz.“ Wraz ze swem otoczeniem starała się pani de Maintenon oświecić go we wszystkiem, czego nie wiedział, i udzielała mu systematycznej nauki religji.

Król nie miał w sobie nic z teologa ani z mistyka, jak już wspominaliśmy. Ale do ignoranta w rzeczach wiary było mu również daleko. Trzeba pamiętać, że miał takich katechetów jak Bossuet, i takich nauczycieli moralności jak Bourdaloue, że w ciągu lat pięćdziesięciu wysłuchał z wielką uwagą masy nauk adwentowych i rekolekcyj wielkopostnych, nie mówiąc już o niedzielnych homiljach. Już to samo dla siebie stanowiło zamknięty cykl, w którym wyjaśniono i dowiedziono wszystkich prawd wiary. Dzisiaj — poza zawodowymi teologami nie otrzymuje nikt podobnie istotnego i szczegółowego wykształcenia w tej materji. Powiedziano królowi wszystko, często prawdę bezwzględną w oczy. Wspomnijmy chociażby owo straszliwe kazanie Bourdaloue o „Nieczystości", w którem pobożny kaznodzieja „rzucając się jak dziki człowiek", odsłonił w obecności całego dworu występki haniebne kochanki królewskiej, a równocześnie „ogłupienie" jej amanta, który w rozpuście zatracił wszelką myśl o wieczności. Wspomnijmy również o Mascaron'ie. Uderzył on tak gwałtownie i z taką bezwzględnością na rzemiosło wojskowe, że dziś oskarżonoby go chyba przed trybunałem o antymilitaryzm. Dnia 5 marca 1675 pisała pani de Maintenon: „Słyszałam piękny występ ojca Mascaron. Mówił on nieco przyostro o zdobywcach, i wyraził się, że bohater jest bandytą, który na czele wojska robi to samo, co zwyczajni złoczyńcy robią w pojedynkę. Pan nasz nie był z tego zadowolony"... I też miał z czego. Co się tyczy wiarołomstwa, król poprawił się i wyporządniał. Natomiast przeciw zarzutom nadmiernej dumy i pychy protestował zawsze i starał się usprawiedliwić. Nie zdołają go zmusić, aby poświęcił interes państwa rzekomo dla nazbyt wielkiej żądzy zdobyczy. Pobożnisie, z panią de Maintenon na czele, podejmują się szkaradnej roboty. Gdyby ich posłuchał, popełniłby bez liku głupstw politycznych. I to głupstw bardzo niebezpiecznych. Zastrzega się przeciwko zarzutowi dumy. Jako zwykły śmiertelnik, nie posiada jej wcale, natomiast królowi Francji dumnym być przystało. Sam nawet stara się wyjaśnić w „Pamiętnikach", dlaczego wybrał Słońce za swe godło, a za dewizę słowa:

Nec pluribus impar. Wykłada to w sposób, nie mający nic wspólnego z arogancją lub pustoduszną głupotą.

Pozatem walczył aż do ostatka z przebiegami kliki bigotów w rodzaju Fenelona, księcia de Beauvillier i pani de Maintenon, którzy usiłowali mu narzucić pobożność, nie dającą się, jego zdaniem, pogodzić z dostojeństwem urzędu królewskiego. Kardynał de Noailles żądał nawet zakazu balów dworskich i przedstawień teatralnych. Usiłują nakłonić go do bezliku drobnych praktyk religijnych i przesycić go rozmaitemi nieszporami, kompletami i officjami. Król się opiera. Wie dobrze, że Francja nie może się zmienić w zgromadzenie klasztorne. A on, Król najbardziej Chrześcijański nie myśli zostać księdzem ani mnichem. Podobnie jak estetyków jego czasu, wstrętem przejmowała go myśl o pomieszaniu rodzajów.

* * *

Stąd poszło szczególne piękno ostatniej godziny królewskiej. Aż do końca usiłował pełnić swe obowiązki. I załatwiał sprawy bieżące. Na łożu śmiertelnem wydawał zarządzenia konieczne dla oszczędzenia zamieszek, jakie powstać mogły w związku z małoletnością następcy tronu. A gdy już wszystko było uregulowane, czując zbliżający się koniec, zdołał w swej wierze głębokiej, oraz w poczuciu, że dopełnił swych obowiązków na ziemi, znaleźć siłę ducha, potrzebną do rozpoczęcia podróży na tamtą stronę. Jednem poruszeniem odłączył się od świata, i zwrócił się do Boga. Bez lęku, ale też bez owej niechrześcijańskiej pewności siebie, w poczuciu pełnej natomiast świadomości, zawsze jako król, który panuje nad swem otoczeniem. Sam zażądał ostatniego wiatyku i pomazania Olejami św. A kiedy stan się pogorszył, odmawia głośno wraz ze służbą modlitwy za konających. Pragnie cierpieć jeszcze więcej na uproszenie odpuszczenia grzechów. Żałuje za wszystkie winy, jakie popełnił. Zdaje sobie szczególnie sprawę, że zbyt wiele wymagał od swych poddanych. Ufa wszelako w miłosierdzie boże, uspokajając sumienie tem, że zamiary miał zawsze uczciwe. Lecz nie zapiera się niczego ze swych dorobków królewskich. Zdaniem Saint-Simon'a miał umiera-

jący król doradzać rzekomo swemu następcy, aby nie szedł jego śladami w zamiłowaniu wojen i budownictwa. Jest to wiadomość fałszywa, albo też niesłychanie przesadzona. Teksty, jakie możnaby przeciwstawić wymysłom St. Simon'a, nie mówią wogóle nic o zamkach i budowlach. A co do wojen, to właściwą treść myśli królewskiej znaleźć można nie w słowach rzuconych w agonji, a zniekształconych może rozmyślnie przez otoczenie, lecz w liście pisanym do młodego Ludwika XV na krótko przed ostatnią chorobą. Prawdziwy to testament zapatrywań religijnych króla, a kończą go słowa następujące: „W Bogu jednym tylko pokładaj nadzieję, mój synu. Żyj raczej jako chrześcijanin, niż jako król. I nie ściągaj nigdy na siebie prawicy bożej, karzącej za życie nieobyczajne. Bądź wdzięczny Opatrzności za opiekę, jaką otacza widocznie twoje królestwo. Poddanym swoim świeć takim samym przykładem, jakim świeci chrześcijański ojciec rodziny swym dzieciom. Uważaj ich za swoje dzieci, które staraj się uszczęśliwić, jeżeli sam chcesz być szczęśliwy. Chroń ich, jak długo możesz, od wszelkich podatków, które im nałożyła konieczność długotrwałej wojny, a których jarzmo wzięli na siebie z wiernością i poddaniem. Pozwól poddanym swoim cieszyć się długim pokojem, bo tylko pokój może uzdrowić stan twego królestwa. Ceń zawsze wyżej pokój ponad wątpliwą w wyniku wojnę i zawsze o tem pamiętaj, mój synu, że najwspanialsze nawet zwycięstwo kosztuje za drogo, gdyż płacić musimy krwią naszych poddanych. Nie przelewaj jej, ile możności, nigdy, wyjąwszy, gdy idzie o chwałę bożą. Takie postępowanie zjedna ci błogosławieństwo boskie przez cały czas rządów twoich. Przyjmij i moje wraz z ostatniemi ucałowaniami."

I w tych słowach również nie wypiera się Ludwik XIV niczego. Wszakże on też przenosił stale pokój nad wojny, które prowadził tylko „z konieczności". Zaleca tylko swemu następcy, aby się starał bardziej niż on o chrześcijańskie cechy w polityce, oraz wzywa, aby w miarę możności wiódł wojny jedynie w obronie chwały bożej. Zupełnie zrozumiałe te rady w ustach umierającego.

Nie ulega wątpliwości, że starano się wprowadzić zamęt w umysł królewski, i wywołać wyrzuty sumienia z powodu

tylu dokonanych dzieł. Nie oszczędzono mu tej udręki najwyższej. Zamiast bladych dworaków, którzy gapili się na jego mocowanie się ze śmiercią, czyż nie byłoby lepiej, gdyby u wezgłowia stanął mu dla otuchy jeden z starych druhów dziarskiej młodości króla, człowiek tak zupełny jak Bossuet, który dlań te krzepkie spisał zalecenia: „Gdy króla zmuszą do wojny, niechże ją prowadzi z mocą wielką, ochrania narody swoje od zniszczenia, dąży do zawarcia trwałego pokoju, gdyż boją się jego potęgi. Niosąc wysoko sztandar swojej sławy, podtrzymuje tem samem dobrobyt publiczny, albowiem chwała władcy jest przyozdobą i węgłem państwa. Popierając rozwój sztuk i nauki, świadczy również dobrze państwu swemu. Jeśli podejmować zacznie wielkie roboty, jak budowę portów, wielkich zamków i innych przedsiębiorstw podobnych, to oprócz użytku publicznego, jaki się w tych pracach mieści, przysporzy jeszcze królestwu swemu chwałę, która o wiele zwiększy tak bardzo potrzebną cześć dla korony królewskiej na świecie. Takim sposobem władca, cokolwiekby poczynał, może mieć zawsze dobro bliźnich swoich na oku i spełni prawdziwą służbę bożą."

Tak, chcielibyśmy wywołać ducha Bossuet'a na tę tragiczną chwilę odejścia. Niechby się pochylił nad łożem umierającego pana i mistrza. I niechby mu powiedział: „Spoczywaj w pokoju, Najjaśniejszy Panie. Służyłeś dobrze Bogu i Francji".

Lecz nikt mu nie przyniósł tej ostatniej pociechy. Umierał sam, opuszczony od wszystkich. Ledwie kilku służących pozostało, jak ongi, w najcięższych terminach jego rządów. Przecie, pomimo gorycz i serce rozdarte zachował moc niezłamaną do ostatka. I chyba, gdy bóle zdjęły go srozsze, błagał: „O, Boże, dopomóż, skróć cierpienia." Po długich zapasach z śmiercią odszedł w niedzielę 1 września 1715, kwadrans po ósmej godzinie zrana. Odszedł bez słowa skargi na okrutne opuszczenie.

Pani de Maintenon opuściła go już w piątek wieczór, gdyż obawiała się, że ją znieważą. W parę dni później napisała do księżniczki des Ursins tych kilka słów prawdziwych, o ile chodzi o śmierć samą — a powtórzył je później z ambony dosłownie niemal ks. Massilon: „Pani, widziałam śmierć króla. Umierał jak święty i jak bohater".

UZUPEŁNIENIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

OPINJA LEKARZY

Ludwik XIV panował lat siedemdziesiąt dwa. Miał zawsze dobrą minę i dziarski wygląd. Czy jednak z tym znakomitym wyglądem godził się jego stan wewnętrzny? Czy natura obdarzyła go ciałem zdolnem do przebycia tak długiej drogi i do przezwyciężenia wszystkich przeszkód napotykanych? O konstytucji królewskiej i jego niedomaganiach mamy prawie tak dokładne wiadomości, jak o jego postaci. Obok świadectw czysto literackich, czy historycznych, dochował się ponadto ciekawy dokument lekarski. Spisywali bowiem doktorzy dziennik o zdrowiu króla, jeżeli nie dzień po dniu, to przynajmniej z początkiem każdej pory roku. Ten *Journal de la Santé du Roi*, w którym pierwsi lejbmedycy królewscy, Vallot, Daquin i Fagon, rozwodzą się kolejno nad mądrością lub niedostatkiem swej wiedzy lekarskiej, jest chyba najpyszniejszym pomnikiem, jaki sobie kiedykolwiek wystawiło głupstwo. Doniosłość „Dziennika“ polega na tem, że zawiera on całą masę pilnie zaobserwowanych szczegółów, które sobie czytelnik może zgoła inaczej wytłumaczyć, niźli panowie eskulapi. Komiczny w wysokim stopniu, przynosi istne skarby błazeńskich pomysłów. I moglibyśmy się zaśmiewać do rozpuku, gdyby nie okoliczność, że w ręku głupców tyle niebezpiecznych spoczywało życie ludzkie, życie tak wyjątkowej jednostki. Do najkapitalniejszych ustępów należą jednak nie obserwacje panów lejbmedyków, lecz uwagi dodane przez wydawcę „Dziennika“ i nowoczesnych jego czytelników. Podobnie jak pan Pourceaugnac, osaczony przez szarlatanów u Molière'a, był i biedny król wydany na łup hordzie groteskowych fanatyków. Prud'homme z Ho-

mais'em, Bouvard i Pêcuchet, Vadius i Trissotin, żeby jeszcze nie zapomnieć o Basile'im i poczciwym panu Tartuffe. Wszyscy byli tu zastąpieni i powoływali niepoprawnego przestępcę przed trybunał obrażonej moralności. Zarzucano mu nieumiarkowanie, chuć rozwiązłą, obżarstwo i wszelkie możliwe występki, nie wyłączając — Boże, bądź miłościw — niezdatności i lenistwa! Jak chłopak przed rózgą, tak król stał wobec tych arogancko-nadętych i zatruwających go głuptasów. Cóż za osły nieprawdopodobne! Z lada drobnego spostrzeżenia wyciągają groźne konsekwencje o moralności oskarżonego. Sam nawet Michelet nie wstydzi się im wierzyć. A ponieważ nie zawahał się pójść razem z kurfuszerami, Purgon'em i Diafoirus'em, aż do sekretnej wygódki Ludwika XIV, musimy i my, radzi nie radzi, wstąpić w jego ślady, aby poznać, gdzie leży źródło przesadnych sądów Michelet'a i tylu zrzędzących morałów, jakie stamtąd wzięły początek. Czytelnik zechce nam to wybaczyć.

* * *

Cudem było wogóle, że Ludwik XIV, syn matki chorej na raka i ojca zarażonego, który umarł w stanie zupełnego rozkładu, cieszyć się mógł tak długo silną konstytucją cielesną. W tym względzie godzą się wszyscy współcześni. Vallot pisze zaraz na początku „Dziennika“: „Można się było obawiać, że królewicz odziedziczy słabowite zdrowie swego ojca, coby się też i stało, gdyby nie dobra konstytucja matki i jego siły heroiczne, które pozwoliły mu pokonać zły wpływ ojcowskiego dziedzictwa“. Długie lata donoszą posłowie weneccy o fizycznej odporności króla, „o silnej budowie kości“, o wysokiej i krzepkiej postaci. Czy istotnie był wzrostu wysokiego? Raczej nie. Najlepsze z portretów *en pied* nie dają wrażenia nadzwyczajnego wzrostu. Raczej był to wzrost średni, a zyskiwał może w porównaniu z wzrostem bardzo niskiego brata, lub też z powodu wysokich obcasów, czy wreszcie, gdy król siedział na koniu lub na majestacie tronu, w całym przepychu królewskiej krasy. W każdym razie jednak dziarski był bardzo, wytrzymały do ostatnich granic, prawie nieczuły na zimno, czy upały, a w ćwiczeniach cielesnych doskonale sprawny.

„Zdrowie heroiczne“, o którem mówi Vallot, zachował aż do końca życia. Wiecznie kwękająca, obstawiona lekarstwami, pani de Maintenon, która z obawy przeciągu siedziała pozawijana w ciepłym pokoju, nie umiała nigdy nadziwić się dosyć tej wspaniałej odporności. Nazywał król swoją starą towarzyszkę: „Wasza Wytrzymałość“. Mogła mu śmiało odwzajemnić się tym komplementem, ale w innem znaczeniu. W roku 1712, na trzy lata przed śmiercią króla pisała do księżniczki d'Ursins: „Budzi się jak dziecko, sypia często siedem godzin pod rząd. Nie wiem, czy wogóle istniał kiedy człowiek podobnego zdrowia.“ — I dalej: „Jest tutaj pewien pokojowiec papieża, który twierdzi, że gdyby doniósł do Rzymu, że 74-letni król wychodzi w dnie upalne o godzinie 2-iej z południa, i ugania po lesie w piasku, wśród koni i psów, wziętoby go za szaleńca, dlatego nic o tem nie pisze.“ — W listopadzie 1714, na rok przed śmiercią, pisze znowu pani de Maintenon: „Nie można się wprost wydziwić zdrowiu króla Jegomości. Codzień te same cuda: wczoraj strzelał trzydzieści cztery razy i zabił trzydzieści dwa bażanty. Ta sama pewność ręki, oka i strzału. Nic się nie zmienia!“

Gdy umarł kilka miesięcy potem, a pierwszy chirurg Maréchal dokonał sekcji ciała, „znaleziono — jak powiada Saint-Simon — wszystkie organy w takiem zdrowiu i składzie, że mógł był jeszcze żyć do stu lat i wyżej, gdyby nie występki, które sprowadziły zatrucie krwi. Pojemność żołądka i jelit była prawie dwa razy taka, jak u innych ludzi jego wzrostu. Zdarza się to bardzo rzadko i sprawiło zapewne, że król jadał tak wiele i z takim apetytem.“

Szczegółu ostatniego o pojemności żołądka i jelit nie znajdujemy w protokule chirurgów. Był to, zdaniem Boislisle'a, czysty wymysł Saint-Simon'a dla efektu. Ze wszystkich relacyj wynika wszelako, że król odznaczał się niezwykłą siłą organizmu, przedziwnem zdrowiem i odpornością.

* *
*

Czytając „Dziennik zdrowia“, jesteśmy stale pod wrażeniem, że król był chory przez całe życie i miał naokół siebie cały korpus lekarski z plutonem aptekarzy i chirurgów,

którzy leczyć go musieli z przeróżnych choróbsk i ułomności, jako to: odra, ospa, szkarlatyna, i cała skala odmian febry i zapaleń pod wszystkiemi postaciami, kichanie, kaszel, gicht, reumatyzm, zatwardzenie, biegunka, kurcze żołądkowe, wapory, zawroty głowy, migrena, omdlenia, karbunkuły, fistuła, nabrzmienie migdałów, gangrena — cóż więcej jeszcze?... Drżą oni nieustannie o życie schorzałego papinka. A potem pytają sami siebie, jakim cudem człowiek, który mógł żyć sto lat, tak często czuł się źle i tyle chorował. Odpowiedź jest tylko jedna: winą było okropne obchodzenie się z nim lekarzy, którzy z uporem manjaków, przeciwstawiających się naturze, marnotrawili i do zupełnej doprowadzili ruiny to „zdrowie heroiczne."

Niesposób powstrzymać się od oburzenia na myśl, że Ludwik XIV od urodzenia do śmierci miał czterech lekarzy, wielkich dygnitarzy dworskich, którzy zakupili swe urzędy i których usunięcie wywołałoby niechybnie rewolucję pałacową. Król był niewolnikiem każdego z tych jegomościów, ich łupem niepodzielnym do śmierci i po śmierci nawet. Pierwszy z nich, pan Vautier urzędował przez lat czternaście. Drugim był Vallot, ten sam, który rozpoczął pisać „Dziennik zdrowia", rządził królem przez lat prawie dwadzieścia (1652—1671). Trzeci, Daquin, utrzymał się na stanowisku od roku 1671—1693, a więc przez lat dwadzieścia dwa. Nakoniec Fagon, straszliwy, tyrański Fagon, przed którym drżało całe otoczenie, wypuścił króla ze swej opieki dopiero po podyktowaniu i podpisaniu aktu zejścia.

O lekarzach tych wiemy bardzo niewiele. Wiadomo, że zazwyczaj łączyli swój urząd z posadą dyrektora *Jardin des Plantes*. Daquin był wnukiem uczonego rabina z Awignon'u, przeszedł na katolicyzm, został ojcem biskupa Fréjus, dla którego wypraszał nieustannie beneficjaty i godności. Wkońcu jednak król miał dość natrętnego nudziarza i, urobiony dyskretnie przez panią de Maintenon, wziął na jego miejsce Fagona. Wynikło stąd dużo komeraży, ale ostatecznie zwyciężył Fagon.

Guy-Crescent Fagon urodził się w *Jardin des Plantes* w niskim stanie. Wszelako ani ślaz ani wołowy język, któremi się pilnie zajmował, nie zdołały uszlachetnić jego usposo-

bienia. Jako lekarz był brutalnym samodzierżcą. Wystarczy spojrzeć na jego portret w Luwrze. Głowa pokryta ogromną szpakowatą peruką, której kudły, niby szczeć świńska, opadają na czoło, czarna toga z rabatem z białego batystu, długi nos wyjadacza, podobnie jak u jego kolegi Guy-Patin'a, ale mniej śpiczasty, twarz szpetna, małe wieprzowe oczka bez wyrazu, cera żółta, choleryczna, czoło zwiędłe i zawzięte. Upór, to główny rys charakterystyczny tego drobiazgowego człowieka. Czuje się, że zadufany w swej wiedzy, nie miewa nigdy żadnych wątpliwości. I to się czuje również, że o to twarde, przeorane zmarszczkami czoło rozbiją się wszystkie zapatrywania, niezgodne ze szkolarską rutyną.

Jakkolwiek te uczone figury różnią się pomiędzy sobą i zwalczają jawnie, czy potajemnie, to przecież zgadzają się na jednym punkcie, mianowicie metod leczniczych. Z zamkniętemi oczami wierzą fakultetowi medycznemu wszechnicy w Montpellier. Zachwalają ponad wszystko antymonjum, wina przeczyszczające i chinę. Pozatem terapja doktora Diafoirus: *saignare, purgare — purgare, saignare* (krew puszczać, przeczyszczać — przeczyszczać, puszczać krew) aż do zupełnego wyczerpania pacjenta.

Ale już dalej zgody niema. Tak np. dwaj konsyljarze ostatni, panowie Fagon i Daquin różnią się zasadniczo w poglądach na rodzaj usposobienia króla. Te różnice zapatrywań lekarzy, dość częste i hałaśliwe, a publiczność bawiła się niemi niemniej od innych kolegów po fachu, którzy również mieli pretensję, że ich diagnoza jest nieomylna. Guy-Patin tak sobie pokpiwa w liście do przyjaciela Spona: „Wczoraj o godzinie 2-iej w lasku Vincennes spierało się czterech lekarzy kardynała Mazariniego, Guénaud, Vallot, Brayer, Béda i des Fougerais i nie mogli się pogodzić, na jaką chorobę zmarł kardynał. Brayer uważał, że mu zgniła śledziona, Guénaud natomiast, że wątroba. Vallot twierdził, że to było zapalenie płuc i opłucnej, Fougerais natomiast, że niewątpliwy wrzód w mózgu." Prawdziwie, scena z Molière'a! Podobnież panowie Daquin i Fagon spierali się o konstytucję króla. Daquin uważał, że chorował na żółtaczkę i miał skłonność do łatwych zaziębień. Fagonowi natomiast

wydał się król limfatykiem. Dlatego, gdy Fagon wziął spadek po Daquin'ie, nastąpiła zupełna zmiana kuracji. Wino szampańskie, którego zresztą pijał Ludwik XIV niewiele, zastąpiono burgundzkiem. Zabroniono mu potraw mięsnych. Przepisano ścisłą dietę z chleba i wody zaróżowionej.

Kto tu pobłądził? Trudno na odległość osądzić. Możliwie, że obaj eskulapowie mieli rację i król, którego przez pół wieku nękano upuszczaniem krwi, stał się wreszcie niedokrwistym. Największym i zasadniczym błędem było co innego. Nie rozpoznano choroby, na którą król cierpiał istotnie, a która była przyczyną wszystkich bólów głowy, omdleń i „waporów", dręczących go tak często. Czytając uważnie „Dziennik zdrowia", można i bez pomocy lekarzy dojść do przekonania, że pacjent cierpiał na tasiemca, nie mógł się go pozbyć z winy lekarzy, czy też z niedołęstwa medycyny ówczesnej i musiał borykać się z nim przez całe prawie życie.

* * *

Że to był tasiemiec, wynika zupełnie jasno ze spostrzeżeń lekarzy. W roku 1659 (król ma lat dwadzieścia), zauważa Vallot w „Dzienniku": „W najlepszym humorze znajdował się król w lesie w Vincennes i wydalił ze siebie robaka pół stopy długości, bez bólu i żadnych innych objawów." Pierwszy raz stwierdzono tedy tasiemca, możliwe jednak, że poprzednie objawy uszły uwagi Vallot'a. Przemija trzydzieści lat bez śladu o tem w „Dzienniku", prowadzonym teraz przez Daquin'a. Jest to właśnie okres, w którym król jada bardzo wiele, skarżąc się na omdlenie, zawroty głowy i bicie serca, przypadłości właściwe tasiemcowi. Zaczyna się teraz kuracja systematycznych, straszliwych przeczyszczań w ogromnych dozach, jakie Fagon przepisuje. Na rezultat nie trzeba długo czekać. „Dnia 1-go maja — notuje Fagon — król w czasie obfitego stolca wydalił ze siebie żywego robaka, który niepokoił zapewne żołądek i był przyczyną zawrotów, jakie król odczuwał poprzednich dni... Błagałem króla, aby się pozwolił przeczyścić i wydobyć przez to resztę robaka." Następnego roku 2-go września, po potwornie

silnem przeczyszczeniu, wyszedł wielki robak, ale nieżywy, bo, zdaniem Fagona, zabity przez lekarstwo. W jakiś czas potem 18-go listopada nowa purgacja i „nowy robak, nieżywy, tej samej wielkości co poprzednio.“ 30-go grudnia tego roku, król po lekarstwie przeczyszczającem wydaje jeszcze raz nieżywego robaka, tym razem mniejszej wielkości. Wreszcie w roku 1705 pisze Fagon o swym pacjencie dostojnym: „W skąpym stolcu z dnia 23-go grudnia wydzielił ze siebie robaka nieżywego, długiego na ćwierć łokcia, zwiniętego i otoczonego kawałkiem dość twardej powłoki. Lekarstwo wprawiło króla w niepokój, któremu mógł być też winien żołądek i kiszki lekko podrażnione.“ Czytelnik raczy raz jeszcze wybaczyć, że się zagłębiamy w tego rodzaju szczegóły, ale trudno w rozważaniu podobnem obejść się bez dowodów.

Tak więc cierpiał król na tasiemca prawdopodobnie, i nie zdołał go się pozbyć nigdy. Tem się też i tłumaczą nietylko stałe niedyspozycje w latach trzydziestych, kolka w żołądku (dziwi się jej nawet Fagon), zawroty głowy i wapory, a wreszcie ów nienasycony niczem głód i ciągły wilczy apetyt, który tak zdumiewał cudzoziemców. Wobec tego odpadają odrazu zarzuty niepowściągliwej rozpusty, strofowane tak obficie. Bo w oczach uprzedzonych czytelników „Dziennika zdrowia“ król jada dlatego tak wiele, gdyż jest żarłokiem; ataki zaś, omdlenia, zawroty i bóle głowy, to zabójczy skutek rozpustnych wybryków w objęciach nałożnic. Jak wielu ludzi, dopuszczał się może wybryków seksualnych za czasów młodości. Lecz był zbyt umiarkowanym i statecznym człowiekiem na to, aby to miało wejść w stały zwyczaj. A nic łatwiejszego, jak znaleźć powód tych omdleń i ataków migreny w chorobie, na którą cierpiał! Panował nad sobą do tego stopnia, że udało mu się nawet ująć w karby ciągłą nienasytość, która też była przejawem choroby. Jadał bardzo wiele na obiad i kolację, ale też nic pozatem w ciągu dnia. Podkreślić to trzeba z uznaniem w epoce, w której damy dworu, młodzi książęta i dworacy objadali się łakomie od rana do wieczora, mając kieszenie pełne łakoci i cukierków, wskutek czego nieustannie chorowali na żołądek.

Chronicznym cierpieniom Ludwika XIV dało się też ciężko we znaki jego bardzo złe uzębienie. Stracił zęby bardzo wcześnie. W roku 1685 wyjęto mu górne zęby z lewej strony. Operacji tej dokonał zapewne jakiś weterynarz albo kowal, gdyż razem z zębami wyrwano królowi kawałek szczęki podniebienia. „Wytworzyła się — pisze Daquin — wskutek tego dziura w podniebieniu, zaczęła ona ropieć i sączyć gnijącą materją, wskutek czego powstał brzydki odór z ust.“ — Lekarz dodaje jeszcze jedną odrażającą wiadomość: „Potrawy i napoje, przedostając się przez otwarte podniebienie, wychodziły królowi nosem na zewnątrz.“ Można sobie wyobrazić, ile wycierpiał nieszczęśnik. Pożerany przez tasiemca, zmuszony był zjadać olbrzymie ilości pokarmów, a nie mając zębów, nie mógł ich pogryźć. Oddawał je przeto w takim stanie, jak przyjmował. W „Dzienniku“ znajdujemy częste tego rodzaju zapiski: „Jego Królewska Mość oddał wiele surowych, niestrawionych pokarmów, między innemi kilka zupełnie nietkniętych trufli.“ Teraz rozumiemy, skąd ten nieustanny wilczy głód. Mając tasiemca i wadliwy narząd trawienia, mógł jeść bez końca, lecz nie miał z tego jedzenia żadnego pożytku i stale odczuwał głód.

Taki ciągły dopływ niestrawionych pokarmów musiał wreszcie spowodować zapalenie kiszek. Lekarze przepisywali mu nieustanne środki laksatywne i lewatywy, tak, że biedak nieustannie biegał na stołeczek. Miał król specjalną aptekę i środki preparowane wyłącznie do jego użytku, np. „buljon przeczyszczający“, oraz lekarstwa, złożone z niesłychanych ingredjencyj, jako to: proszek z tartych raków, proszek z tartych węży, winnik, tanina, tamaryszek, mannę, końskie łajno itd. Ponieważ naprzemian cierpi na zatwardzenie i biegunkę, musi mieć stale do dyspozycji całą baterję środków eksplodujących, któremi atakuje uporczywe szańce przyrody. A jaki triumf, kiedy się twierdza podda! „Nareszcie około godziny dziesiątej raczył się otworzyć żołądek!“ Zdanie to powtarza się często w „Dzienniku zdrowia,“ a brzmi tak dumnie, jak niczem jaki zwycięski biuletyn. Fagon, przekonany o skuteczności takiej kuracji, zdołał wreszcie przekonać pacjenta, że czuje się również doskonale, zaczem przepisał mu, obok „lekarstw i preparatów przepisa-

nych dla ostrożności i przygotowania“, jeszcze stałą miesięczną kurację przeczyszczającą. Rozpoczynając kampanję lub przed podróżą do Fontainebleau, uważał król za pierwszą powinność, poddać się najpierw gruntownej laksacji. W ostateczności pomóc musi lewatywa. Gdyż, jak się wyraził Daquin, kiszki Jego Królewskiej Mości potrzebują zawsze „pociechy niejakiego odświeżenia“.

Te lekarstwa przeczyszczające były środkiem straszliwym. Szarpały one pacjentem 17 do 18 razy pokolei. A jak silne były, widać na zabitym, jak słyszeliśmy, tasiemcu. Naturalnym skutkiem tej końskiej kuracji było zapalenie błon śluzowych. Gruczoły śluzowe zaczęły krwawić, zczasem uchodziła z króla krew wiadrami. Wszelako te „stolce czerwone“, jak mówiono, nie martwiły zbytnio lekarzy, którzy mieli ufność bezgraniczną w metody lecznicze swego fakultetu. Nietylko zdwajali dawkę, lecz przy najlżejszem podwyższeniu temperatury, puszczali mu krew. A w owym czasie febra powtarzała się dość często. Moczarowate, skopane przez robotników grunty w Wersalu i Marly, stojące wody w jeziorach i stawach były każdego lata źródłem zarazy. Więc ilekroć król miał puls szybszy, język obłożony i oczy błyszczące, zaraz puszczano mu krew, aby przepędzić złowrogie wapory! Cierpiał okrutnie od tej „przyobfitej flebotomji“. Popadał w omdlenie, po powrocie do przytomności odczuwał zupełny upadek sił, pustkę w głowie, „kręciło mu się przed oczami“. Nareszcie postawił się ostro i zbuntował się przeciwko swoim katom, rozeznawszy swym zdrowym rozsądkiem, jak idjotyczna jest ta cała kuracja. Zakazał puszczać sobie krew. Stary Vallot był niepocieszony. „Nie mogąc w żaden sposób nakłonić króla do puszczenia krwi, uprosiłem tyle przynajmniej, że mi pozwolił na purgację.“ I dodaje z melancholją: „Po przeczyszczeniu musiałem go pozostawić przez jakiś czas w spokoju“...

Ale jaki tam wypoczynek dla chorego. Narząd trawienia był wskutek nadużyć powyższych tak podniecony, że króla paliło nieustanne pragnienie, które musiał gasić chłodzącemi napojami i potrawami. Spożywał tedy masami surowych jarzyn i owoców (Fagon je przepisał), melony, ogórki, sałatę, wszystko przyrządzone bardzo ostro z pieprzem, solą

i octem. Potem odrazu wypijał duszkiem puhar wody, zimnej jak lód. Na krótko przed śmiercią zjadł wieczorem (a było to w lecie) trzydzieści świeżych fig odrazu, poczem wypił wielką szklanicę wody z lodem. Trzeba przyznać, że to wcale ryzykowna dieta, jak na człowieka chorego na chroniczne zapalenie kiszek. A z drugiej strony, nie mając zębów, nie mógł gryźć porządnie pokarmów, dziurawe i pozbawione smaku podniebienie domagało się ostrej przyprawy, pieprzu i korzeni. Łatwo ocenić, o ile tego rodzaju potrawy pomagały do wyleczenia wnętrzności Króla Francji.

Uznać trzeba atoli, że zarówno Daquin jak Fagon sprzeciwiają się tym orgjom surowizny i pieprzu. W jakiż jednak sposób przekonać kto zdoła człowieka, przymierającego wciąż głodem chorobliwym, biedaka, którego owe krwiupusty, hegary i emetyki osłabiły do ostateczności, wtrącając w skrajną anemję. By go wyczerpać do reszty, nakazuje Fagon co wieczór kąpiel przez dwie godziny. Następnie kładą go do łóżka, gdzie się ma całą noc pocić w pierzynach z puchu edredońskiego. Rankiem kamerdynerzy muszą wycierać spoconego jak mysz króla i zmieniają mu bieliznę. A ponadto zmuszano go co jakiś czas do „pobudzenia soków“, aby katar pobudzić, aby tłuszcz rozpuścić, aby humory odświeżyć. Przekonani byli bowiem, że ciało człowieka, podobnie jak przyroda, podlega wstrząsom perjodycznym, którym sztuka lekarska musi wszelkiemi siłami dopomóc. Vallot pisał tedy w „Dzienniku zdrowia“: „Niema nic szkodliwszego dla zdrowia, jak zmiany pór roku. Mróz potrzebny jest dla konserwacji życia o tyle, gdyż ściąga i zagęszcza soki, które potem na wiosnę, nie mogąc tak szybko roztajać, dłużej opierają się zgniliźnie.“

* *
*

Obok lekarzy musieli mieć i chirurdzy zajęcie. Więc czyż trzeba się dziwić, że najmniejsze głupstwo ciągnie się miesiącami? Wiemy przecie, ile zręczności okazali dentyści, wyrywając mu kawał szczęki wraz z zębami, co doprowadziło do próchnienia kości... Gdy się już dość wycierpiał, przykładano mu czternaście razy plaster pryszczący, jak zapisuje Daquin, a Dubois, który się tem zajmował, okazał

więcej zniecierpliwienia od samego pacjenta, ten bowiem, „gdy się raz na coś zdecydował, umiał wytrwać z całym nakładem niewzruszonej woli i cierpliwości.“ A teraz przesławna operacja fistuły. Przecinano ją po rzeźnicku, a gdy minęła godzina, okazało się, że trzeba jeszcze puścić krew z ramienia... A więc po operacji, która sama była niewysłowioną torturą, jeszcze upust krwi! Stało się to 18-go listopada 1686. Dnia 2-go stycznia następnego roku krajano go znowu i wypalano ranę kamieniem piekielnym. Trochę później utworzył się na szyi furunkuł. Dnia 12-go sierpnia rozpoczyna się leczenie, tymczasem wrzód powiększa się i przybiera postać zapalną. W dzień Zaduszny, pomimo zaaplikowania przeróżnych plastrów, nacięć i jątrzników, furunkuł nie był jeszcze uleczony. Król poddawał się tym potwornym udrękom w przekonaniu, że pomogą jego zdrowiu, tak bardzo potrzebnemu dla państwa. Gdyby sądził, że interes państwa nie pozwala tracić czasu na kurację, przepędziłby lejbmedyków niechybnie. Vallot podkreśla to dość wyraźnie: „Gdy przedstawiałem możliwe skutki choroby, powiedział mi Jego Królewska Mość, że raczejby śmierć poniósł, aniżeli zaniedbał najmniejszej sposobności, w której idzie o chwałę i odnowę jego państwa.“

Wziąwszy to wszystko pod rozwagę, można rzec bez przesady, że Ludwik XIV był męczeńską ofiarą swoich chirurgów i lekarzy. Saint-Simon zarzuca Fagonowi, że przyśpieszył śmierć króla, nie dbając od początku o gangrenę w nodze, która go wkońcu zabiła. Istotnie Fagon wskutek tych ciągłych upustów krwi, czyszczeń, codziennych kąpieli i poceń, zdołał tak osłabić organizm królewski, że niesposób mu było oprzeć się nawet najlżejszej infekcji. „Nie miał już kropli krwi w żyłach.“ Chodził jak żywy trup. I takim go też uwieczniło tragiczne popiersie woskowe Benoist'a. Długi czas zdołał stawić czoło swym katom, aż razu pewnego silny organizm padł, jakby od jednego ciosu. Umiał król ukrywać zły stan swego zdrowia. I zdumiewał się, gdy zauważano chorobę. „W sobotę, dnia 10-go, powrócił z Marly — tak zapisuje Dangeau — tak zgnębiony i słaby, że z trudnością dowlókł się wieczór ze swej pracowni do klęcznika. W poniedziałek zażył lekarstwo (już ostatnie!) i poszedł

jak zazwyczaj na kolację *à grand couvert* o 10-ej, aby się położyć jak zawsze o północy, zobaczyłem, gdy się rozbierał, że to istny szkielet. Chyba nigdy jeszcze nie zaszedł wypadek takiego zaniku sił i wychudnięcia, jak tutaj w przeciągu kilku dni. Ujrzawszy go nagiego, można było sądzić, że ktoś zeń wytopił wszystek tłuszcz."

Odpowiedzialność za ten stan ponosili, rzecz jasna, Fagon i jego czeladka. Ale ci ludzie byli jeszcze dumni, gdyż pewność siebie dorównywała u nich głupocie.

Przytoczymy jeszcze dla przykładu bezmiernej głupoty lekarzy, na ich zawstydzenie i dla naszego zbudowania, ustęp z „Dziennika zdrowia", p. t. „Uwagi pana Daquin o waporach króla". „Cierpiał król na wapory od siedmiu albo ośmiu lat, o wiele mniej niż poprzednio. Były one bardzo gwałtowne, dobywały się ze śledziony, wpływając na melancholijne usposobienie i obudzając tęsknotę do samotności. Żyłami prześlizgują się te wapory do serca i płuc, wywołując bicie serca, niepokój, obojętność i brak tchu. Stamtąd podnoszą się aż do mózgu, atakują nerwy oczne, wywołując zawroty i ciężkość głowy. Wskutek uderzenia na ośrodki nerwów przychodzi tak wielkie osłabienie kończyn, że trzeba chorego podtrzymywać, aby mógł powstać i chodzić. Rzecz to bardzo nużąca dla każdego, a cóż dopiero dla władcy, potrzebującego jasnego umysłu do zajęcia się sprawami państwa. Jego skłonny do melancholji charakter, siedzący tryb życia, spędzanego przeważnie wśród obrad, wrodzone obżarstwo, które mu każe jeść bardzo wiele, dalej, zatkanie obiegu krwi wskutek spożywania surowych pokarmów, pozwoliły tej chorobie"... Ale już chyba dość przytoczeń i żartów z tej uroczystej „wiedzy" medycznej.

* * *

W taki sposób ci partacze doprowadzili silnego i zdrowego człowieka do ruiny, zmieniając go na długie lata w szkielet i żywego trupa. Chroniczne zapalenie kiszek, spowodowane fałszywemi lekami i niemożnością trawienia — za czem poszła zapewne dyspepsja — wszystko to sprowadziło niesłychaną pobudliwość i nerwowość w usposobieniu króla. Wolter cierpiał na tę samą chorobę. Ale jakaż różnica po-

między nimi, między pacjentem doktora Tronchin'a a pacjentem Fagona! Siłą woli utrzymuje się król do końca w jednakim zawsze dobrym humorze. I nie można się dość wydziwić, jak umie panować nad sobą. Zdołał nawet pohamować udrękę straszliwego głodu. I tak samo powściągał się w dziedzinie duchowej. W niesłychanie tragicznych okolicznościach gnębią go troski okrutne, mimo to nie zdradza na zewnątrz niepokoju i trwogi. Możnaby co najwyżej zauważyć właściwą dyspeptykom potrzebę odmiany, stąd te ciągłe u króla przeróbki w ogrodach Wersalu. Inni tłumaczą dyspepsją zmienność amorów królewskich. We względzie wszelako życia miłosnego jak i seksualnego wydaje się król raczej zupełnie zwyczajnym człowiekiem.

Prawdziwie, że mało było władców, umiejących powściągać swe usposobienie i ukrywać ból. Przychodzi na myśl sentencja bardzo tutaj stosowna, a możliwe, że przez króla nawet podszepnięta Bossuet'owi:

Mocna dusza jest mistrzynią ciała, które ożywia.

ROZDZIAŁ DRUGI

DLACZEGO USYNOWIŁ NIEPRAWE DZIECI

Gwałtowny atak Saint-Simon'a przeciw ulegalizowanym dzieciom nieślubnym Ludwika XIV wywołał wiele rozgłosu i podniecił umysły tak dalece, że spokojna ocena faktów bardzo trudno przychodzi nowoczesnym historykom. Cokolwiekby można i jakkolwiek ostro sądzić o tej sprawie ze stanowiska czystej moralności, zaznaczyć jednak trzeba, że w postępowaniu króla nie było nic tak bardzo szczególnego. Władcy owocześni i książęta posiadali przecież dzieci nieprawych dość i nie wywoływało to nigdzie skandalu. Uprawnianie ich również nie oburzało nikogo.

Gdyby Ludwik odczuwał potrzebę usprawiedliwienia się, wystarczyło mu spojrzeć na historję własnej dynastji. Dziadek jego, Henryk IV uprawnił publicznie wszystkie swe dzieci nieprawe, o ile o nich wiedział. Teść jego, król katolicki, Filip IV czynił to również. A posiadał nierównie więcej bastardów niż jego zięć. Najwięcej i zupełnie otwarcie wyróżniał z nich wszystkich Don Juana austrjackiego, którego miał z aktorką Marją Calderona. (Nawiasem mówiąc, żadne z dzieci nieprawych Ludwika XIV nie pochodziło z tak niskiego stanu.) Usynowienie Don Juana odbyło się na dworze hiszpańskim z niesłychaną pompą. Filip IV przedstawił go najpierw królowej, swej żonie, a nuncjusz papieski w Madrycie udzielił mu błogosławieństwa w imieniu Ojca Świętego. Wiele rzeczy we Francji XVII wieku w dziedzinie polityki, jakoteż obyczajów, sztuki i literatury powstawało za wzorem Hiszpanji. Niezawodnie więc i na stosunek króla do swych dzieci nieprawych, a szczególnie księcia du Maine, wpłynął przykład jego teścia Filipa IV.

Ale nietylko przykład, no i pewna snobistyczna ochota naśladowania zagranicy umniejszają winę królewską do pewnego stopnia. Ponadto bowiem wpłynęły na jego postępowanie rozmaite, a bardzo liczne względy i skrupuły, którychby dziś nie wzięto wcale pod uwagę. Najważniejszą sprawą dla każdej głowy dynastji, jak wogóle głowy rodziny szlacheckiej jest wszakże sprawa potomstwa. Ród zginąć nie może.

Tymczasem w dynastji Ludwika XIV sprawa potomstwa w linji prostej była stale zagrożona. Raz przez intrygi zagranicy lub nawet najbliższej rodziny, to znów przez truciznę i mord, lub wreszcie z głupoty, czy winy lekarzy. Pamiętajmy, że za wyjątkiem delfina wszystkie prawowite dzieci Ludwika XIV poumierały wcześnie. Od roku 1661 do roku 1682, czyli do urodzin księcia Burgundji, jeden tylko delfin istniał pomiędzy tronem a rywalizującą z nim ambicją książąt krwi, ks. Orleańskich, Kondeuszów i ks. Conti. Ambicje te w czasie regencyj Marji de Medici i Anny Austrjaczki kosztowały monarchję dość drogo.

Ludwik XIV dojrzał bystro to niebezpieczeństwo i zakłopotał się poważnie. Zaczem wcześnie jął się starać, aby pomiędzy jego prawowitym dziedzicem a książętami krwi stanęła możliwie największa ilość synów z nieprawego łoża, tych, jak mówi Saint-Simon, *gens de rien*. Zawdzięczali oni wszystko królowi, nienawidzili naturalnie książąt krwi, jako swych rywali, i z pewnością w razie czego, zarówno z wdzięczności jak i we własnym interesie, stanęliby po stronie dziedzica tronu, swego pół-brata. Ludwik XIV poszedł jeszcze dalej. Nie uznawał wszak żadnych przesądów urodzenia. Wiedział, że nie koniecznie prawy królewicz musi być genjalny i utalentowany. Znał wartość swego syna i wnuka, jednostek bardzo przeciętnych. Natomiast najstarszy z jego synów nieprawych, książę du Maine wydawał się istnym cudem. Jaka szkoda, że zasady ustroju francuskiego nie pozwoliły mu wstępu na tron po ojcu! Zdołał tylko Ludwik mianować go pierwszym doradcą delfina, aby na wypadek śmierci tegoż naznaczyć go dziedzicem korony, co byłoby z wielką korzyścią dla państwa!

Pod wpływem tej myśli zaczyna król zbliżać, ile możności, dzieci nieprawe do prawowitych. Nadaje im urzędy i godności, później stawia je narówni z książętami krwi, a nareszcie ogłasza, że są uprawnione do tronu. Coprawda, dopiero na drugiem miejscu, po książętach krwi, ponieważ nie da się inaczej. Lecz król jest przekonany, że na wypadek wygaśnięcia prawowitych następców, te usynowione bękarty potrafią dochodzić swych praw przeciw siostrzeńcom, wnukom i dalszym krewnym króla. A w każdym razie postawią się okoniem wobec dążeń książąt krwi i, jeśli interes państwa zażąda, będą mogli przeważyć na korzyść wpływu prawowitego dziedzica. Zarówno dwory księcia de Maine i delfina w Sceaux i Meudon, jak sam książę du Maine z delfinem żyli w niezgodzie. Czasami, szczególnie wówczas, gdy następstwo prawowite wydawało się pewne, król parł bardzo do zawarcia zgody pomiędzy wszystkimi członkami swej rodziny. Wówczas bastardzi służą jako pomost zgody, raz pomiędzy książętami krwi, powtóre pomiędzy niemi a dziećmi prawowitemi. Stąd myśl owych małżeństw, tyle pogardzanych przez Saint-Simon'a. Ks. Orleański i ks. Kondeusz stają się szwagrami wskutek małżeństwa drugiej panny de Blois z Filipem Orleańskim, oraz księcia du Maine, jej brata, z córką ks. Kondeusza.

Lecz król znał zbyt dobrze naturę ludzką, aby sobie zbyt wiele obiecywać po tych związkach rodzinnych. Miał przecie w żywej pamięci lata Frondy, kiedy to walczyli z sobą ks. Orleańscy z Kondeuszami. Postanawia ich więc unieszkodliwić za wszelką cenę, a to przez zrównanie z bastardami. Rzeczywistość przyznała rację temu stanowisku króla. Pierwsze legitymacje, — dzieci pani de La Vallière oraz pierwszej panny de Blois i ks. de Vermandois — zostały postanowione w r. 1666, to znaczy w chwili, kiedy wymarły już wszystkie prawowite dzieci króla i został się jeden delfin. Później pomarło dwóch prawowitych książąt d'Anjou, wkrótce po sobie w latach 1671—1672 w kołysce, po kilku miesiącach życia. Wówczas to usynowił Ludwik w r. 1673 księcia du Maine, poczem nastąpiła legitymacja wszystkich dzieci pani de Montespan. Aż do roku 1682 tj. do urodzin księcia Burgundji miał Ludwik XIV jednego tylko następcę,

jednego dziedzica tronu. Stąd pospiech w uznaniu bastardów, pragnie bowiem zapewnić sobie potomstwo i, w razie koniecznym, dziedzica tronu.

Wynika w każdym razie z tej szczegółowej analizy przyczyn, że w postępowaniu króla wobec nieprawych dzieci nie grała roli ani pycha cyniczna, ani tem mniej słabość ojcowska, przeciw czemu walczy z takim ogniem Saint-Simon. Jak zawsze tak i tu kierował się wyłącznie i jedynie interesem państwa.

KONIEC

SPIS RZECZY

SPIS RZECZY

CZĘŚĆ V

CZŁOWIEK, KTÓRY ZAŚLUBIŁ FRANCJĘ

UZUPEŁNIENIA

SPIS ILUSTRACYJ

